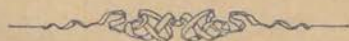


24004.

FORPOCZTY.



KSIĄŻKA ZBIOROWA

PRZEZ

WACŁAWA NAŁKOWSKIEGO, MARYĘ KOMORNICKĄ

i

CEZAREGO JELLENTĘ.

- 1895 -



LWÓW.

NAKŁADEM AUTORÓW.

1895.

W.P. ^{DIE} A. F. Hainicke
Hamberga

dla
MIEJSKIEJ BIBLIOTEKI PUBL.
w Łodzi

Nr 2192 dn. 27/11 1934

106366/64

FORPOCZTY.

KSIĄŻKA ZBIOROWA

NAPISANA PRZEZ

WACŁAWA NAŁKOWSKIEGO, MARYĘ KOMORNICKĄ

CHYZAREGO JELLENTĘ.



784-4

LWÓW.

NAKŁADEM AUTORÓW.

Z Drukarni i Litografii Pillera i Spółki.

1895.

FORBOLTY

M.
B. P.
w
Lodzi

KSIĄZKA

WOLNY

1888

Jest nas troje — współczesna Laokona grupa,
Ale wąż wspólnych pragnień, dusząc, darzy życiem
I żądłem swem zaszczepia siłę w walce z Gniciem,
By jak Dawid — żyjący potwór zmienić w trupa.

Marya Komornicka.

Forpoczty ewolucji psychicznej i troglodyci

napisał

Wacław Nałkowski.

„Naprzód! Naprzód!” — wołał Alonzo Pinzon, wódz Kolumbowej karaweli, gdy przed nim rozpościerał się ocean bez końca, pod nim tajemne jego głębie, dokoła brzmiało groźne szemranie załogi-
filiistrów („Natura i siła“).

1/11

I.

W życiu i literaturze naszych czasów pojawiają się coraz częściej typy o przewadze życia wewnętrznego nad zewnętrznym, duchowego, nad cieleśnym, ludzkiego nad zwierzęcym, refleksyjnego nad czynnym. Typy z organizacją duchową niezmiernie wrażliwą i subtelną. Typy, niemogące żyć w atmosferze pospolitości, a tembardziej podłości. Typy o wielkiej nieproporcjonalności pragnień do możności, a nawet możliwości ich urzeczywistnienia; typy więc szarpane bezdenne niezadowoleniem wewnętrznym. Typy, dostarczające największej ilości nowych idei, ale zarazem największej ilości obłąkanych i samobójców. Typy, zajmujące w ogóle w społeczeństwie stanowiska podrzędne i grające podrzędną rolę w *wewnętrznym* życiu ludzkości, w przeciwieństwie do wysoko rozwiniętej indywidualności psychicznej. Typy, które ze stanowiska fizyologicznego możnaby nazwać *nerwowymi* (*nerwocami*, *mózgowcami*), ze stanowiska psychologiczno-ewolucyjnego zaś — *ewolucyjnymi* („forpocztami ewolucji psychicznej“).

Po za temi typami, stosunkowo nielicznymi, a ostro odrzynającymi się od otoczenia, pozostaje cały wielki tłum oporny na idee; mówimy „tłum“ w znaczeniu psychicznem, bo w znaczeniu społecznem to wcale nie tłum, owszem! Pośród tego tłumu, który ze stanowiska fizyologicznego mógłby nazwać *beznerwowym, zwierzęcym*; ze stanowiska zaś psychologiczno-ewolucyjnego — *troglodytycznym (troglodytami)*, występują wyraźnie szczególnie trzy podtypy, mianowicie: *ludzie-byki*, *ludzie-świnie* i *ludzie-drewna (automaty)*¹⁾.

Ludzie-byki to magazyny dość znacznej energii brutalnej; przy wyższym stopniu energii i większej inteligencji typ ten nabiera niekiedy cech lwich; przy zmniejszeniu zaś obu, nabywa pewnej „stateczności“, pewnych nawyków tak zwanych „obywatelskich“ i staje się „wołem“. W życiu są to wiewiórki, w ogóle ludzie czynu, często bardzo pożyteczni, nieraz torujący drogę w *zewnątrznem* życiu ludzkości; ze stanowiska jednak psychicznego rozwoju uważane, typy te są czemś w rodzaju zwierząt pociągowych w armii.

Ludzie-świnie to siły marne, filistry najgorszego gatunku, których właściwym żywiołem jest błoto. W społeczeństwie i oni z ręcznym wślizgiwaniem się wszędzie, nawet „bez mydła“, zajmują nieraz intratne stanowiska, ale żadnego nie przynoszą pożytku; są oni wstrętnym, hanbiącym balastem w pochodzie ludzkości.

Ludzie-drewna (automaty, maszyny, „szewcy“) to ludzie dotknięci atrofią uczucia, idyoci uczucia. Pod względem fachowym jednak mogą oni stać nieraz bardzo wysoko, być bardzo prawidłowo działającymi maszynami; przytem są zwykle uczciwi (co w obec braku namiętności łatwo im przychodzi), mogą więc być bardzo pożyteczni dla pracy społecznej, do której zostali włożeni bez najmniejszego oporu,

¹⁾ Naturalnie, iż prócz tych typów czystych zdarzają się też i mieszane, pośrednie: *świnio-byki*, *świnio-drewna* i t. d.

sposobem tresunku, podobnie jak psy rachujące, papugi mówiące i t. p. Ludzie tacy mogą więc być doskonałymi, nawet znakomitymi, szwecami ¹⁾, w ogóle rzemieślnikami, urzędnikami, aptekarzami, uczonymi zbieraczami owadów, jaj, numizmatów i marek pocztowych; bardzo poszukiwanymi profesorami (których w takim razie mogłyby jednak zastąpić fonografy) i t. d., i t. d.; dla wewnętrznego jednak, psychicznego, ideowego rozwoju ludzkości, ci ludzie-drewna są może najszkodliwszymi ze wszystkich. Podczas bowiem gdy ludzie-byki nie zbyt są lubiani, z ludzi-świń wszyscy niemal podkpiwają sobie po trosze; to ludzie-drewna, dzięki swej fachowości, uczciwości i neutralności („wytrawności“) mają, u nas zwłaszcza, na opinię wpływ przeważający; są to ludzie „solidni“.

Jeżeli ogólny pochód ludzkości pojmiemy jako walkę, to typy drewniane, obce wszelkim dramatom wewnętrznym i walkom zewnętrznym, dadzą się porównać do ciurów. którzy są wprawdzie użyteczni przy spełnianiu różnych funkcji obozowych, ale stoją zupełnie po za walką, bo nie posiadają do tego ani impulsu, ani odwagi, ani umiejętności. Mogą nawet w walce być przeszkodą jako zawalidrogci.

* * *

Rzecz godna uwagi, że w skutek liczebnej i życiowej przewagi typów drugiej kategorii (troglodytów) nad pierwszymi (forpocztami), *ogólne zapatrywanie na stosunek obu kate-*

¹⁾ Zastrzegamy się tutaj przed możliwym zarzutem, jakobyśmy lekceważyli lub pogardzali pewnemi zajęciami lub stanowiskami; na każdym stanowisku można być nietylko maszyną, spełniającą swój fach, lecz i człowiekiem, to znaczy — indywidualnością psychiczną wysoko rozwiniętą; lecz to bynajmniej nie ma związku ze stanowiskiem, nieraz właśnie szewc może jako indywidualność psychiczna stać nieskończenie wyżej od profesora, inżyniera, doktora, literata, poety itd.; on, będąc z fachu szwecem, może być z psychicznej natury człowiekiem, a oni, z fachu inteligencyja, mogą być właśnie „szwecami“.

goryi typów jest zupełnem odwróceniem rzeczywistości. W przekonaniu „tłumu“ on jedynie jest „normalny“ i „zdrowy“; nerwowcy to w mniemaniu ludzi - byków są „nieдоłęgi“ (bo ludzie - byki nie pojmują innej siły prócz codzienno-brutalnej), w mniemaniu ludzi - świń to „niemoralni“ (bo dla „świń“ moralnem jest jedynie to błoto, w którym one żyć przywykły), w mniemaniu ludzi - drzewien to „nieodjrzały, narwańcy, histerycy, neurastenicy“ i t. d. w ogóle „chorzy“ (bo dla automatów silna wrażliwość jest czemś niepojętem). W ogóle najbardziej utarty termin wśród „tłumu“ oznacza typy nerwowe jako „zwyrodniałe“, skazane na zagładę; przyszłość ma należeć do troglodytów!

Niestety panowie troglodyci, to tylko wasze rozkoszne złudzenie; albowiem czyż można „zwyrodnieniem“ nazywać to, co jest oddaleniem od natury pierwotnej, a „normalnem“ to, co jest podobniejsze do typów przeszłości? Wszakże wśród tworów napotykaných w pokładach geologicznych (a reprezentujących rozwój życia na ziemi) ewolucyę organiczną, stopień rozwoju danej formy określa się jej oddaleniem od formy najpierwotniejszej i zróżnicowaniem.

Zresztą nie ma potrzeby nawet opierać się tu na słabszej podstawie analogii, bo można wyprowadzić to samo ze szczegółowego bezpośredniego zestawienia cech i oceny ich wartości. I tak: czemże jest owo „nieдоłęstwo“, a właściwie przewaga refleksyi nad pochopnością do czynu (a nawet i słowa) u pierwszych w stosunku do czynnej energii i swady drugich? — jest to głębokość w stosunku do powierzchowności, ułatwiającej szybką decyzję, choćby najgłupszą. Czem jest stosunkowo mniejszy udział pierwszych w codziennych sprawach publicznych? — wstrętem do kompromisów z sumieniem tam, gdzie każdy krok, choćby nawet dodatni, musi być czyniony do połowy w błocie. Czem jest niezadowolone, pesymizm pierwszych w stosunku do pogody drugich? — miarą wielkich, potężnych pragnień pierwszych w stosunku do poziomości drugich: przytem to niezadowo-

lenie jest właśnie koniecznym warunkiem rozwoju ducha, jak wątplenie — rozwoju wiedzy. Czem jest „niedojrzałość“ pierwszych w stosunku do „wytrawności“ drugich? — szczerością uczuć i odwagą przekonań w stosunku do przewrotności i lawirowania. Czem jest tak zwane „wątrobiarstwo“ pierwszych w stosunku do obiektywności drugich? — zdolnością oburzania się na fałsze, podłości i krzywdy, w ogóle subtelnością uczuć w stosunku do gruboskórności, drewnianości, a często też świństwa i podłości drugich; człowieczeństwem w stosunku do bydłectwa. Czem „niemoralność“ pierwszych w stosunku do „zdrowia moralnego“ drugich, t. j. zgodności z wszelkimi utartymi kodeksami — wyłamywaniem ścian więzienia, tamujących swobodny rozwój ludzkości; wybijaniem okien dla odświeżenia powietrza, w którym nowe subtelniejsze pokolenie o głębszym oddechu oddychać już nie może. Czem częste obłąkanie i samobójstwo pierwszych w stosunku do niezmaconej równowagi drugich? — zbyt dalekiem wybiegnięciem naprzód, zbyt wielkim wydatkiem psychicznym, któremu nie mogą sprostać siły organizmu, choćby daleko większe od tych, jakimi rozporządzają równoważeni; bydło nie dostaje obłąkania, nie podlega samobójstwu. (Zresztą wypadki tego rodzaju sprowadzają w znacznej części sami troglodyci, tamując działalność nerwowców, niszcząc nienawistne sobie wyższe indywidualności. Świeży przykład mamy z Pódkowińskiego, a ileż to jeszcze podobnych indywidualności tak ze sfery artystycznej jak naukowej zniszczyli u nas lub zniszczą troglodyci! — oni popierają tylko karki giętke i umysły niewolnicze).

W ogóle typy pierwsze w stosunku do drugich to subtelne, delikatne ważki, czułe na każdy najlżejszy powiew, używane w najściślejszych naukowych badaniach, w stosunku do grubych, brutalnych wag, używanych do węgla lub siana. — Doprawdy, wartoby tym panom troglodytom, tak łudzącym się względem swych postaci, pokazać, jak w owym Witzu niemieckim, lustro i zapytać: „kennen Sie die Affen?“

A więc: panowie „byki“, panowie „świnie“, panowie „drewna“, raczcie to dobrze zrozumieć, że to, co wy nazywacie zwyrodnieniem, to nie zwyrodnienie, to coś trochę innego, to ewolucya! Albowiem to jest oddalenie się od natury pierwotnej, byczej, świńskiej lub drewnianej, — a przecież byki, świnie lub drewna nie są chyba ideałami ludzkości!

Tak panowie: jesteśmy świadkami narodzin nowego typu człowieka, bardziej różnego od typu człowieka-byka, człowieka-świni i człowieka-drewna, niż ci różnią się od swych prawdziwych prototypów.

Ten typ nowy, obdarzony wielką subtelnością zarówno myśli jak i uczucia¹⁾, ten typ o wielkim rozwoju, że tak powiem, zmysłu wewnętrznego, o pragnieniach bezmiernych; ten typ, obdarzony zdolnością odczuwania prądów przyszłości, urzeczywistni zapewne z czasem, zbankrutowany poczęści, bo z mniejszemi podjęty siłami, dawny ideał: „sięgać, gdzie wzrok nie sięga“ i „z idei tworzyć kamienie“; zdoła — być może — rozjaśnić ciemne dziś jeszcze zjawiska, drzemiące w tajemnych głębiach natury ludzkiej.

* * *

Przyczyna, dla której troglodyci są w tak miłym złudzeniu co do swej wyższości względem typów ewolucyjnych, jest łatwa do zrozumienia. Nie wydatkując masy sił na we-

¹⁾ Ten nowoczesny zwrot od wyłącznego panowania zimnego rozumu do uczucia sprytni życiowo troglodyci już usiłują wziąć w arendę i w tym celu głoszą zwrot ku „starej moralności“; ale to jest tylko stary idyotyzm lub nowe szalbierstwo; czyż bowiem nie idyotyzmem lub świadomem oszukaństwem jest twierdzenie jednego z troglodytów, że „moralność przez wszystkie czasy i u wszystkich ludów była zawsze jednakowa“? Nie, panowie troglodyci, siedźcie sobie spokojnie w waszem błocie życiowem i nie nawołujcie nas do moralności i ideałów: profanujecie te wzniosłe pojęcia i ośmieszacie się tylko w obec ludzi świadomych: „i wieprze, mówi Lutomski, podnoszą ryje, ale to jeszcze nie jest idealizm“.

wnętrzną pracę ducha, nie trawiąc się ogniem wewnętrznym, poruszając się zawsze w gotowych szablonach, mają oni pewne plus zdawkowej energii na swe zawołanie, co daje im pewne *podmiotowe złudzenie siły*; zwłaszcza, że posiadają zwykle dobrą pamięć¹⁾ a słabe rozwinięcie krytyczne. Powtóre: dzięki swemu sprytowi życiowemu troglodyci, ów „tłum“ w sensie psychicznym, są zwykle „śmietanką“ w sensie społecznym: z nich rekrutują się moiżni tego świata, szafarze wszelkich dóbr ziemskich; od nich zależą po więkzej części losy typów ewolucyjnych, mają więc oni i *przedmiotowe wskazówki swej siły*²⁾.

Jestto ten sam pierwiastek złudzenia w miniaturze, jakiemu w najwyższym spotęgowaniu ulegali cesarzy: „Kali-gula, mówi Radliński (Dzieje literatury średniowiecznej str. 29), przekonawszy się w praktyce, że wola jego łamie wszelkie prawa, godnych i szlachetnych pozbawia tak łatwo życia, jak nędzników do szczytu władzy wynosi, nie widząc dla swojej wszechmocy nigdzie kresu, nie spotykając żadnego oporu, nie słysząc jak obłąkany w domu waryatów żadnego zaprzeczenia, sam nakoniec w boskość swą uwierzył“.

Wreszcie złudzenie wynika z *ubóstwa duchowego* troglodytów: dusze ciasne i tępe skłonne są uważać wszystko to, czego pojąć nie są w stanie, za godne lekceważenia, głupie i waryackie. Dziecy uważali białych za „niedołęgów“, ponieważ ci ostatni nie mieli takiej zręczności w tropieniu zwierzyny, lecz uprawiali ziemię lub oddawali się rzemiosłom; „głupi, jak biały“, mawiali Indyanie (Krzywicki, Ludy

¹⁾ Wiadomo, jak zdumiewającą pamięcią odznaczają się ludy pierwotne.

²⁾ O typach tych pod względem gospodarki społecznej powiem w osobnej pracy; nadają oni taki ton opinii i życia u nas, postępowanie ich z typami ewolucyjnymi, poświęconymi cichej pracy naukowej lub artystycznej, jest tak bezceremonialne i bezczelne, że zasługuje na osobną epopeę, a zatem: „arma virosque canam“. Wtedy to zrozumiemy nieco gruntowniej (niż z artykułu p. Lutosławskiego) „Skąd się, biorą pesymiści“.

str. 184). O pewnym myślicielu, który, bawiąc na wsi, błędził po polach i lasach, przestając z naturą i własnymi myślami, chłopci nasi mówili: „był tu ten głupi“; a gdy znów wśród pewnego partykularza, o którym to Gogol powiedział, iż „jest tam tylko jeden porządny człowiek, ale i ten — świnią“, zjawił się jakiś człowiek prawdziwie uczciwy, ogłoszono go za waryata!

I cóż więc dziwnego, iż troglodyci uważają typy ewolucyjne za anormalne, narwane, waryackie, a siebie za typy normalne, wyższe, za „moralnie zdrowe“. Lecz niedość tego literaci, z ich grona pochodzący, którzy zyskali sobie sławę wśród publiczności kuryerkowej za pomocą reklam i węszenia, w którą stronę zwraca się w danej chwili stado Panurga, są do tego stopnia zaslepieni, do tego stopnia ulegli złudzeniu, że gdy ktoś z typów ewolucyjnych występuje przeciw nim, oni tłumaczą to sobie zazdrością o ich sławę, popularność, płodność pisarską i t. d. Im zazdrościć sławy! Ależ uwzględniając nawet wszelkie możliwe przyczyny, niepodobna oprzeć się myśli, że to nie jest złudzenie, lecz raczej szczyt bezczelności! Co najwyżej, gdy w chwilach wyczerpania, w chwilach, gdy wszelki punkt oparcia usuwa się z pod nóg, możnaby troglodytom zazdrościć *jedynie* tego *usposobienia*, tej organizacyi psychicznej, przy której oni mogą być zadowoleni z siebie i szczęśliwi: człowiek szarpany cierpieniem może w najcięższych chwilach zazdrościć usposobienia świni, iż doznaje ona rozkoszy, leżąc w gnojówce, lecz nie można przecie przypuścić, aby człowiek miał ochotę tam się położyć, tak bez żadnej zmiany, ze swoją własną duszą ludzką, ze swoją własną jaźnią!

Ale na wszystkie powyższe wywody troglodyci gotowi powiedzieć jak ks. Romanek (C. Jellenta „W przesileniu“): „e, e to metafizyka“ i rzucić argument konkretny „jak głaz na piersi“, że to oni są właśnie typami ewolucyjnymi, typami przyszłości, ponieważ oni zwyciężają w życiu, podczas gdy tamci giną, „marnieją (jako „niedołęgi“). Ani słowa pa-

nówie, fakt to spiżowy, nie jest w stanie go wzruszyć: w życiu zwyciężają byki, wyslizgują się świny, ostają się drewna; ludzie giną¹⁾). Tak, ludzie rzeczywiście giną, ale ich *idee żyją* i „zjadaczy chleba gniotą niewidzialne“, wyciskają wreszcie na ich twarzy rumieniec wstydu, opanowują ich, podnoszą ich lubo z trudem na wyższy poziom duchowy ogólny, nad który wznoszą się następnie pojedynczo nowe „forpoczty“ i tak dalej w nieskończoną dal wieków.

Tak i na wojnie: forpoczty, straceńcy giną, lecz śmiercią swą otwierają drogę i pociągają główną masę armii; tylko, że na wojnie postępująca za forpocztami armia oddaje cześć poległym na przodzie; w życiu zgrają spasionych filistrów i łotrów wyje nad ich grobami: oto niedołęstwo, oto zwyrodnienie, oto niemoralność, oto brak religii!

* * *

Jednym z *najnowszych ataków przeciwnego obozu na typy ewolucyjne* jest artykuł p. Lutosławskiego („Skąd się biorą pesymiści?“ Ateneum, styczeń 1895), który tutaj nie tyle ze względu na powagę argumentów, ile ze względu na powagę autora, profesora filozofii, odeprzeć zamierzamy.

¹⁾ Jedynie tylko w powieściach „zdrowych moralnie“, nacechowanych „poczciwą tendencją“, a pisanych przez szubrawców, zwyciężają szlachetni; albowiem autorzy, będący sami zwycięzcami w życiu, chcą w dobrze zrozumianym własnym interesie wmówić w naiwnego czytelnika, że szlachetność zwycięża. Może zresztą niektórzy z nich mają przytem bezinteresowne upodobanie w kreśleniu tego, czego sami nieposiadają; ich tworzenie jest czemś w rodzaju kołysanki, nuconej w wolnych od „zajęć“ chwilach przez — prostytutkę.

Nie przeczę zresztą, iż poza takimi autorami i uczciwi malują nam nieraz zwycięstwo szlachetności, a ci czynią to w celach pedagogicznych: by nie mrozić zapału. Ale ta zasada jest błędną, prowadzi do omyłek, rozczarowań i odstępstw: niech bojownicy życia wstępują na arenę z całą świadomością niebezpieczeństwa, a nawet ofiary; pisząc, bądźmy jak ów wódz starożytny wielkiego serca, który objawił swej drużynie całą grozę czekającej walki i dozwolił bojaźliwym oddalić się swobodnie; śmiertelnego-

Pesymizm (autor ma na myśli życiowy, nie filozoficzny) uważa autor za skutek „nieudolności osobistej“ i żywi błogą nadzieję, iż charakteryzując pesymistów jako „nieudolnych“, odbierze im „urok wyższości“ (z powyższego wiemy już, co mamy rozumieć pod tą „nieudolnością“, czy „niedołęstwem“). Nie dość na tem: autor *sądzi*, że „ponieważ każdy *sądzi* innych według siebie“, więc pesymiści, powstający na nikczemność ludzką, muszą być sami „nikczemnikami“! — Pomijam tu już, iż jest to logika, którą by można nazwać brukową, ale co ważniejsza, prowadzi ona do fatalnych konsekwencji: według niej bowiem wszyscy sędziowie, ba nawet wszyscy wielcy moralisci, piętnujący występki ludzkie, są sami łotrami; powtóre logika ta, a raczej cios przez nią wymierzony ma pod względem formalnym wielce niemiłą dla inicjatora własność bumerangu: zakreśla koło i powraca do punktu wyjścia.

Ale p. L. jako filozof zbyt spoufalony z logiką, obchodzi się z nią w ogóle zupełnie bezceremonialnie; optymista, filozof zdrowia, usiłuje on dla zniszczenia pesymizmu wpoić ograniczonemu ludziskom tę „elementarną prawdę“, że „śmierć nie jest żadnem nieszczeniem, (obawa śmierci ma sprowadzać pesymizm), lecz tylko „uwolnieniem od ciężkich obowiązków“. Ten pogląd, jakby żywcem zapożyczony od poety rozpaczy, Leopardiego, w ustach filozofa zdrowia, optymisty, mógłby dać powód do zarzutów logicznych, gdyby nie rozbrajał swym wysokim komizmem.

W ogóle wiele miejsc w artykule p. L. jest czemś pośredniem między farsą humorystyczną, a dydaktycznym zbiorem przykładów na nielogiczności. Ilustrują te szczególnie *rady, jak należy płodzić i hodować optymistów*.

I tak: p. L. radzi, aby kawalerowie *żeńili* się jedynie w tym celu, a nie dla swego upodobania, więc nie

boju, który stoczono nazajutrz, nie splamiło żadne odsępstwo, żadne tchórzostwo.

z takimi panienkami, które za pomocą gorsetów zamieniają swą krew na wodę i starają się działać na zmysły mężczyźni (jako, zapomocą „wody“?), jeno z takimi tylko, które się wykazały umiejętnością wychowania dzieci.

Ależ, panienska, któraby chciała osiąść rzeczywiście sztukę wychowania dzieci, musiałaby nietylko studyować filozofię, psychologię, etykę, pedagogikę, higienę, ale i na uczyć się stosować to wszystko, w praktyce (co jak obaczymy niżej, jest wielką różnicą). Tym sposobem kawaler musiałby czekać zbyt długo na ukończenie studyów, co znów w obec wymaganej przez p. L. od kawalera tak zwanej czystości, w sensie Björnstjern Björnsona, naraziłoby go na wiele niedogodności, sen niespokojny, a może i na uciekanie się do self helpu w sensie nie Smilesa. Powtórnie, zupełnie inne kwalifikacye są potrzebne do rodzenia dzieci, a inne do ich wychowania i nieraz jedne przeszkadzają drugim. — Potrzebie wreszcie, znajomość wychowania dzieci najczęściej nie ma dla rodziców żadnej prawie wartości praktycznej, gdyż żelazne prawo zarobkowe nie pozostawia na to czasu. — Chyba że p. L. pisał swe rady nie dla ludzi, żyjących z pracy własnej, lecz z pracy innych; ale w takim razie czyż może być mowa o tem, aby „ojciec swem życiem dawał moralny przykład dzieciom“?

Przytem dla otrzymania pokolenia dzielnego (to jeszcze nie znaczy bynajmniej optymistycznego) potrzebne jest właśnie owo potępiane przez p. L. „działanie na zmysły“; tymczasem p. L. stoi w tej kwestyi na stanowisku maszynowym, na stanowisku, że tak powiem, strzelby magazynowej, koniecznie w jeden punkt wycelowanej i automatycznie pukającej. — Z takiej procedury, przypominającej w zasadzie małżeństwo Hetteima (z „Safo“ Daudeta), przedewszystkiem nie będzie ludzi, choćby nawet jak żąda p. L., strzelba była dobrana przez büchsmachera-lekarza i opieczętowana legalnemi pieczęciami przez „duchownego celnika“; nic to nie pomoże, albowiem wartość dzieła ludzkiego zależy nie

od sumy sił, jakie on w ogóle posiada, lecz od tej ich części, jaką w tym celu zużyje, a więc od siły porywu; gdzie zaś jest przepis i obstalunek, tam nie ma porywu.

Otrzymawszy tym sposobem maszynowe pokolenie, p. L. daje teraz rady wychowawcze: Mianowicie, nie należy pokoleniu temu dawać do czytania Byrona i t. p., lecz „pogodniej na świat patrzącego“ Szekspira (czy może oczami optymisty Hamleta?!), albowiem tak czynią zdrowi Anglicy, dla których Byron jest „immoral“, których moralność jednak wyprowadziła przed niedawnym czasem na światło dzienne „Pall Mall Gazette“. A propos Anglii wyborny jest przytoczony przez p. L. budujący przykład wypasionego studenta angielskiego z jezuickiego Cambridgu, który czas wolny między criquetem i regatami obraca na nauczanie wygłodniałego robotnika angielskiego, jak ma w sobie wyrobić pogodny pogląd na ten jasny świat z ciemnych podziemi węglowych.

Dalej spotykamy niezmiernie, że tak powiem, sympatyczną lubo nie nową radę, aby ludzi niezamożnych nie dopuszczać do nauki (bo ztąd wychodzą pesymiści). Naprzód rady tej jako człowiek nie zazdrościć panu L.; powtóre, czytając życiorysy wielkich ludzi, trzeba przyjść do przekonania, że gdyby dopuszczanie do nauki zależało od cenzu majątkowego, to rozwój ludzkości przedstawiałby się bardzo smutnie. Po trzecie wreszcie i tu jak w wielu miejscach rady p. L. prowadzą do sprzeczności: wedle tej recepty mielibyśmy z jednej strony ludzi bogatych, nieraz kretynów, którym od młodości z wielkim nakładem kosztów pakują w głowę wiedzę, niby gałki indykowi przeznaczonemu na tuczenie; z drugiej strony — ludzi ubogich, ludzi nieraz w całym znaczeniu tego słowa o duchu pełnym pragnień i niezwalczonych porywów, którzy byłiby gwałtem wtłoczeni w dół, przeznaczeni na sługusów, na męki Tantalowe. Znow więc mielibyśmy z jednej strony wstrętnych maszynowych optymistów, Wagnerów, nakręcane lale z me-

chanizmem naukowym; z drugiej — zrozpaczonych zmarnowanych pesymistów (prawda tylko, że wygodniejszych, bo ciemnych, a więc „cierpiących w milczeniu“).

W ogóle rady p. L. pod względem społecznym dadzą się sformułować w ten sposób, że pewna część ludzi powinna się drugiej części nie tylko pozwolić zjadać, ale jeszcze robić przytem minę zadowoloną, pogodną. Jest to obok humorystyki i pewne urągawisko dla cierpienia ludzkiego; p. L. nie może zrozumieć tego, że aby on mógł być optymistą, to na to złożyć się musiały siły bardzo wielu pesymistów (nie filozoficznych, lecz tych „cierpiących w milczeniu“), podobnie jak na wyhodowanie delikatnej rączki damy salonowej lub długiego świderkowatego paznokcia filozofa indochińskiego. I za to jeszcze wymyślać pesymistom od nikczemników! — nie to już czarna niewdzięczność. Wprawdzie filozofowi wolno jest może nie być socyologiem, ale przecież nawet tak zalecany przez p. L. do czytania „pogodny“ Szekspir powiedział już wcale nie dobrodusznie: „musi ktoś czuć, aby mógł spać ktoś“.

Smutno to powiedzieć, ale takie same poglądy na pesymizm, jakie wygłasza p. L. filozof, słyszałem już po wielokroć od przeciętnych kamieniczników, piwowarów, znacznie-szych obywateli ziemskich i porządnych bankierów, którzy mają aż nadto wiele powodów do pogodnego poglądu na ten najlepszy (dla nich) ze światów.

Jedno jednak zdanie p. L. jest bezwarunkowo słuszne: „u nas, mówi on, brak logiki i psychologii we współczesnym wykształceuii“. Święta prawda, a p. L. dowiódł jej niezbitcie całym swoim artykułem. Mówię to z całą świadomością stanowiska naukowego pana L. jako profesora filozofii, albowiem z drugiej strony mam też świadomość, że co innego jest *umieć* filozofię, psychologię, logikę i t. d., a co innego *być* filozofem, psychologiem, logikiem.

Być filozofem, mieć umysł filozoficzny, to znaczy umieć patrzeć właściwie na najbardziej złożone zjawiska

otaczającego nas świata: umieć ogarnąć z wyższego stanowiska ich ogół w jego ruchu, w jego nieustannej zmienności; pojmować, że w rozwoju ludzkości to, co dziś jest tak zwaną podwaliną, jutro staje się przeżytkiem, kulą u nogi w dalszym pochodzie.

Być psychologiem, to znaczy pojmować i odczuwać pragnienia i cierpienia duszy ludzkiej.

Być logikiem, to znaczy mieć prawidła logiki nie w pamięci, lecz we krwi, w naturze swej, przyswojone, zharmonizowane, zjednoczone całkowicie.

Być etykiem, to znaczy pojmować, że to, co jest „prawem moralnem“ dla natury gruboskórnej lub automatycznej w rodzaju Hettemów, staje się nie do zniesienia dla natury subtelnej, wrażliwej, i że to nieznośnienie nie jest niemoralnością, lecz ewolucją.

Jednem słowem nie o sumę wiedzy tu chodzi, lecz o stopień jej przyswojenia i sposób jej stosowania do zjawisk napotykaných.

Jakież to więc filozof patrzy na świat jako na coś, co jest, a nie co się staje; na zjawiska, na formy społeczne, jako na niewzruszone podwaliny, jako na coś trwałego, niezmiennego, a nie jako na zmienne znikome fazy w nieskończonym rozwoju ludzkości?

Jakież to psycholog patrzy na ludzi, i to w epoce społeczeństwa indywidualizmu, jako na maszyny, niby dawny Dekart na zwierzęta?

Jaki psycholog i socyolog patrzy na pesymizm jako na pewien rodzaj zewnętrznej choroby skórnej, którą można leczyć tamującami obieg krwi silnemi bandażami, a nie głębokiem, swobodnem oddychaniem w oczyszczonej atmosferze, któreby przyspieszało, potęgowało obieg krwi?

Jaki socyolog może chcieć *dziś* fabrykować optymistów, ludzi zadowolonych. — Z czego? i cui bono?

Jaki wychowawca, widząc, iż jego elew w starej ciasnej sukni krzywi się, jęczy lub szamocze, nie radzi zmie-

nić ubrania odpowiednio do wzrastających kształtów ciała, lecz woła silnego bedela i każe ubranie zapiąć na wszystkie guziki, dowodząc, że nasi przodkowie chodzili jeszcze w ciasniejszych i twardszych pancerzach i dobrze im było?

Jaki logik stawia obok siebie twierdzenie sprzeczne lub do sprzeczności prowadzące? ¹⁾

¹⁾ Możeby czytelnik nie wierzył, że profesor filozofii może popełnić takie błędy, pozwolę więc sobie tu jeszcze zestawić parę rozwikłań jego bogato splecionych węzłów nielogiczności.

1. Autor radzi *stłumiać* w sobie *idealny popęd do kształcenia* i starać się *robić od młodości grosze*, poświęcając się szewstwu, kramarstwu i t. p., a zarazem *studycować* głęboko *filozofię*, aby nie bać się śmierci, a to znów dlatego, aby *dla marnych celów materialnych* nie odstąpić nigdy od *zasad idealnych*.

2. Radzi być optymistą i zarazem uważać śmierć jako miłą oswobodzicielkę od cierpień tego życia.

3. Wstrzymanie się od kształcenia według p. L. ma *chronić od pesymizmu*, ale zarazem: zaniedbanie studyów filozoficznych, a stąd obawa śmierci, wytwarza chęć zachowania życia, choćby w najgorszych warunkach, a więc *prowadzi do pesymizmu*.

4. Nawet wtedy, gdy w przemyśle samolubne jednostki wywołują krytyczne położenie ogółu, to i tak, mówi p. Lutosławski, winić ich nie można całkowicie, skoro działały *zgodnie z prawodawstwem* i ogół nie powstrzymał ich. To niby sprowadza się do zasady, że nie złodziej winien, lecz ten, co się dał okraść, a powtóre: jakże ogół mógł przeciwdziałać, skoro p. L. każe mu być optymistycznym, zadowolonym i nie marzyć o żadnych reformach.

5. Wreszcie bezdenną naiwnością odznaczają się poglądy p. L. na kobiety, które jako „dziewice“ uchronione od wszelkich prochów ziemskich, oczekują na przyszłego męża i pana (zaleconego przez lekarza), ten zaś w nagrodę za rodzenie dzieci będzie je chronił swą pracą od kółców i głogów walki o byt, a stąd od zarazy pesymizmu. Pan L. musiał być zahypnotyzowany przed stu laty i dopiero dziś się obudził; dlatego nie zdołał się jeszcze rozejrzeć, że sytuacja jest nieco inna: kobieta, pomijawszy wyjątki, jest zmuszona pracować na utrzymanie, jej zarobek jest nędzny, stoi więc ona w obec dylematu: albo charłactwo, suchoty i t. d. z przepracowania i niedostatecznego odżywiania, albo prostytutcyca. Wyjątek stanowią tu znów córki rentyerów, które mają zawsze szanse wyjścia za mąż (wprawdzie po za tem mogą się też oddawać prostytutcy, ale to już

Jaki to etyk wreszcie każe nakładać dyby na ręce wy-
ciągnięte ku światłu; jaki etyk uraga dostojenstwu cierpie-
nia ludzkiego? ¹⁾)

* * *

Obok zarzutów i napaści ze strony obozu przeciwnego-
możemy się tu spotkać z *zarzutami natur nam pokrewnych*,
lecz pochwyconych przez reakcję ku pierwotności pod wpły-
wem *idei Nietzschego*. Idea Nietzschego, idea indywidualności
o potężnych instyktach brutalnych, którą tak bezkrytycznie
pochwycili liczni pisarze typu ewolucyjnego wśród najmlod-
szego pokolenia piszących, jest prawdą tylko jako pragnie-
nie, jako chwilowy wybuch zwrotny ku pierwotności, jako
paroksyzm, jako kłapa bezpieczeństwa dla organizacji zbyt
wybujających duchowo, zbyt skrępowanych przez więzy cywi-
lizacji; jako środek, nigdy jako cel ludzkości; jako chwi-
lowa reakcja, nie jako ewolucja.

Tylko biorąc z gruba, bezkrytycznie, może się wyda-
wać, iż walka o byt wytworzy z czasem wśród ludzkości typ
stawiany jako ideał przez Nietzschego: nie w przyszłej, lecz
w pierwotnej fazie kultury typów takich szukać należy. Al-
bowiem proces ewolucyi, wywołanej walką o byt, jest bar-

dla własnej przyjemności, a nie dla podłego zarobku). Jeżeli więc wśród
kobiet jest mniej pesymizmu, wynika to tylko z małego ich wykształcenia,
a stąd i małego uświadomienia: wszakże wśród jagniąt, które zarzynamy,
pesymizm też jest mało rozpowszechniony!

¹⁾ I któżby dał wiarę, iż poglądy i rady powyższe troglodytyczni
sprawozdawcy nazwali „zdrowemi“ i „obywatelskimi“!!! Czy to jest bez-
miar gruboskórności, czy bezmiar hypokryzji? Rzecz godna uwagi, iż
troglodyci, przyklaskujący potępieniu pesymizmu społecznego, będącego
głównym motorem rozwoju, przyklaskują zarazem pesymizmowi zasadni-
czemu, albowiem ten prowadzi w socyologii do klerikalizmu (jak w poli-
tyce do Hartmanizmu), do negacji nauki i rozwoju, do uznania marności
życia doczesnego; gdy się zaś w biedaków wzmówi, że życie jest *zasadni-
czo* marne, to już łatwiej będzie w spokoju zażywać na ich rachunek jego
rozkoszny.

H.
B. P.

dziej skomplikowany, niż się to na pozór wydaje: jak potok górski im gwałtowniej płynie i silniej wyżłabia swe łożysko, tem więcej gromadzi na dnie osadów, które z wolna wypierają go z łożyska i zmuszają go do zmiany kierunku; tak i tutaj: im bardziej zażarta wre walka brutalna, tem więcej wymaga wysiłków nie tylko muskularnych, ale i mózgowych, nerwowych, a w skutek tego zjawia się zupełnie nieoczekiwany uboczny produkt tej walki: nie tylko rozwój inteligencji, ale, co ważniejsza dla nas w tej chwili, wysubtelnienie nerwowe, wysubtelnienie uczucia, zmieniające kierunek walki. Wiekowe zwycięstwa brutalności były tym sposobem zwycięstwami Pyrrusowemi, bo oto obecnie w miejscach jednostek pierwotnych, dla których prawem był ogólny mord, skalpowanie, pożeranie, zjawiają się jednostki, dla których odebrania życia nawet najdrobniejszemu tworowi jest czemś niewymownie bolesnem, często niewykonalnem; dla których chwilowe na wpeł nieświadome zadowolenie z cudzej śmierci staje się na całe życie trapiącym wyrzutem sumienia; ¹⁾ dla których najmniejsza krzywda, komuś przez innych wyrządzona, budzi szal oburzenia; które, jak mówi Komornicka, potrafią wtedy „nienawidzieć całą potęgą zdolności kochania“; typy, które nie mogą wyżyć psychicznie w atmosferze fałszu i gwałtu (podobnie jak fizycznie w atmosferze kwasu węglanego); które w tej atmosferze nabierają wstrętu do życia, a stąd stają się panami wyboru gatunku śmierci, co, mimo pozorną sprzeczność, nie zdaje się być

24004.

¹⁾ Przykładem doktor Morgex w powieści Roda („La Sacrifiée“); niestety tylko, że Rod obalamucony przez dzisiejszy prąd reakcyjny, każe bohaterowi szukać lekarstwa naprzód u sędziego śledczego, a ostatecznie u księdza, który sprawę, będącą wynikiem wielkiego psychicznego wysubtelnienia (ewolucyi), rozstrzyga prosto zakazem dekalogu: „nie zabijaj“. Wygląda to tak, jakby kto ranę zadaną najbardziej wyszukanem narzędziem katuszy, wymagającą leczenia najbardziej subtelными narzędziami nowoczesnej chirurgii, przy zachowaniu środków antyseptycznych, chciał leczyć za pomocą chiopskiego kozika i zalepienia gliną.

dobrą wróżbą na przyszłość dla ostatecznego zwycięstwa brutalności.

Tak więc, mimo wszelkie pozory przeciwne, możemy twierdzić, że przyszłość należy do typów, zwanych powszechnie „zwyrodniałemi“ i że one są rzeczywiście „forpocztami ewolucyi psychicznej“.

* * *

Zastanówmy się teraz, *co jest istotą tej ewolucyi* i postarajmy się rzucić z tego stanowiska niejaki światło na charakterystyczne cechy typu ewolucyjnego, oraz jego „upadek“.

Ewolucya, jak to łatwo z powyższego zrozumieć, polega na ciąglem przetwarzaniu się sił fizycznych na duchowe, biologicznych na socyologiczne, bezpośrednich porywów na refleksyę (wbrew Nietzscheanizmowi); czyli, jak wyraziliśmy się już dawniej („Natura i Siła“ Prawda 1893), na *transmisyi sił* fizycznych na duchowe, a to pod naciskiem walki o byt, potrzeb społecznych.

Bywają epoki w dziejach, gdy transmisya ta odbywa się w tempie przyspieszonym, takiej epoki my właśnie jesteśmy świadkami i stąd owe częste pojawianie się typów, któreśmy nazwali ewolucyjnymi i scharakteryzowali powyżej.¹⁾

Ta transmisya sił jest dla osobnika *bolesna*, tak, iż ludzkość cała wyrasta, jak niegdyś nasz bohater, z tego, co ją boli. Ból ten wynika z dwóch powodów: *indywidu-*

¹⁾ Moznaby tu naturalnie pójść dalej po za przyczyny psychiczne i sięgnąć do *historycznych*, prowadzących przyspieszenie tętna; dość tu jednak będzie wskazać na analogię z przeszłości: „Jeżeli okres lat 1789—1793“, mówi C. Jellenta („*Ideał Wszelchudzki*“ str. 54), „zdwoił, odnowił energię ducha ludzkiego, to rok 1815, gnębiąc jednych, innych przyprawił o istną hipertrofię samowiedzy. Pomógł on wykuć się do reszty nowemu rodzajowi ludzkiemu, który składał się z jednostek o nowym całkiem ustroju duchowym“ (Porów. też str. 284 i 285).

*alnego (zasadniczego, koniecznego), i społecznego (ubocznego, przypadkowego)*¹⁾.

Zasadniczo transmisya jest bolesna, bo oddala jednostkę od stanu przyrodzonego pierwotnego, zmusza do wyrzeczenia się nawyknień i rozkoszy dzieciństwa, tak osobnikowego jak i ludzkościowego (przez jednostkę odziedziczonego).

Przypadkowo transmisya jest bolesna wskutek jej nieekonomii, wywołanej stosunkami społecznymi; etyką już przeżywaną się, przyczem realne pragnienia jednostki bywają często tłumione dla fikcyi, formulek przestarzałych („umarli nas zjadają“). W skutek tego jednostka przy transmisyi traci więcej biologicznie, niżby powinna, bez potrzeby, bez korzyści społecznej; przyczem, jak mówi Komornicka, nieraz „cyklony bywają zmuszane do obracania młynów“. Nieekonomia transmisyi psychicznej dochodzi nieraz nawet do absurdu, bo odejmuje człowiekowi to minimum fizyczności, które jest konieczne do tego, aby wyrobiony mózg mógł działać z pożytkiem; zamiast więc pożytku z transmisyi, społeczeństwo ponosi szkodę, gdyż wytwarza sobie rzecz ywistych niedołęgów, którzy stają się dla niego ciężarem.

Ta nieekonomia transmisyi jest tem większa, im większa odległość, im większa przepaść dzieli jednostkę od jej otoczenia; a do bólu tej nieekonomii, bólu wywołanego przyczynami wewnętrznymi, dołącza się jeszcze ból wywołany przyczynami zewnętrznymi: wielkiem odosobnieniem duchowem, naciskiem i arogancyą troglodytyzmu i trudnością warunków bytu materialnego, co wszystko razem wiąże się, wikła, potęguje w piekielną harmonię, z której nie ma wyjścia.

¹⁾ To odpiera możliwy zarzut troglodytów, że typy nerwowe mogą być wynikiem pijaństwa, nadużyć płciowych i t. p.; otóż my występujemy w obronie tylko takich typów, których nerwowość jest związana z wielką transmisją sił na mózgowie.

Jeżeli więc szczęście człowieka da się sformułować jako stosunek pragnień do rzeczywistości, to czemże jest w obec takiej rzeczywistości szczęście takich ludzi — ludzi o potężnych pragnieniach, ludzi, których „dusza, jak mówi poeta, to przepaść bezdenna... wlej w nią wszystkie, wszystkie rozkosze tej ziemi, pochłonie je jak kroplę i tylko nad niemi, jak fala nad ofiarą, wzniesie się pragnienie“; czem jest ich szczęście? — zerem? nie: zerem podzielonem przez nieskończoność, jakby powiedział matematyk: „cierpieniem za miliony“, jak mówi poeta.

Stąd to cechą wszystkich typów wyższych, wspólną z więźniami, jest *smutek* (w skutek bólu transmisy) oraz pewna *dziokość* (a w formie słabszej — *sielankowość*), a raczej jej paroksyzmy: jest to potrzeba reakcyi, wywołana uświadomionym nadmiernym bólem transmisy, pewnym quousque tandem: jest to więc potrzeba *retransmisyi*, wywołana nadmiernym rzuceniem sił w jednym kierunku, które grozi ruiną maszyny; potrzeba chwilowego powrotu do tej natury pierwotnej, od której jednostka zbyt daleko odbiegła.

To wyjaśnia nam wiele objawów w życiu, literaturze i sztukach pięknych, objawów nieraz formalnie bardzo różnych, mających jednak jeden wspólny motyw. To wyjaśnia obecną reakcyę historyczną, powrót ku dawnym wierzeniom, dziecinnyim przesądom, legendom i baśniom; nietylko wyjaśnia, ale uczy zarazem, że ta reakcyja nie jest żadną „syntezą“ po wieku krytyki (piękna synteza wieku, polegająca na wyrzeczeniu się jego najcenniejszych zdobyczy!), lecz jest objawem ujemnym, objawem znużenia (o ile nie jest objawem szalierstwa), które musi przeminąć, niby chwilowe omdlenie. To wyjaśnia nam dalej dzisiejszy zwrot ku sportom wszelkiego rodzaju, oraz pracom ręcznym (w pedagogice). To wyjaśnia, dlaczego tak czynny psychicznie Gladston rąbał drzewo, dlaczego tak potężny umysł, jak Darwin, osiadłszy na wsi, grywał w bilboquet; dlaczego geniusz wojenny, Moltke; oddawał się z zamiłowaniem

karmieniu ptactwa domowego (niby Zosia z Pana Tadeusza!). To wyjaśnia, w swych dwóch wyżej wymienionych formach, nietzscheanizm (dzikość) i rousseauizm (sielankowość). To wyjaśnia, dlaczego przeduchowiony, umierający już prawie z wyczerpania sił na transmisyę duchową, artysta tworzy „szał uniesień“, uosobienie potęgi żywiołowej zmysłów¹⁾. To wyjaśnia znaczenie takich typów niewieścich w życiu poetów lub w poezyi jak Marguerita Cogni Byrona (ciesząca się nim „jak tygrysyca kociętami“), jak Matylda Heinego, jak Margareta Goethego (znaczenie to jest przytem spotęgowane urokiem kontrastu). To wyjaśnia wogóle występowanie w sztukach pięknych motywów i scen ludowych. To wyjaśnia, dlaczego jednostki, wybiegające myślą daleko naprzód w cywilizacyjnym pochodzie ludzkości, uczuciem powracają nieraz „po nocnej rosie“, z „powiewem ranku“, z upajającym tchnieniem dnia letniego ku nikiem obrazom swej ewolucyjnej przeszłości. Nie na to jednak by tam pozostać, uwstecznić się i zgnuśnić, lecz żeby tam odpocząć, nabrać siły do dalszej walki (pozostawiając w zamian zarody śmierci dla tego, co ze stanowiska ewolucyi jest moriturum; n. p. zekłanie się turystów ze światem góralskim).

¹⁾ Objaw to charakterystyczny, iż nasi troglodyci zarzucali twórcy „Szalu“, że jego serce jest wyzute ze szlachetnych pożądań, zarzucali mu zwierzęcość, niemoralność, nawoływali do idealnych celów dobra, piękna i prawdy (Timeo Danaos!). Zwierzę umierające z przeduchowienia! — Czy istnieje większa ironia? A co do samego obrazu: powiedzieliśmy już dawniej („Natura i siła“), że wrażenie, jakie czyni wielki talent, to transmisyja siły artysty na widza, która w tym ostatnim budzi lub wzmaga jego własną, drzemającą siłę; siłę tę może on zużytkować w rozmaitej formie, stosownie do swej natury, chwilowego usposobienia lub okoliczności. Lecz gdyby nawet na jakiegoś filistra siła zakłeta w „Szale“ podziała jaknajbardziej bezpośrednio realistycznie, to i tak wpływ ten nie będzie demoralizujący: filister taki porówna tę potężną chuć orkanu, która płodzi geniusze ze swoją nędzną chucią maszyny, która rodzi kretynów, ze swym „snem fabrykanta“, jak mówi Krasiński, i może choć raz w życiu dozna silniejszego porywu. Ze stanowiska ewolucyjnego to będzie też umoralniające.

Te objawy retransmisji prócz chwilowego odpoczynku zdają się mieć jeszcze ważniejsze ewolucyjne znaczenie: są one jakby ćwiczeniami, wprawiającemi człowieka w transmisję sił; a wszakże dowolne przerzucanie siły na różne funkcje organizmu jest ideałem indywidualnego rozwoju.

W razie bowiem niemożności urzeczywistnienia retransmisji w chwilach wielkiego przełomu jednostce grozi zupełne wyczerpanie, melancholia, samobójstwo, związane często z zabójstwem lub obłąkanie (n. p. osobistość Nietzschego). Retransmisja dla natur potężniejszych to skok nad przepaścią; kto nie dosięgnie jej krawędzi, ten roztrąci się o skały na dnie sterczące; a choćby się zdołał jeszcze przebudzić, to mówiąc słowy Krasieńskiego: „przebudzenie coraz rzadsze i coraz krótsze, a sen w grobie coraz dłuższy i coraz twardszy“.

Są to bezwątpienia objawy niemoralne, objawy upadku; naturalnie jednak; iż terminów tych używamy nie w znaczeniu etyki troglodytów (którzy właśnie doprowadzają typy ewolucyjne do takiego upadku), lecz w znaczeniu etyki ewolucyjnej. Właściwiej może byłoby nazwać te objawy nieszczęściem; ludzie ci nie są przestępcami, lecz ofiarami. W każdym razie „upadki“ te nie są wynikiem słabości, jak sądzą troglodyci. Słabość! — Ależ wśród tych typów, które „upadają“, napotyka się ludzi nie tylko z wielką siłą umysłu i wielką siłą talentu, jaki rzadko jest udziałem troglodytów, ale nawet z potężną siłą mięśni (Maupassant); tak wielka jest ich siła absolutna, że nawet po wielkiej transmisji psychicznej zostało się jeszcze wiele na stronę fizyczną. A więc to nie słabość, tylko nieproporcjonalność między pragnieniami i rzeczywistością (zwiększana jeszcze przez troglodytów), między wielkimi zapasami i jeszcze większemi jednak wydatkami. Można wypowiedzieć twierdzenie na pozór sprzeczne, a jednak zupełnie prawdziwe, że ich „upadek“ jest skutkiem nie słabości, lecz siły! Trzoda, tarzająca się w błocie, nie może upaść już niżej, lecz orłowi, szybującemu w obłokach, upadek wciąż grozi: dzięki wielkiej sile skrzydeł

i wewnętrzznego impulsu, wzbil się wysoko w chmury, lecz tam może zabraknąć odżywczych zapasów ziemskich i atmosfera może stać się za rzadka do takiego wzlotu, a duma lub rozmach zbyt wielki nie pozwoli cofnąć się ku ziemi, choćby na chwilę odpoczynku, nabrania nowych sił...

Mówimy tu naturalnie o typach ewolucyjnych z wielką siłą absolutną — nie przeczy my jednak, iż obok takich zdarzają się słabsze, pozbawione owej cechy dzikości, zaciętości. Typy takie w obec wielkiego wyczerpania, nacisku ekonomicznego i t. p. ulegają reakcyi, retransmisyi nie ku naturze brutalnej, lwiej, lecz ku naturze innych podtypów troglodytycznych: drewnianej lub nawet świńskiej; albo obojętnieją one na wszystko, zasklepiając się w swej skorupie, albo wślizgują się w łaski troglodytów, żałując „grzechów młodości“, i zyskują w ten sposób poparcie w formie kopiejek i kuryerkowej reklamy; „przyjawszy, jak mówi Heine, błogosławieństwo opasłych czarodziejów, uczują ze szlachetnymi poganiaczami osłów“. Lecz typy silne nie ugną się nigdy, gotowe są zerwać wszelkie więzy osobiste, któreby im w tym kierunku mogły być niebezpieczne — postąpić nieraz, jak nasz bohater z pod Cecory, co przebił mieczem ulubionego konia, aby w chwili najgorszej nie uledez pokusie ucieczki — a gdy ich wszystko opuści, potrafią się złamać, lecz nie ugiąć; umrzeć, lecz nie poddać się. Upadek lub chwianie się silnych mogą być niewyczerpanem źródłem piękna dla dramaturgów i powieściopisarzy.

* * *

Urzędowi troglodytyczni krytycy literacy, zgodnie z tą opinią, jaką troglodyci w ogóle żywią o nerwocach, twierdzą, że w utworach literatury pięknej nie ma na nich miejsca.

Z różnych typów krytyków troglodytycznych, szczególnie przeważny głos, zgodnie z tem, co powiedzieliśmy powyżej, mają krytycy-drewna. Przez jakieś dziwne prawo

kontrastu, zamiast zasuszać rośliny, klasyfikować pająki, wiwiskować króliki lub żaby, biorą się oni do analizy duszy ludzkiej, oceniania uczuć, dla zrozumienia których nie mają w swej duszy żadnego punktu zaczepnego do analogii, albowiem z powodu swej organizacyi, uczuć tych nigdy nie doświadczali. Sami nie żyjąc, nie czując, nie pragnąc, nie cierpiąc, nie walcząc z wściekłością, nie padając z sercem zakrwawionem — nie z tego co przeżyli, przeboleli, prze-walczyli — lecz z książek czerpią swą wiedzę o uczuciach; nie odczuwając żywych drgnięć serca ludzkiego, nie z tego stanowiska, lecz ze stanowiska wyuczonych szablonów oceniają utwory i typy. W skutek tego właśnie typy, o jakich mówimy, typy ewolucyjne, przecięnięte przez ciasne i suche formy dusz krytyków, ukazują się czytelnikowi pokoszla-wione do niepoznania, niby „rzecz sama w sobie“, przecię-nięta przez formy zmysłów ludzkich.

Tym sposobem krytyka „drewien“, lubo nacechowana sumiennością, zlewa się z grubą krytyką „byków“ i obli-czoną na zyski, krytyką „świń“ w jedną harmonię (wspañiała orkiestra!): takie utwory to „paskudztwa“, takie typy są „zwyrodniałe, histeryczne, narwane“ i t. p.; głoszą one idee „niezdrowe, niemoralne, cuchnące“ i t. p. Krytycy nasi chcą widzieć tylko typy „normalne, zrównoważone“, które głoszą ideę „pocziwe, pogodne, ciepłe, nasze“ i t. p. Oni są smakosze; lubią kotlety tak zwane à la Kawalkiewicz, to jest siekane z padliny, zawijane w uperfumowane papiloty i pod-lane słodko-moralnym sosem. Są widać wytrwali na cho-robę morską; czemuż nie zostali marynarzami!

Nie dość na tem; przeciw przedstawianiu typów ewo-lucyjnych w powieści występują też społecznicy: co nas tam obchodzi jakies cierpienia i burze wewnętrzne, to jest ego-izm; w powieściach takich nie ma zmysłu społecznego, auto-rowie nie podnoszą „kwestyi społecznych“ i t. d. Ale to jest tylko krótkowidztwo: zapewne, że formalnie nie ma tam rozbioru kwestyi społecznych, ale społecznicy powinni by zro-

zumieć, że sprawiedliwość społeczna rozwija się z rozwojem psychicznej subtelności i wrażliwości jednostek, z zanikaniem gruboskórności i dREWIANOŚCI. Bez takiego wysubtelnienia psychicznego niemożliwym jest postęp społeczny, bo mimo wszelkie reformy formalne, gruboskórność i świństwo ludzkie zawsze znajdują dla siebie korzystne ujście.

Pomimo to wszystko, powieściopisarze pod naciskiem samego życia przedstawiają jednak niekiedy typy tego rodzaju, ale przedstawiają albo czysto realistycznie, albo, jeżeli tendencyjnie, to ujemnie.

Z naszego stanowiska, ze stanowiska walki o idee, *typy te należy przedstawiać w utworach literackich tendencyjnie i dodatnio*; albowiem w interesie ewolucyi leży pozyskanie czytelnika dla tych typów, oraz uświadomienie typom pokrewnym, lecz słabszym, nieuświadomionym, ich stanowiska i wartości psychicznej. W jakież sposób to osiągnąć?

Gdyby kto chciał n. p. skłonić ogrodników swego kraju do zaprowadzenia nowego gatunku owoców, którego, co ważne, ojcowie ich nie znali, to musiałby im okazać indywidua tego gatunku najokazalsze, najlepiej rozwinięte, najsilniejsze. Tak samo więc czynić należy, okazując grubemu tłumowi typy ewolucyjne; trzeba aby one robiły wrażenie siły (absolutnej). W tym celu potrzeba w ogóle: 1) aby ich słabość względna, codziennie-życiowa była umotywowana wielką wydajnością (a przynajmniej wielkiem napięciem) w kierunku duchowym oraz na walkę o byt i idee; 2) aby w fazie reakcyi biologicznej okazali wielką siłę pragnienia, t. j., by rozmach reakcyi był wielki, cel jej daleko ku pierwotności wysunięty, żywiołowy; 3) aby po daremności usiłowań rozpacz miała ton wysoki. Kto jest filozofem, pojmującym typy ewolucyjne, a zarazem artystą i człowiekiem współczującym z nimi, ten potrafi na powyższych podstawach wydobyć z nich gromy, których ulękliby się troglodyci, podobnie jak rozjuszony byk i flegmatyczny wielbłąd-automat lękają się

przed buchającym parą i iskrami pociągami kolei, niosącym cywilizację wśród puszczy pierwotnej!

Trzeba wdrożyć w umysły tłumu, że te typy są potęgą, która, mimo pozorną słabość, może się w razie przeciągnięcia struny zmienić nawet w brutalną, a tak silną, że jedno-razowym wybuchem potrafi zmiażdżyć codzienną, rutynowaną brutalność tłumu; że to są lwy zamknięte w klatce, które w napadzie wściekłości mogą klatkę rozerwać; a któż z widzów nie zadrży na widok szarpnięcia się lwa. Że te „niedolegi“ — to są Samsoni, którym Dalila-transmisya obcięła włosy energii brutalnej, lecz którym włosy odrastają czasami na chwilę, a wtedy stają się oni zdolni „jednem wstrząśnięciem kolumny zburzyć gmach cały i runąć pod gmachem“. Że te „niedolegi“ to niepozorne ciche torpedowce, które wybuchem mogą zdruzgotać najbardziej imponującą brutalnością kolosy dawnej konstrukcyi. Że typ taki pośród gawiedzi, to typ Europejczyka pośród dzikich: dżicy lekceważą drobną jego postać i, ufni w liczbę i siłę, rzucają się na niego z potężnymi maczugami; lecz z ręki jego wypada grom ognisty, który powali najsilniejszych. Trzeba wreszcie typy te przedstawiać z pewnym smutkiem ofiary, ale zarazem z pewną dumą straceńców, otwierających ludzkości drogę krwią swoją, jak nowi Winkelridzi; otaczających się atmosferą chłodu, która trzyma w należytem oddaleniu wszelką duchową hołotę¹⁾.

1) Zwracamy uwagę, iż dla wyrażenia stanów duszy, właściwych dzisiejszym typom ewolucyjnym, posługiwaliśmy się bardzo często formami zapożyczonemi od wybitnych poetów doby romantycznej — a czyniliśmy to z pewnym celem; albowiem gdy troglodycie okazać jakąś nową ideę, to przedewszystkiem obwacha on ją z niedowierzaniem — i dopiero gdy zwęszy i wyszpera z zadowoleniem, że idea ta nie jest zupełnie nową, że już tam za Piasta lub Sasa było coś podobnego — wtedy patrzy na nią z mniejszem niedowierzaniem — mniej z góry: w miejsce surowości gromowładnego Zeusa zjawia się u niego pewna pobłażliwa surowość ojcowska: gniewa on się wprawdzie jeszcze na młode pokolenie, ale tak jak ów ojciec w komedyi na wybryki syna: „a to cymbał! kubek w kubek ojciec!“

II.

Póstarsamy się teraz *wyrażone powyżej idee ogólne uilustrować (a po części i dalej rozwinąć) za pomocą rozbioru dwu, po części odpowiadających im, utworów literackich, wysłanych z pod pióra „najmłodszych“*; mówimy tu mianowicie o nowelach Cezarego Jellenty („W Przesileniu“) i M. Komornickiej („Szkice“). Zwrócimy też zgodnie z powyższem uwagę na *charakterystyczne stanowisko krytyki troglodytycznej względem tych utworów.*

Zanim do typów Jellenty zastosuję powyższą skalę wymagań, muszę się załatwić z możliwym przeciw mnie zarzutem, iż zamiast oceniać te „wykrawki z życia“ ze stanowiska realistycznego, podsuwam autorowi tendencję, której może nie miał i z tego sztucznego samowolnego stanowiska chcę go oceniać.

Zarzut taki jednak nie byłby słuszny. Wszakże Jellenta, jako krytyk artystyczny, nawet w malarstwie nie jest zwolennikiem kierunku realistycznego, bezideowego, beztendencyjnego; nie zachwycają go wcale choćby najprawidłowiej namalowani „oficyaliści towarzystwa asenizacyi zajęci spełnianiem swych obowiązków“ (C. Jellenta „Studia filozoficzne“ str. 251); w swem zaś świeżem dziele: „Ideal wszechludzki“

To podobieństwo między dzisiejszym indywidualizmem i dawnym romantyzmem nie jest przypadkowe, lecz zasadnicze: pierwszy jest dalszym ciągiem drugiego, lecz nie powrotem, jak niektórzy sądzą; dawna droga została porzucona dla braku zapasów — obecnie te zapasy zostały zebrane na drodze chłodnych dociekań naukowych; z temi zapasami wstępujemy na końcowy punkt dawnej drogi, to znaczy, wstępujemy nietylko lepiej uzbrojeni, lecz także pozbawieni wielu naiwnych złudzeń; jeżeli jeszcze kępują nas niektóre więzy nawyknięcia, to jesteśmy zupełnie świadomi tego; nie drżymy przed wytworami własnej wyobraźni. Tymczasem nasi troglodyci zrozumieli to nie jako ewolucję, lecz jako powrót do dawno już obalonych bogów. Szanowni panowie, aby to być mogło, trzeba by z mózgow dzisiejszego pokolenia wyprzeć te tkanki, które pracą myśli kilku pokoleń zostały wytworzone.

na str. 36. powiada: „Poezya jest nie tyle malarzem życia, ile wyobrazicielem pragnień i ideałów, to skłania do mierzenia poezyi probierzem praktycznym“. Na tej podstawie mam prawo twierdzić, iż nie jest on jedynie fotografem swych typów. Powtóre autor posiada umysł zbyt filozoficzny na to, jest zbyt europejczykiem, wyzwolonym z pęt parafianszczyzny, a niepochwyconym w pęta dzisiejszej chwilowej reakcyi historycznej, reakcyi ku dogmatom, aby miał swym bohaterom brać tendencyjnie za złe, że są „bez dogmatu“, by ich uważał za typy zwyrodniałe, sprowadzone na bezdroża filozofią („Uczeń Bourgeta“).

Tak więc autor musiał mieć tendencyę i musiał mieć taką, jaką myśmy postawili; w szczególności chciał przedstawić typ ludzi, którym ich praca umysłowa nadała wielką przewagę strony wewnętrznej nad zewnętrzną, umysłu nad ciałem, oderwała od życia, pokrzywdziła i upośledziła życiowo i którzy, uświadomiwszy to sobie („przesiliwszy się“), ulegają reakcyi (retransmisji) biologicznej (głównie erotycznej). Ze stanowiska zatem takiej tendencyi utwory autora oceniać mamy prawo.

* * *

Stosując wyżej wyłożone zasady do oceny typów Jęłenty, musimy postawić sobie następujące pytania: 1) Jakie jest umotywowanie słabości życiowej (biologicznej). 2) Jaki jest cel reakcyi (retransmisji). 3) Jaki jest ton cierpienia po niedosięgnięciu celu.

Co do 1-szego, t. j. co do *umotywowania słabości biologicznej wydajnością duchową*, czyli tem, co nazwaliśmy transmisją sił fizycznych na duchowe, to w formie szkiców trudno to było wykazać szczegółowo (zresztą szczegóły są potrzebne tylko gawiedzi; człowiek duchowo rozwinięty szczegółów tych łatwo się domyśli), jednakże autor przeważnie zaznacza to: tak n. p. Jerzy (w noweli „Pięć wieczorów“) mówi do zrównoważonego „przyjaciela“: „gdybyś ty

tak siadywał przy biurku po dziesięć godzin dziennie, jak ja i dawał się żywcem pożerać literackim ambicyom, możebyś nie był tak pewien siebie. My piszący jesteśmy niedołączkami zawsze i wszędzie, gdzie nie chodzi o myślenie“. Podobnie Walery („Tryumfy pana Walerego“) mówi w duchu do rozbawionych filistrów z pewnem poczuciem wyższości swej siły absolutnej, a zarazem z pewną zazdrością względem ich energii zdawkowej: „spróbujcie tak pracować jak ja, a prędko wyciągniecie kopyta“. Wacław („Stary kawaler“) jest w tym względzie mniej umotywowany i dlatego czyni słabsze wrażenie.

Co do 2-giego, to jest, *jak zachowują się omawiane typy w fazie reakcyi (retransmisji) i jak daleki jest cel reakcyi?* Reakcyja biologiczna (erotyczna) objawia się u typów Jellenty w formie, w której umysłowość, salonowa szernierka międzypłciowa gra ważną rolę; dla której możnaby użyć rozszerzonej nieco nazwy flirtu. Otóż, na podstawie wyżej wyrażonych zasad, jest to forma reakcyi błada, albowiem cel jej nie jest zbyt daleko ku pierwotności wysunięty, daleki od żywiołowości; od tej burzy, która jest wyrazem potęgi i odnowy.

Rzeczywiście, mózgowiec, który, wciągnięty w towarzystwo szablonów, zwanych „damami“ i „panami“, upodabnia się im, czyni takie wrażenie jak lew, który, wydostawszy się jakimś wypadkiem z klatki, nie miażdży swą siłą otaczających go gapiów i nie powraca do swej rodzinnej dzikiej puszczy, lecz mieszawszy się z pasącym się po za klatką stadem, zaczyna łakomie skubać badyłe. Lew taki obudzi w stadzie lekceważenie, a w swych braciach żal. Wynika to ze zbyt bliskiego celu reakcyi, będącego znakiem małej siły rzutu w ogóle. Lecz bohater, któryby potrafił, a przynajmniej usiłował, pragnął, siły swe retransmitować chwilowo na cel dalszy, pierwotniejszy, na poryw brutalniejszy, nie budziłby lekceważenia, jak nie budzi lekceważenia n. p. więzień Meyri, gdy wydostawszy się z klatki

klasztornej, brata się lub walczy z burzą i dzikimi bestyami¹⁾.

Cały ten psychiczny proces transmisji i retransmisji da się porównać do procesu mechanicznego zagłębiania się kuli, rzuconej w zaporę sprężystą; im silniejszym był rzut, im głębiej kula wcisnęła się w zaporę, tem dalej zostanie odbita w tył; otóż słabsze odbicie świadczy o słabości pierwotnego rzutu.

W jednym tylko razie „filozof“ flirtujący nie czyniłby wrażenia słabości, mianowicie wtedy, gdy flirt jego nie byłby szczerością, lecz ironią: Konrad Wallenrod, ten bohater, co wielką swą siłę absolutną przetopił na „głupią chęć sławy i miłość ojczyzny“; ten kolos ze stali kryjący czoło w chmurach piorunowych, uśmiecha się czasem „i rzuca damom pięknych słówek krocie z zimną grzecznością, jak dzieciom łakocie“. W jednym miejscu znajdujemy analogiczny rys u Jellenty: „Wacław nieprzejednany krytyk był w towarzystwie milczącym szyderstwem... odstręczał kobiety pewnym subtelnym lekceważeniem“; ale ten sam Wacław w innych razach okazuje się niestety słabym, wygodnickim i t. p.

Nietylko jednak ze stanowiska wyżej określonej tendencji, ale nawet i ze stanowiska realistycznego; flirt jest tu nie na miejscu: dla typu, o którym mówimy, jest on nie tylko formą reakcyi słabą, ale i nieodpowiednią dla jego natury. — Jest to raczej rzecz sybarytów, salonowców z fachu, którzy, nie nie robiąc i nie nie myśląc, nie wyda-

¹⁾ Mógłbym tu być posądzony o sprzeczność, albowiem w innym miejscu („Natura i siła“) występowałem przeciw idei powrotu do natury tak w formie Rousseauizmu jak i Nietzscheanizmu; nie jest to jednak sprzeczność, bo co innego jest być n. p. zwolennikiem chwilowego snu dla odnowy sił w celu dalszej natężonej działalności, a co innego z mędrcem wschodnim uważać wieczny sen za ideał życia („lepiej spać, niżli leżeć“ itd.), co innego być zwolennikiem ćwiczeń cielesnych dla podtrzymania dzielności duchowej, a co innego zwolennikiem zgrubienia fizycznego i duchowego.

tkując sił w tych kierunkach, mają przy miernej nawet sile absolutnej wiele energii zdawkowej; będąc grubymi materialistami i płytkimi umysłami, szukają *à contrario* sprytu kokieteryjnego, jako przyprawy miłości; flirt jest jedyną niemal formą ich działalności umysłowej, na równi z grą w karty, szachy, wreszcie z lekturą powieści historycznych, jako rzeczy „poważnych“. Wszystkie te objawy „umysłowe“ spotykamy u ludzi grubych, prowadzących życie raczej czynne niż umysłowe. Podobnie chodzenie na dramata i tragedye, a także odwiedzanie cmentarzy, są często jedynymi formami smutku u ludzi, prowadzących życie lekkie i wesołe. Jak ludzie, żyjący ciałem, szukają „reakcyi“ quasi duchowej, tak ludzie, żyjący duchem, szukają reakcyi cielesnej (jak to już wyżej zostało uzasadnione).

Wreszcie jeden jeszcze argument przeciw flirtowi: jakkolwiek wielkie wysubtelnienie umysłowe typów ewolucyjnych daje im na tem polu wielką przewagę nawet nad rutynowanymi fachowcami w tym względzie z pośród troglodytów, to jednak zwycięstwo tego rodzaju jest pyrrusowem, prowadzącem do moralnego katzenjammeru: bo podczas gdy dla troglodytów jest to życie samo, to dla nerwowców jest to aktorstwo, a powodzenie, tą drogą otrzymane, jest dla nich psychicznie bezwartościowe: jeden z typów takich wyraził się charakterystycznie, iż „pozyskiwać kobietę przewagą umysłową, jest to stać na stanowisku aptekarza, który ją pozyskuje perfumami, mydełkami lub ślazowem ciastem“; czemś, co nie jest nim samym, lecz jego wytworem. Zdaje się też, że w niedalekiej przyszłości, to co nazywamy małżeństwem, będzie (przynajmniej w fazie reakcyi) tak w interesie jednostki jak i potomstwa, nie spełnianiem przepisów w rodzaju p. Lutosławskiego, lecz kojarzeniem się naturalnem i swobodnem typów, zajmujących na drabinie ewolucyi psychicznej szczeble skrajnie przeciwległe, a to na zasadzie dążności natury do wyrównania kontrastów; podobnie dążność cząstek atmosferycznych jest największą między

punktami o największej różnicy ciśnienia. Przykłady takich „mezaliansów“, takich kojarzeń „niedobrych“ spotykamy w życiu¹⁾, a i w literaturze²⁾ występują one coraz częściej, mimo swego „narwaństwa“, „niemoralności“ i „skandaliczności“ towarzyskiej.

Taką jest forma silnej reakcyi biologicznej; reakcyja ta będzie zawsze „powrotem na łono natury“; prawda jednak, iż to „łono“ z biegiem czasu ulegać będzie zmianie, to więc co dziś (lub w niedalekiej przyszłości) jest formą „reakcyi“ *umysłowej* dla ludzi grubych, przeciętnych (flirt), może stać się z czasem formą reakcyi *biologicznej* dla forpoczt ewolucyjnych³⁾.

Na dziś jednak flirt dla wielu powodów nie wydaje się formą reakcyi ani dość silną, ani właściwą dla mózgowców.

W ostatniej jednak noweli C. Jellenty („W przesileniu“) reakcyja posiada wielką siłę, lecz ma ona tutaj zupełnie inny

¹⁾ Wyobrażam sobie, jaką zgrozę myśli powyższe wywołają wśród naszych prawowiernych, poważę się jednak przypomnieć im pokornie, że niedawno zachwycali się małżeństwem pewnego artysty-malarza z wieśniaczką krakowską; niech więc raczą rozważyć, czy można potępiać w teorii to, co, przeprowadzone w praktyce, budziło uwielbienie.

²⁾ Pośród odznaczających się wielką subtelnością psychiczną szkiców literackich Leona Winiarskiego znajduje się sprawozdanie z powieści angielskiej, w której wysubtelniona dama wielkiego świata Londynu została porwana pierwotnością chłopa szkockiego: „Wolę jego siłę i prostotę, mówi ona, niż całą kulturę londyńską“ („Prawda“ Nr. 3 r. 1895). Coś podobnego spotykamy też w powieści Orzeszkowej „Nad Niemnem“.

³⁾ Znałem nawet jeden typ współczesny zbyt wyczerpany pracą mózgową i nieszczęściami, dla którego formą reakcyi biologicznej stało się małżeństwo (jako zasada); po jednym niepowodzeniu w tym względzie wpadł, że tak powiem, w furę małżeńską; postanowił ożenić się — bądź co bądź z kimkolwiek, bo chodziło mu o *możliwość* ożenienia się. To więc co dla viveurów stanowi zwykle pewne ustępstwo z natury brutalnej na rzecz człowieczeństwa, „reakcyę“ duchową, idealną, to dla tego typu zbyt przeduchowionego było reakcją biologiczną. Oryginalny Nietzscheanizm!

(nie erotyczny) charakter i zachodzi w typie niewieścim (Basi); tu nie chodzi o reakcję biologiczną dla celów erotycznych, lecz o reakcję biologiczną dla celów walki ducha, zbyt wysubtelnionego, z otoczeniem brutalnym. Ta subtelna natura niewieścia, „mająca więcej w sercu niż w gardle“, musiała z trudem zdobywać się (przesilić) na odwagę ostrego starcia z brutalnym narzeczonym, a nawet z całą zgrają brutalów; na danie im moralnego policzka. Reakcja, a raczej uświadomienie prowadzi tu nie do zwrotu ku brutalności życia biologicznego, lecz ku „brutalności“ (sit venia verbo) energicznego wystąpienia w obronie zasad człowieczeństwa, na którą poprzednie siły, zwrócone ku wnętrzu ducha, nie mogły się zdobyć, nie mogły się przenieść do „gardła“. Lecz przyszła wreszcie chwila wybuchu; gdy na słowa Basi pełne szlachetnego porwy (w obronie nieszczęśliwych wieśniaków dotkniętych pożarem) jeden z troglodytów (ks. Romanek) mówi charakterystycznie: „ee, to metafizyka, darwinizm“, wtedy ona rzuca mu w twarz: „ja nie twierdzę, że ludzie pochodzą od małpy, lecz że nie powinni być małpami“ i opuszcza nienawistną zgrają, spiorunowaną, zawstydzoną. W swem oburzeniu ta wążka dziewczyna wygląda wspanialej od wszystkich typów męskich z innych noweli. Po wybuchu tym ulega ona rozpacz (obacz niżej), ale po jej przebyciu nastąpiła odwaga trwała, uparta: „nie obawia się już niczego, bo się opancerzyła wolą i *rozumieniem siebie* i ani niechęci ludzkiej, ani nawet przegięcia opinii nie ulęknie się nigdy, jeżeli tylko będzie *sobą* i w zgodzie z *sobą*“... „zdaje się jej że przywiezie do domu hardość i nieugiętość dębu... to nic, że słaba i wiotka, ale jest czujna i przekonana o niespożytości tego skrytego ognia, który się nazywa uporem człowieka... Czyż właśnie nie tkwi wielka drogocenna rozkosz w poczuciu, że nikt na okół siły naszej nie podejrzewa, a my czaimy się z nią i wtedy, gdy jej się najmniej spodziewają, wyrzucamy stalowy grot“ (jest to ów „grom“ z ręki białego na gromadę dzikich. Ob. wyżej str. 30).

Co do 3-ciego. Skończywszy z celem reakcyi, zobaczymy teraz jakie jest u typów Jellenty *natężenie rozpacz* z powodu *nieosiągnięcia celu reakcyi*.

Chwila, gdy typ ewolucyjny dochodzi do uświadomienia, że „grau ist alle Theorie“, że dla osiągnięcia szczęścia trzebaby przed każdym krokiem dotychczasowego życia zmienić znak algebraiczny na wprost przeciwny, lecz już zapóźno, jest wysoce dramatyczną i stanowić powinna pod względem artystycznym kulminacyjny punkt utworu.

Rozpacz ta u różnych typów Jellenty ma różny stopień natężenia: najslabiej przejawia się w Waclawie („Stary kawaler“), u którego rozplywa się w tęsknotę. Walery mówi sobie wprawdzie z goryczą: „małpa!“, ale to za mało: nie chodzi nam tu o trywialność, która w danym razie jest na miejscu: człowiek szarpany bólem nie szuka wyrazów w słowniku dla dobrze ułożonej, „moralnej“ panny „na wydaniu“; ale chodzi o niedostateczność siły. Gdyby bohater był z wściekłości gryzł poręcz swego łóżka, roztrzaskał potężną pięścią stół, reprezentant jego więzienia, gdyby się był wił po podłodze jak szaleniec i drapał ją skrzwawionymi paznokciami, gdyby był uderzył głową o mur aż do stracenia zmysłów — byłby potęgą, która nie oddaje się bez zaciętej walki; byłby zaimponował czytelnikowi, porwał go. Tak, wydaje się jak i jego krewniak, Waclaw, przeciętnemu czytelnikowi tylko „starym kawalerem“ (choć autor tytułu tego użył w sensie ironicznym). Silniejsze już wrażenie czyni Jerzy („Pięć wieczorów“): chodząc pod oknami swej kochanki (świeżo zaślubionej innemu) w noc poślubną, gdy światła w oknach gasną, pada zemdłony na trotuar, wołając: „ssamico! ciebie kochać, to perły przed świnię rzucić“ — ale i tu rozpacz można było o jeden ton podnieść — wystrzałem rewolwerowym (podobnych wypadków nie brak przecie w życiu, n. p. Chałdyński i Wyrwiczówna). Przytem autor niepotrzebnie osłabił tę scenę, pozwalając filisterskiemu przyjacielowi brać zrozpaczonego bohatera poufale „za podbródek“. Najsilniejsza rozpacz przejawia się, jak

wszystko, u Basi (choć motywy są tu nieco różne): noc bezsenna przepędzona po zerwaniu z narzeczonym jest pełna wielkiej siły dramatycznej i piękności.

Omawiając stopień wrażenia, jakie typy Jellenty sprawiają na czytelniku, nie możemy pominąć jednej okoliczności formalnej, przez którą autor zmniejszył to wrażenie, niezależnie od siły wewnętrznej; mianowicie *sam on traktuje swych bohaterów (wyjąwszy Basię) nieco z wysoka*, niby sztukmistrz swe automaty; otoczył ich atmosferą trywialności: ludzi tych, którzy, jak powiedzieliśmy, powinni nosić na czole piętno dumy straceńców, różni filisterscy „przyjaciele“ nazywają poufale „Wackami“, klepią protekcyjnalnie po ramieniu, biorą lekceważąco za podbródek, a żaden z bohaterów nie zdobywa się na to, aby śmiałka spiorunować wzrokiem, a nawet ogłuszyć pięścią. Autor, wytworny estetyk, nie czyni tego bezwątpienia nieświadomie: widocznie chciał być takim, ale dlaczego? Znam pewien typ człowieka niezmiernie subtelного i czułego na cierpienia ludzkie, na losy idei, który jednak prawem dziwnego kontrastu usiłuje sobie nadać pozór grubasa (jak grubasi pozór idealistów), którego to wszystko nic a nic nie obchodzi: „głupstwa, szopki, romanse“ powiada on, a w oczach nieraz łza zaświeci. Otóż to jest analogia psychologiczna: autor chciał zamaskować swą sympatyę dla typów ewolucyjnych, ale przez to właśnie osłabił ich wpływ na czytelnika. Jest to ważna wada; możemy się maskować w życiu potocznem, aby z duszy naszej nie czynić domu zajezdneho, w którym każdy głupiec mógłby się rozbijać, ale w piśmiennictwie co innego: tutaj przemawiamy do ludzkości całej w przekonaniu, że głos nasz będzie jedną, choć może drobną, z sił składowych, których wypadkowa popycha ludzkość na wyższy poziom w nieskończonym pochodzie: winniśmy więc głosić całą prawdę naszych myśli, uczuć i pragnień¹⁾. A choćby nasza prawda była tylko cząstkowa,

¹⁾ Maskowanie pozostawmy takim powieściopisarzom, którzy dla pozyskania ciemnego tłumu (a stąd kopiejek) w powieściach swych przy-

choćby tylko wyjątkowo - indywidualna, nie to nie szkodzi, bo ze ścierania się różnych prawd indywidualnych, cząstkowych, z ich interferencyi, z wzajemnego sumowania się i odejmowania powstaje prawda wypadkowa, siła wypadkowa, dająca impuls w ogólnym rozwoju ludzkości, wyznaczająca jego kierunek.

Tu leży przyczyna dla której rozwój indywidualny i jego przedstawienie w utworach literackich tak potępiane przez niektórych, a tak wymownie bronione przez młodą autorkę Maryę Komornicką („Szkice“), ma wielkie znaczenie dla rozwoju literatury.

Zanim przejdziemy do rozpatrywania typów, skreślonych przez Komornicką, zatrzymamy się chwilę *na paru jeszcze cechach utworów Jellenty, mających pewien, lubo mniej bezpośredni, związek z ideami powyżej poruszonemi*. Chcemy tu mianowicie wspomnieć o żywym i subtelnym odczuciu natury i życia wiejskiego (bardzo zrozumiałem u autora pięknego obrazka: „Salve Natura“), oraz o subtelności psychiki erotycznej, zwłaszcza u typów kobiecych.

Jakże żywy aż do halucynacyi jest obraz poranku na wsi: „zbliżała się (Basia) ku lasowi, od którego powiewał świeży, orzeźwiający aromat. Dzień był promienny, lazur niezmacony, powietrze czyste i balsamiczne, widok po obu stronach rozległy, nieskończony. Natura była jak po kąpieli, odmłodzona i świeża, lśniąca liśćmi traw i drzew, kwieciami łąk; jak wystrojona w niedzielę dziewczoja wiejska; dyszała

pisują niedowiarkom t. j. tak zwanym „pozytywistom“, swoje własne święstwa, a z prawowiernymi wiążą wszelkie cnoty, z którymi sami nie mają nic wspólnego. Tacy autorowie mają dostateczny powód do maskowania się, a czynią to dwoma sposobami: bojaźliwi zamilczają skromnie swe nazwiska, czują bowiem iż osoba ich stanowi zbyt rażący kontrast z opiewanemi cnotami bezczelniejsi zaś dają swym powieściom różne tytuły ujemne, będące syntezą cech ich autorów; jest to znany fortel: złodziej dla niepoznaki woła: „łapaj, trzymaj złodzieja!“

życiem, spokojem, ciepłem“. *Pod wpływem takiej przyrody Basia odzyskuje swą siłę i zachwianą równowagę.*

Subtelną jest, jak powiedzieliśmy, psychika erotyczna, szczególnie kobiet: w „Starym kawalerze“ Marya po wzajemnem uświadomieniu miłości „była jeszcze łagodniejsza, niż zwykle, miała dla matki więcej miłości, dla wuja więcej uśmiechów i dowcipków“; jestto subtelne podpatrzenie tej życzliwości dla wszystkich i wszystkiego u człowieka przeniknionego własnem szczęściem, które promienieje na wszystkie strony. Jest też inny typ kobiecy, typ samicy (Anieli w „Pięć wieczorów“), która ma „inną moralność rano a inną wieczorem“. Basia jako typ antypodycznie od tej ostatniej różny, o uczuciach uduchowionych, jest, jak we wszystkim, tak i tutaj przepiękną: niezmiernie subtelnie pojęte jest jej pożegnanie z Kością, który, dopomógłszy jej do duchowego wyzwolenia, oczekiwał na nią konno na skraju lasu: kochała go ona niewątpliwie, ale po świeżem zerwaniu z narzeczonym, nie była w stanie okazać tego, nie mogła przedłużać rozmowy i pożegnała go szybko¹⁾. Dobry jest też w tym względzie „Stary kawaler“: tęskni on za kochanką a zarazem ma „złość“ na nią: bezwątpienia dlatego, że otworzyła mu nowe widoki życia, dała pojęcie o szczęściu, niby Arab Słowackiego — spokojnemu rybakowi rzuceniem perły w głębinę; ze szczęścia tego korzystać on już nie mógł, ucieka więc od kochanki do swego dawnego więzienia, t. j. do życia umysłowego, wewnętrznego. Jestto, że tak powiem, symetryczna analogia z owym Australczykiem, któremu otworzono nowe horyzonty wiedzy, lecz to mu posłużyło na to tylko, by lepiej poznał swą nędzę; ucieka

¹⁾ Jednak pewien krytyk nie chce zrozumieć, dlaczego Basia „nie chciała zrozumieć Kości“; otóż mniej więcej dlatego, szanowny panie, dlatego, biorąc nawet nowego lokatora, musimy mieć pewien czas na uprzątnięcie pokoju po pierwszym. Tylko natury bardzo grube (że nie użyję terminu właściwszego) są w stanie kierować się w sprawach miłości zasadą: „Le roi est mort — vive le roi“.

więc w pustynie: Australczyk ów *jeszcze* nie jest zdolny do transmisyi sił fizycznych na duchowe; ten *już* nie jest zdolny do retransmisyi sił duchowych na cele biologiczne.

Ze stanowiska *realistycznego* niewieleby typom Jellenty było do zarzucenia; chyba to, iż zbyt optymistycznie zapatruje on się na warunki życia nauczyciela prywatnego („Stary kawaler“), który w rzeczywistości pracując po całych dniach, ledwie jest w stanie zarobić na lichwiarzy, a w powieści jest tak szczęśliwy, iż wysiaduje całemi godzinami po cukierniach i spija tam koniaki, jakby jaki renomowany reporter pisma, stojącego „na straży ideałów“, który koniak dostaje darmo za reklamy, pisane dla cukierni. Nauczyciel Jellenty zbiera również pięknie oprawną bibliotekę, jakby jaki rentyer, który na starość bawi się pięknie oprawnemi książkami, nie mogąc już czem innem. Nauczyciel Jellenty ma nawet czas i pieniądze, by wyjeżdżać na rendez-vous do Paryża, niby jaki obiecujący synek przedsiębiorcy wyrobu spirytusu (dawniej do tego celu służyli w powieściach hrabiowie). Nie, szanowny kolego! wierz mi, nauczyciel, któryby chciał u nas zbierać piękną bibliotekę, przejechałby się wkrótce nie do Paryża, lecz do Tworków lub na Brudno. I jeszcze jedna uwaga: nauczyciel Jellenty jest człowiekiem myślącym, krytycznym, posiada zdanie niezależne... Ależ taki przedewszystkiem nie miałby u nas lekcyi! Społeczeństwo nasze nie daje wielkiego popytu na naukę; ono przedewszystkiem spożywa wiele spirytusu tak płynnego, jak i duchowego; tylko więc dostawcy takowych mają u nas powodzenie i mogą sobie wyjeżdżać do Paryża, już nie jako marni i „wstrętnei“ reakcyoniści ku życiu, lecz jako gruntowni fachowcy — w celu poważnego studyowania ulepszonych metod na polu erotyki.

W rezultacie jednak należy przyznać wielką zasługę autorowi, że w formie powieściowej poruszył idee wyżej sformułowane; a jeżeli w wykonaniu nie osiągnął wszędzie doskonałości, to głównie dlatego, że liczył się niepotrzebnie

z opinią, jaką ludzie przeciętni darzą typy ewolucyjne, i starał się wskutek tego zamaskować swą dla nich sympatyę, wystąpił nie dość radykalnie. Tam, gdzie to go nie krępowało, jak w noweli ostatniej („W przesileniu“), tam dał nam utwor od początku do końca głęboki, subtelny, piękny i silny; jednym słowem, miniaturowe arcydzieło.

Naturalnie, że krytycy nasi uznali utwory Jellenty za „chorobliwe“, „etycznie wstrętne“: takie poglądy na małżeństwo, jakie wygłasza Jerzy, nie mogły się naturalnie podobać tym, którzy za ideał „zdrowia moralnego“ w tym względzie uważają zapewne małżeństwo Hettema. Na szczęście, ewolucya psychiczna wytwarza coraz więcej ludzi takich, dla których „niemoralnem“ jest przedewszystkiem kłamanie uczuć, a „wstrętne“ — mechaniczne spełnianie obowiązków włożonych przez „duchownego celnika“. Można tak lub inaczej krytykować sposób, w jaki autor ideę swą przeprowadził, ale nie można lekceważyć jej podjęcia, bo to dowodzi albo niezrozumienia jej, albo też złej woli.

* * *

Utwory M. Komornickiej („Szkice“) nie zawierają wprawdzie w *założeniu* tendencyi wyżej sformułowanej: celem autorki jest w ogóle autoanaliza, „bunt potęgi wewnętrznego życia przeciw 'pospolitości nieożywionego faktu“, uprawnienie *wszystkich* władz ducha i wszelkich jego zjawisk, od lekkich drgań nerwowych do potężnych wzruszeń i bohaterstwa“ — „Odtworzenie potężnej i wstrząsającej symfonii duchowego życia“.

Tym sposobem Komornicka obejmuje całość zjawisk duchowych, właściwych typom ewolucyjnym, typom o przewadze życia wewnętrznego nad zewnętrznem.

Ale gdzie jest całość, tam musi być część, a skoro ona jest znaczną, to musi zajmować widoczne miejsce, choćby nie była wysuwana naprzód z umysłu. To też w utworach Komornickiej znajdujemy między innymi urze-

czywistnione te same postulaty, jakieśmy jako tendencję wyżej sformułowali.

Wymaganie siły nie wprawi p. Komornickiej w kłopot, naprzód dzięki niewyczerpanej potędze jej talentu, a powtórze dzięki temu, że w pesymizmie jej góruje społeczny, wyrażający się we wścieklej nienawiści do wszystkiego co pospolite i podle. „Duszy ludzkiej, mówi ona, brak nienawiści do złego więcej może, niż ukochania dobrego“ — „z oburzenia tworzy się zapal“. Otóż oburza się ona, iż „siły kotła parowego zużywają się w zajęciach kuchni domowej“, a „Cyklony bywają używane do obracania młynów“.

Nie dziw też, iż wiele jej typów mimo wysubtelnienia nerwowego, mimo trwającej je autoanalizy, mimo „pijaństwa smutku“, mimo pewnej nieporadności życiowej, mimo nieudolności do czynu, przynajmniej codziennego, powszedniego, odznaczają się żywiołową potęgą pragnień, grozą (Helena, Staszka; znów typy kobiece! porównaj Basię). Słabość do życia realnego wynika u nich tylko stąd, iż życie to jest dla nich za małe. Bywają wyczerpani, ale po tem następują u nich „paroksyzmy potęgi“; Helena („Z fantazyi realnych“) mówi: „chcę wielkich własnych burz — nie lekkiego marszczenia się życiowej fali“. Staszka („Staszka“) jest również potężna w swem pragnieniu życia: „ja żyć umiem jeszcze jak demon, jak szaleniec, siac zniszczenie i zginąć na stosie zgłiszcz własnych! Ja mam niespożyte siły, potworne pragnienia, żyć chcę w jednej chwili całą potęgą szalu“.

Nawet wtedy gdy Komornicka przedstawia zupełnych rozbitków życiowych („Nirwana“, „Z życia nędzarza“), to i wtenczas ich słabość życiową okupuje potęgą cierpienia, która ich chroni od lekceważenia; okazuje nam „majestat rozpacz zrezygnowanej, którą zwykły poprzedzać dziesiątki lat oporu i wytrwałości“. Bohater mówi te znamienne słowa, motywując doskonale nadmierne zużycie sił: „Mojem nie-szczęściem jest, że byłem nawpół uczonym, nawpół czło-

wiekem“; ¹⁾ „uczony wołał nauki, człowiek łaknął szczęścia“. Jest to jakby algebraiczna formuła typów Jellenty. Słabość Gustawa („Staszka“) została znów ochroniona potęgą umysłu i dumy, która lekceważy świat, bo nie się już odeń nie spodziewa: trudno mu nawet uleść czarowi okazywanej mu miłości przez kobietę, bo taki ma „wstręt do śmieszności“. Niepotrzebnie tylko autorka nazywa wysubtelnienie nerwowe „spaczeniem nerwów“, „zużyciem“, „spruchnieniem genealogicznego drzewa“. Jest to błąd, który też doprowadził do sprzecznego a smutnego rezultatu, że „ofiary zużycia odziedziczonych są właśnie bogate, wszechstronnie rozwinięte natury“.

Co do reakcyi erotycznej, to przeduchowione typy Kormornickiej przedstawiają się raczej jako olbrzymie, potężne, groźne i mroczne cienie, niż ludzie z krwią i ciałem. „Zmysłem co kochać przymusza“ jest u nich dusza, nie ciało. A jednak i one mają choć przelotne, mgliste pragnienia reakcyi fizycznej. Helena chce bezpośrednich impulsów, „chce żyć jak *zwierzę*“ (lub jak bóstwo), ale zbyt wysubtelniona nie umie już być „tak wstrętnie pospolitą“ (i to jest jedną z przyczyn jej cierpienia); jest tak udochowiona, że nie jest wstanie nawet wejść w harmonię z wiosną: ona budzi w niej wstręt (podobnie jak w Basi — zbyt fizyczne *pieszczoty* narzeczonego), a jednak zarazem budzi pragnienie życia; ona „żyć pragnie, a żyć nie może“ (rozpacz z niemożności reakcyi biologicznej). Staszka tak silna w swem pragnieniu życia, jest może nieco bardziej fizyczna, ale i ona została porwana raczej duchem przez typ przeduchowiony (Gustawa); zresztą mniej przeduchowiona od tego ostatniego i silna mło-

¹⁾ Nie dziw też, że typów takich nie zrozumieli u nas ci krytycy, którzy są tylko uczonymi, a nie są ludźmi, oraz ci, którzy nie są ani uczonymi, ani ludźmi. Ale ci bohaterowie nie umieją nawet tropić zwierzyny, są „głupi jak Biali“, wołają warszawscy Indyanie. (Ob. wyżej str. 11).

dością, byłaby może odegrała względem tego ostatniego rolę reakcyi fizycznej, gdyby autorka śmiercią Gustawa nie była przerwała akcyi.

Sądzę, iż bez wprowadzenia takiej przypadkowości (wada serca), możnaby było osiągnąć w powieści lepsze rezultaty: albo ona zdołałaby „szał w trupie obudzić“ i on w tym zharmonizowaniu ducha i ciała znalazłby punkt oparcia dla życia; ona zaś, osiągnąwszy cel swych pragnień namiętnych, byłaby przynajmniej chwilowo szczęśliwa (n. b. nie chodzi mi tu o połączenie Numy z Pumpiliuszem, lecz o co innego, co niżej wyjaśnię). Albo też on, ulegając skrupułom nie wiązania jej życia lub obawie śmieszności, lub późniejszej rozłąki, byłby się odsunął i tem sprowadził u Staszki taką samą katastrofę, jaką autorka sprowadziła zapomocą śmierci przypadkowej (zresztą można było wprowadzić i śmierć, lecz nie przypadkową, ale związaną przyczynowo z jego stanem psychicznym; samobójstwo).

W pierwszym razie mielibyśmy stwierdzenie tego, co nazwaliśmy retransmisją, tego, co autorka sama wkłada w usta Gustawa, przeciwstawiającego siebie Staszce: „gorączka czy prawo natury łączy czasami negacyę z życiem, rozpacz z nadzieją“¹⁾.

W drugim razie okazanem by było, że szczęście, miłość to są kwestye zależne od indywidualności: chcąc kogoś uszczęśliwić, trzeba się stosować do jego natury, usposobienia, a nie do metryk i przepisów doktorskich; albowiem istota, której Gustaw nie chciał zawiązywać „szczęścia“, odbiera sobie z tego powodu życie, mimo to, że dokoła niej

¹⁾ Dziwne to na pozór „prawo natury“ jest dla nas zupełnie zrozumiałe na podstawie tego cośmy powiedzieli w artykule „Natura i Siła“. Gustaw był niewątpliwie wielką siłą absolutną, która jednak uległa całkowitej prawie transmisji na pracę mózgu; otóż odczucie tej siły przez Staszkę, porywa ją ku niemu, budzi pragnienie zwrócenia tej siły ku sobie.

był rój młodzieży, samych „optymistów“, „pięknie tańczących“ i „znakomicie flirtujących“.

W obu razach otrzymalibyśmy rozwiązania, wzory, że tak powiem algebraiczne, których rozbiór dałby nam wiele do myślenia, dałby nam pewne ogólne drogowskazy; autorka dała nam rozwiązanie arytmetyczne, ważne tylko dla jednego wypadku.

Ach prawda, zapomniałem: możliwe jest jeszcze jedno rozwiązanie: przed szalejącą z rozpaczy Staszka staje maszyna zwana filozofem zdrowia, z proboszczem miejscowej parafii i lekarzem powiatowym pod rękę; proboszcz okazuje metrykę, która nie odpowiada przepisanej przez gminę proporcji lat; doktor zaś, po szczegółowem zbadaniu Gustawa, odmawia mu kwalifikacji na męża. Wtedy „filozof“ oświadcza Staszce, że Gustaw jako „pesymista“ nie mógłby dobrze wychowywać dzieci, gdyż zamiast wykładać im prawdy moralne według Putiatyckiego, wszczepiałby w dzieci niezadowolenie z tego najlepszego ze światów. Poczem Staszka, oddawszy ukłon pełen uszanowania należnego od umysłu niedojrzałego i niewyrobionego umysłowi skończonemu i wytrawnemu, a przede wszystkim reprezentantowi porządku społecznego, zwróciłaby się z ofiarowaniem „ręki“ do którego z normalnych troglodytów. Byłoby to zakończenie powieści, które ze względu na źródło, z którego je zaczerpnąłem, mam prawo nazwać psychologicznem! (Ob. wyżej str. 13 i nast.).

Ale porzućmy żarty i maszyny, by spojrzeć na wspałały dramat, toczący się w *ludzkiej* piersi; nigdzie może talent autorki nie wzniósł się do takiej potęgi, jak w odmalowaniu cierpienia Staszki po śmierci Gustawa. Obrazy jej halucynacyi, przechodzące od grozy do melancholii, czynią tak plastyczne złudzenie i tak przerażające wrażenie, iż czytelnik zdaje się odczuwać wznoszenie się włosów na głowie i zimny pot oblewający ciało; coś chwyta go za gardło,

tamuje oddech, a do oczu, choćby ze stali, łza, choćby dawno zapomniana się ciśnie. Oto jeden z obrazów współzawodniczących we wspaniałości i grozie: „Znowu zmiana. Step daleki, cichy, posępny, a tam jedna mogiła bez krzyża, bez napisu — tam leżą w chłodnej ziemi obok siebie, on i ona; ale oni żyją przecie; mają byt nowy, nikły jak myśl, jak cień; błakają się razem po stepie, księżyc rzuca fantastyczne, ponure światło umarłych na tę przestrzeń bez końca, bez miary, wydłużając ich cienie i roztopiając je w swoim blasku, wiatr się zrywa i huczy, jęczy, żali się, błędzą jak duchy pól Elizejskich“.

I znowu zobaczymy, co na to mówi nasza krytyka tryglodytyczna; ona, która autorów, węszących dla kariery, w którą stronę dym się zwraca; autorów, udających dla zyskania popularności wśród gawiedzi, że wierzą w bajdy ludowe, nazywa „szczerymi“, o p. Komornickiej, która na widok wszelkiego fałszu dostaje kurczu oburzenia w gardle, powiedziała, że „pozuje“!! Jakże trafnie mówił *jeszcze nieczyt dawno* „Poseł Prawdy“, że ludzie którzy na świat patrzą przez oczy naszych dzienników, widzą go dogórnyogami.

Jeden jeszcze sąd o utworach p. Komornickiej kursuje dość powszechnie: „autorka nie wie czego chce“. Autorka, bawiąca do niedawna daleko poza krajem, napisała na to w liście prywatnym wyjaśnienie, które pozwolę tu sobie bez zmiany powtórzyć:

„Czego ja chcę? powiedzcie tym filistrom, że pragnę szczerości zamiast obłudy, że szarpię się ku swobodzie w arkanach jassyru, że w chłodzie rozdzieram piersi za wszechludzkim uściskiem bratnim, że w pyłe ziemi się tarzam, spragniona życia na słońcu! Powiedzcie im, że w duszy mojej drgają bóle milionów pokoleń zmarłych bez śladu, prócz ich jęków, drgających nieśmiertelnie w zimnem, martwym powietrzu świata, że wśród jego fal trupich zjada mnie żądza za spienionymi, wrzącymi bałwanami oceanów życia. Powiedzcie im, że gdy widzę ich twarze, gdzie szkielet nędzy

wewnętrznej ubiera się w strzępy rozkładu, porywa mnie wściekła chęć zmiecienia ich z oblicza świata, wydarcia im berła ziemi. Powiedzcie im, że am aktem oskarżenia za pożarte przez nich dusze mi pokrewne, że am buntem szarpiącym się w ich brutalnem jarzmie, że am ich sędzią i przekleństwem. Powiedzcie im, że głowy ich czerwone krwią naszą wylaną, że w ich chlebie są nasze zmarnowane dusze, że z winy ich serca nasze pali stygmat męczeństwa, że, by oni żyć mogli jak wieprze, my przykuci do skały umieramy, nie mogąc dochować prometejskiej iskry. Powiedzcie im, że nędzni są i słabi, że szczęście nasze pożerają, by mózż wlec swój tłuszcz trupi po targowiskach dobrobytu. Powiedzcie im, że wiem czego chcę, bom żądam miłości, która się nienawiścią stała!“

Oto wspaniały epizod walki między jednym z najbardziej naprzód wysuniętych typów ewolucyjnych i zgrają troglodytów; walki tak zaciętej, że nawet po śmierci zapaśników płomienie ich ciała, jak w mycie greckim, jeszczeby się gryzły ze sobą!...

Przypominam sobie widziany niegdyś obraz, przedstawiający europejskiego podróżnika-badacza, opadniętego przez zgrają dzikich ludożerców, kłapiących zębami i wyjących: „mięsa, mięsa!“ Oparty o skałę, z rewolwerem w ręku, w postawie dumnej, bez cienia obawy, trzymał w należytym od siebie promieniu ten tłum, który padał, lecz wzrastał znowu, jakby głowy hydry. Miotane zewsząd assagaje sączyły krew podróżnika, który padł wreszcie i został pożarty przy tryumfalnym wyciu. Ale w tem samem miejscu, gdzie dziś wyzionał ducha, jutro powstanie ognisko cywilizacji. Ten obraz, to emblemat naszej walki.

* * *

Mamy nadzieję, iż powyższa nasza *próba syntezy obecnych stosunków psycho-społecznych* uświadomi niejednemu z typów ewolucyjnych jego stanowisko i znaczenie; że ich zagrzeje i zgrupuje do zaciętszej, zwartszej walki z troglodytami. A choćbyście nas dziś zgnieli przewagą złota, brutalnością liczby, „*przyszłość nasza i nasze będzie za grobem zwycięstwo!*”

Pisałem w Warszawie w styczniu 1895 r.



POWRÓT IDEALÓW

NAPISAŁA

MARYA KOMORNICKA.

OSOBY:

EUGENIUSZ BRAND.
MSCISŁAW TĘŻYCKI.
HERA TĘŻYCKA, jego żona.
ZOSIA, pensyonarka.
UCZCIWIŃSKI, jej ojciec.
PANNA BANALSKA.
STUDENT.

KSIĄDZ LUBIEŻNICKI.
FILOZOF BROWARSKI.
PROFESOR MOLIŃSKI.
P. KOMPILECKI.
PANI GUTAPERSKA.
PAN SYLFICKI.
PAN KWIKIEWICZ.

Publiczność mieszana.

(Mieszkanie Tężyckich i Branda. — Po południu.)

Brand, Hera i Tężycki.

Brand (z łokciami na stole, w ponurej zadumie; spogląda na Tężyckiego, chodzącego wzdłuż i wszerz pokoju, pytająco): Więc cóż?

Tężycki (z wyrzutem). Upadasz na duchu.

Brand (z bolem). I na cóż mi zbytek siły ducha, kiedy na nic mi się już nie zda. Wszelki sposób obrony odcięty. (Z szalem, chwytając się za głowę.) A tak zdeptany i skrzywdzony żyć nie mogę dłużej! (odsuwa gwałtownie krzesło i zaczyna chodzić, potem staje) Od trzech dni nie zmrużyłem oka. Ta horda szakali wspomnieniem pożera mnie w dzień i w nocy... Wczoraj zdrzemałem się w fotelu, na mgnienie... Ujrzałem siebie i Kwikiewiczza... Leżał na ziemi... w pyłe... a jam stopę trzymał na jego gardle... charczał... błagał o życie... a jam go dławiał!.. dławiał!... (chwytając się za czoło) Zemsty! (znużony

siada w rogu kanapy, głosem niby spokojnym) Rok temu, za-
trzymaniem mi honorarium zabili mi dziecko. Dziś chcą
mnie skruszyć drwinami i potwarzą, przyprawić o szaleństwo
zniewagami, które palą... których nie zniósłby nikt!...
Wszystko im jest pokarmem... moje pochodzenie... nawet przy-
jaźń nasza... nawet moja żółć!

Hera (spokojnie). Gdyby widzieli, jak cierpisz w tej
chwili... jak skutecznymi są ich pociski, zacieraliby ręce
z radości!

Brand (przez chwilę patrzy nieruchomo przed siebie). Wszak
wiecie, że tylko dlatego cierpię, iż bronić się i gromić po-
dłości nie mogę! (po chwili) Bo z prasy tutejszej jestem sta-
nowczo wygnany... na zawsze!

Tężycki (z odcięciem ironii). Myślałem, że posiadasz
więcej energii i zapalczywości... że nie ustaniez w walce na
samym jej początku!

Brand (patrząc na niego natężonym i burzliwym wzrokiem).
Daj mi broń i miejsce.

Tężycki. Broń sobie często zdobywać trzeba dopiero na
wojnie... a przestrzeń zdobywa się bronią.

Brand (z goryczą). A broń jak znaleźć?... w walce na
pięści?... (nagle wybucha) Ah! mam broń!... Już mam!... ode-
brali mi pióro... lecz pięść mam zdrową i silną!... Ach zgrajo!
nie pisać o tobie, lecz policzkować, ochłostać cię trzeba!...

Tężycki (z zimną wściekłością, przez zęby). Tak, spoliczko-
wać wszystkich i każdego, z osobna... Tylko ta obrona nam
została.

Brand (w rosnącym gniewie). Robaka się nogą depce...
Hultajów się kopie nogami. (zaciska pięść) Za milczenie ust,
ręka mówić będzie! Mową indywidualnej, doraźnej sprawie-
dliwości! (wstaje i chwytą Tężyckiego za ramię) Mścislawie...
rozpedzić ich... ogniową różgą skłonić do uciezki! Ach...
Gdyby oni wszyscy twarz tylko jedną mieli... by jeden poli-
czek ich wszystkich razem palił!

Teżycki. Jeden wystarczy... Wybierz tylko tego, który najlepiej ilustruje całą grupę... Syntezę...

Hera (spokojnie). Kwikiewicz o 7-mej ma odczyt o „powrocie ideałów“.

Brand (spogląda na nią przez chwilę). Pójdziecie ze mną?

Teżycki. By „powracające ideały“ do uciezki skłonić pięścią? Na co pytanie?

(Milczenie)

Brand (spogląda na zegarek). Szósta. (milczenie. Brand staje w oknie milczący. Głucho) Nie będę mógł go spoliczkować... W nerwach moich tkwi wstręt do brutalnych czynów... Nie mogę!...

Teżycki. Więc cię zastąpię... Wszak i ty byś działał w imieniu grupy... Wszak wspólne są krzywdy nasze i wspólna idea!

Brand (długą chwilę milczy, chodząc, wreszcie staje). Nie. Wściecie byli szarpani z mego powodu; to *mnie* osobiście zbezczeszczone i oplwano... To dlatego, że *ja* jestem żydem z pochodzenia, czują się w prawie deptania mnie i wypędzania z prasy... To na *mnie* robią w pismach obławę... *Ja* muszę wystąpić... Wymierzyć sprawiedliwość jednocześnie *sobie* i nam! Jednostce — i grupie! Duszy — i idei!

Teżycki. Więc?

(Milczenie)

Brand (zaczyna, wahająco). Słuchajcie... Prasa jest nikczemną, ale o wartości społeczeństwa nie wiemy nic... (namyśla się). Pozwolę Kwikiewiczowi wyrzucić z siebie cały ogrom mieszczącej się w nim głupoty i podłości... a gdy zejdzie z katedry w gloryi sławy, w burzy oklasków... wejdę na jego miejsce i zabiorę głos... (ożywia się) Niechaj społeczeństwo, od którego mnie wałem przymusowego milczenia oddziela prasa, sądzi i słucha! Do społeczeństwa mówić będę! Niech ono się dowie, jaki rój gadów lęgnie się w jego łonie! Niechaj pozna, kto „córkom naszym“ poświęca mglisto

cnotliwe legendy, kto uczciwość piętnuje hańbą, kto trzyma ster opinii, kto rości pretensye do nazwy jego duszy! Żywe słowo jeszcze mi zostało!

Teżycki. Tak... aby tylko to społeczeństwo nie zamknęło ci ust, nim zaczniesz mówić! (milczenie).

Brand. Więc przypuszczasz, że i ono żywi ku mnie tę nienawiść głupią i okrutną?...

Teżycki. Nie; tylko nie wierzę, by ono dojrzało na sądziów wybitnych jednostek swoich. By je pchnąć na nową drogę, trzeba je nie przekonywać, lecz zdobywać *potęgą*. — W tym razie, przypuszczam nawet, że stanie w obronie łotrów, których potępisz, bo oni je sobie zyskali przyklasnięciem jego życzeniu ciszy i zastoju, bo się wzniesli *głaskaniem* jego instynktów wsteczniczych... Wstręt naszego społeczeństwa do rozwoju jest subiektywną podwaliną mocy, którą dzierży klika. Pieniądz i zręczne pochlebstwo! Oto błony nie-toperza, który społeczeństwu zasłania słońce! (krótkie milczenie) Zresztą kto cię słuchać będzie? Nie lepsza część narodu, ale bierny tłum, zebrany, by przyklasnąć działającej zgrai: drużyna Kwikiewicza, która w pierwszych rzędach imponować będzie publiczności potężnymi brzuchami i zmysłowym idyotyzmem spasionych twarzy... Dalej kapitaliści, którym „nasz znany i zacny“ prelegent za obiady się wywdzięczy przysłaniem biletów... Stado panien biorących od niego lekcye flirtu i idealności, chwytających gorączkowo każdy produkt spółkowej fabryki „moralnych“ powieści... Studentów trochę, kupionych „społecznymi tendencjami“ i podejrzanym patriotyzmem, na którego wartości nie umieją się poznać... Brodate „powagi“ naukowe, wdzięczną reporterskiej klice za bezpłatną reklamę... Wreszcie matki panien na wydaniu, wielbiące Kwikiewicza za „poczeiwe zasady“ i „Approbatur“ zdobiące jego książki...

Brand (z zarem) Masz słusność! Lecz ja nie pójdę tam po tryumfy, nie idę nawet szukać zwolenników! Ja chcę tylko

uszu dla mojego głosu, widzów dla mego protestu, rzucenia im rękawicy, jeżeli są oślem stadem! Chcę postrach rzucić w ciszę, gromić, kruszyć, zedrzyć z trupów i szakali maskę! Spokojnie żujące bydło ogłuszyć pierwszą drgawką płodnego niepokoju! Mówić będę, by przez nich świat się dowiedział o naszym istnieniu — o istnieniu wielkiej, ukrytej potęgi i dążeń nowych, wszechświatowych i strasznych za żądę dobra krzywd! W społeczeństwie, zadowolonym własną nędzą lub nieświadomem jej, będę zbuntowanym głosem wzbijającej się w górę, zabijanej przez tłum, szczerzej, ogniowej duszy człowieczej! Posłem ludzkości swobodnej i potężnej będę w słabym narodzie pognębnym!

Teżycki. Warto spróbować... Będziesz może żywołem, który tę bezkształtną, nieokreśloną masę uświadomi i rozdzieli na pierwiastki dobry i zły... słaby i potężny... kretyniczny i ewolucyjny...

Brand. Pomyślcie sobie, co za uczta dla tej hołoty, ten odczyt! Ewangielia powrotu do jarzma i ciemnoty, do cenzury kościelnej, do bezkrytycyzmu, do flirtu w konfesjonałach, do ofiar kościołowi i księdzu Lubieżnickiemu w postaci 15-letnich dziewcząt... Do uprawnionych gwałtów społecznych i braku sprawiedliwości publicznej... Temu błogosławionemu stanowi rzeczy zawadza już kilka tylko płomieni, więc je zgasić!... Potem na wieki zapanuje królestwo spokoju... I wtedy właśnie — co za bezczelność! Płomień zasyczy szyderczo i iskrami bluźnierstw wystrzeli... Zobaczycie, zrobią ze mnie „zdrajcę ojczyzny“; patriotyzm jest tak świetnym parawanem podłości, tak niezwalczonym argumentem dla tych, którzy utrzymywaniem mroków dochodzą do bogactwa i sławy!

Teżycki. Mniejsza o to, jak nas dzień dzisiejszy nazwie. Zaszczytne jest wyklęcie przez dobę znikczemnienia.

Hera. Jutro nazwie nas synami swymi i błogosławić będzie — proroków swoich!

Brand (gorzko). Kiedy? Gdy biały włos chwiać się będzie nad trupio zawiędłym czołem, gdy oczy osłepną, wypalone łzami wściekłości i bólu, gdy pierś zapadnie, pożarta przez daremne pragnienia, a drżąca ręka nie zdoła utrzymać świstka, na którym nowego rodzaju reporterowi każą nam przyznać uczciwość i geniusz... Nagroda!!

Hera. Wszak nie spodziewamy się innej, prócz sprawiedliwości wieków. Przyszłość nasza! Państwem naszym nieśmiertelność!

Brand. O, tak, wiem o tem dobrze! Ale wzywanie tych widm jasnych, jako ulgi, wśród niezliczonych bezsennych nocy, gdy w niepokój maligny wpadał wrzask hyen, by pożerać duszę, osłabiło ich działanie! Przyznaj, Hero, że i tobie czasem w obliczu całozyciowych tortur, nienawiści i głodu — nicością się wydają pogrobowe hymny, których twój proch nie usłyszysz! że i ty pragniesz odnaleźć rozumne echo tam, gdzie cię spotyka tępość głupoty lub zniewaga... Że i tobie niepodobna tak się wyzuć z wszelkich ambicyi człowieczych, by nie rwać włosów na widok własnej krzywdy, by nie wołać gwałtu, gdy kopyta osłów, w pogoni za ostem, depcą kwiat twego ducha!... Dumą człowieka wśród małp depczemy sławę małpią! Ale to nie zatracą w nas żądzę uznania przez *ludzi*, zrozumienia w społeczeństwie dusz podobnych. W naszej ambicyi sławy tkwi żądza znalezienia braci! Przeszłość! Wszak dla niej pracujemy, dla niej konamy z bólu, dla niej poświęcamy wszystko, dla niej nic z życia nie znamy, prócz jadu i katuszy!... Ale ginąć dla niej, a nie mieć z niej nic!... Walczyć dla przyszłej wszechludzkiej miłości i życia w swobodzie i rozkoszy, a mrzeć z nienawiści i przez nienawiść! Dziecko słońce promiennych — nie zaznać nic prócz deptania robaków w podziemiach ciemnoty i brudu; twórca i marzyciel — porzucać kraj chimery by chwycić lont niszczyiciela!

Tężycki (ponuro). Ty marzysz jeszcze — ja już nie potrafię. We mnie cała potęga pragnień przerobiła się we wściekłość, a żądza życia stała się żądzą morderczej walki.

Brand. Nie: walka jest środkiem — środkiem brutalnym, najokrutniejszym dla tego, który ją podejmuje... poza nią — cel, życie ogromne i promienne, kraina tworzenia i piękna. Przyszłości! ty pełnio istnienia! o, daj mi spojrzeć w twe boskie oblicze! Daj mi się skąpać w twych gorących falach! (milezenie) My mamy przedsmak jutra!

Hera (z zapalem). I to my, garść drobna, wykarczujemy jej drogę wśród chwastów! My, praktycznie bezsilni, banicy prasy, nędzarze kapitału — rozpędzimy hufce, zbrojne w działa dzienników i potęgę złota! My, znani tylko z nienawiści która nas otacza, spychani w dół przez motłoch — stworzymy nową literaturę! My, skopani przez tłum, staniemy kiedyś w gloryi bohaterów prawdy i zwycięską stopę postawimy na charczącym gardle upodlenia! Ha! doczekać się dnia sprawiedliwości!

Brand. ...I tych czasów, gdy nie wyjątkami będziemy, eez większością... Gdy pyszna, swobodna flora dusz ludzkich w podziw wprowadzi słońce! Gdy życie będzie czarodziejskim szałem, a arcydziełem — człowiek!

Tężycki. Gdy idea nasza, dzisiejszy wyraz postępu, służyć będzie nowego typu Kwikiewiczom za tarczę nowych podłości przeciw pociskom nowych idei... Gdy groby nasze otoczy sława — bo trupy są bezpieczne — i nawet gwałt zadany prawdzie ich nie wskrzesi! Gdy naszymi kośćmi zasłaniać się będą przed nową, burzliwie żywotną falą życia! Gdy w naszym imieniu zabijać nam będą braci w pragnieniu i sile!... Bo tłum przyjmie z czasem formułę naszych żądz, lecz jej samej — tego głodu rozwoju w nieskończoność — nigdy nie pojmie! Chyba że zniknie samo zjawisko bezmyślnego tłumy — chyba że ludzkość stanie się różnobarwną gromadą swobodnie zjednoczonych indywidualizmów... chyba że typ nerwowca stanie się typem powszechnym...

Hera i Brand. Musi się stać!

Tężycki. Tak, tylko my go nie ujrzymy, a świat nań poczeka długo. Reakcyja w całej Europie rozsiadła się na do-

bre i ma wszelkie prawdopodobieństwo długiego panowania. Wszystko jej sprzyja... Chyba że wielki kataklizm dziejowy przerznie jej piaszczyste wały... lecz wtedy nas nie będzie. To też walka nasza wydaje mi się coraz częściej protestem, koniecznym jedynie ze względu na przyczynę swoją subiektywną: mus buntu dusz lepszych, rzuconych sporadycznie w tłum nędzny.

Brand. Nie, Mścislawie, w zgniłej mgłę ogólnej reakcji błyskają tu i owdzie pierwsze płomienie wulkanów protestu... Symboliści francuscy, młoda Skandynawia, ruchy jednostkowe i społeczne po całym świecie...

Tężycki. ...I trwoga tłumów, i zadowolenie sytych, i ten owczy zachwyt dla Anglii, z której najsilniej wieje cześć dla brutalnej siły, lojalność umysłowa i obłuda... a u nas ta mgławica osobnego rodzaju, w której kadzidła zagranicznego neokatolicyzmu zmieszały się z wyziewami swojskich rynsztoków, ten „powrót do ideałów“ pod opiekuneczem skrzydłem podwójnej cenzury: konsystorza i kapitału; ten olimpijski spokój, ubrany w togę postępu, przerywany jedynie homerycznym śmiechem bogobojnych wieprzów, wstrząsającym ścianami gabinetów restauracyjnych!

Hera. Więc cóż z tego? Jeżeli cała Europa tonie w upadku, my z upadku dzwigniemy Europę! my, „narodów papuga“ — narodom damy impuls swobody! Tam gdzie inni oddychać się boją — my chóralnie wzniesiemy zwycięską pieśń! Gdzie martwota i próchno — zatknijemy życia sztandary!

Tężycki. A jeżeli stracimy wszelką możliwość walki i wszelkie widoki zwycięstwa, porzucimy starą Europę, i gdzieś, wśród lasów pierwotnych, na koralowych wyspach zwrotnikowego oceanu, założymy kolonię, złączymy się z przyrodą, rozplyniemy w Nirwanie!

Brand. Gdyby nasze marzenia podслуchała hołota!... (patrzy na zegarek) Czas... (waha się) A jeżeli mi mówić nie dadzą?...

Tężycki. To na Kwikiewiczzu wymierzysz sprawiedliwość społeczeństwu, które słuchać nie chce głosu prawdy!

Brand. Słuchaliby, gdybym nie był żydem.

Hera (żarliwie). Nie, oni słuchać nie chcą człowieka! Oni nienawiść swoją dla lepszej jednostki ubierają we wstręt rasowy! Niechęcią dla twego pochodzenia ukrywają żabie swe pragnienia błota, swą trwogę przed elektrycznym działaniem geniuszu!

Brand. Czy wiecie, że drzę cały przed tą stanowczą chwilą?...

Tężycki. Oby cię tylko nerwy nie zdradziły!

Brand. O, nie obawiam się ich! W mowie Kwikiewicza tkwią dla mnie niezniszczalne pierwiastki pobudzenia! „Powracające ideały“ dadzą mi moc piekła! (bierze kapelusz) kupimy bilety w pierwszym rzędzie.. Niechaj widok tych, których ma za zgubionych... niechaj ich dumne czoła i wzrok drwiący przejmie go dreszczem złowrogich przeczuć i zmiesza myśl kłamliwą! (Otwiera drzwi) Chodźmy. (Wychodzą.)

(Sala odczytów; antrakt; katedra pusta; gwary, rozmowy. U wejścia stają Brand, Tężycki, Hera.)

Brand. Spóźniliśmy się.

Tężycki. Nic straconego: w zakończeniu umieści się synteza.

Hera. Wejściu naszemu towarzyszy zgorzenie moralnych i oburzenie prawych. Przejęci grożą wobec bezczelności banitów... Całe szczęście, że nie zdobyli się jeszcze na własną policję!

Brand. Patrzcie... pod katedrą profesor Móliński czesze palcami swą wichrowatą brodę... jedyny buntowniczy *szczegół* w jego „objektywnej“ organizacyi... i jak Zeus spogląda wokoło.

Tężycki. Ba! I filozof Browarski spogląda w sufit w braku „nieba i gwiazd“ i „myśli o uszczęśliwieniu ludzkości“ za pomocą popłatnych wydań higieny popularnej...

Hera. Książd Lubieżnicki myśli o poprawie obyczajów..

Tężycki. Dzielni ludzie idei!... Widzicie panny Banalskie?... Ze skromnie spuszczoneym wzrokiem oczekują przybycia *idealów* (posuwają się).

Banalska (do siedzącego obok studenta). Widzi pan!... To Tężyccy i... (spuszcza oczy) nieodstępny pan Brand.

Student. Czy to ci, co tyle hałasu narobili w prasie?... Pani Tężycka jest piękną kobietą!

Banalska. Niech pan sobie wyobrazi... publicznie z Brandem mówią do siebie ty!

Student (z płaską drwiną). Godzien zazdrości!

Banalska (zgorszona). O siostrze mojej, powiedział, że jest drewnianą lalką konwenansu! O nas — znanych z niechęci dla przesądów, rozumnie wolnomyślnych!... Ale on przebrał miarę — on chce niemoralności, obala małżeństwo — odciąga młodzież od poświęcania się obowiązkowi obywatelskiemu zakładania ognisk rodzinnych — a używanie życia nazywa celem człowieka! A Tężycki z nim! z tym okropnym człowiekiem!

Student. Czytałem dawniej jego artykuły społeczne — i gdyby w nich było więcej swojszczyzny, nazwałbym je świetnymi! Gdyby nie był żydem, miałbym go za całkiem porządnego człowieka.

Banalska (urazona). Bo panowie dziwnie jesteście względni dla mężczyzn; chwala Bogu, nasi literaci więcej warci: stanęła między nimi umowa niedopuszczenia Branda do druku, by więcej nie gorszył społeczeństwa, potrzebującego wzniosłych przykładów i zdrowych rad. Czytał pan jego „Pięć poranków“?

Student. Nie czytałem.

Banalska. Wstydzę się powtórzyć ich treść! Niech pan sobie wyobrazi, że w tej wstrętnej noweli, bohater kochający cnotliwą pannę, nazywa ją... (rumieni się) samicą! Nie dość

tego; Brand wszędzie bije na banalność, a sam — niech pan zgadnie o czem mówi: o wschodzie słońca, o banhofach, o miłości. . jakby to nie było jak świat stare... Brand udaje Byrona i taki sam kapelusz nosi... Widzi pan?

Student. Widzę jakiś zmięty, kastorowy...

Banalska. Właśnie! (ściga ich wzrokiem) Patrz pan! co za zuchwalstwo!... Zajęli krzesła w drugim rzędzie! Oni, pokryci niesławą... Oni, którzy w usta nie mają co włożyć czasem!... Mówiła mi to służąca, która się zna ze stróżem domu, gdzie mieszkają..

Student (chmurny). Jeżeli dla pani nędza jest występkiem, to i ja popełniam go, wycierając swe dziurawe rękawy o aksamit pani okrycia.

Banalska (zmieszana). O, pan co innego! Pan dla nauki znosi ubóstwo! Ale oni dobrowolnie pozbawili się chleba, zadzierając ze społeczeństwem, śmiejąc się z jego świętości, urągając moralności, religii, a nawet nauce! Niech pan pomyśli! O profesorze Mólnskim wyraził się Brand, że matką mu półka biblioteki, a ojcem kurz...

Student (śmiejąc się). To facet cięty!

Banalska (składając ręce). Panie! To całe nieszczęście, że nie jest głupi!... Dowcipem swoim dał się wszystkim we znaki — nie darował nawet Bogu! (przerwa) W trzyletnich okręciach chodzą po corso! Kiedyś, u Lourse'a, uklonili mi się z uśmiechem złośliwym tak strasznie zniszczonymi kapeluszami, że mnie aż rumieniec oblał!... Po to tylko tam poszli, by mnie zawstydzić!

Student (szydlerczo). Mogła pani udać zdziwienie... nie poznać ich...

Banalska (rozpuszczając język). Jeżeli panu mało — to dodam, że są zdrajcami własnego kraju, bo wyjawiają jego ułomności! A Brand w jednym ze swych nieprzyzwoitych artykułów nazwał nasz patryotyzm „patryotnictwem“, czyli

„kogucim zapałem jednych, a maską obłudy drugich“! Przecież to się równa kosmopolityzmowi! Czy i za to go pan pochwali?

Student. To poważne świństwo! (wzrusza ramionami). Żyd!

Banalska (z zapałem). Czy nie czuje pan różnicy między nim a Kwikiewiczem? Kwikiewicz kocha ludzi, ma wzniosłe, swojskie ideały!

Student. Tylko zmienia swoje przekonania... jak suknie, stosownie do pory... Dawniej był niby pozytywistą — wolnomyślnym.

Banalska (j. w.). Czy nie słyszał pan, jak przed chwilą dowodził, że wolnomyślność spoczywa w religii — że religia jest wynikiem i wyższą formą pozytywizmu! Panie! Postęp wiedzy i ludzkiego ducha nie zna granic ni tamy! To my jesteśmy postępowi — prawda panie? A Brand zacofanec. Kto dziś w Europie mówi o filozofii? Dziś nastał kierunek! religijny — dziś ludzie zrozumieli, na czym polega doskonalenie się... a ci ludzie chcą przeciw wodzie płynąć!

Student (macha niecierpliwie ręką). To moda... małpiarstwo Zachodu... nie krok naprzód w rozwoju. Kwikiewicz wie o tem dobrze, a jeszcze lepiej rozumie swój interes... Taki odczyt to ładny dochód na dziś i na jutro!

Banalska (gniewnie). Więc pan trzyma z Teżyckimi i Brandem?

Student. Ani ich znam, ani w nich wierzę... Cenię w nich tylko odwagę cywilną, a gardzę Kwikiewiczem i jego, umyślowym handlem... Gdybym był sam, dawnoby mnie tu nie było. Od tych jego głupstw kiszki bolą... On nawet gadać porządnie nie potrafi.

(Po prawej stronie katedry)

Lubieżnicki (do filozofa Browarskiego). Widzi pan tę komunistyczną rodzinę?

Browarski. Tylko cerę mają chorobliwą... wychudłe twarze... Dałbym głowę, że nie mają pojęcia o higienie

Lubieżnicki (mlaska językiem). Co tam panie hygiena!... Zdychają z głodu i wściekłości... bośmy im odciepli wszelkie źródła dochodów — a takim ludziom, Bogu najwyższemu dzięki, fortuna nie sprzyja... Ho, ho, panie! Gdyby mieli pieniądze, toby mogli kupić sobie prasę... Ale gołych łatwo skruszyć... zwłaszcza, że żyli z druku... a ten jest w naszych rękach! Już pokorniejsi! Przyszli się przymilić Kwikiewiczowi słuchaniem odczytu... Dawniej chwalili się, łotry, że im hipekakuany nie potrzeba...

Browarski. Tak to pesymistów wpuszczają do prasy!... Tak to żmije grać w swem konie!

Lubieżnicki (mrużąc oczyma). Oni mają wszystko wspólne... Wspólne mieszkanie, wspólne obiady i wspólne buty... powiadają, że muszą się oszczędzać — i że w ten sposób wypada taniej... Nie mogą już trzymać służącej, więc Teżycka swoje białe rączki musiała porządnie zniszczyć szorowaniem...

Browarski. To najlepsza kuracya na pesymizm i nerwowość... zaraz zacznie różowiej patrzeć na życie. Założyłbym się, że Brand ma początki histeryi... Jak mu chorobliwie oczy świecą! Jaki trupio łądy!

Lubieżnicki. Zdolny łotr!... To też uważaliśmy za konieczne wszystkich sił użyć, by mu przeszkodzić w oddziaływaniu na publiczność; panie, gdyby mu dano dalej pisać, suchej nitki by na nas nie zostawił! Zgubiłby nas w opinii ludzkiej! Przytem to ateista, rozuzdaniec! (Prawda i to, że wszystko ma w gębie, bo i jakże może używać życia? Na to także pieniądze potrzebne). Za ideał postawił sobie rozpustę! Bo ja... to inaczej: można sobie czasami coś pozwolić — ale jeżeli się już robi źle, niechże się to robi w ukryciu, i nie gorszy bliźnich podnoszeniem grzechu do zasady. Ciało słabe... ale za to duch powinien być silny... i wygłaszać cnotliwe poglądy...

Browarski. To wszystko w nich wynikiem złej higieny. Człowiek zdrowy, zdrowo na życie patrzący, jest optymistą i żyje spokojnie, rozsądnie. Rozpusta jest niezdrowa, a w każdym razie niebezpieczna. Człowiek oddający się jej, nie może mieć licznych i zdrowych dzieci — a wszak być ojcem tużina istot jest najszczytniejszym zadaniem obywatela kraju! Najpoważniejszym dowodem nicości tych ludzi jest właśnie fakt, że Tężycey n. p. są bezdietni, a Brand dzieci nie potrafił wychować — z głodu mu pomarły...

Lubieżnicki. Jesteś pan zanadto pobłażliwy. Ja, gdybym miał dostateczną władzę, kazałbym wszystko troje obnażyć i ochłostać w kościele! Związanych do słupa policzkowałbym sam! (z tryumfem) Dopieiliśmy przynajmniej tego, że wszyscy redaktorzy, literaci, wydawcy, wzięli się za ręce, by nie dopuścić ich do autorstwa! „Największy geniusz w ten sposób zginąć musi!”

Browarski. Tak! ten sposób lepszy od bicia... Zostawmy to barbarom! Cywilizacya nasza zdobywa się przecie na ulepszone i mniej w oko wpadające kary... Zreszta żydów nam nie potrzeba. To rasa nerwowa, a za nerwowością idą pesymizmy, dekadentyzmy, symbolizmy, socyalizmy, indywidualizmy — te wszystkie waryactwa, wprowadzające niesłychane, chorobliwe hasła, by wywrócić ład myślowy i ekonomiczny... Ze względu na dobrobyt kraju, powinno się ich tępić.

Lubieżnicki. Choć trudno orzec, które z nich jest gorsze... Tężycka ma język wściekły, a on przecie w zjadliwym artykule scharakteryzował Kwikiewicza jako metodycznego szarlatana, karyerowicza; sympatycznego zaś naszego przyrodnika, doktora Łapcapskiego wydrwił bezczelnie; on także dzielnego profesora Księżańskiego wysadził naukowymi krytykami z „Kroniki naukowej”.

Browarski. W tem bieda, że Tężyckiego trudniej wysadzić z siodła, niż Branda... Po pierwsze, nie mamy przeciw

niemu broni w jego pochodzeniu (choć Boże uchowaj od takich ziomków) — powtóre, ma sposób pisania taki, że odeprzeć jego dowodów niepodobna... Z Brandem łatwiej: rozumie pan — estetyk... poeta... więc można mu zarzucić niemoralność, subiektywizm...

Lubieżnicki. Gdyby można było wykryć w ich życiu jakieś małe choćby świństwko!... A tu, jak na złość, nie tylko że żadnego nie popełnili, ale Teżyckiego ochraniać jeszcze musimy do pewnego stopnia — bo nasza księgarnia zakupiła kilka lat temu jego dzieło — a że je wydaje teraz dopiero, więc na usunięciu go z handlu straciłaby porządnie...

Browarski. Wiem o tem, i zmartwiłem się tem serdecznie... bo i mnie ci ludzie nie oszczędzali. Ale filozof wszystko wybacza, a ja jestem filozofem. Zresztą przymierze nasze obiecuje nam spokój... przestaną nam bruździć, chwala Bogu.

Lubieżnicki. Ach, panie, nie ma jak solidarność! Każdy z nas z osobna jest zerem — lecz razem stanowimy siłę, która ich indywidualizmy skruszy! Przy tej sposobności uwolnimy się także od kilku innych, którzy, mniej zapalczywi od Branda i Teżyckich, są jednak postępowcami i stają mniej więcej po ich stronie... (zacierając ręce) Zobaczymy, czy nam dadzą radę!

Browarski. Tak, nie ma jak zjednoczenie się ludzi ożywionych jedną ideą w imię wspólnego interesu!...

.....
(Po lewej stronie katedry.)

Moliński (głaszcząc po bokach twarzy strzępiastą brodę). Taak! Hm! Taak!... masz pan poczęści słusność! Kwikiewicz jest umysłem przetrawionym; i choć popełnia niekiedy błędy logiczne, przyznać mu trzeba ścisłą konsekwencję wywodów i mistrzostwo słowa.

Kompilecki. Ośmielę się zasięgnąć zdania szanownego profesora w sprawie tych trzech osób (wskazuje Branda i Teżyckich).

Móliński (dobrotliwie). O, proszę pana! (patrzy, przymrużając oczy) Jeżeli mnie nie myli pamięć...

Kompilecki (pospiesznie). Brand i Ska... Cóż dziwnego, jeżeli znakomita pamięć szanownego profesora nie zachowała, wśród wiekopomnych studyów, wspomnienia osób sławnych przez niesławę!...

Móliński. Przeciwnie... pamiętam... (przerabia palcami w brodzie) Hm... Taak!... Zdaniem mojem, opinia publiczna, jako wyraz sądu większości, jest, ogółem biorąc, bezstronną i rozstrzygającą w tej sprawie... Choć swoją drogą nie można Brandowi odmówić pewnego talentu... W swoim czasie drukowałem w „Olimpie“ niektóre z obiektywniejszych jego prac... Zarzucić mu było można zawsze styl wichrowaty, wymęczony i niedbały... Chorobliwą wrażliwość w studyach estetycznych... Brak samodzielności umysłowej... pewne naśladownictwo Szekspira, Byrona, Goethego i Shelleya, z domieszką Zoli i Wiktora Hugo, Dostojewskiego i Sienkiewicza; pewne przeniknięcie się filozoficznymi elukubracyami Nietzsche'go i Gayau'a, zostawanie pod niewolniczym wpływem Spencera i Tolstoja — z pewną dążnością do spirytyzmu i hedonizmu... Dodajmy do tego ślepe naśladownictwo symbolistów francuskich i frazeologię pierwszych romantyków, połączone z pretensjami do naturalizmu i ibsenizmu... (topi palce w rzadkiej, długiej czuprynie) Brak mu wiedzy, przetrawienia przedmiotu, studyów ścisłych i znajomości literatury; przytem formę ma niedbałą, sposób pisania mglisty... skłonność do lubowania się w obrazach jaskrawo zmysłowych. Pewien talent, powiedziałbym nawet pewna zręczność wysłowienia i myślowe kuglarstwo na usługach niskich instynktów, egoizmu jednostkowego... braku odczucia obowiązków społecznych...

Kompilecki. Jednak... szanowny profesor zachował się... śmiem powiedzieć: neutralnie w sprawie wygnania go z literatury!

Móliński (Otrzeputując pyły z rękawów). Hm, hm,... taaak! Rozumie pan... w podobnych razach należy być obiektywnym... ostrożnym... Uważam, że powinno mu się było zostawić pewną ograniczoną swobodę przyzwoitej obrony... Choć z drugiej strony zupełnie podzielam zdanie szanownych kolegów, że należy odsuwać od wpływu jednostki szkodliwe ogółowi rozpowszechnianiem mikrobów newrozy, tkwiącej w nowych prądach literatury...

Kompilecki. A pani Teżycka?...

Móliński. Teżycka? Taaak! Organizacya historyczna... Mózg niewolniczy, słaby... Dodajmy fałszywe pojęcie sprawy emancypacyjnej... brak dzieci... pewną karygodną pogardę dla form, które, bądź co bądź, są zdobyczą cywilizacyi, pewne zbyt silne przywiązanie do swobody, która, bądź co bądź, jest niebezpiecznem rozluźnieniem obyczajów i poważny brak obiektywnego krytycyzmu w rzeczach literatury... (drapie się pod brodą) Co do jej męża, jest to człowiek bądź co bądź zasłużony jako socyolog, który niepotrzebnie zmniejsza swą wartość braniem czynnego udziału w sprawach społeczeństwa i poniża stanowisko uczonego zaciętrzewianiem się subiektywnem w walce z dziennikarstwem... Niektóre z jego rozpraw, gdyby nie pewne zabarwienie podmiotowe, możnaby śmiało nazwać wyczerpującymi i bezstronnymi.

Kompilecki. Szanowny profesor pozwoli, że osmielę się go zapytać o sąd mej ostatniej pracy...

Móliński. „Pierwsze spodnie Zygmunta Krasieńskiego“? Taaak! Miałem właśnie zamiar wyrażenia panu w przyszłym zeszycie „Olimpu“, w imię historii literatury naszej, wdzięczności za rzucenie światła na grupę faktów tak ważnych dla zrozumienia psychologii naszego wieszca i źródła jego natchnień.

Kompilecki (ucieszony). O, panie profesorze!...

(Na prawo, pod kolumną.)

Sylficki (do pani Gutaperskiej). Uważała pani *ich* wejście?

Gutaperska (miętosząc ręce, krzywi się). Myślałam, że tego żyda nie ma już w Warszawie.

Sylficki. Wykadzaliśmy go jak szczura... widocznie miu mało jeszcze! Bezczelni! po wszystkim co wypisaliśmy w gazetach śmiają zajmować pierwsze miejsca!

Gutaperska (krygując się). Nie wiem dlaczego, zawsze miałam antypatyę dla tego przechrzty; możnaby to wytłomaczyć wstąpieniem ludzi szlachetnych dla istot bez wartości moralnej... Jego niczemność najlepiej ilustruje to, że pod niebiosą wynosił niemoralne obrazy Podkowińskiego!

Sylficki. To on śmiał wyrazić się o pani dobrodziejce, że wygląda jak przydeptana pluskwa?

Gutaperska. O! nie przypominaj mi pan bezczelności tego człowieka!... Wszak on także pomawiał pana o chodzenie z pętlącą po ulicy!

Sylficki. Jaka szkoda, że się to nie kwalifikuje do druku! Nędznik! Gdyby go można w jakim samotnym kącie przyłapać bez świadków!...

Gutaperska. To nasza wina, że takie jednostki żyją i oddychają jeszcze między nami! Nasza nieszczesna narodowa słabość! Wpuszczamy do-sanctuarium swych interesów żywiół obcy, a potem zniewagi dostajemy w nagrodę.

Sylficki. I ma odwagę stawania przed obliczem społeczeństwa, które hańbi!

Gutaperska. Powinien pan tę nową pódłość napiętnować w „Kurjerze“.

Sylficki (zacierając ręce). Z miłą chęcią, pani dobrodziejko!

(Naprzeciwko.)

Zosia (do ojca). Czy widzisz, tatku, Branda i Teżyckich?

Uczciwiński. Nie mogę pojąć, jakim sposobem się tu wzięli. Wszak z taką pogardą odzywają się zawsze o Kwiekiewiczu.

Zosia. Tatku... ja się boję... Ich tu spotka jakaś krzywda!

Uczciwiński. Nie lękaj się... robactwo kąsać skrycie tylko umie... W danym razie przyjdę im z pomocą.

Zosia. Słyszałeś co za nami mówili? Dlaczego tak nie cierpią Branda? On ma taką szlachetną twarz, a gdy mówi, promienieje cały, a oczy płoną tak wielkim ciepłem, jakby światu nie nienawidził, ale go kochał! To był nasz najlepszy, ulubiony profesor.

Uczciwiński. Rozwijał was i był szczery... to dostateczny powód do wymówienia mu lekcji.

Zosia (z zapalem). Ale ułożyłam się z koleżankami, że nas będzie uczył prywatnie... Tatku, gdyby im pomódz, gdyby im okazać sympatyę czynną, gdyby ich przekonać, że nie są tak strasznie odosobnieni!...

Uczciwiński (z zadumą). Bo dotąd myślą zapewne, że ich jest tylko troje...

(Kwikiewicz wśród grzmiących oklasków wchodzi na katedrę.)

Kwikiewicz (podnosząc głowę z pod ciężaru uznania). Piękne słuchaczki i drodzy słuchacze! (pauza).

Student (do Banalskiej). Jaka galanterya!

Banalska (dumnie). To cywilizacya!...

Student. Fryzyerska... zgadzam się na to.

Kwikiewicz. To, co miałem przyjemność przedstawienia wam przed chwilą, wyjaśniło wam, dlaczego nauka zawiodła tych, którzy po straceniu wiary przodków, wiary wyswanej z łona matki, w niej odnaleść chcieli dogmaty nowe. Widzieliście, dlaczego filozofia, chełpiąca się, że rozwiąże wszelkie zagadki życia i śmierci, zbankrutowawszy skandalicznie po krótkim panowaniu, pociągnęła za sobą bankrutwa swych wyznawców, tak jak krach wielkiej firmy bankowej pociąga za sobą krachy tych, którzy jej powierzyli swe kapitały lub kapitaliki, zależnie od swego stanu finansowego. Streszczę po raz ostatni to „chassé croisé“ przyczyn, które, kazawszy duchowi

ludzkiemu błąkać się po ścieżkach zwątpienia i bezdrożach niewiary, wprowadziły go wreszcie na bezpieczny, bity gościniec religii, prowadzący do świętego grodu wesela i różnowagi ducha. (grzmiące oklaski.)

Banalska (do studenta). Słyszysz pan?... Co za wymowa! Co za potęga umysłu!

Student. Olbrzymia!... Wytarte frazesy i odruchy bankiersko-flirtowe.

Kwikiewicz. Przyczynami tymi zatem są: primo: filozofia — wybaczcie piękne panie śmiałość zwrotu — uwiodła wych wielbicielei. Porównałbym ją do nadobnej kokietki, która czarującym uśmiechem przykuwa do siebie tłumy adoratorów, lecz dobrą żoną być nigdy nie potrafi. Po odtrąceniu Boga ojców naszych, zapytano się własnego rozumu, jakim sposobem stał się świat. Odpowiadał im w różny sposób, ale zawsze wykręcał się sianem. Więc jednym szeptał, że jest nią woda; drugim, że ogień; innym jeszcze, że jakaś magiczna formuła matematyczna. Niejakiś czas zadawały ich te wykręty, aż znaleźli się i tacy, którzy wpadli na pomysł, że ktoś chyba wodę, ogień i matematykę musiał stworzyć. Nie będę was, nadobne słuchaczki i słuchacze, zatrudniał szerokim rozbieraniem kwestyi, należących do filozofii specjalnej, zwłaszcza, że znajdujemy się w sezonie rautów i że nie chciałbym nadużywać waszej uwagi, zwróconej ku dobroczynności i gustom towarzyskim. Powiem tylko, że genialne opracowanie tego przedmiotu znaleźć można w najnowszym dziele największej naszej powagi naukowej, profesora Mólnińskiego p. t. „*Doskonałość umysłowości ludzkiej poprzez istność wszechświata*“. Dodam zatem jedynie w krótkości, że choć przyparci do muru widocznością Stwórcy, odrzucili go, obawiając się likwidacyi ostatecznej i skrępowania moralnego, idącego ręką w rękę z religią i uznaniem bóstwa, i ogłosili, że poza materią i siłą nie ma nic nigdzie! Lecz i tu znaleźli się w kłopotcie, i tak, pomału, potrocfu, doszli do chwili, w której mu-

sieli ustąpić zdrowemu rozsądkowi i przyjęli Boga. Widzicie więc, że rozum zaprowadził ich do tego samego „emplacement“, w którym maluczy oddawna zażywali przyjemności moralnego spokoju: do ślepej, pokornej wiary w objawienie. Stąd łatwo domysleć się, że na czysto się traci, kalecząc stopy o ciernie mędrkowania i że wiara prosta, bojaźń boża pierwszych ojców kościoła, jest najpewniejszą drogą zaznajomienia się z prawdą. Filozofia nie umiała nigdy krótko i węzłowato powiedzieć, dlaczego żyjemy i co z nami się stanie po śmierci. Filozofia obaliła wszystkie ideały piękna i dobra, uczyła egoizmu i życia bez poezji, oddawania się karygodnym zachciankom zwierzęcym, żartów z cnoty, czystości i zasługi. Zabrała nam wszystko, a nic w zamian nie dała; burzyła wszystko, lecz nic nie potrafiła wybudować.

Zosia. Co on wygaduje?

Uczciwiński. Wieniec idiotyzmów, mdłych słów, pochlebstwa tłumowi i szalbierstwa. Ha, ha! powrót idealów! (przez zęby) podłość!...

Kwikiewicz. Secundo: Człowiek jest istotą słabą i z przyrodzenia wierzącą. W duszy jego tkwi niewyczerpane źródło pokory i uległości. Aby być szczęśliwym, musi on czuć na swym karku jarzmo, i wolę swoją oddać wyższym rozkazom. Bez tego słodkiego łańcucha czuje się on słabym i chwiejnym; bez nadzoru wszystkowiedzącego oka Wiekuistego Stróża staje się on rychło nikkczemnym i niegodnym nazwy „obrazu Boga“. Panie i panowie! pokora i uległość są zdobyczami cywilizacji. Tylko dzikie zwierzęta kochają się w swobodzie; zaś zwierzęta oswojone liżą naprzemian karcącą i karmiącą ich rękę pana. Czem tresura dla zwierząt, tem cywilizacja dla ludzi; a ci, którzy ich uczą samowoli, są wrogami postępu i oświaty; są barbarzyńcami, ukazującymi się między nami, chwała Bogu, dość rzadko, i przejmującymi nas mimowolnym strachem, jak lwy, gdy rykną w klatce menażeryi... Nauka właściwie pojęta uczy uległości, a fałszywą jest ta, za której

pomocą burzyciele ładu społecznego chcą zniszczyć pracę wiekową.

Zatem, panie i panowie, religia, ujmująca nas w karby moralności i objaśniająca początek świata i cel człowieka, jest i błogosławieństwem społecznym i kwiatem cywilizacji. Nie będzie więc z mej strony przesada, jeżeli dzień dzisiejszy ośmielę się nazwać dniem nowego objawienia; bogobojność wstąpiła w nasze dusze, Anglia myśli o związku z świątobliwym Ojcem kościoła, literaturę europejską przenika wielka, błogosławiona woń katolickiego kadzidła; nieprzejednani sceptycy padają przed tron Watykański, ci, którzy upierali się dotąd przy fortelach filozofii, zaludniają dziś przybytki pańskie. Świątobliwe, znane z cnót, rodu i olbrzymich fortun damy wspaniałe świątynie budują Panu Zastępów. Kokieterjny „demi-jour“, wprowadzony przez filozofię, rozpędza wiara. Wraca cnota! Wraca prawda! Wracają ideały! (Oklaski.)

Głos z głębi. Faryzeusz! Kłamca!

Uczciwiński (do córki). W jego mdło-podłej mowie wszystko przewrócone do góry nogami... Surogat człowieka, fałsz na dwu nogach; płaski pochlebca sfer wyższych, zwiastujący przybycie prawdy i ideałów!

Kwikiewicz. Chrystyanizm, i to katolicki, jeszcze raz zwyciężył nieczne usiłowania nowożytnych pogan; ci, którzy w dniach ateizmu zostali przy dogmatach świętej wiary, radośnie dzień dzisiejszy nazwać mogą dniem swego tryumfu. Zasługa ta należy się naszemu zacnemu społeczeństwu. Najzaciętszy wróg przyznać mu musi, iż przyjmowało ono zawsze niechętnie nowatorstwa swych zwyrodniałych i krnąbrnych dzieci, przewrotne idee swych pasożytów i niedźwiedzie usługi nieproszonych intruzów; że piętnowało hańbą tych, którzy, odrzucając wiarę i tradycję ojców naszych i matron, depcąc relikwie narodowe — bezczelnie ośmielali się żyć według własnych karygodnych przekonań i głosili niemoralne zachcianki własnego widzimi się. Społeczeństwo nasze było, że

tak powiem, arką przymierza, przechowującą przykazania przeszłości. Zwiedzicie, nadobne słuchaczki i słuchacze, wioski nasze! W te uroczne gniazda cnót patriarchyalnych i dziewiczej prostoty serca nie wdarł się dotąd żaden bluźnierczy gwar postępowych klótni. Ogół oddawna został mianowany jedynym kompetentnym sędzią ideałów, a ogół ten był zawsze pokornym synem chrześcijańskiego Boga. Klasy oświecone naszego narodu, jak i lud sam, oddawały zawsze cześć Temu, przed którym drży niebo, ziemia i my wszyscy. Nie mówię już o naszej płci pięknej, gdyż ich bogobojność stanowi jeden z ich najbardziej uroczych wdzięków. Czyż istnieje coś bardziej powabnego nad widok kształtnych dziewic, w postawie skromnej, z oczami wzniesionymi ku wizerunkowi Najświętszej Panny, składających swe niewinne myśli i gołębie serca u stóp krzyża, podczas gdy z ich kapeluszy à la Rembrandt i z ich sukien z „draps de dames“, woń „peau d'Espagne“ łączy się z wonią kadzidła i aromatem ziół, którymi, własnymi białymi rączkami, ozdobiły ołtarz Pana?...

Lubieżnicki (do sąsiada). Dzielny nasz Kwiś! Jak on gadać potrafi... Z tego odczytu, dzięki jemu, będziemy mieli kolacyjkę... (całuje palce) aż miło!... Papu wyborne... i tego... (mruży lewem okiem) Co to mieć spryt!... To potęga, panie!... Nawet na dostaniu policzka można zrobić interes, tak jak nasz kochany redaktor Zagajski!

Kwikiewicz. Kilku krzykaczów, niby beczki głośnie, bo puste, chciało im wydrzeć tę spuściznę świętą. Lecz dziś oni zginęli, nawrócili się, lub umilkli strwożeni. Dziś zwyciężyła prawda! (oklaski. Z głębi gwar niezadowolonia). Ukochani słuchacze! pozwólcie mi być posłem błogosławionej nowiny: światło i miłość chrześcijańska święcą dzisiaj należny im tryumf! Bóg w chwale swej wraca do serca ludzkości, po wypróbowaniu go w troskach zwątpienia. Odtąd męczyć nas już nie będzie niepewność życia po śmierci; odtąd, wiedząc, że

nas czeka nagroda uczy nieśmiertelnej, nie będziemy się już więcej kłopotać o cel i ważność istnień naszych. Liczba występków się zmniejszy wskutek trwogi przed karą piekła — znikną, z ateizmem i mędrkowaniem, zbrodnie i niemoralność — ich dzieci. Kwasy społeczne ustaną, albowiem ubogi, wiedząc, że za przykrości życia doczesnego czeka go szczęście wieczne, nie będzie żywił w swem sercu brzydkiej zazdrości ku bogatym; nie będzie pragnął dostatku ani nauki, albowiem pamiętać będzie obietnicę Chrystusa Pana, który niebo nazwał królestwem ubogich duchem i majątkiem. Ustaną zachcianki i kaprysy kmiotków, majstrów i czeladników, prowadzące społeczeństwo do bankructwa, — i zawiści klasowe — wskutek zrozumienia obowiązków, jakie podwładny ma dla przełożonych, pracujący — dla dobrodziejów swoich. Wreszcie nastanie miłość bliźniego, gdyż człowiek zrozumie istotę swej świętej religii, którą jest: pokora i zaparcie się siebie. (grzmiące oklaski, z głębi rosnący szmer niezadowolenia). A wy, matki czcigodne, wy, które nad zepsuciem dzieci waszych wypłakujecie oczy ongi świetnie błyszczące, — wy uciszycie nareszcie przebite siedmiomieczem boleści serca! Trwożyć się już nie będziecie o losy drogich piskląt waszych, a one, nie fomentowane przez niedouczków, wyrwać wam się z objęć nie będą, lecz pod waszymi skrzydłami, niewinne i czyste, oczekiwać będą spełnienia się ich przeznaczenia. Płeć piękna nie zamknie oczu na powołanie swe szczytne, i zrozumie, że prawdziwa emancypacja polega na ironicznym uśmieszku w odpowiedzi na podszepty tych, którzy, prawiąc im piękne słówka o samodzielności, czyhają na ich cnotę i zgubę. Zdaje mi się, że nie zawczasie wygłaszam te przekonania swoje, że naród nasz do nich już dojrzał. Zaledwie kilka osobistości, których wartość moralna społeczeństwu dobrze jest znana, usiłuje skierować prąd dzisiejszy ku skałom niewiary i rozuzdania. Ale te jednostki opinia publiczna, ten najmędrszy sędzia, osądziła podług ich niecných zasług, ukarała pogardą wszystkich. O, oni nie podniosą więcej głowy! Ci wrogowie prawdy

i ideału, zmuszeni do milczenia przez ogół, który się ich wy-
parł, nie przemówią już nigdy!

Brand (wstając nagle, potężnym głosem). Przemówią!!!

Kwikiewicz (z dreszczem, przerażony cofa się w tył. — Odzy-
skuje po chwili przytomność umysłu). Ale...

Brand (staje obok katedry, głosem olbrzymim). Wróg po-
dłości, wróg ciemnoty żąda głosu!... Słyszeliście panowie?...
I słysząc, nie odpowiedzieliście nic?... Więc pozwolicie mu
deptaniem prawdy i słusności w imieniu waszem — hańbić
się?... Ja działałam teraz w waszem imieniu, jeżeli się między
wami kryją ludzie! W waszem imieniu, o bracia, jeżeli
z nich jest który! W imieniu własnem, jeżeli jestem sam!!!
(Policzkuje Kwikiewicza i strąca go z katedry. Popłoch, krzyki.
Rzucają się na Branda, ten stoi na miejscu strąconego, i broni się
wściekle. Teżycki, Hera wpadają w tłum.)

Kwikiewicz. Na pomoc! policya!

Teżycki (zwalając z stopni katedry cisnącą się groźnie ku
Brandowi klikę). Precz Łotry! (ustępują mu przerażeni; on, potem
Hera stają na katedrze obok Branda. — Kwikiewicza otacza na dole
klikę).

Brand (wyciągając ręce). O głos!... Niemi żądają głosu!
Słuchajcie! (Między publicznością gwałn niektórzy wychodzą spie-
sznie. Grupy opuszczają krzesła i przysuwają się zbitym tłumem do
katedry).

Kwikiewicz. Panowie! Biorę was wszystkich za świad-
ków publicznego gwałtu, którego padłem ofiarą! Panowie!
Czy zniesiecie, by żyd-rozbójnik zabierał głos?...

Teżycki (z zimną wściekłością). Trzeba mu było pięści
i głos odebrać razem z piórem! Brak wam metody, zacna
zgrajo!

Brand (głosem coraz potężniejszym, wypełniającym salę). Słu-
chajcie! Nie zamykajcie uszu przed ludźmi, którym inaczej do-

stać się do was, którym inaczej do was niepodobna było przemawiać! Do społeczeństwa mówimy! Kto z was człowiekiem, niechaj słuca!

Chór głosów młodzieńczych. Słuchamy!

Kwikiewicz. Panowie.

Głos z kliki. Zrzucić, wypędzić zbója! (Rzucają się ku katedrze, u której wejścia stoi Teżycki w groźnej postawie. Od tłumy odrywa się grupa młodzieży i otacza katedrę).

Brand (głosem ogromnym). Bracia! Mówić do was mogę! Chwili tej czekałem od dawna, w męczarni! Dziś mogę się bronić, ja, którego hyeny rwały bezkarnie w kawały! Dziś piętnować mogę nikczemność, ja, którego podłością zmiażdżyć chciano! I mówię dziś dopiero, bo mi dotąd usta pętano przed wami!...

Głos z kliki. Panowie, wy znosicie, by wam uragał żyd?...

Głos z głębi. Teżycki! Niech mówi Teżycki!

Teżycki. Nie raz ostatni nas słyszycie! Przyjdzie i na mnie kolej!

Brand. Słyszeliście przed chwilą Kwikiewicza! Czyście ogarnęli bezmiar podłości jego słów?... Ktoś z pośród was rzucił mu w oczy kłamstwo! Słyszeliście, jak obrzucał błotem postęp i swobodę! Jak was skłaniał do ciemnoty i jej nędznych darów! Słyszeliście tę zbrodniczą ewangelię kapitału, tę przejrzystą, apoteozę rezygnacji! Filozofię uczynił odpowiedzialną za zbrodnie i występki! Męki społeczne zaklinał w ciszę! Wołał posłuszeństwa brutalnej sile! Wolność myślności nazwał niemoralną, a życie według własnych przekonań, życie prawdy — bezczelnością! Ten płaski lizus broni „Idealów“! Ten człowiek ludzi uczciwych nazwał „wrogami prawdy“! O, tak! myślny wrogami ideału, jeżeli nim jarzmo i zgnilizna! Wrogami spokoju, jeżeli okrywa krzywdy i obłudę! Wrogami postępu, jeżeli nim ciemnota i nędza! Wrogami

zadowolenia, jeżeli się cieszy podłością! Wrogami społeczeństwa, jeśli jest hordą kretynów! Wrogami świata, jeżeli świat ten podziemiem rabusiów i gadów!

Głos kliki. Słyszycie?... Słyszycie jak nam uraga?...

Brand (grzmiącym głosem). Myśmy banici prasy! Wygnańcy z krainy faryzeuszów i lotrów! Oplwani w dziennikach, spotwarzeni i skopani, milczący wściekłością dławionych, stoimy przed wami, dumni obelgami podłej zgrai! Stoimy jako protest przeciw potędze tych, którzy was bezczelnie wyzyskują i mamiają, jako oskarżyciel dokonywujących się w łonie waszem gwałtów! jako wyraz prawdy i siły!... Jako prometeusze nowi!... Jako ludzie! Ludzie przyszłości!..

Słyszeliście?... Słyszeliście jak grał (wskazuje wzgardliwie Kwikiewicza). na religijną nutę, jak w mętnej fali reakcy wyławiał korzyść tych, których jest parobkiem, więc i własną?.. Ha, ha! przeszedł samego siebie w idyotyzmie i nikczemności... Mieliliśmy dziwny zaiste wykład dziejów filozofii, uderzającej głupotą... Dowiedzieliśmy się, że algebra miała niegdyś zaszczyt być podejrzaną o zrodzenie świata... że szukaliśmy w filozofii i nauce dogmatów... że zbankrutowaliśmy na jednej i drugiej... że one powołują ludzi do zbrodni, one burzą ideały... Dowiedzieliśmy się o nowem objawieniu... o tem, że cywilizacja jest tresurą!... Zapewne dlatego pan Kwikiewicz tak zręcznie aportuje, powtarza rzeczy słyszane z inteligencją papugi i na dwu łapkach umie chodzić... Ależ tak, tak, panowie!... Jeśli pragnienie szerokiego tehu jest atawistyczną dzikością — myśmy dzicy wszystko troje! Jeśli wrogowie zaduchu — barbarzyńcami, to zapieramy się wszelkiej kultury! Jeśli pragnienie doskonałości — objawem zwyrodnienia, odstępujemy Kwikiewiczowi tytuł bohatera! Jeżeli człowiek — niewolnikiem „z przyrodzenia“, co, mówiąc nawiasem, dziwnie się zgadza z słyszaną przez was definicją cywilizacji... to wyrzekamy się miana człowieka na rzecz bydła!

Panowie, on wam ogłaszał „zwycięstwo ideałów i prawdy”. Dziwnego one, zaiste, rodzaju! Kolacyjkę w niebie, na podobieństwo miejscowych, restauracyjnych, z różnicą, że wolną od niestrawności i trwać mającą wieki — nazwał celem życia! Aby być w niej uczestnikiem, zaleca ubogim pokorę i uległość! pracującym — wdzięczność dla „dobrodziejów” swoich! zaparcie się praw człowieka na rzecz pryncypałów! Ciekawe, dlaczego bogaczy nie namawia do cnót Chrystusowych, nie kusi „królestwem niebieskim”? Ciekawe, dlaczego bankructwa fabrykantów, spowodowane przez głód białych murzynów, nazywa „krachem społecznym”, a nędzę milionów uważa za skarb narodowy... Ciekawe, w jakim związku stoi napędzanie do dawnych przesądów i strach przed walką społeczną; nazwanie formuł religijnych „kwiatem rozwoju”, a rozwoju — zadowoleniem gwałconych, porzucaniem nauki, służalczą, potrzebą obroży i karzącej ręki! Ciekawe, dlaczego, ogłaszając się postępowym, rzeczników emancypacji posądza o donżuaneryę, a żądnych polepszenia — o instynkta niszcycielskie; dlaczego, witając „dzień światła”, rzuca społeczeństwu obelżywe pochlebstwa, każe mu być dumnym ze swego lenistwa i niechęci do rozwoju — namawia je do katowania lepszych swych synów — a „płeć nadobną”, żargonem fryzjerskim, namawia do „dawnych cnót”, odświeżonych wedle przepisów mody! Dziwnem, doprawdy, dlaczego, ogłaszając dobę „miłości chrześcijańskiej”, tak zawzięcie się rzuca na nas — garść „pogan spóźnionych”? Dlaczego, tak ufny w powrót „światła”, w zwycięstwo społecznych mroków, knebluje nam usta, by nam się z piersi nie wyrwał zaraźliwy okrzyk zgrozy! (głuche, mieszane gwary) Panowie! On tłum nazwał „sędzią idei”. Naturalnie! ponieważ ten tłum posłuszny jest jego pochlebstwom, i za cenę smrodliwego kadzidła wyda jego nienawiści tych, którzy potrafiliby go zgnieść. By was uchronić od znajomości z myślą naszą, nazywa nas filozofami rozuzdania — a pragnienie pełnego, doskonałego życia — żądzą rozpusty! Bo on czuje w nas potęgę niepokoju, która

świat ogniem życia ogarnie! Bo on wątpi o waszej głupocie i słabości — bo on się lęka waszego uświadomienia! On drży, byście nie dojrżeli na dnie tej reakcyi, której jest apostołem, tryumfu ciemnoty, podłości, kapitału! tryumfu łajdaków nad słabością leniwców! byście nie przejrżeli, że spokój, który wam obiecuje, jest zgnilizną, że własne słowa jego są bezczelnem kłamstwem, kryjącem niską chęć zysku!

I pytał was, czy nie zawczasie tak bezczelnie jawnie targa się na prawa człowieka — rwie w kawały tych, którzy splepanych łańcuchami nędzy lub ciemnoty chcą oddać rozwojowi i szczęściu! Ha! powiedział zapóźno! Wy nie pójdziecie za nim — wy nie zezwolicie, by jego słowa stały się wiekowem szyderstwem — wy się nie złączycie z jego nędzną zgrają — wy nie zhańbicie ludzkości, chyba że w waszych piersiach jest tylko sgnilizna i lęk walki! Chyba, że w żywych ciałach nie duszę macie — lecz trupy!...

Ludzie! W ostatnich latach ciszy i stęchlizny potęgą zmieszala się z niemocą i szlachetnością z podłością. My dziś stajemy przeciw nim (wskazuje klikę), jako zarody dwu stronnictw — by rozdzielić to, co nie powinno żyć razem zgodnie! by rozdzielić prawdę od fałszu, — życie od zgnilizny, — człowieka od bydła! My tu jesteśmy — zwiastuny nowej doby — kochankowie swobody i rozwoju. Tu — oni — gady ginącego błota, niewolnicy... Wybierajcie!...

Klika. Słyszycie?... On naród chce rozdzielić! Zdrajca!... Policya!!

Z tłumu. Waryacie! Mesyaszu żydowski! Do Tworek ciebie! w kaftan żelazny!

Brand, Tężycki, Hera. Kto z nami! (Od tłumu oddzielają się grupy studentów, dziewcząt, kobiet ubranych ubogo, kilka poważnych postaci męskich).

Grupa młodych. My z wami! My, młodzi!

Grupa ubogich. I my!... Głodni i uciskani! W męczarniach ginący!...

Grupa mężczyzn poważnych. I my!... uczciwi!... (Reszta z dzikimi krzykami opuszcza salę).

Brand (wyciąga ku pozostałej, nielicznej garstce, ręce). Twarz mu promienieje dziwnym blaskiem — głos nabiera cudownych, gorących dźwięków) A więc... nie jesteśmy sami! Więc przyszłość przed nami i zwycięstwo! Bracia! nie zawiedzimy was!... Młodzieży — ty potęgo jutra! Pójdziemy w życie, by walczyć — i zwyciężyć lub zginąć!... Po prawdę.. po rozwój ducha... w świat olbrzymów i piękna! Europę wstrząśniemy okrzykiem wyzwolenia — ziemię oczyścimy z robactwa i gruzów! Założymy nowe królestwo — wszechświatowe królestwo rozwoju i wszechludzkiej, bratniej miłości!...

Tłum młodzieńcy (wyciąga ku nim dłonie) Z wami!... w przyszłość!... po życie!...

Grabów nad Pilicą, w kwietniu 1895 r.



W UPOJENIU

FANTAZJA¹⁾

przez

CEZAREGO JELLEŃTE.

~~~~~  
STEFAN, poeta.  
ZDZISŁAW, dyletant, przyjaciel Stefana.  
GOŚĆ, Francuz.  
BAJADERA.

(Rzecz dzieje się w wielkiej stolicy, w klubie haszyszu.)

(Stefan i Zdzisław stają w pobliżu wodotrysku.)

STEFAN.

Wonie tych laurów i mroki cyprysów,  
Wspaniałe palmy i cedry z Libanu,  
To dla umysłu mego ciemń optyczna,  
W której się jawią wszystkie cuda baśni,  
Owiane czarem bujnych krain Wschodu.  
Na co haszysze? Dajcie-li swobodę  
Mej wyobraźni, skąpanej w kielichach  
Kwiecia lotosu, a sama na własnych  
Skrzydłach poniesie mię w obłoki marzeń.

ZDZISŁAW.

Tak, ładnie tutaj i dosyć wesoło;  
Chociaż, staremu wierny nałogowi,  
Jużeś wydłużył swą gębę na milę.

---

<sup>1)</sup> Fragment z większej całości, napisanej wierszem białym.

(wskazuje ręką kogoś uśpionego na szerokiej otomanie)  
Pyszny Francuzik! Zjadł sobie konfitur  
Widać nie mało...

wskazuje drugiego, który siedzi, pochylony nad tureckim stolikiem)

Ah, to ten rymopis,

Co nas po klubie wczoraj oprowadzał —  
Już ululany... i tak się uśmiecha  
Słodko do rąbka swojej filiżanki,  
Jakby to była najpiękniejsza hurys  
Pod Mahometa niebem... (weselej) Ho, ho! bracie w muzach,  
Widzę, do tańca prosisz, *cher collègue*...

STEFAN (bierze Zdzisława pod rękę).

Na mnie już działa... Tak mi jakoś smutno...  
A ten przekłęty zapach wciąż mię goni...  
(odpędza go rękami przed sobą)  
Jak może odwar z tak mocnym bukietem  
Stumanić głowę? zgoła nie pojmuję;  
Toż on zmarłego potrafi ocucić,  
I wszystkie władze zmienia w powonienie.

ZDZISŁAW (coraz weselej; puszcza przyjaciela i wpatruje się w niego).

Jak mi Bóg miły, masz zupełną rację!  
Teraz dopiero widzę, żeś ty cały  
Podobny kubek w kubek do wielkiego  
Nosa, co sam się opuścił na kwintę...  
Drogi Nosalu, podaj mi prawicę,  
Obejdziem w kółko ten klub braci śpiących.  
(trudno mu ruszyć się z miejsca; próbuje parę razy)

BAJADERA (zjawia się cicho i przez nich nie widziana, a potem staje przed nimi i kłania się na sposób wschodni).

Zacni panowie nad miarę są ufni  
W siłę swych kończyn, niechaj więc pozwolą,  
Że im pomogę zbliżyć się do miejsca,  
Gdzie spocząć można wygodniej. Tam milej,

Nawet muzyki słodkie tony lepiej  
Dochodzą, gdy tu naszych drzew pogwary  
Mącą melodyę. Tam fala powietrza  
Nie taka ciężka i rychlej was do snu  
Błogiego spoi...

ZDZISŁAW.

Wiesz, że ta niewiasta  
Dość mądrze prawi... Weź zatem w opiekę  
Nasze spętane od pęt mózgu nogi  
I prowadź, piękna, choćby na kraj świata...  
(wyciąga rękę ku Bajaderze, która już przedtem wyciągnęła swoją,  
a potem nagle cofa)

Lecz nie, nie dam się! Gotowaś pomyśleć,  
Śliczna jaszczurko z Nilowych pobrzeży,  
Że my, przybysze z nadwiślańskich nizin,  
To słabe głowy... Bacność więc, Stefanie,  
Idziemy sami... Wskazuj jeno drogę,  
Bo lśniesz swą szatą, jak latarnia wdzięku.

(ująwszy ją za końce palców, z wysiłkiem rusza z miejsca wraz z to-  
warzyszem; po chwili znów puszcza dłoń, a bajadera ostrożnie i cicho  
usuwa się za ich plecy; po chwili znikają; cisza; słychać tylko stłu-  
mione dźwięki sennej muzyki).

STEFAN (zjawia się znowu wraz z Zdzisławem).

A! lżej oddycham, umknęliśmy cało...  
Niecny oprawca w świetlanej spódnicy  
Wiódł nas swą ręką od krwi zczerwieniałą  
Na stos płomienny... Brrr! w mojej źrenicy  
Migocą jeszcze języki ogniowe,  
A nozdrza czują tę woń spalenizny,  
Którą me nogi, spówitę w osnowę  
Dymu tłustego i swędu zgnilizny  
Ziały... Ha, zdrajco! straciłeś ofiarę  
Swych wabnych oczu i pięściwej dłoni...

ZDZISŁAW (do niewidzialnej muzyki energicznym gościem).

Dalej, grajkwie, udercie w fanfarę  
Na cześć przytomnej nad wiarę Polonii!  
A co? Posłuszni... Brawo! skrzyпки, basy,  
Od ucha zagrali polki, obertasy (śpiewa i kołysze się niepewnie)

Nawet krakowiaki  
Śpiewa jaki taki  
I z dziewczką wywija.  
To ci bezkurcyja!

Nie wywijaj, zuchu,  
Nie pokręcaj wąsa,  
Bo jak dam po uchu,  
Odechceć się płąsa!

Tańczy, bestya, tańczy,  
Marysię mi nianczy  
I myśli, psiajucha,  
Że jego dziewucha.

Oddaj no młokosie,  
Oddawaj co moje,  
Bo jak dam po nosie,  
Zoczysz babkę swoją.

(Razem zataczają się zlekka, a Stefan wtóruje)

Oddajno młokosie,  
Oddawaj co moje,  
Bo jak dam po nosie,  
Zoczysz babkę swoją!

FRANCUZ (podnosi się z ustronia uroczyście, zwykłym páltotem udrapowany, podchodzi ku nim i mówi ponuro).

Co tam za widma kalają świątynię,  
Przybytek magów, taką pieśnią świecką?  
Jakież to nimfy w zmierzchovej godzinie  
W tę grotę bożą wtargnęły zdradziecko  
I budzą święte, drzemiące w niej echa

Bezczelną surmy bojowej pobudką?  
Rzućcie swe trąby, wojownice Lecha,  
I zmówcie pacierz, bo za chwilę krótką  
Władczyni nocy siądzie na swym tronie,  
Na głowę dyadem włoży brylantowy,  
Ciało junońskie siną mgłą owionie  
I z pod wybitej gwiazdami posowy  
Każe pospólnych wygnać śmiertelników...  
Idźcie więc sobie, bezbożne rusalki,  
Nie wam świadkami być wieszczych tajników!  
Opuśćcie kościół, niewdzięcznice, śmiałki.  
Nie na tom wwiódł was w tę pieczarę chwały,  
Byście ją marszem wojennym kalały!

(Ściemnia się, słońce już zaszło, została tylko na wschodzie jaskrawa,  
purpurowa zorza.)

STEFAN i ZDZISŁAW (pokładają się od śmiechu).

Tańczy, bestya, tańczy,  
Marysię mi niańczy,  
I myśli, psiajucha,  
Że jego dziewucha.

(śmieją się i probują tańczyć).

ZDZISŁAW (odwróciwszy się, spostrzega szkarłat zachodu, odbijający  
się silnie na drzewach pobliskich; przestraszony zaczyna biedz ku  
niemu krzycząc.)

Hej! luna! wieś gore!  
Piorun trzasł w stodołę!  
Jak suchą jemiolę  
Wnet spali oborę...

GOŚĆ FRANCUZ (również przerażony, wskazując zachód Stefanowi.)

Tam sądzą! Czy słyszysz?

I pierwszy uderzy  
W swą surmę archanioł i z niebios się grady  
Posypią i ogień się ze krwią poleje,

I trzecia część ziemi zwęglona już leży,  
I tyleż jej kwiecień zatrać swe ślady,  
I tyleż drzew, błoni, w perzynę zetleje.

A kiedy zatrać znów anioł tam wtóry,  
Szczyt ogniem wybuchły wnet runął w toń morza  
I trzecia część głębin stała się posoką,  
I trzecią część stworzeń wypalił żar góry,  
I tyleż okrętów, prujących wód łoża,  
Strzaskane kadłuby na ciemne dno wloką.

A wtedy się boski znów herold odmieni  
I złota nieb gwiazda z hukami piorunu,  
Jak krwawa pochodnia etery rozwidni,  
I padnie na trzecią część rzek i strumieni,  
I wszystkie się w odmęt przerodzą piołunu  
I ludy mrzeć będą w gorzkości przez trzy dni.

Zatrąbi gromowo cherubin więc czwarty,  
Po stropie się czarna zaraza rozsiędzie  
I zaciemni część trzecią gwiazd, słońca, księżycy,  
I mrok zionie zewsząd, jak w skale rozdartej,  
I przez dnia część trzecią i nocy trwać będzie.  
A potem już piąta ozwie się surmica,

Z niebiosów iskrząca oderwie się miotła,  
Uderzy w guz ziemi i otchłań otworzy  
Studzienną, a z studni dym buchnie skłębiony,  
A z dymu szarańczy się chmura rozplotła  
I lany i naród wytępi bezboży,  
Bo moc jej nadano, by zgła jak skorpiony<sup>1)</sup>

(Patrzą na siebie szeroko rozwartemi oczyma, a potem obadwaj zaczynają silnie drzeć. — Przy ostatnich słowach odchodzą. Tymczasem służba zapala kilka kolorowych lamp wśród drzew. Za sceną słychać okrzyki pół pijane, pół groźne. Późem Stefan wraca sam i zmęczony siada na ławeczce.)

<sup>1)</sup> Według Apokalipsy Jana, wolny przekład.



STEFAN.

Własny to głos mój wyrwał mię z drętwy  
 I dotąd gra w mych uszach dysonansem,  
 A w skroni biją nie pulsa, lecz młoty...  
 Doprawdy, człowiek umie być szympansem...  
 He, he! Już działa... nerwy mi oprzędza,  
 Bije się z resztką nieomdlałej myśli  
 I gwałtem biedną w kozi róg zapędza,  
 I w mózgownicy setne duby kręśli...  
 Drętwość po stawach się rozlewa błoga,  
 Barwne światełka jak w kalejdoskopie  
 Wirują w koło; to znów ćma złowroga  
 Kirem się ściele na niebieskim stropie  
 I kirem duszę powłeka... Dwie moce  
 Toczą w znękanej głowie bój zawzięty,  
 Jak złoty promień słońca się szamoce  
 Z chmury kurzawą, nawałnicą wzdętej.

(z twarzą rozpromienioną)

Lecz moje słońce teraz dziwnie piękne!  
 Po snopach światel tężowych prowadzi  
 Wzrok w cudne kraje. Zda mi się, że klęknę!  
 Tu tafła morza, które wietrzyk gładzi,  
 Oprawna w pierścień jarzących bulwarów,  
 Cicho, leniwie, jak tony elegii,  
 Długie jak uścisk miłosnych pożarów,  
 Suną gondole przez lustrzane ściegi.  
 Sędziwy doża obce nawy zlicza,  
 A dogarressa syreny oczami  
 Wpiła się w usta pięknego panicza  
 I pieści zmysły czułemi strofami,  
 Które on głosem dźwięcznym rzewnie śpiewa,  
 Lekko trącając struny mandoliny...  
 I ciszą zmroku lśniąca toń powiewa,  
 I ciszą zmroku tchną nieba głębiny...

(zamysła się)

Owdzie labirynt egzotycznych borów  
Śpiewem krasnego ptactwa dzień przedłuża,  
I ślepi oko przepychem kolorów  
Kwiecia i krzewów i pamięć odurza  
Ciężkimi wiewy czarodziejskich woni...

(z zachwytem)

Pierś się dziękczynnie zwraca ku przyrodzie,  
Że te bogactwa z królewskiej swej dłoni  
Tak hojnie sypie po rajskim ogrodzie...

(wstaje i znika za drzewami.)

(Nad rzeką i w oddali mrok, usiany dotąd ledwie dojrzanymi iskierkami światła miejskich, staje się teraz zupełnym; gasną i lampy w ogrodzie; muzyka staje się głośniejszą, bardziej skupioną i elegijną; rzeka zamienia się w szeroki strumień srebrzysty, za nim w dole zaczyna po chwili majacząc wielka równina piasku z krajobrazem nadnielowym na widnokręgu, ze zwałiskami i słabo dostrzegalnymi konturami głowy Memnona; ogród zamienia się w brzeg kwietnej okolicy, trochę nad poziom wyniesionej; pod konarami rozłożystej pinii darniowa ławeczka. Stefan zjawia się w stroju pielgrzyma z kosturem w rękę.)

Wciąż szepty i śpiewy. Z czeluści tej nocy  
Wychodzą tłumami widziadła i duchy,  
I jęczą nad głową, i kwilą pomocy,  
I biją się w piersi i ślubują skruchy.  
Te drzewa są pełne dusz zaczarowanych,  
Jak w lesie Armidy... Muskają, ślą dzięki,  
Całują po twarzy ciepłymi wargami,  
Jakgdyby w radości, że nadszedł kres męki...

(Zgiełkliwa, pogmatwana i szybka melodia. Siada pod pinią. Zaczyna zlekka szarżeć.)

Gdziem ja? Co widzę! Pustyń białe piaski  
Wabią mnie szmerem do lotu farysa,  
A dalej meczty, minaretów kaski  
I zgliszcza czarne, kadłuby Apisa,  
Ruiny świątyń i słupy potężne  
O rżniętych w liście lotosu głowicach,

I obelisków runy dziwoleżne,  
I bóstwa Ptacha o spiżowych licach,  
I sturamiennych dzieło legionów,  
Głazy piramid, łą i potem zrosłe,  
Twarde i ciężkie, jak duch Faraonów,  
Wieczne jak Egipt, jak Wiedza wyniosłe...

(Przez ten czas rąbek czerwonego światła wdziera się na wierzchołek głowy Memnona, na piramidy i obeliski; mgła poranna otula drzewa a z mgły wyłaniają się powoli nimfy i otaczają kołem Stefana, który w zamyśleniu opuścił głowę.)

Z głębi stawów, rzek,  
Przez powietrza ścieg,  
Mrocznych sennych wód  
Opuściwszy spód,  
    Od jeziornych fal,  
    Sitowianych hal,  
My do ciebie, mistrzu, przynosim swój żal.

STEFAN.

Wianku cudnych dziew,  
Tyś, jak psalinów śpiew,  
Zbudził jednym tchem  
W biednem sercu mem  
    Zgasłe życia skry  
    I otarłszy łyzy,  
Mię na jaśnień znowu wydobył ze mgły.

Nimfy z tęczy barw,  
W kwefach z tęczy szarf,  
Co siejecie blask  
Na niepewny brzask,  
    Jakiej krzywdy gad,  
    Jakich bólów jad,  
Ten na waszych licach blady wyrzył ślad?

RUSAŁKA.

Wieszczu, klątwę lud  
Rzucił na nasz ród,  
Że my w wodną głąb,  
W bezlitosny ziańb  
    Wabim wdziękiem ciał,  
    Że miłosnych strzał  
Grot w zaskrzepłych sercach rozplomienia szal.

Ziemią władnie chłód  
Złotem kupnych cnót,  
Więc my ognie dusz  
Skrzyły w konchy mórz,  
    Na gopłowe dno,  
    W zdradnych jarów szkło,  
Pod zielone liści nenufarnych tło.

I kto woli żar,  
Śnieżnych ramion czar  
Nad jałowych dni  
Łańcuch czczy i mdły,  
    Temu szczęśny los  
    Wskaże wodnie głos,  
Niks, goplan, świtezianek śród wieczornych ros.

Dziś próżny nasz trud !  
Łona trawi głód  
Pieszczot, wdzięki schną,  
Ludzie śpiew nasz klną,  
    Omijają toń,  
    Gdzie rusalki dłoń  
Z łez płaczącej wierzby tka dyadem na skroń.

Więc od stawów, rzek,  
Przez powietrza ścieg,

Mrocznych sennych wód  
Opusciwszy spód,  
Od jeziornych fal,  
Sitowianych hal

My do ciebie mistrzu przynosim swój żal.

(znikają, zostawiając po sobie blaski i barwne mgły, które się odtąd  
wałęsają wśród zarośli i nad potokiem.)

STEFAN (kiwa głową).

Mysła, że wskrzesić w sercach ludzkich miłość,  
To jak biesiadne rozpalic ognisko,  
Ze, by zgrzać Cielca złotego otyłość,  
Dosyc kuszając zostać odaliską;  
Łatwiej bazalty na wino przekropić  
Lub w wrzący hejzer skałę przestrumienić,  
Łatwiej lodowce Grenlandyi roztopić  
I w odmęt warów golfstremowych zmienić...

(słychać odległy szum, a w dali widać w przedświcie porannym wy-  
rażne migotanie na tle kurzawy)

Ziemia podemną drży, jakby w nią były  
Miljony kopyt w rozszalałym pędzie,  
I warczą głucho skał pobliskich bryły  
I ćmia się nieba krawędzie.

Coraz wyraźniej gwar skrzydeł się szerzy  
I pochrzęst zbroic ucho mi łaskota,  
Jakby nad hucem stalowych rycerzy  
Szia górą sokołów rota.

Przebóg, to cudo! Oreźni to święci,  
U ramion skrzydła im wieją pozłotne,  
Orłowie w jedno z człowiekiem zrosnąci  
I z końmi w centaury lotne!

(podnosi się i wybiegłszy naprzód woła)

Stójcie, wichrowe wy boju zwiastuny!

I niech mi jeden za wiarę odpowie,

Dokąd swe miecze i rusznic pioruny

Niesiecie, łumni jak mrowie.

(kilku skrzydlatych jeźdźców zjawia się na wzgórzu.)

#### JEŹDŹCY.

Mkniemy oddawna w kurzawy tumanie,

Blednącej gwieździe swych przeznaczeń wierni,

A ty z pogoni wyrwałeś nas, Panie,

My — towarzysze pancerni.

Rumaki z próżną tam po nas kulbaką

Rżeniem się skarżą, że czekać im smutno;

Lecz stokroć smutniej gorącym wojakom

Mknać wiecznie jazdą pokutną.

Po spiekłych ostach i lodowych blokach,

Jak orkan, wraże gonimy zastępy,

Od naszych skrzydeł mąci się w obłokach,

Od błysku kolczug drżą sępy!

Bieguny nasze srebrne są od piany,

Boki ich krwawe pod wściekłą ostrogą,

Potrzykroć ziemię nasz cwał opętany

Przebiegł — nie znalazł nikogo.

I żądza wojny z naszych łon wciąż dymi

I ciała nasze suszy febra czynu,

Mysmy jak mrący z pragnienia pielgrzymi

Na tej pustyni beczynu.

I gdy się rankiem strop rozaureoli,

Zwracamy w górę tęskliwie swe oczy,

Gdzie święty Michał, nasz wódz i brat w doli,

Zorzy purpurą miecz broczy

I krwawą kresą wskazuje nam drogę.  
Tedy wołamy: Hetmanie, hetmanie!  
Niechaj rozpali Bóg wojny pożogę  
I niech czas dzieła nastanie!

STEFAN.

Żal mi was, mężów niezłękniome plemię,  
Błagania wasze głosem są na puszczy,  
Bóg zaklął w bagno i snem skuł tę ziemię  
I oddał leniwców tłuszczy.

I wszystkie żądze pod drętwy strażą  
Leżą na smyczy, jak sfera ogarów,  
I grzech się z krzywdą w jednym kotle warzą  
I karmią nowych Omarów.

I miną wieki, nim geniusz miłości  
I nienawiści smok podniosą głowy,  
I burzą dzieł swych zmiotą z ziemskich włości  
Gnuśnego mułu pokrowy.

(Jeźdźcy znikają, po chwili słychać szmer i szcęk broni, stopniowo oddalające się wraz z tętentem; nad murawą, w coraz pewniejszym świetle dnia ukazuje się wielkie widmo w purpurze z koroną na głowie złotą, lśniącą mocno w promieniach wschodu.

KRÓL DUCH.

„Żem wyzwał słońca Twoje i księżycę  
I meteorów ogniska i burze,  
przeciw gniewom Twoim niósł przyłbicę  
I chciał zobaczyć sługę — komu służyć?  
Żem chciał zobaczyć, Panie! Twoje lice,  
Cztery pioruny Twoje, świata stróżę,  
Wszystkie potęgi Twoje o świat drżące  
I wszystkie słońca i wszystkie miesiące:

Tyś mną pogardził, Panie, i ominął  
I do straszliwej śmierci doprowadził<sup>1)</sup>“

STEFAN.

Ażalim Bóg co z tronu niebios spłynął  
I swe wybrańce w Chanaan zgromadził,  
I ciałem Syna na Golgocie ginał  
I wianki z cierni na czoła wam wsadził,  
Że mi, o widma blade złorzeczyście  
I serce moje skargami krwawicie?

Jam brat wasz stopą nadeptany losu,  
Jak wy jęczący w kajdanach przeznaczę;  
Swe chęci z łona-m rwał jak pęki wrzosu  
I wzbijał w lot podniebny tchem majaczeń;  
One, jak ptaki od myśliwca ciosu,  
Spadały w dół. Lecz dość tłumaczeń,  
Spójrzcie w me lica, męczarnią zbiedzone,  
Czym zdolen dręczyc to co udręczone?

Otom jest dla was cały na objate,  
Sprobujcie pociąć mię na kęsy krwawe,  
Nie zdoła żaden miecz — spójrzcie na szatę,  
Co kryje moją duszę — widmo mgławce!  
Jak nurt strumienia żwiru zrywa kratę,  
Tak łez ocean wziął ciało na strawę,  
I kiedy dawniej płakany potokiem,  
Dziś bóle świata suchem biore okiem.

CHÓR DUCHÓW.

Tyś Bóg wszechmocny, więc dźwignij z niemocy,  
Nalej nam w żyły świeżej krwi — niechr płoną!

---

<sup>1)</sup> Powyższe dziesięć wierszy pozwoliłem sobie wziąć ze Słowackiego.



STEFAN.

Skąd wezmę, bracia? struto ją tej nocy,  
Kiedy pół świata na śmierć osadzono,  
Sam taki-m wątlý, jak wszyscy prorocy,  
Których Stworzyciel trzyma, jak wrzeczono  
Na nitce swych kaprysów. Ha! nieście mię!  
Bo z pod nóg tracę chwiejne globu brzemię!

(Widmo Króla Ducha znika; Stefan się siania i pada na ławkę, opierając głowę zmęczoną o pień; z gałęzi pinii powoli zaczynają spadać kwiaty, a strumień zamienia się w wodospad).

STEFAN (zachwycony patrzy w górę i dokoła i powoli odzyskuje siły).

Słyszę duchów rozhowory  
W tym szeleście listków, kwiatów,  
W wszystkie ciała mego pory  
Wnika fala aromatów.  
Świeżość mię ogarnia dziwna,  
Nowy dech wstępuje w płuca,  
I gałązka mi oliwna  
Pieszcząc oko, żal ukróca.  
Cudne kwiecie, pozbierane  
Z paśnych łąk, lasów, ogrodów,  
Rytmem bratnim skołysane,  
Muska mię słodyczą miódów!  
Ach, poznaję was, jaśminy,  
Róże, bratki i powoje,  
Lilie, fiołki, rozmaryny  
I konwalie i bżów roje!  
Błogosławię was, stokrocie,  
Niezapudki i storczyki,  
Pstra drużyno, w wiosny złocie  
Sprawiająca swoje szyki;  
Ach, to wy, dawne pieszczoły,  
Mej miłości dank niesiecie,

Błogiem kojąc szczebioty,  
Z swych kielichów sok lejecie,  
Balsam majów rozperlony  
Dodał ognia krwi zbielelej...

(głośno i raźno)

Z wichry poszedłbym w przegony  
I obleciał wszechświat cały!  
Wzrok mój kresów nieba sięga  
I odkrywa nowe słońca,  
Kędy mlecznej drogi wstęga  
Srebrnym pyłem błękit zmaća.  
Płynę w górę w chmur szyszaku,  
Czarnych kłęby piorunnemi,  
W błyskawicznym burz zygzaku  
Ciskam groźbę szarej ziemi.

Ha! jak podle z mych wyżyn ta kula wygląda,  
Jak się za swoich twórców luną wstydu płoni,  
Jak cieniem skruchy łzawej twarz swą zasnuć żąda  
I mgłą kłamnej niewiedzy przed zemstą się chroni!

(wściekle)

Ja bogów promienne siedziby rozszarpię kłami jej raf,  
Ja świetne aniołów ogrójce zażegę ogniem jej łon,  
Ja tortur czysćcowych narzędzia ostudzę wodą jej błot!  
Niech korę wystygłą w czerepy rozwali nicestwa młot,  
Niech błądzą po wirach i płaczą strzaskanej macierzy skon  
Niech w swoje pazury pochwyci i ślepo miota je traf!!

(Chór widm wszelakich, w których tłumie prócz poprzednich są poeci  
w laurowych wiankach, kobiety w żałobnych szatach, męczennicy  
z krzyżami w dłoniach.)

Powal bogi, ciemięzce człowieka,  
W gromowładne uderz swemi gromy,  
Gdzie Olimpu szczyt w niebo ucieka,  
Mieć, jak Cyklop, śmiercionośne złomy,  
Spustosz raje, kędy duch Jehowy

Mdłą igraszkę uczynił z człowieka,  
Zniszcz kobierzec, przytułek węzowy,  
Bo go Władca hebreów posieka  
Wnet na strzepy, by własnych rąk dzieło,  
Arcydzieło stworzenia — człowieka,  
Zetrzeć w proch! Jak w nicstwo runęło  
Szczęście ludów, miodopłynna rzeka,  
Tak niech runą trony bóstw zazdrosnych,  
Kędy ból próżno na ulgę czeka.  
Ostrzem woli przeszuj bezlitosnych,  
Co stworzyli, by zgubić, człowieka!

(Poważna melodia organów rozlega się w stronie ozłoconej słońcem  
głowy kolosu.)

STEFAN.

Na uroczystych dźwiękach wnika we mnie  
Moc wszechżywiolów, co wsparta tajemnie  
Misternym splotem wiecznych praw przyrody,  
Wprawia w wir ciągły karne globów trzody.  
Pulsuje jądro wszechsił w serca tętnie  
I ster wszechbytu dzierzę umięjetnie.  
Jam jest bezmiaru świetnych zórz ogniskiem,  
Wiecznej dobroci i prawdy siedliskiem!  
We mnie się struna łaski z struną wiedzy brata,  
Na których się wygrywa harmonia świata!  
Lecz kto ten hejnał zmącił nazwą czleka?  
Kto ją natrętnie przez mój słuch przewleka?

Człowieka byt

To kłamstwa zgrzyt!

Pyszaków myt,

Chełpliwych, że spłodzili doskonałość,  
Prawdziwe imię jego brzmi inaczej: *Żalność*.

Zerwijcie, duchy!

Mamideł łańcuchy,

Kute w warsztacie bożkowej obłudy,  
Korzące Zeusom zbuntowane ludy.

Bogi was mienią swoją chlubą twórczą,  
 By lepiej ukryć zawiść ludoburczą.  
 Ja wam ogrzmiewam, że niema człowieka,  
 Nawet w Fidyaszem sławnych kształtach Greka!  
 A ten litości godny pomiot z gliny,  
 Który niebianie zowią swemi syny,  
 To nowa próba w kuźnicy pół-tworów,  
 Śmieszna parodya owych wzniosłych wzorów,  
 Które porodził wieszcz móżg poetów.  
 Ach, on płodniejszy od tych czleko-kletów,  
 Których wypasły synekury bogów  
 I kunszt, kradziony u poezyi progów.  
 Człowieka niema! Ja pierwszy go stworzę  
 I w istność jego wszystkie skarby włożę,  
 Które bezpłodnie drzemią w nieb przezroczy,  
 W rodzajnem łonie tworzywnej roztoczy  
 I nawet w duszy niezakwitłych płonek,  
 Które przedwcześnie ludzkim zwiecie rodem,  
 Puściły skryty dla oczów korzonek,  
 Co schnie bez pieczy i martwieje chłodem,

Ja go ożywię,  
 Ja, bóg-poeta,  
 Utulę tkliwie  
 Ja — krwi roznieta!  
 Tchem go ogrzeję  
 Po same rdzenie;  
 Rosą poleję,  
 Słońcem spromienię.  
 A potem wszędy  
 Rzucę nasiona,  
 Aż świeże pędy  
 Wzejdą z zagona!

Zaludnię ziemię nowym gatunkiem człowieka,  
 Którego postać dawna, potrzykroć kaleka,  
 Zmusza żyć, jako drzewo o jednej gałęzi,

Gdy inne wichery strzaskał lub mróz obrał z soków,  
 I jeden tuzząc narząd, trzyma na uwięzi  
 Mózgu, serca lub brzucha, najpodlejszej z oków,  
 Rzuca nerwom na pastwę albo własnej pięści,  
 I zamiast istnieć w pełni, każe żyć w jej części.

Słońce i gwiazdy! siejcie nań świt,  
 By mógł w jasności przenikać byt,  
 A ty lazurze, kojące tło,  
 Spraw, by w spoczynku jadł strawę swą.  
 Wichry i burze, targajcie nim,  
 Aby nie zgnuśniał w spoczynku mdłym.  
 Grozo żywiołów, zeslij nam lęk,  
 By nerw wrażliwy zachował wdzięk,  
 Skrzydlaty kłębow obłocznych huf  
 Niech uczy śmiałych fantazyę snów,  
 A blask mirażów pustyni i mórz  
 Użycza tajni malownych zórz  
 Szmeru ruczajów i lasów gwar,  
 Miłośne trele słowiczych par  
 Niechaj melodyi wpoją mu nęt  
 I wyrwą z troski powszedniej pęt...  
 Fioletowa wierzchołków dał,  
 Sine opary alpejskich hal,  
 Rzewnot anielskich ześlą nań tłum,  
 I w ciszy tęsknych pograżą dum,  
 A skalnych orłów drapieżny lot  
 Piastuje chwałę rycerskich cnót.  
 A więc wulkany, wlejcie weń żar,  
 Niechaj go nęka miłośny skwar,  
 I wyższych pragnień niebiański krąg  
 Pali ostrogą piekielnych mąk,  
 Niech wszystkie czucia będą jak krew,  
 Dymiąca warem z rozdartych trzew!  
 Naturo, prakolebko, o której oszczercze  
 Mówią, żeś winowajcą wszechludzkiej niedcli,

Gdy jej źródliskiem jednym twarde Dziejów serce —  
Ach, uzał się męczeńskiej człeka aureoli,  
Nasyć blaskiem swych bogactw istność jego, głodną  
Potęgi i przepychu, otocz go opieką,  
Namaść na byt szczęśliwy i na śmierć pogodną,  
Jak ja wszystkim następnym błogosławię wiekom!

(W wielkiej odległości słychać chór mieszany, śpiewający poważną i tryumfalną, lecz i spokojną melodyę. Powoli tworzy się wysoko nad ziemią sklepienie z lekkich obłoków, przesyconych światłem, a pod nią w oddali barwne świty i zorze. Po pewnym czasie wszystko dokoła tonie w falach czarodziejskiego światła. Śród duchów ogólne poruszenie.)

STEFAN.

Słuchu mój, zaliż to złuda?  
Nadziemski hymn skądś się płynie  
Czarowną nutą,  
Takie się pienie nie uda  
Na ziemskiej płaczu dolinie  
Pod troską lutą!

W mem łonie gwałtownie wzbiera  
Radością fala nabrzmiała,  
Szałem rozkoszy,  
I pierś zachwytem rozpiera,  
I duszę wyrywa z ciała,  
I smutki płoszy.

(wpatruje się zdumiony i z zachwytem rosnącym)

Wzroku mój bystry, przytomny sługo,  
To nie twój oman, że widzę w dali,  
We wrotach tęczy świetlanych,  
Nad traw szmaragdem, pod złotą smugą,  
W obłokach z pereł, róż i opai,  
Plemię istności wybranych!

Wspaniałe torsy, królewskie czoła,  
Wzniosłe postawy z orlemi oczy,  
Suną w radośnym pochodzie.

Duch silny blaski śle dookoła,  
Witają wschodu obraz uroczy  
W wiosennej jutrzni ochłodzie!

(w ekstazie)

O, widzę, was, widzę, wy marzeń najdroższych wcielenia,  
Ozdobo szlachetna i kwiecie dojrzały stworzenia,  
Hej, skrzydeł mi dajcie, bym mógł, jak na skrach błyskawicy,  
Pomknąć i powitać i błogość z ich wyssać żrenicy!  
Ach, spieszcie, o szczęśni, i dajcie mi smak ideału,  
Bo serce na popiół mi stleje od niecierpliwości upału!

(rzuca się wstecz z nagłym krzykiem najwyższej rozpaczy)

Ha! coś mi nagle zaćmiewa  
Cudowne jutra widziadło —  
Gdzie pył rubinowy powiewa,  
Dreszczowe mroki pokładło.

Z tarczy ślepiących szafirów  
Mogilna się postać wylania,  
I czernią cmentarnych kirów  
Promienny obraz przesłania.

(z rosnącą trwogą, podczas, gdy światła stopniowo bledną — i ręką  
odpychając widziadło, które się ukazało na tle zórz)

Ha! mrozie kości, Gorgono!  
Znam ja tve rysy, potworze!  
I z węzów kosę plecioną  
I ócz uroki złowroże.

Jak orkan mknący po niebie  
W mórz głębiach gniewy swe znaczy,  
Tak ja poznaję, ach, *siebie*  
W zwierciedle twojej rozpaczy!

Ha! znam cię! chodzące piekło,  
Mistrzu Stefanie, Hiobie,  
I wargą przeklinam wściekłą!  
A choć ból ciało, jak Niobie

W skałę powoli mi zmienia,  
Nie mam litości nad tobą —  
Wampirze! duszo z kamienia...  
Tyranie — tuczny żalobą!

Wiem, w smutku stroisz się sławę  
I żebrzesz lzy miłosiernej,  
I rany obnażasz krwawe,  
I chcesz, bym jako pies wierny,  
Lizaniem ich ból łagodził!  
Zaiste, jak pies bezdomny,  
Po górach, jarach jam brodził  
Żądzą i głodem ogromny!

Lecz ran ci spiekłych nie zgoję,  
Nie dam im zrosnąć się w blizny,  
Bo są w języku mym zdroje  
Gorszej nad żmije trucizny!  
(zrywa się nieprzytomnie i pędzi ku widmu)

Krwiożerczym kłem cię rozszarpię,  
Jak Anteusza — psy Dyany,  
Pazury moje jak harpie  
Wpiją się w mózg twój spękany...

Ha, kacie! Z biesem pobratan,  
Ja krew twą ciepłą pić będę!  
Zgrzytnę chichotem, jak szatan,  
Gdy serce z piersi dobędę,

(pada na kolana i tarza się konwulsyjnie ku widmu)

I wzrok drgawkami twych członków upieszczę,  
I wonie żył twych nozdrza mi nasyca,  
Aż się stalowe śmierci zewrą kleszcze,  
I mnie wraz z tobą w czarny grób pochwyca!

(Cały obraz znika. Ciemność na chwilę zalega scenę. Powoli rozwija się brzaskiem dnia i poblądłem światłem lamp wschodnich. Na kanapie siedzi zbudzony jakby z ciężkiego, niespokojnego snu Stefan a nad nim łagodnym i dźwięcznym głosem Bajadera.)



BAJADERA.

Darujcie, panie, że was ze snu cuję,  
Lęk nas zdjął wszystkich, czyście nie zawiele  
Wzięli odwaru... Tu ludziom wesele —  
Śpiewy i śmiechy kędy okiem rzucę,  
Lub drzemka błoga pod czarów zakłęciem  
Z twarzą promienną, jakby wniebowzięciem;  
A wam się lica kurczą, cierpień bojem,  
Głuchy, tłumiony jęk wciąż o coś woła —  
Którego słuchać nikt zimno nie zdoła —  
I łzy z ocz płyną nieprzerwanym zdrojem...

W jesieni r. 1894.



# NATURA I SIŁA<sup>1)</sup>.

NAPISAŁ

WACŁAW NAŁKOWSKI.

Starajcie się tylko o siłę, a wszystko  
inne będzie wam przydane.

W końcowym rozdziale swych wybornych *Szkiców Przyrodniczych*, zatytułowanym „Człowiek i przyroda“, p. Kramsztyk podejmuje ideę Rousseau'a, ideę powrotu do natury; a jakkolwiek uznaje, że powrót taki, jakiego chciał zagniewany na cywilizację znakomity genewczyk, jest niemożliwy („albowiem człowiek po raz drugi narodzić się nie może“), to jednak w niezwykle pięknym porównaniu podnosi zasługę Rousseau'a w tem mianowicie, że nas nawrócił ku przyrodzie *uczuciowo*, i upatruje w tem podniesienie etyczne człowieka, przeciwwagę ambicyi oraz argument wobec tych, co w naukach przyrodniczych widzą wpływ demoralizujący materyalizującą człowieka.

„Zdarza się — mówi autor — że dziecię skromnej lepianki, syn chaty wiejskiej, dzięki zdolnościom swoim i pomyslnemu zbiegowi okoliczności, wyrasta na pana wielkiego, staje się ministrem, biskupem; ale nieraz wśród wspaniałości i wrzawy nowego swego otoczenia, szczęścia nie znajduje; ludzie, co go otaczają, nie odczuwają tajnych serca jego porywów, nie może z nimi uczuć swych podzielić, z myśli

---

<sup>1)</sup> Artykuł ten i następny były już *częściowo* drukowane w „Prawdzie“, ale wiążą się one ściśle ideowo z artykułem moim, „Forpocząty“ i potrzebne są do jego zrozumienia; dlatego pomieszczam je tutaj.

swoich wypowiadać się przed nimi nie potrafi, czuje się obcym i osamotnionym.

Wtedy budzi się w nim tęsknota za ciszą i skromnym bytem dzieciństwa, tam szczerze i serdecznie powitają go dawni towarzysze, tam matka, choć prosta, ukoji boleści jego. W tęsknocie tej mieści się przeciwwaga dla dążeń jego ambicyi, narzuca mu ona oględność w doborze środków, które mają go do celu dowieść, staje się źródłem uczuć szlachetnych.

*Podobnież i człowiek wzniosł się nad przyrodę, ale wśród blasku cywilizacyi nie jest szczęśliwy, samotnym czuje się nawet wśród tłumu... Wyrrywamy się więc ku przyrodzie, która przedstawia nam jakby minione dzieciństwo nasze, które jest dla nas najdroższem zawsze wspomnieniem. Rozwój świadomości jest źródłem udręczeń, więc tęsknimy do przyrody, jako nieświadomej.“*

W kwestyi podjętej przez autora *Szkiców* pozwolimy tu sobie rozwinąć parę własnych poglądów.

Naprzód twierdząc, że powrót do natury w duchu Rousseau'a jest niemożliwy, choć upragniony, winni jesteśmy *postawienia na to dowodu*; otóż sądzimy, że *dowód taki tkwi* w zasadzie walki o byt jako w czynniku rozwoju, cywilizacyi, oddalania się od natury. Ludy natury giną w walce o byt z ludami cywilizacyi, powrót więc pewnego ludu do stanu natury byłby dlań wyrokiem zagłady, powrót zaś całej ludzkości na łono natury byłby tylko nowem rozpoczęciem tej samej gry, którą ludzkość zaczęła już od wieków: *śród tej ludzkości powróconej na łono natury wywiązałyby się walka o byt, która zaczęłaby ją znowu oddalać od stanu natury po raz przebytej już drodze cywilizacyi.*

Co do walki z twierdzeniem, że *nauki przyrodnicze znoszą cześć dla ideału, wiodą do egoizmu, materyalizują człowieka* i t. d., to sądzimy, że jest ono dość niedorzeczne, aby warto było z niem walczyć. Wszelka praca naukowa jest zawsze przetwarzaniem energii życiowej z cielesnej na du-

chową, zwraca ona człowieka od zewnątrz ku wnętrzu, uduchowia go; ci więc pracownicy myśli, którym praca spędza krew z policzków i wysusza tłuszcz podskórny, są prawdziwymi duchownymi, nie ci, którzy wymyślają na materializujący wpływ nauki, a sami żyją jedynie najgrubszymi popędami ciała.

Co się tyczy  *tęsknoty do przyrody*, to bynajmniej nie zaprzeczamy faktu jej istnienia wśród ludzi; każda lepsza, wyżej uorganizowana jednostka doświadcza jej lub doświadczała w pewnych chwilach życia, lecz  *geneza tej tęsknoty i wartość jej ze stanowiska społeczno-ewolucyjnego* przedstawia nam się nieco inaczej, niż autorowi. - Mimo całego uroku tej tęsknoty, który znalazł tak piękny wyraz w przytoczonych wyżej słowach, nie możemy jej uważać za  *plus* w rozwoju ludzkości, za jej ideał.

*Tęsknota do natury jest prosto objawem znużenia*<sup>1)</sup>; doświadczają jej jednostki wyczerpane zapasami na arenie rozwoju cywilizacyjnego, a także (co zresztą w zasadzie jest identyczne) jednostki, które, znajdując się jeszcze w niskim, mało od natury oddalonym stadium rozwoju, zostaną rzucone nagle w obcy im wir cywilizacji, która ich oszalałami i przynębia. *Ideałem ludzkości nie jest natura, lecz siła*; nie odpoczynek, nie żywot rajski na jej łonie, nie nirwana, lecz walka; spoczywać na łonie natury, idzie inwalida cywilizacji (lub zwierz zbiegły z menażeryi), silny dąży tam, gdzie najgorętszy wre bój!...

Rzeczywiście przy *każdej formie znużenia* zawsze objawia się owa tęsknota do natury. Tęskni do niej zarówno wojownik okryty ranami, jak i człowiek przepracowany umysłowo, przefilozofowany lub też rozpustnik zużyty zmysłowo; zarówno człowiek wyczerpany orgiami ducha, jak i orgiami ciała. Ta tęsknota, tak pięknie przez autora przedstawiona,

<sup>1)</sup> Mowa tu o tęsknocie ze stanowiska czysto uczuciowego, po za wszelkimi względami artystycznymi lub naukowymi.

jest jednak w rezultacie identyczna z uczuciem tego smakosza i viveura, co długi czas objadał się ostrygami, pasztetami, homarami, spijał benedyktyny, chartreusy, szampany, co młodość strawił wśród elegantek paryskiego półświatka... „tęskni“ on za — grochem z kapustą i chlebem razowym, za „czystą“ wódką, która trąci karczma, za prostą dziewczyną wiejską (jak znowu dama wielkiego świata za zakopańskim „frajerem“).

Znużenie to nie koniecznie musi towarzyszyć cywilizacji wysokiej, albowiem jest to objaw względny, zależny od umysłowego stadyum, umysłowej siły jednostki: siłacz podźwiga się dopiero ciężarem dwustufuntowym, dla dzieciaka lub charłaka wystarczy już pięćdziesięciofuntowy. Mamy na to przykład zarówno w naszej młodzieży szkolnej, która przeciążona nauką chętnie ucieka ze szkoły „na łono natury“, jak i na australczykach, botokudosach i t. d., którzy, pokonczywszy gimnazya, zrzucają z siebie cywilizowaną skórę i uciekają na pustynie lub w lasy, aby tam razem ze swymi dzikimi rodakami żyć życiem włóczęgów (analogia z owym „dzieckiem chaty wiejskiej“, które stało się „panem“).

Dla uzupełnienia powyższej ilustracji „tęsknoty do natury“, zwrócimy jeszcze uwagę czytelnika na dwa blisko z nią spokrewnione objawy, mianowicie *knajpizm* i *chłopomaństwo*. Że knajpizm jest wynikiem znużenia, wyczerpania, choroby, to naturalnie nie potrzebuje dowodzenia, a jednak jest on tylko leczniczo-realną formą idei Rousseau'a. Co do rozpowszechniającego się u nas w ostatnich czasach chłopomaństwa, nie mamy tu na myśli ani rozumowo-społecznego, mającego na celu umysłowe i ekonomiczne podniesienie ludu, ani też naukowo-etnograficznego, mającego na celu naukowe zbadanie objawów życia ludowego i w ogóle życia ludów pierwotnych (jeżeli kierunki te można nawet w ogóle nazwać tem mianem), lecz chłopomaństwo właściwe t. j. *uczuciowo-obyczajowe, czułościowo-sielankowe*, które chętnie ubiera się w sukmanę i łapcie, zarzuca grzebień i mydło, jako wymy-

sły niemiecko-szatańskie, wpada w świątobliwą ekstazę na widok chłopskiej budy lub chłopskich wierszydeł, przypisuje ludowi niebывałe cnoty i idealność uczuć na podobieństwo owych, nieznaną etnologii podróżników, którzy dziś zachwycali się gołębią dobrocią człowieka pierwotnego, a nazajutrz „spoczęli na łonie natury“, t. j. w jego kanibalskim żołądku. Temu to prądowi u nas przypisać należy, że w dobie ostatniej głównym kierownikiem filozoficzno-estetycznej myśli polskiej jest Sabała! — dostawca żętycy dla chorych żołądków i mądrości dla chorych, lub uwstęcznionych w rozwoju mózgow. „A Pan Bóg — mówi ten prorok — śmierć chrast w pysek“. Ach jakież to ładne!! — woła w ekstazie taki niewiedziony przez *chłopomania-idillica*, a za nim odbekuje toż samo całe stado Panurga. Idąc za tą ideą, ludzkość powinna zarzucić tragedye Shakespearea, poemata Byrona, utwory Goethego i t. d., zarzucić prawa Keplera i Newtona, odkrycia Wattów, Edisonów i t. d., i t. d., zarzucić wszystkie swe zdobycze, co tyle łez i krwi ją kosztowały i iść po naukę i piękno do peszeresów, buszmanów, australczyków i — Maćków.

Powiedzą mi może, iż wszystkie zdobycze cywilizacji w pierwotnej umysłowości człowieka wzięły swój początek? Bardzo dobrze, ale stąd bynajmniej nie wynika, aby teraz trzeba było powracać do początku; niech ci panowie chłopomani zechcą łaskawie odrzucić uszlachetnione kulturą bery i spożywać twarde jak kamień, a kwaśne jak ocet gruszki polne i niech wołają ze zdławionem gardłem: ach jakie to smaczne! Z pewnością nie zrobią tego, bo chociaż i smak się psuje (jak zauważyliśmy wyżej), to przecież zwykle nie tak prędko jak mózg; a zresztą ta nasza *chłopomania idillica* jest po większej części objawem mózgow nie przecywilizowanych (bo takich u nas mało), lecz raczej niedocywilizowanych lub tylko względnie przecywilizowanych (smak zaś nasz stoi zwykle na wysokości cywilizacji); my jesteśmy jak ów australczyk lub botokud, dla których już średnie wy-

kształcenie było za silną dozą cywilizacji tak, iż wyczerpani nią, uciekają na łono natury.

A może panowie chłopotomani sądzą, że australczyk lub botokud utrzymają tym sposobem swą narodowość? Jeżeli tak, to są w grubym błędzie: schłopienie narodu jest jego zgubą: „mój Boże, mówiła pewna szlżaczka do turystów, czy też studentów wrocławskich, tacy porządni panowie i mówią po polsku!“

Zechciejmy przecież zrozumieć to, że jeżeli *wolno* komus, co „znużony cierpieniem, przeciwnością, wiekiem“, chce osiąść wśród „Łobzowian“, żyć ich życiem prostem, nie wyczerpującem nerwów; że jeżeli *należy* podnosić lud umyślowo i ekonomicznie oraz badać naukowo objawy nikszej jego pierwotności, to nie wolno i nie należy odwrotnie: życia takiego uważać za ideał ludzkości, a plody ducha człowieka pierwotnego wnosić in crudo do cywilizacji i tym sposobem powstrzymywać jej rozwój.

Wskutek tego opaczego prądu zwykle materyały do etnografii identyfikują się z płodami artyzmu lub głębokiej myśli, a zatem idzie znów przecenianie zasług zbieraczy: jakiś fotograf lub rysownik, który przedstawił nam parę typów chłopskich, będzie uchodził za etnologa, jakiś szczęśliwy posiadacz osobliwie pomalowanego jaja, kijanki o dłuższym trzonku niż zwykle, jakiś znalazca skorupy lub dobitniejszego wariantu z poematu „Kaska za piec“ i t. d. jest u nas obecnie uważany za potęgę naukową, przynajmniej tak wielką, jak głęboki znawca i szczęśliwy posiadacz marki pocztowej z wyspy Mauritius! (a to nie jest wcale bagatela!)

Nie chcemy tu bynajmniej zaprzeczać, że n. p. niektóre motywy pieśni lub podań ludowych jako objawy pewnej *siły* (o czem niżej) *obrobione* artystycznie przez mistrza tonów lub słowa, mogą się stać wielkimi utworami sztuki, podobnie jak pewne kamienie, w naturze zanieczyszczone i niekształtne, stają się po oszlifowaniu najpiękniejszą ozdobą. Nie myślimy przeczyć, że wszelkie, choćby najdrobniejsze, choćby

najniedorzeczniejsze objawy życia ludu mogą posłużyć uczonemu etnologowi do *zbudowania doniosłych praw naukowych*; chodzi tylko o to, by objawów tych nie traktować ze stanowiska mdłej czułości. Co innego jest, powtarzamy, chłopomanstwo idylliczne, a co innego socjologiczne lub etnologiczne; tak samo jak co innego jest „tęsknota na łono natury“, a co innego badanie tej natury przez uczonego przyrodnika lub skierowywanie jej sił na pożytek społeczeństwa przez doświadczony technika. Nie chcemy tu wreszcie bynajmniej tłumić „zapału“ tych etnografów zbieraczy, bo naturalnie lepiej, gdy jakaś „panienka ze dwora“ zamiast zbierać plotki szlacheckie dość banalnego kosmopolitycznego charakteru, zbierać będzie typowe gadki chłopskie — chodzi nam tylko o to, aby rzecz każda była postawiona na właściwym jej miejscu, *suum cuique!* Albowiem gdy społeczeństwo będzie jedne produkty opłacać moralnie zbyt wysoko, to na inne zbraknie mu odpowiedniej monety i tak też dzieje się w rzeczywistości <sup>1)</sup>.

\* \* \*

<sup>1)</sup> Analogiczny pogląd na wartość szczegółów etnograficznych i ich zbieraczy był już w „Prawdzie“ poprzednio w krótkości wypowiedziany tak przez niżej podpisanego (z powodu „obrony“ geografii), jakoteż przez „Posła Prawdy“. Pogląd ten wywołał polemikę między innymi w tak poważnym piśmie etnograficznym jak *Wista*. Sądzimy, że polemika ta wynika jedynie z nieporozumienia, które chyba zostanie usunięte powyższym rozbiorem tej kwestyi. A jeżeli p. I. K. mówi przy tej sposobności w *Wiśle*, że „możemy się wiele nauczyć od Maćków“, to my dobrze wiemy, co taki znawca metod naukowo-etnograficznych mógł pod tym wyrazem rozumieć. Znaczy to, że jeżeli będziemy studyować n. p. budowę bobrów albo robotę pszczół, to możemy się nauczyć wiele o ich instynkcie, sposobie życia i t. d., lecz naturalnie nie nauczymy się *od nich* budownictwa ani teorii maximów i minimów; albowiem nasza technika i nasza umysłowość przeżyła dawno stadyum bobrów i pszczół i nie myśli bynajmniej do nich powracać. Podobnie gdy dowiemy się od „Maćków“ z europejskiej niziny, że kamienie erratyczne „czort rozsypał“, od czarnogórców, że ich góry powstały wskutek rozerwania się worka z kamieniami unoszonego przez Boga; od czikosów, że liczne serpentyny ukochanej ich Cissy powstały dzięki szcze-



Chociaż ze stanowiska *ogólno - ewolucyjnego* musieliśmy wystąpić przeciw tej, że tak nazwiemy, *naturotropii* (która przybiera różne formy a między innymi formę chłopomanii), to jednak z *obecnego* stadium rozwojowego musimy przyznać, że tęsknocie do przyrody, obok maniaków i zacofańców rzuconych w wir cywilizacji, podlegają nieraz, jak to już wspomnieliśmy, właśnie ludzie najwyżej uorganizowani duchowo, albowiem oni właśnie w obecnej, wśród nienormalnych warunków toczoney, walce o byt zużywają się najbardziej (podczas gdy filistrzy zadowoleni prosperują); są to właśnie wyżej wspomniani „siłacze“, zmuszeni dźwigać gwichty zbyt wielkie, i dlatego podźwigują się mimo swych sił niezwykłych. I rzeczywiście, któż z dzisiejszych wyższych duchów, stojących na wyłomie, wiodących bezustanne a beznadziejne (dla siebie samych przynajmniej) zapasy, nie doświadczał, przynajmniej w pewnych cięższych chwilach walki, tej tęsknoty? Kto nie pragnął wtedy „w ciszy wiejskiej zagrody zapomnieć, że są na świecie narody“; kto nie powtarzał „dość, dość żyłem nie sobie... ha, tam chyba

gólniejszej pieczy jakiegoś świętego, który, chcąc suche ich stępy obdarzyć rzeką, zaprzął osła do pługa, dosiadł go i zaczął wyorywać bródzde; lecz żarłoczny osioł, szukając trawy, zbaczał co chwila to w jedną to w drugą stronę i pokrzywił bródzde i t. d., to przez te wszystkie wiadomości zobgaca się nasza wiedza o słabości umysłu człowieka pierwotnego, lecz naturalnie nie nasze teorie lodowcowe, orogeniczne lub hydrologiczne. To znaczy jednym słowem, że p. I. K. mówiąc, iż możemy się wiele nauczyć od Maćków, rozumiał przez to, iż możemy się wiele nauczyć na Maćkach i na to zupełna zgoda. Ale zbieracz weźmie to natychmiast w znaczeniu „Lodowej Pieczary“ i tem tylko szkodę przynieść może, albowiem takie twierdzenia źle zrozumiane, podsycają istniejący obecnie u nas zastęp ludzi, którzy w dobrze zrozumianym własnym interesie są zasadniczymi nieprzyjaciółmi nauki, nie chcą nic wiedzieć o rozumie filozoficznym i odgrzebuują stare rzeczy o zdrowym czyli chłopskim rozumie (według którego naturalnie słońce obraca się około ziemi), a posiadając mechaniczną zdolność pisanія, bałamucają umysły i tak już bardzo potrzebujące światła. To jest jedną z przyczyn dzisiejszej reakcy historycznej; powrotu do dawnej prostoty, dawnych wierzeń, dawnych głupstw.

odżyje, gdzie powietrza, gdzie stepów do woli“; kto nie zazdrościł Indyaninowi, przebiegającemu swobodnie dziewicze lasy Nowego Świata, kto nie zazdrościł wolnemu synowi pustyni jego wyścigów z wichrami, horyzontu bez końca, nieba bezchmurnego, nocy iskrzących się gwiazdami jaśniej; żywiej niż u nas... Jakkolwiek oni uczuć nam podobnych nie doświadczają: uczuć takich względem takich obrazów przyrody może doświadczać ten tylko, „kto je utracił“. Najlepszą zresztą ilustracją, że najwyżej uorganizowane jednostki podlegają właśnie tej tęsknocie do przyrody, jest sam naukowy inicjator idei powrotu do przyrody, Rousseau, jak również analogiczny z nim dzisiejszy filozof Nietzsche: gruntem u obu jest wyczerpanie się cywilizacją, a czy ono objawi się w formie tęsknoty do spokoju na łonie natury, czy w formie tęsknoty do pierwotnych instynktów, startych przez cywilizację, to jest to już tylko kwestya temperamentu danego osobnika. Objawy takie antycywilizacyjne u duchów potężnych, które wdarły się aż na szczyty cywilizacji, przypominają tego wodza, który forsownym marszem dażył w bój i wszystkie swe pułki wprowadził odrazu w ogień; zdobył najwyższe pozycje, lecz już nie miał siły do ich utrzymania; musiał się cofnąć, wyrzekając się wszystkich korzyści zwycięstwa.

W tem, że właśnie najwyżej uorganizowane jednostki podlegają dziś często (choćby chwilowo) tej tęsknocie do natury, leży po części przyczyna złudzenia, że ta tęsknota jest jednoznaczna z „uczuciami szlachetnymi“; a zresztą człowiek tęskniący do przyrody (spokoju) jest już inwalidem (choćby chwilowym), ustępuje z placu, nikomu nie przeszkadza w wiecznych wyścigach: zyskuje on przez to naszą sympatyę, nazywamy go „szlachetnym“, jak *lucus a non lucendo*, gdyż jest on właśnie niezdolny do walki (*Schlacht*).

Gdy wreszcie rzucimy okiem w *daleką przyszłość*, to znajdziemy jeszcze jeden argument przeciwko *stałemu powrotowi do natury*. Ludzkość dożyje bowiem chwili, gdy

powrót do natury byłby nietylko bezużyteczny, lecz *absolutnie* niemożliwy, a to z tego prostego powodu, że nie będzie już do czego powracać: „natura“ w tym znaczeniu, o jakim mówimy, zniknie; krajobrazowa różnorodność otoczenia będzie jedynie objawem działalności człowieka. Gdy na „dziewicze“ dziś jeszcze szczyty gór, lśniące w promieniach słońca srebrną oponą śniegów, pobiegą szyny kolei; gdy rzeki, wijące się malowniczo wśród zielonego kobierca łąk, staną się prostymi jak sznur kanałami, ujętymi w tamy; gdy dziko - wspaniałe nieokiełznane dziś wodospady staną się fabrykami elektryczności; gdy niezmierny ocean zostanie pokryty pływającymi miastami; gdy orkany będą pracować dla człowieka; gdy groźne dziś kuźnie Hefajsta staną się kuźniami zwykłymi; gdy nawet widok nieba gwiazdowego zaćmiewać będą liczne statki lub nawet miasta powietrzne; gdy szumiące bory, wśród których można „upolować“ tyle dumań“, znikną, ustępując miejsca intensywnej kulturze i t. d., i t. d., cóż wtedy z dzisiejszej „natury“ zostanie? Wtedy „natura“, a właściwie otoczenie, będzie jedynie wyrazem wszystko łamiącego rozumu ludzkiego, nieugiętej woli ludzkiej, niezmiernych, nieskończonych pragnień ludzkich!

Tak więc okazaliśmy, jak się zdaje, że:

1) *Stały* powrót do natury jest szkodliwy lub przynajmniej bezużyteczny z powodu walki o byt.

2) Jest objawem znużenia, nie może być ani społeczno-filozoficznym, ani uczuciowo-etycznym ideałem ludzkości, która dąży dalej i wyżej.

3) W przyszłości ludzkość nie będzie miała nawet do czego wracać, bo natura zniknie.

Tęsknotę do przyrody możemy więc uznać obecnie nie jako ideał, cel ostateczny, lecz tylko jako potrzebę *chwilowego odpoczynku*; odpoczynku na to, by tem skuteczniej podjąć dalszą walkę na drodze *oddalania się od przyrody*. Rzeczywiście mamy przykłady, że jednostki dzielniejsze, gdy,

wyczerpane walką, usuną się w tę przyrodniczą nirwanę, by raz przecież zaznać spokoju, to po krótkim czasie krew znów w nich grać zaczyna, pragną powrócić znów do życia intensywnego, życia cywilizacji, do ruchu, do walki — jak ów dzielny żołnierz, którego rany wtrąciły do szpitala: zaledwie rany zablizniać się zaczną, już wyrывa się do szeregów na pole walki.

W objawach tych widać to, co ze stanowiska ewolucyjnego można twierdzić a priori i cośmy już nadmienili, mianowicie, że *ideałem ludzkości nie jest natura, nie żywot rajski na jej łonie, nie odpoczynek wieczny, nie nirwana, lecz siła!* Nie darmo już dawniej jednostki wybrane rozumiały, że „Bóg jest przyjacielem silnych“, a dziś wszyscy ludzie coraz bardziej dochodzą do przekonania, że zakon należy nieco zmodyfikować: „starajcie się tylko o siłę, a wszystko inne będzie wam przydane“. Kto, dzięki pracy własnej i pracy przodków, nagromadził w sobie największy zapas sił; kto może je najdłużej wyęczać, do najwyższego stopnia napiąć; kto potrafi je skoncentrować błyskawicznie na jeden punkt, by jak wódz genialny olbrzymią przewagą i szaloną furią zdruzgotać przeszkody, tamujące ruch naprzód, w górę, do celu — ten jest tryumfotorem!

Ta dążność ludzkości naprzód, coraz wyżej i wyżej, jako wynikająca z odwiecznego prawa ewolucyi, ma w sobie coś żywiołowego, co nie opuszcza jednostek dzielniejszych nawet w chwilach największego niebezpieczeństwa, nawet w chwili śmierci. „Naprzód, naprzód!“, wołał Alonzo Pinzon, wódz kolumbowej karaweli, gdy przed nim rozpościerał się ocean bez końca, pod nim tajemne jego głębie, dokoła brzmiało groźne szemranie załogi-filistrów. „Naprzód dzieci, naprzód!“, wołał ugodzony śmiertelnie pewien wódz szturmowej kolumny, „umrę szczęśliwy, widząc was na szczycie tych skał“.

Czcząc siłę jako najwyższy ideał ludzkości, nie jesteśmy przez to bynajmniej bezkrytycznymi wyznawcami nietzschea-

nizmu; *czcząc siłę bowiem, nie koniecznie trzeba widzieć jedyny jej wyraz w instynktach pierwotnych, a jedyną jej miarę w powodzeniu.* Dla wyjaśnienia tej różnicy musimy przedewszystkiem rozróżnić dwojaką ocenę człowieka: *absolutno - dynamiczną (biologiczną)* i *względnie - dynamiczną (społeczną).* Zasadniczą wartością człowieka jest jego siła absolutna, realną zaś wartością człowieka jest forma objawienia się tej siły, to jest stosunek tego objawienia do potrzeb społecznych. Pierwsza siła, którą, teoretycznie rzecz biorąc, można wyrazić przez pewną ilość kilogrammów lub koni parowych (*mechaniczny równoważnik człowieka*), posiada wartość stałą; wartość drugiej zmienia się stosownie do zmiany stosunków społecznych; pierwsza jest ważniejsza z ogólnego stanowiska ewolucji wiekowej, druga ze stanowiska danej chwili lub danej fazy rozwoju. Zważywszy jednak, że siła ludzka, jak każda siła, ulega *transmisji*, że może być *zwrócona* w pożądanym dla danej chwili kierunku, objawić się w *pożądanym formie*, przyjdziemy do przekonania, że w ocenie człowieka jego siła absolutna powinna mieć pierwszorzędnę znaczenie, a możliwe spotęgowanie tej siły (*obok możliwego ulatwienia transmisji*) musi być ideałem tak pojedynczego człowieka, jakoteż całej ludzkości. (Pierwotne więc instynkty mogą zasługiwać na cześć jedynie jako wielka siła absolutna, ale nie jako jej forma przejawienia).

Podobnie gdy inżynierowie oceniają potoki jako motory, to na pierwszym miejscu stawiają potok, mający najsilniejszy pęd, jakkolwiek wartość jego może być w danej chwili dla danego kraju niszcząca; wiedzą bowiem, że ta sama siła, która dziś jest zniszczeniem, skierowana właściwie, a umiejętnie, stanie się źródłem bogactwa kraju, błogostawieństwem społeczeństwa; podczas gdy potok, sączący leniwie swe skąpe wody wśród niziny, nie sprowadza wprawdzie zniszczeń (zresztą za to zabagnieniem wywiera zwykle wpływ trujący), ale też nie da się zużytkować korzystnie; albowiem siła da się skierować, lecz nie da się stworzyć.

Dzięki transmisji, siła popędów pierwotnych, pragnień egzystencyjnych, powstrzymana w swym wylewie pewnymi tamami, skierowana w pewne łożysko, przetwarza się w dodatnią siłę społeczną. Dzięki tej transmisji, n. p. dzieci, wszystko ruszające i psujące, uparte, zacięte, stają się często w wieku dojrzałym dzielnymi członkami społeczeństwa, chlubą ludzkości. Ta sama siła objawiła się w Kolumbie, naprzód jako w zuchwałym rozbójniku morskim, później jako w wytrwałym odkrywcy; zarzucają mu tuzinkowi moralisci, że miał żądę złota, podobnie jak Stanleyowi, że miał żądę kości słoniowej. Naiwni nie wiedzą, że ta żądza stała się właśnie pobudką odkrycia „Nowego świata“, oraz rozjaśnienia pomroki, kryjącej wewnątrz „tajemniczego kontynentu 1)“.

Transmisja sił odbywa się bądź pod wpływem okoliczności życiowych, bądź jest prowadzona systematycznie przez hodowlę społeczną (system „otamowań“). I tak n. p. wiadomo, że gdy społeczeństwo chce mieć dajmy na to słoninę, to bierze wieprza, zamyka go, tamuje swobodę jego ruchu, okalecza go i powstrzymując w ten sposób zużycie siły w celach osobnikowych, zamienia je na cel korzystny dla siebie, na wytwór słoniny. W podobny sposób postępuje i z osobnikami ludzkimi; chce mieć n. p. nauki, wynalazki, sztuki, ulepszenia techniczne i t. d., bierze w tym celu człowieka i od dzieciństwa wychowaniem opanowuje jego siłę życiową; zmuszając go do pracy siedzeniowej, do wyczerpania umysłu; traktując odpowiednimi moralami, przykładami poświęceń, sławy i t. p.; tym sposobem nadaje ono życiowemu potokowi osobnika pewne tamy, pewien spadek i pewien kierunek, aby namlił jak najwięcej mąki społecznej. U jednostek przeciętnych, sił mniejszych, ta transmisja odbywa

1) Szczegółową ocenę Kolumba na podstawie tych zasad patrz w artykule moim „Nowe prace na polu historii geografii“. Ateneum 1894. I. str. 114 i nast.

się nieświadomie dla nich, podobnie jak u wieprzów; są oni zadowoleni z tego, że dali się społeczeństwu skrępować, zamknąć, zarzącić; są to Wagnerzy. U innych, potężniejszych jednostek, budzi się prędzej lub później świadomość gwałtu, popełnionego przez społeczeństwo na ich naturze i reszta wielkich sił jeszcze nieużytych staje się zarzewiem buntu, niby ostatni żywy płomień gasnącej lampy; są to Fauści. Transmisja więc sił małych okazuje się łatwiejszą, niż wielkich; stąd jednak nie wynika, aby pierwsze miały posiadać większą wartość społeczną, aby drugie były antyspołecznymi, albowiem siła wielka nawet bez wszelkiego przymusu zwykła promieniować we wszystkich kierunkach, zwykła rozrzucać na wszystkie strony hojne dary swej bogatej natury; bunt wynika tylko z gwałtu na niej uczynionego z nadmiernego wyzysku i nieekonomii transmisji. Społeczeństwo jest nienasycone: nie dość mu tego, co dać może nawet najbogatsza natura osobnika, ono wydziera mu i to, co jest jego własnością niepodzielną, bez której osobnik musi zginąć; prowadzi gospodarstwo rabunkowe, samo postępuje antyspołecznie, gdyż wybrakowuje siły większe, sprzyja łatwiejszym do transmisji, ale mniejszym. Z czasem naturalnie pod wpływem hodowli, z jednej strony umiejętność transmisji wśród społeczeństw, z drugiej łatwość jej wśród osobników musi się zwiększać<sup>1)</sup>. Z czasem rozwinięciem może taki „nadczołowiek“, który będzie w stanie przeprowadzać sam w sobie taką transmisję w możliwie najkrótszym czasie; byłoby to coś w rodzaju „zamykania jednej szufladki a otwierania drugiej“ (jak o sobie mawiał Napoleon), tylko

<sup>1)</sup> Jak umiejętność transmisji sił ludzkich w znaczeniu intelektualnym powinna być zadaniem socjologii, tak umiejętność transmisji w znaczeniu fizycznym powinna być zadaniem medycyny: ileż to chorób mogłaby ona usunąć, ilu ludzi znakomitych uchronić od wczesnej śmierci, gdyby jej się udało n. p. część siły z genialnego mózgu uczonego przenieść do jego suchotnicznych piersi; część siły mięśni przenieść do osłabionych nerwów i t. p.

w daleko obszerniejszym zakresie. Tym sposobem społeczeństwo uniknie częstego dziś marnowania sił wielkich, co jest najważniejszym interesem ewolucyi.

Transmisya siły może się odbywać nietylko *w obrębie danej jednostki*, lecz może *przechodzić z jednej jednostki na drugą*; pominąwszy tu znów transmisję fizyologiczną, którą powinny się więcej, niż dotąd, zająć medycyna, zastanowimy się nad *psychiczną*. Przykład jej mamy w tem, co nazywamy talentem, to jest w pewnej formie przejawienia się siły absolutnej człowieka („iskra boża“ dawniejszych autorów). Jeden artysta narysuje ołówkiem puszcę, i dreszcz grozy przeniknie cię na jej widok, czujesz, że za chwilę wśród tej głuchej puszczy grom wojny się rozlegnie, opary krwi gorącej ją napętnią, i w duszy twej powstają cenne uczucia miłości i nienawiści, cenne pragnienia pracy i walki. Drugi wymaluje wojnę ze wszystkimi jej barwnymi szczegółami, a ty stoisz w obec jej widoku zimny, nieporuszony, nie zapominając ani na chwilę, że przed tobą nie walka wre, lecz wisí płótno, na które pędzlem nałożono farby. Fala życia, fala krwi nie uderzy na cię z obrazu, i nie zakipi falą krwi twej własnej. Ta fala, która w tobie na widok obrazu uderza, to właśnie transmisya psychiczna siły artysty, krórą ty możesz zużytkować stosownie do swych uzdolnień i ideałów. Podobnież rzecz się ma z utworem muzycznym: jeden zagra go z wielką biegłością, wykończeniem, według wszelkich wymagań teoryi sztuki, a jednak nie zrobi wrażenia; drugi zagra z mniej może doskonałą techniką, a jednak stanie się dla ciebie Tyrteuszem. Na tem właśnie polega wartość, którą daje talent, i to nawet wtedy, gdy on wyraża się w formie nieodpowiedniej: gdy n. p. pisarz utalentowany nie posiada dość wykształcenia filozoficznego lub socyologicznego; mimo niezgadzenia się na jego poglądy, cenimy jego talent, to znaczy cenimy znaczną siłę absolutną, która nam się udziela i my możemy ją zużytkować w sposób odpowiedniejszy.



Tak więc w ocenie człowieka mamy do rozważania dwa względy: jego siłę absolutną i jej transmisję; ideałem ludzkości jest spotęgowanie i *uruchomienie siły*.

Co do *powodzenia*, o którym wspomnieliśmy wyżej, to ono przy dzisiejszych stosunkach społecznych nie może być, jak chce Nietzsche, „miarą siły“; byłoby ono taką miarą wtedy tylko, gdyby walka o byt między ludźmi nie komplikowała się w sposób niesprawiedliwy stosunkami społecznymi, lecz odbywała się przy równych szansach. Gdy dwa rogacze wśród polany leśnej wiodą ze sobą bój śmiertelny, to sarną pasie się spokojnie, instynktowo bowiem czuje, że jakkolwiek wypadnie rezultat walki, będzie on dla niej zawsze pomysłny, zwycięży silniejszy. Inaczej wśród ludzi. Tutaj, jak sądzimy, leży właśnie klucz do rozwiązania sprzeczności między nietzscheanizmem i socjalizmem. Nietzsche jako czynnik rozwoju uważa walkę bezładną wszystkich przeciw wszystkim; socjalizm zaś uznaje walkę na zasadach pewnej strategii, nie godząc się na strategię dzisiejszą; mianowicie na nierówność uzbrojenia pojedynczych jednostek, przyczem przewaga leży nie po stronie silniejszego, lecz lepiej uzbrojonego.

\* \* \*

Na podstawie powyższych uwag o sile, możnaby rzucić *jaśniejsze światło na wiele objawów psychicznych i społecznych*, zrozumieć i ocenić lepiej wiele typów ludzkich, tak w życiu jak i literaturze napotykanym.

Na tej podstawie zrozumiemy łatwo, n. p. pewne *objawy jednostronności*, napotykane zwykle u ludzi wybitniejszych; gdy maszyna zużywa znaczną siłę w jednym kierunku, w innych okazuje się brak; dlatego ludzie genialni bywają w pewnych kierunkach głupcami; dlatego to siła, która tryska z pod pióra pisarza, bądź jako ogień temperamentu, bądź jako lawina erudycji (wykluczające się najczęściej) nie błysnie mu ogniem krwi na twarzy, ani zamigoce sprytem życiowym, jak

u zwykłego filistra, który jednak jako maszyna dynamiczna, jako suma energii, jako siła absolutna, jako „równoważnik mechaniczny“ jest miernotą wobec tamtego. Tem się też tłumaczy często napotykana praktyczna niezaradność ludzi idei, którzy dają się zwykle opanowywać i wyzyskiwać głupcom. Człowieka idei możnaby z tego stanowiska porównać do owego wielkiego kapitalisty, który cały swój kapitał umieścił w jakimś przedsiębiorstwie i nie może go w danej chwili i w danym celu podnieść, nie ma nic prawie w kieszeni; podczas gdy filister jest marnym kramarzem, który cały swój nędzny kapitałik nosi zawsze w kieszeni. Ta nieproporcjonalność, to wzajemne wykluczanie się znacznych przejawień siły jest tem godniejsze uwagi i tem bardziej odpowiada powyższemu wyjaśnieniu, że rozciąga się do kierunków bardzo bliskich, pokrewnych, które, pozornie biorąc, nie powinnyby się wykluczać; i tak n. p. wiadomo, że pełen zapału poeta Petöfi, co napisał tyle pieśni tak śpiewnych nie był w stanie wyspiewać ani jednej melodyi, i że pełen uczuć bohaterskich, zamiłowany w teatrze, „zglębiał bohaterów Shakespeare'a, a przedstawiał lokajów Kotzebuego“. Objawy te wynikają po części z trudności transmisyi sił większych, po części z nieekonomii „otamowań“; tylko wyjątkowo pomyślne warunki życiowe chronią jednostki wyższe od tej nieproporcjonalności, przykładem Byron.

Na tej podstawie można również, jak sądzimy, rozstrzygnąć często podnoszony spór, *czy kobieta w nauce, sztuce i t. d. może dorównać mężczyźnie*. Otóż zdaje się, iż, przeciwnie biorąc, absolutna siła kobiety, jej równoważnik mechaniczny jest mniejszy niż mężczyzny; kobieta więc może wprawdzie dojść wysoko w pewnym kierunku, dorównać mężczyźnie, ale wtedy nastąpi u niej jeszcze większa niż u tego ostatniego nieproporcjonalność, nierównowaga; okaże się zbyt wielki deficyt siły w innych kierunkach, jak wola, uczucie, wreszcie zdrowie fizyczne; deficyt tak wielki, że nawet kierunek główny nie będzie mógł być należycie zużytkowany.

Kwestya kobieca nasuwa na myśl kwestyę *powodzenia u kobiet*; powodzenie u kobiet mieli wielcy wojownicy, wielcy rozbójnicy, wielcy gracze, wielcy artyści, ba, nawet wielcy uczeni. Wielcy, wielcy, wielcy... dlaczego? Bo wielkość, to siła; chodzi o skierowanie tej siły w swoją stronę, o jej korzystną dla siebie transmisję. Widzę tu uśmiech pewności siebie oraz politowania na ustach filistrów — dla uspokojenia ich więc dodaję natychmiast, iż nie twierdzą bynajmniej, aby istoty marne nie miały bardzo często powodzenia u kobiet, lecz są to już specjaliści w omawianym fachu, istoty, których siła, jakkolwiek mała, jest zwrócona w jednym pożądanym dla kobiet kierunku, nie trzeba jej dopiero zwracać, jest już gotowa; wiele więc kobiet woli rzecz gorszą gotową, niż lepszą, lecz daleką, niepewną, wymagającą zabiegów. Powyższe więc prawo siły należy stosować w obrębie każdej z dwóch powyższych grup („niespecjalistów“ i „specjalistów“) oddzielnie; jeżeli zaś porównamy obie te grupy z sobą, to musimy przyznać ku zadowoleniu filistrów, że „specjaliści“ mają przewagę; a to dla tej samej zasady, którąśmy już poprzednio wyrazili porównaniem wielkiego kapitalisty i drobnego kramarza, oraz dlatego, że transmisya sił wielkich jest trudna. Jeżeli n. p. stosunkowo łatwo było cygance Carmenie odciągnąć dragona od gorliwych zajęć służbowych lub dziewczynie bretońskiej — „irlandzkiego“ rybaka od morza, to o wiele trudniej przyszłoby im odciągnąć np. genialnego astronoma od obserwacyi ciał niebieskich imusiałyby zniecierpliwione, jak pewna włoszka do Rousseau'a powiedzieć „lascia la donna e studia la matematica“. Zresztą większość kobiet wskutek niskiego poziomu umysłowego nie pojmuje wielkości, podobnie jak ktoś, co nie zna się na papierach wartościowych, woli srebrną dwudziestokopiejkę, niż papier, który jednak zmieniony dałby wiele takich monet. Naturalnie, że maximum powodzenia powstaje wtedy, gdy wielka siła łączy się ze „specjalnością“; tak n. p. tradycyjne szczęście szlachty polskiej do kobiet wszelkich narodowości (a zarazem obecne jej

niepowodzenie życiowe) objaśnia się wielką jej bezsprzecznie energią życiową, nieuwięzioną przytem w żadnym fachu, nie pochłanianą przez żadną ideę.

Kwestya powyższa przywodzi nam na pamięć Wokulskiego (z *Lalki* Prusa), którego na powyższej podstawie można lepiej zrozumieć. Nie nazwiemy go więc, jak niektórzy krytycy, „niezdarą“, ani nie będziemy moralizować po tołstojowsku, radząc „celibat“; ale zrozumiemy go jako olbrzymią siłę absolutną, która zmarnowała się przez nieekonomiczne „otamowanie“, przez zamknięcie w klatkę romantyzmu i metafizycznej etyki, w której go wychowano; zrozummy łatwo, że siła ta w razie lepszej „inżynierii“ przyniosłaby społeczeństwu korzyści olbrzymie. Ci, co nazywają Wokulskiego niezdarą, uważają chyba, że jakiś subjekt bławatny lub fryzjer, ci zdobywcy „serc“ subretek, przedstawiają siłę daleko większą. Czyż ci krytycy sądzą, że lew jest słabszy od szczura dlatego, że pierwszy rozbił potężną głowę o żelazną klatkę, podczas gdy drugi, dzięki swej marności, przesliznął się między jej szczelblami? To znaczy, że klatka romantyzmu, ani żadnej innej idei, nie może zamknąć tych, od mizernego umysłu których wszelkie idee odbijają się jak groch od ściany.

Z tego samego stanowiska można też rzucić niejakię światło na kwestyę, tak ważną pod względem społecznym i politycznym, jak *kwestya żydowska*. Żydzi, uciskani, przesładowani przez wieki, wyrobili sobie w ciężkich zapasach olbrzymią siłę; siła to była skierowana ku temu, co stanowiło jedyny skuteczny oręż w walce, mianowicie ku zdobyciu pieniędzy. — Cel ten w naszych czasach został w wysokim stopniu osiągnięty, znaczna więc część sił została wyswobodzona; i oto przed naszymi oczami odbywa się transmisya: potomkowie wielkich handlarzy, lichwiarzy, oszustów stają się wielkimi artystami, uczonymi, filantropami. Wampiryzm ludzkości — chluba ludzkości. Wygląda to tak, jakby jakiś potok, zatrzymywany przez wieki w swym odpływie,

utworzył olbrzymi rezerwoar, w którym woda w skutek stagnacji uległa psuciu, wytworzyły się miazmaty, zgnilizna, pleśń; rezerwoar stał się gniazdem trucizny, ale zarazem akumulatorem olbrzymiej energii. Dziś rezerwoar przepelnia się, woda przelewa się przez tamę, oczyszcza, staje się siłą żywą... skierować ów potok w swoją stronę — oto wielkie zadanie etniczno - dziejowe.

Dalej na tej samej podstawie można dojść do lepszego wyjaśnienia *kwestyi przestępstw i oceny przestępców*. Z tego stanowiska mianowicie niejedyn przestępca może się okazać więcej wartym dla ludzkości, niż wielu ludzi „porządnych“; tak samo, jak n. p. koń, który, wyrwawszy sztabę od stajni, potratował ludzi, jest więcej wart dla właściciela, niż jakaś marna szkapina, która się nie ruszy od żłobu. Teraz zrozumiałem to będzie, dlaczego wielki zbrodniarz, obok wstępu dla jego ohydnych czynów, budzi też nieraz uczucie podziwu, imponuje potęgą: to uczucie podziwu jest nieświadomem odczuciem tej prawdy, że taki zbrodniarz jest potokiem niezwykłej siły, który przy odpowiednim „otamowaniu“, odpowiedniej transmisyi, możnaby zużytkować z wielką korzyścią dla celów dodatnich.

Z drugiej znów strony złe „otamowanie“ może spowodować wylewy i zniszczenia nawet tych potoków, które w innych warunkach mogłyby być bardzo pożyteczne; i oto nieraz świeczniki ludzkości stają się przestępcami (lub samobójcami, obłąkańcami, pijakami), a zarazem miernikami wadliwości „otamowań“, t. j. stosunków społecznych: jeżeli bowiem jakiś postulat etyczny spełniają zawsze tylko jednostki tępe i bierne, zaś bystrzejsze, energiczniejsze, przysparzające najwięcej dóbr społeczeństwu, postulat ten łamią, lub zmuszone do jego spełnienia, marnieją, to jest to dowodem, że postulat taki nie leży w interesie rozwoju ludzkości, jest dlań szkodliwy. Społeczeństwo więc w swoim własnym interesie, pod grozą swej zaguby nie tylko powinno cenić każdą wielką siłę w swem gronie, i starać się zwrócić ją

w pożądanym kierunku, ale czyniąc to, nie wznosić „otamowań“ fałszywych, opartych na metafizyce, które albo muszą być zrywane przez potoki silniejsze, albo sprowadzić ich zmarnienie.

Te uwagi prowadzą nas do zastanowienia się jeszcze nad jednym objawem, spotykanym u zwolenników natury, mianowicie nad *potępieniem utworów „szarpiących nerwy“* (naturalnie jako przeciwstawienie ukojenia ich na łonie natury). Otóż w oświeceniu wyżej wymienionych zasad, rzecz ta przedstawia nam się wprost przeciwnie: utwory takie nie zasługują bynajmniej na potępienie; są one niejako rzutami oka w przyszłości, one przedstawiają nam typy ludzkie najbardziej naprzód w ewolucji wysunięte, one uświadamiają lepszym, wyżej uorganizowanym jednostkom ich stanowisko w społeczeństwie, ich pragnienia, ich prawa; wykazują wadliwość dzisiejszych stosunków, dzisiejszych „otamowań“ w obec pragnień jednostki. Bohaterowie tych utworów, to jednostki niezrównoważone, ani słowa; ale zrównoważenie (przynajmniej w obec dzisiejszych stosunków), to pospolitość, przeciętność, zastój, filisterya. Jednostki zaś niezrównoważone, to zwykle pionierowie ludzkości; wstrząsają oni przesady, zwyczaje, „otamowania“, dobre może dla natur dawniejszych, grubszych; zgubne dla przyszłych, subtelniejszych. Jednostki takie zwykle giną, bo gdy im się uda zerwać tamy, padną pod ciosami gawiedzi - filistrów; gdy się nie uda, strawią się ogniem wewnętrznym. Ale w jednym i w drugim razie swoim zmarnowaniem „szarpią nerwy“, to znaczy, budzą inne jednostki z ospałości umysłowej, wyrabiają w nich samowiedzę, krytycyzm, odczucie potrzeby reform w „otamowaniach“. Ci pionierowie są, jak owi podróżnicy polarni lub afrykańscy, którzy pierwsi wdzierają się w niebezpieczne krainy — giną, ale za ich śladami postępują zwarte szeregi, powstają stacye wojskowe, handlowe i naukowe, a dawne niebezpieczne bezdrożne krainy, do których „żaden śmiertelny nie wstąpił bez trwogi“, stają się

dostępne, uprawne, pokrywają się sieciami dróg dogodnych, po których już może ślapać bez obawy nie bohater, lecz najzwyczajniejszy filister - tehórz.

Nie przeczę, iż jak między pionierami odkryć, tak i między pionierami nowych myśli jest nieraz wiele nadużyć, które nas napełniają smutkiem; jednakże wiele z tych nadużyć jest takimi tylko w odniesieniu do dawnej etyki, dawnych zwyczajów, od których uczuciowo trudno nam się tak prędko otrząsać, chociażbyśmy się nawet otrząsnęli rozumowo; a zresztą à la guerre comme à la guerre; każda burza nie tylko odświeża, lecz i niszczy, każde nowe życie wiąże się ze śmiercią, a kwiaty często rosną na grobach.

Jeżeli potępienie utworów literackich „szarpiących nerwy“ przez tych, co zwróceniem ludzi ku naturze pragnęliby ukoić nerwy, uchronić od cierpień, wywołało z naszej strony protest, to nie możemy im jednak odmówić sympatii ze względu na szczerą, uczuciową motywę. Inaczej jednak przedstawia się, jakkolwiek formalnie analogiczne, oburzanie się naszych prawowiernych krytyków literackich na „niemoralność“, „zgniliznę“ i t. p. tego rodzaju utworów. Krytycy ci protegują cnoty bierne, niski ton życia, przestawanie na małym, ograniczoność pragnień, „czyste rozkosze estetyczne“ (mikstura ułatwiająca trawienie), rozciągają nad naszym społeczeństwem skrzydła filistersko-opiekuńcze, chcąc je uchronić od „zarazy“, ale najczęściej, jak mówi Heine, „sie trinken heimlich Wein und predigen öffentlich Wasser“. Ci panowie nie wiedzą zapewne, że jak oni nad zachodem, tak samo nad nimi „wyżsi moralnie“ czują się n. p. mahometanie, albowiem w ich powieściach bohaterowie nie jedzą bezczelnie wieprzowiny, nie piją grzesznego wina, a bohaterki nie odkrywają bezwstydnie swych twarzy i nie emancypują się aż do okazywania swej woli w wyborze mężów. Nad mahometanami znów o całe niebo wyżsi moralnie czują się murzyni pogańscy, bo oni wierzą w potęgę dziurawego garnka; nad nimi jeszcze wyżsi czują się Buszmani, bo oni, przynajmniej

„moralniejsi“ wśród nich, ręką świętokradzką nie budują sobie domów, lecz zadawałają się, jak ich przodkowie, danemi im od Boga jaskiniami i t. d., i t. d.

To poczucie „wyższości moralnej“ u każdego narodu cywilizacyjnie niższego nad narodem wyższym jest wynikiem pewnego zakrzepnięcia mózgu, który wyobraża sobie, że pojęcia, panujące w pewnej chwili wśród rodaków, są skończonym, ostatecznym absolutem, nie zaś tylko znikomą fazą w nieskończonym rozwoju ludzkości.

Sądzimy, że na powyższych podstawach możnaby rzucić niejaki światło na wiele jeszcze innych objawów psycho- i socyologicznych, lecz praca na innem polu nie pozwalała nam zająć się tem w sposób bardziej wyczerpujący i systematyczny.

1893 r.





# PRZEJŚCIOWI.

NAPISAŁA

MARYA KOMORNICKA.

Pragnąć szczęścia — to prawo człowieczej duszy; używać go — rzeczą tak niesłychanie prostą, że za przestępstwo uważać je może chyba asceta średniowieczny; a przecie i on wolnym nie jest od żądz szczęścia, i on ma nadzieję używania go kiedyś w pełni. Poświęca „doczesne“, znikome rozkosze, bo wierzy, że ceną zaparcia się darów ziemi, zdobędzie pośmiertne, niebiańskie, niezliczone. Po chwilach walki z pokusą tonie w błogości ekstazy; po chwili skutecznego zwyciężenia pożądań, spogląda na nie z tryumfującą wzgardą nieskalanej cnoty.

My nie jesteśmy ascetami; zaziemskie szczęście dla nas nie istnieje. Nam niebo Boga nie ukrywa; rozpacz nasza nie zna schronienia w nadziei wiecznej błogości; cierpień swych nie składamy u stóp krzyża; poświęceń naszych nie liczy pamięć kochającego i czujnego Bóstwa; jęków i skarg nie słucha duch rozumny; klęsk nie unicestwi moc nadprzyrodzona.

I nikt nas nie ukarze za nasze szczęście ziemskie; poza mogiłą nie ma dla nas nagród ni kary. Ziemia — to początek i koniec naszego indywidualnego bytu; życie — to nie pole zasług niebieskich, ale wyścig o natychmiastową rozkosz. Więc pragnąć możemy śmiało i bez skrupułów, więc używać możemy, bez trwogi o przyszłość, której nie ma.

Lecz dusz swych spytajmy, czy używają tej swobody i czują się szczęśliwe?

Niech nam powiedzą, ile razy wobec szczęścia, zamiast cieszyć się i szybko ręce po nie wyciągnąć, zasepiły się myślą smutną i stały tak długo w skupieniu pytań milczących, aż szczęście minęło, zostawiając im żal...

Niech powiedzą, ile razy odpowiadały: „Nie!“ na pokusy dobrej wieszczki, choć miały prawo „Tak“ powiedzieć i choć to „Tak“ zyskało by im może jedną chwilę zapomnienia lub zachwytu...

Niech powiedzą, ile razy z trwogą uciekały od ponętnych widm szczęścia, wyrzucając sobie, że te widma zdolne są je nęcić; ile razy wyrzucały sobie pragnienia rwące, choć nieba nie mają — i Bóg żaden ich nie widzi.

Niech powiedzą o krwawych łzach upokorzenia i żalu, którymi plakały, gdy zwyciężone, porwane przez wir życia, sięgnęły po szczęście i wypijały mętłą czarą upragnionych rozkoszy.

Niech nam powiedzą o uczuciu wielkiej, niepowetowanej straty, pod której uciskiem targały sobie włosy, zamiast promienieć weselem — straty samych siebie, straty nie nieba, lecz swej wyższości, swej godności człowieczej.

Niech nam powiedzą o mękach szlachetnej dumy, spoliczkowanej przez samowiedzę, która je nazwała podłymi; i śmiała się z ich upadku, i w gorzkiej ironii mieszała je z ludzkim błotem, wykazując ich słabość, ich nicość, ich złudzenia.

I niech powiedzą, czy w szczęściu były szczęśliwe, czy rozkosz równała się pragnieniu, a jedna choćby chwila zapomnienia zatarła wszystko w pamięci...

I niech powtórzą to, co tak często mówią w pióluowych chwilach znudzenia, że to szczęście, do którego wyciągały dłonie, nie dla nich; i że to szczęście gorszem jest od cierpienia; i że jeżeli inne jest bajką i marzeniem, wolą się go zrzec i bodaj cierpieć zawsze!

Nie umiemy być szczęśliwi. Czy przyczyna tego życiowego kalectwa tkwi całkowicie w neurozie, którą mamy być dotknięci? Czy wiecznie patologią fizyologiczną objaśniać będziemy zjawiska najsubtelniejsze dusz swoich, bez sięgnięcia do pierwotnych, zewnętrznych przyczyn, i piętnować je dobrowolnie mianem chorych przez lenistwo lub wyrachowanie, uchylając się od wniknięcia w ich treść istotną?

Epitety „chorych“ i „zdrowych“ zostawmy higienie specjalnej. Jest punkt, w którym patologia zlewa się z fizyologią, z którego można dotrzeć do praw im wspólnych.

I wreszcie, jak się zwykle pojmuje zdrową duszę? Jako równoważnik przeciętnej, miernej. Czem jest jej zdrowie? W czym tkwi ono? — spytajmy, a usłyszmy odpowiedź: „W mierności, bo tylko ona jest normalną“. Tymczasem rzeczywistą przyczyną zdrowia tak psychicznego, jak fizycznego, jest harmonia, równowaga między osobnikiem a jego otoczeniem, warunkami społecznymi.

Dusza „zdrowa“ nie zna rozdzwiku między pragnieniem a zadowoleniem, bo pragnienia jej są tego rzędu i mocy, którego warunki ogólne zaspokoić nie mogą. Są to istoty tego samego, co społeczeństwo w którym żyją, kalibru.

Dusze te nie znają zwątpienia w wierze, goryczy i pustki w szczęściu, upokorzenia w szale, uczucia nicości w życiu — nie dlatego, że są zdrowe, ale dlatego, że mózg ich doskonale zastosowany do wiary, dlatego, że szala szczęścia równoważy szalę pragnień, dlatego, że w zapomnieniu oddają się *swoim* szalom, dlatego, że życie zużywa ich energią w sposób odpowiedni ich uzdolnieniom, a warunki ogólne odpowiadają ogółowi ich potrzeb. „Zdrowie“ zaś, którem się cieszą, jest tylko psycho-fizycznym objawem tej harmonii.

Czyż dzisiejsza „zdrowa“ jednostka jest ideałem doskonałości? Bynajmniej; jest ona zwykle płytka i pospolita; bo też daleko do dobrych warunków życia. Mamy poprostu przed sobą przykład przystosowania się do zewnętrznego świata pewnego typu ludzkiego, mówiąc szerzej, zwierzę-

cego; przykład, jakich w przyrodzie mnóstwo, zgodności pewnego gatunku jestestw z określonym, odpowiedniem mu środowiskiem; przykład równowagi, pod względem przyrodniczym doskonałej, lecz pod społecznym dającej ze stron obu wiele do życzenia.

Gdy, śledząc rozwój jestestw organicznych i badając powstawanie typów zwierzęcych, dziś istniejących, spotykamy się z szczątkami zaginionych form przejściowych, i zastanawiamy się nad ich najczęściej smutnym losem, czyż wyciągamy wniosek, że były one zjawiskami patologicznymi? Nie — Wszak nauka wykazuje, że te postaci, po większej części wygasły, 'znikły dlatego, że nie zdołały stworzyć sobie właściwego środowiska: inaczej: między nowymi warunkami ich bytu a ich organizacją nie było harmonii odpowiedniości. Ta następowała później, gdy forma przejściowa odrywała się silniej od niższego gatunku i nabierała odrębnych, ściślej określonych, typowych cech; gdy się w stosunku do pierwszego wyindywidualizowała.

Ponieważ świat duchowy jest wyższą przemianą fizycznego, podlegać więc zatem musi tym samym, co ten, prawom rozwoju przez różniczkowanie, przez powstawanie nowych gatunków i nowych harmonii. Dany typ psychiczny należy do pewnego typu warunków. Lecz konieczność rozwoju jest nieubłaganą; więc wśród tych samych okoliczności, mocą połączonych wpływów dziedziczności i przystosowania, powstaje typ nowy. Przytem, przemiany duchowe, rzecz prosta, tworzą się szybciej od społecznych, i są licznie stosunkowo ogromnie rzadkie. — Czy tym sposobem można uniknąć rozdźwięku? Warunki dawne nie odpowiadają nowym organizacyom; te należą już do przyszłości, choć niepodobna im oderwać się zupełnie od pnia rodzicielskiego. — W duszy mają pragnienia, którym życie konkretne nie daje formy określonej, a tem samem myśl — jasnego pojęcia i nazwy; mają potrzeby, których warunki ogólne zaspokoić nie są zdolne; komórki ich mózgu drgają dążeniem

do stworzenia nowej myśli, lecz jej ujawnienie należy do przyszłości; pierś ich nabrzmiewa tęsknotą nieskończoną; darmo jej dają cel; cel ten jest złudzeniem. Darmo pragnieniom swoim dają znane rozkosze: to nie są rozkosze dla ich pragnień. Darmo myślą znanymi kształtami myśli: czują wiecznie niedopowiedzenie. Czego niedopowiedzieli? Tego, czego sami nie znają; co przeczuwają, lecz co nie nadeszło jeszcze. Czego pragną? Szczęścia, które pozostanie dla nich zagadką, którego im dać nie jest w stanie współczesne życie, lecz które będzie rozkoszą ich „zdrowych“, *typowych* potomków. Wszędzie czują brak nieznanego, koniecznego dla ich życia pierwiastku; i ten pierwiastek, głęboko, rozpacźnie i niejasno odczuty daje ich duszom wrażenie jakiejś niepoznawalnej, nieuchwytej tajemnicy, niepokoi je niezrozumiałymi wzruszeniami, zatrzuwa jadem lub poi marzeniem.

Natężona energia duchowa woła działalności szerszej, silniejszej; mózg — wyższej formy myślenia; serce — podnioślejszych i bardziej natężonych rozkoszy. Im niepodobna żyć jak wszyscy, jak wszyscy cierpieć i cieszyć się. Niekiedy mają się tożsamością z innymi, i w tem tkwi źródło ich najboleśniejszych rozczarowań i upokorzeń. Gdy szaleją z tłumem, nie zapominają się, jak on, całkowicie; są zawsze o tyle trzeźwi, by czuć, że nie żyją własnem życiem. Świadomość mówi im, że się „spodlili“, że się dali zwyciężyć niegodnym instyktom. Ich duma jest tylko dumą i samozachowawczością gatunku może; gdyby wierzyć w rozwój *postępowy*, nazwać by ją można dumą *wyższego* gatunku. „Zniżył się do masy“ — Popęd ewolucyjny w ich sumieniu staje się prawem i żądzą doskonałości. Każdy powrót do niższego typu jest dla nich męczarnią upokorzenia, wstydu... Czyż więc są niezdolni do szczęścia? Nie, są zdolni — ale do swojego, do tego, którego nie ma jeszcze.

Czy teraz zjawisko dusz „chorych“, niewytłómaczonych, podciągnąć można pod newrozę? Czyż ono raczej nie powstaje wskutek rozdźwięku między rozwiniętą jednostką,

a barbarzyńskim społeczeństwem: czyż ono nie jest objawem nieodpowiedności między środowiskiem i duchem, objawem potęgującym spustoszenia wywołane przez nią?...

I czy poświęceniem nazwać można dobrowolne nasze ustępowanie miejsca innym przy uczcie rozkoszy i wesela? Czyż my cokolwiek poświęcamy, odtrącając czarę zwykłych uciech ludzkich?

A teraz przykładów kilka:

Prawo miłości działa w nas, jak we wszystkich. Jest ono niezachwianem. Lecz my, stanowiąc minimalny procent ludzkości, wiążemy się najczęściej z istotami odmiennego gatunku. Nasza zdolność kochania różni się głęboko od spotykanej w przedmiocie miłości naszej; jest bardziej złożona, ogólniejsza, bogatsza; rozszerza się ona wszystkimi władzami duszy; obudza nowe procesy refleksyi i nowe kształty [wyobraźni; każe drgać nowym strunom uczucia, różnorodnie zabarwia naszą tęsknotę, stwarza marzenia nieznane; rozwija sumienie, wywołuje walki, fantastycznymi światłami i widmami rozjaśnia lub mroczy duszę, popycha ją do bohaterstwa, budzi współczucie, intuicyę, zdolności, rozwija w uas życie paradoksalne, bujne, natężone, gorące, i rzecz prosta, każe pragnąć tej samej siły i różnorodności uczucia w istocie kochanej. Czy pragnąc, jesteśmy logiczni? Dwojaka odpowiedź: *tak*, bo pragnienie wzajemności jest prawem wszelkiego uczucia; i temu prawu podlegamy jak wszyscy; tylko że ich miłość jest ciaśniejszą, więc też szybko osiąga szczęście. *Nie*, bo nasze uczucie woła wzajemności równej sobie pod każdym względem, a tej od ludzi nie naszego gatunku nie podobna wymagać. Gdybyśmy ją znaleźli, byłibyśmy także szczęśliwi. Cóż dziwnego, że wtedy, gdy ciałem płacą nam za duszę, czujemy tylko wstręt i próżnię, i uciekamy od widma miłości, i wyrzekamy się jej? Czy wyrzekamy się jej rzeczywiście? Nie, my odrzucamy tylko nie naszą miłość.

Drugi przykład: jeżeli nas natura obdarza twórczością, zwyczaj i warunki czynią z nas autorów, a duma — auto-

rów bez żądz sławy a z ambicyą wielkości. Brzydymy się wprost rozgłosem, popularnością. Dlaczego? Bo jest ona najlepszym dowodem duchowej wspólności z tłumem, z typem nam obcym i nienawistnym. Mamy odrazę do roli jarmarczego błazna, do rzemiosła fabrykantów frazesu. Nie chcemy i nie możemy być wcieleniem poglądów, uczuć i pragnień „inteligentnej“ masy; ona zaś nazywa nas „negacyą wszystkiego“, zapominając, że sama „wszystkiem“ nie jest. Jesteśmy negacyą o tyle, o ile od niej jesteśmy różni, o ile jedna odmiana zwierzęca jest przeczeniem drugiej. Nie umiemy i nie chcemy oszczędzać słuchaczy, ani żebrać pobłażania i uznania u tych, którymi gardzimy najczęściej. W duszy mamy miarę i kryterium swej wartości. Twórczość nasza jest celem w sobie, nie narzędziem rozgłosu. Wcielamy w słowa własną duszę, nie duszę umysłowego pospólstwa; wiwat tysięcy byłby nam upokorzeniem. — Czy nam schlebia samotność, że ją przekładamy nad sławę i zrozumienie? przeciwnie. Gdybyśmy żyli w społeczeństwie złożonem z dusz nam pokrewnych, sława byłaby naszą ambicyą, bodźcem i rozkoszą; byłaby probierzem naszej wielkości. Ale myśmy dziś odosobnieni; więc wolimy pogardę małą od ich protekcyjnalnie pochlebnych grymasów. My przesyłamy drukiem duszę naszą braciom nieznanym, jak my odosobnionym wśród ludzi, jako pociechę, hasło nadziei, pytanie żadne odpowiedzi, lub wreszcie znak życia.

Mózg nasz płonie czarodziejskimi blaskami natchnienia, dusza — pełna rwącej tęsknoty: ręka drga konwulsyjnie, nagłona żądzą żywego odtworzenia naszych cierpień i zapałów; płomienne słowa wyrrywają się z płonącej piersi. Czy o sławie myślimy wtedy, o ludziach, o ich płaskim smaku? Tworzymy dla siebie, wiedząc, że nas zrozumie kilka dusz bratnich; o masę nam nie chodzi: zbyt jesteśmy dumni, by cieszyć się uwielbieniem tłumów; pragniemy wielkości, gardzimy sławą.

Trzeci przykład: jesteśmy odludkami; wśród ludzi zachowujemy się milcząco, posepnie lub szyderczo; uciekamy od nich; widok ich nas razi, oburzają przekonania; zyskujemy opinię urodzonych samotników. I, po raz ostatni, czy tak rzeczywiście? Jesteśmy nimi w stosunku do otoczenia; jesteśmy mizantropami, gdy chodzi o przeciętną podłość ludzką; oddajemy się samotności, bo nas ten gatunek ludzi dręczy. Należymy do tych, którzy namiętnie nienawidzą niskości człowieka, namiętnie kochając i uwielbiając jego wyżyny. Gdy znajdujemy wyższą duszę, uparte milczenie ustępuje swobodzie słowa, chłód — serdecznemu wylaniu, obojętność — współczuciu. My, samotnicy, odczuwamy subtelną rozkosz rozmowy, przyjaźni, współżycia. Kochamy ludzi, ale lepszych ludzi.

I tak we wszystkim: życie, które pozornie nas pieści, każe nam się wyrzekać wszystkich swoich darów. Cóż dziwnego, że choć „tak“ powiedzieć możemy, wołamy energicznie „nie“, że wolimy cierpieć w pragnieniu niż w szczęściu, i że wśród pustki wielkiej i smutnej bronimy już tylko jednej rzeczy; dumy naszej człowieczej — i duchowej wyższości? —

W r. 1893.





## DLACZEGO?

Jeżeli prawem człowieka walczyć o własne dobro, iść w ślad za pragnieniami szczęścia i wierzyć, że ono dla niego istnieje i słusznie mu się należy, jeżeli prawem człowieka wyrwać z cudzych rąk to, co mu zabrali, lub co błędnie lub słusznie nazywa swoim; jeżeli prawem człowieka wyrwać z cudzego, głodnego gardła chleb, gdy jest głodny, i z trupich objąć zabitych w walce przyjmować zdobytą rozkosz...

Dlaczego, naturo, nie pozwalasz nam być ludźmi?

Jeżeli myśl rozkwitła w gorącym mózgu wykazuje nam ohydę walki o byt; jeżeli surowa świadomość sumienia każe nam w obliczu swej sprawiedliwości zrównać własne pragnienia, w których szalejemy, z pragnieniami innych, które tylko odczuć i zgadnąć możemy i wyrzec: „ich żądze są równie słuszne, jak nasze“ i czuć, że walcząc z nimi, chcemy im wydrzeć ich prawa, dopuścić się względem nich gwałtu, szukając dla siebie sprawiedliwości; jeżeli duma broni nam tarzania się w pyłe, w szale walki o kość; odczucie praw drugich uczy własne uważać za bezprawie, a sumienie — wzruszać się każdym jękiem i prośbą i nie być zdolnym do patrzania na cudzą rozpacz; jeżeli myśl wyzuwa nas z rozkoszy życia, jeżeli myśl każe nam się zrzec wszystkiego, czego pożądamy, na rzecz tych, których byśmy skrzywdzili, stając się szczęśliwi i którzy, stając się szczęśliwymi, mocą naszego zrzeczenia się, nas krzywdzą...

Dlaczego nam, naturo, myśl dałaś, dumę i sumienie?

Jeżeli naszym pragnieniom szczęścia odpowiada rzeczywistość, jeżeli one nie są jałową nadzieją i jałową katuszą;

jeżeli szczęśliwym być pragnie każdy, a możliwość stania się nim istnieje dla wszystkich; jeżeli celem twoim i ideałem ludzkości jest zadowolenie każdego, a nie szczęście jednych kosztem drugich.....

Dlaczego nam, naturo, każesz wybierać między zrzczeniem się szczęścia, a dostąpieniem go po mękach, łzach i rozpaczach drugich?

Dlaczego nawet wtedy, gdyśmy syci i zadowoleni, po ludzku obchodzić się z sobą nie umiemy?

Dlaczego wśród tłumów, każdy czuje się samotnym, a fala człowiecza nie jest żywą i zjednoczoną całością, lecz chaosem luźnych i rozprasających się cząstek? Dlaczego wśród braci, patrzymy na nich w podejrzeniu wzajemnej nienawiści? Dlaczego przechodzimy obok siebie obojętnie, jak koło kamieni, lub z wzrokiem pełnym bezpodstawnej wzdargi, lub z barbarzyńskim spojrzeniem aroganckiej chciwości? Dlaczego, jeśli mamy sobie pomagać wzajemnie i w morzu ogólnego szczęścia czerpać własne, czyhamy na siebie, czekając dogodnej chwili wyzysku i grabieży? Dlaczego ci, którzy mają moc wzajemnego dawania sobie rozkoszy i siły, są źródłem najstraszniejszych dla siebie mąk i słabości? Dlaczego mężczyzna jego wrogiem i zabójcą kobiety, a kobieta wrogiem i trucicielką mężczyzny? Dlaczego ta nienawiść bierna i czynna, ten chciwy egoizm jednostek, pracujący bezwiednie na przyszłe, ogólne bankructwo? Dlaczego ucisk słabych, gdy pomoc mogłaby ich silnymi uczynić? Dlaczego ten wyzysk słabych w imię przewagi, gdy nie wyzyskiwani daliby więcej? Dlaczego ta nienawiść i nieufność, gdy miłość i wiara zrodzić by mogła doskonalsze dusze i z dusz doskonalszych stworzyć świat podobny do rajy?

Jeżeli dusza nasza pragnie połączyć się z innemi, jeśli nią miota pragnienie ukazania sobie i drugim tego, co jest niewidzialne, schwycenia tego, co nieuchwytnie, wypowiedzenia tego, na co słów dotąd niema; jeżeli nam dałaś moc i żądę tworzenia, żądę skryształizowania gorących mgieł

umysłu i wyobraźni w nieśmiertelną i przejrzystą postać: jeżeli nam mało patrzeć na twarze drugich, jeżeli nam mało żyć powierzchnią życia i powierzchnię istnień cudzych oglądać, jeżeli prawem naszym jest pragnienie głębszej, dnochowej spójni, jeżeli nam zaszczepiłaś popęd oddania drugim tego, co wytworzyły nasz mózg i serce, jeżeli, jak do widma różkoszy, wyciągamy ręce do natchnionej chwili rzucenia w cudze dusze naszej duszy, by się o nią wzbogaciły i zespoliły z nią silnym ogniwem zrozumienia i wspólnych ideałów, jeżeli nam tak gorąco pragnąc każesz oddania światu całych siebie...

Dlaczego, naturo, nie uczysz nas nowych, odpowiedniejszych słów? Dlaczego każdą duszę zamykasz hermetycznie? Dlaczego jej każesz być tajemnicą między sobą a próżnią, tajemnicą nie pojmującą siebie, dręczącą się całe życie daremnem odgadnięciem siebie i ujawnieniem się w całej prawdzie i potędze drugim — i w końcu, po jałowych wysiłkach, płaczącą jak dziecko w rozpaczem poczuciu bezsilności, w osamotnieniu, w chłodzie niezrozumienia i w świadomości niepoznania innych ludzkich tajemnic?

Dlaczego myśl naszą więzisz w rozbołałych czaszkach, dlaczego kopiesz przepaści między duszą a duszą? Dlaczego nam dawać niepodobna, choć nagromadzone w nas skarby wyrrywają się z nas nieustannie i niszczą nas i pożerają, niszcząc się same w żądzy oddania, a wyrwać się nie mogąc? Dlaczego na nic się światu zdać nam nie pozwalasz, choć zdać się możemy?

Jeżeli niektórym duszom dałaś wyobraźnię ognia i serce wielkie i ogniste, w którym wszystko, co weń wpadnie, płonie i wielkim żarem wybucha: jeżeli im dajesz nieuchwytnie odczucie całokształtu świata i w mglistem marzeniu pozwalasz im niekiedy jednym rzutem oka ujrzeć prawdę; jeżeli ich sumieniu dałaś wrażliwość harf Eolskich, by drgały niepokojem za lada podmuchem życia, jeżeli ich wzrok duchowy utworzyłaś tak, by tam, gdzie inni widzą rzeczy pewne

i niezbite, oni podpatrywali mgliste zagadnienia; gdzie inni widzą niezmaconą jasność, oni znajdowali niepokojące cienie; jeżeli ich nerwom dałaś tak potężne odczucie drugich, że z każdym żyją jakby własnym życiem, z każdym cierpią; jakby własną męką; jeżeliś im dała moc tworzenia i przeznaczyła na drogowskazy i uświadomicieli pragnień i sił ludzkości, jeżeli w ich piersi zbudziłaś nienawiść czynną ku złemu, umiłowanie sprawiedliwości i zapał ku wielkiej, promiennej, wszechludzkiej przyszłości i żądę boju z plagami świata.....

Dlaczego ich trzymasz w torturze wewnętrznej niewoli? Dlaczego na usta kładziesz im palec na znak milczenia? Dlaczego, by im przeszkodzić w działaniu, wnosisz zamęt do ich czaszek, by jasno nie widziały nawet w samych sobie i nic jasnego ludziom dać nie mogły? Dlaczego ich wyczerpujesz walką z wewnętrznym chaosem, dlaczego im odmawiasz pierwszego warunku siły i pewności siebie? Dlaczego, gdy myśl chcą skupić nad pewną grupą faktów, przeszkadzasz im w pracy nagłem i znikomem, prawdziwem, czy złudnem odstąpieniem całości zjawisk, której ta jest cząstką? Dlaczego ich olśniewasz tem błyskawicznym jasnowidzeniem, by po jego zniknięciu, na długo ciemno, rozpacznie było im w duszy? Dlaczego dajesz im świadomość tych ogromów, kiedy ich nigdy nie uchwycą, kiedy ich myśl na trzeźwo nigdy nie ogarnie, kiedy ich inni w pracach ich nie ujrzą, a pamięć ich — twórczość zabija?

Jeżeli zbyt wielkie marzenia zabijają zdolność oddania drugim tego, co w nas jest, jeżeli zbyt rozległe pragnienia zmniejszają w oczach naszych do wzgardy to, czego od nas wymagają ludzie, jeżeli zbyt obszerny widnokrąg przyprowadza nas o zawrót głowy tylko, zbyt wielkie światło — tylko o olśnienie, jeżeli nieskończoność przestrzeni i nieskończoność prawdy odczuć możemy zaledwie w mgnieniu oka, pomyśleć błyskawicznie i nieuchwytnie w chwili krótszej od sekundy, jeżeli tylko w ograniczonej przestrzeni pracować

możemy z korzyścią, a ogrom całości ujrzący w oslepiającym, krótkim świetle, odbiera nam pewność siebie i zamiłowanie codziennej pracy...

Naturo, na co nas niszczyć marzeniem, na którego urzeczywistnienie nie mamy dość siły?

Jeżeli nam czuć każesz wielkość i nieskończoność i jako bódzicie usiłowań, dajesz nam przecucie nieśmiertelności ich wyników; jeżeli nam kochać każesz wszystko co niezmiernie małe; jeżeli nam przykuwasz do siebie tem, że nie masz kresu w czasie ni przestrzeni i nawet w rozpacznej żądzy unicestwienia przedstawiasz nam zanik jako mgliste i wieczne istnienie wśród mglistych i nieskończonych obszarów, jeżeli wszystko, co jest w nas i po za nami oddycha żądzą trwania, jeżeli nam szumu wichury nawet słuchać każesz, jak jęku bezmiarów, jeżeli nam dałaś pragnienie nieśmiertelności dla naszych i cudzych dusz i ciał; jeżeli myśl zupełnego zniszczenia jest w nas krzykiem buntu, jeżeli drżymy z trwogi przed nie-życiem, jeżeli przekładamy męczarnie nad spokój niebytu; jeżeli rozwijamy siły nasze ku celom, które mamy za nieśmiertelne i ręce wyciągamy ku wiekiustym ideałom...

Dlaczego, naturo, uczysz nas także, że życie nasze jest tylko chwilą, a dusza chwilowem drganiem poruszonej przez ciebie ludzkiej struny na harfie wszechzjawisk; że cele człowieka trwać będą póki się ta struna nie zerwie pod twą niecierpliwą ręką, żeśmy znikomością i kochamy znikomość i że ograniczoność i małość jest naszym prawem?

Jeśliś nam przeznaczyła działać i stwarzać na podobieństwo twoje, walczyć i poznawać siebie w tobie, w drugich i w około siebie; jeżeli celem naszym ma być ogólne szczęście, a wynikiem ogólnego szczęścia — szczęście każdej z osobna duszy; jeżeli musimy wyciągać ramiona do dnia światła, rozkoszy, swobody i potęgi i dążyć do niego wśród

męczarni i zwątpień; jeżeli tyle siły i uczucia złożyłaś w ludzkiej pierśi i budzisz go nieustannem nawoływaniem do pracy...

Dlaczego jednocześnie krępujesz go miliardami więzów? Dlaczego każdemu uczuciu dodajesz uczucie przeciwne? Dlaczego myśl twórczą zabijasz, trzymając ją na uwięzi poczucia małości, gdy bez niego byłaby silną? Dlaczego stworzonych do swobodnego lotu krępujesz łańcuchem zwątpienia — i ręce, spragnione czynu, osłabiasz bolesnym niepokojem? Dlaczego obok popędu czynnego, osadziłaś nam w duszy hamulce, w postaci niepewności sumienia, świadomości nicstwa swej siły i niemożności wypowiedzenia się aż do dna?

Dlaczego spragnionych ujawnienia uczyniłaś niemymi?  
Dlaczego?

*M. Komornicka.*



# CIEPLARNIA BEZDUCHA.

NAPISAŁ

CEZARY JELENTA.

## I. Mordercy talentów.

Nareszcie — stanęliśmy na samym cyplu Parnasu.

Powinszujmy sobie wzajemnie, uściśnijmy dłonie, padnijmy sobie w objęcia, palnijmy parę mówek okolicznościowych... Ach nie! Tych mamy dosyć, z nich to właśnie płynie z hałasem na świat wiadomość, żeśmy wśród narodów piszących i poetyzujących zajęli pierwsze miejsce. Mowy te są już nawet drukowane, noszą miano sprawozdań i ocen krytycznych i głaszczą oko nasze wypisanem czarno na białem odkryciem, że z drzewa naszej literatury padają soczyste i orzeźwiające, piękniejsze od Hesperyjskich jabłka. Jest ich tak dużo, że nietylko zaspakajają potrzeby miejscowe, ale nawet mogą być wywożone za granicę (Jakaś nowelę Sienkiewicza ktoś gdzieś przetłómaczył i wydał w 2400 egzemplarzy. „Najmłodszych“ i „Jestem“ Krechowickiego, po odpowiednim przygotowaniu i zaprawieniu miętą, rozdawać będą darmo i w dowolnej ilości w miejscowościach dotkniętych cholera.)

Wszystko, co ma trochę oleju w głowie: francuskiej, niemieckiej, czy angielskiej, przemyśliwa teraz jedynie nad tem, jakby naszych wielkich powieściopisarzy przenieść żywcem i bez uszkodzenia do siebie i księgarze stolic Europy zmuszeni są chronić się znową od najazdu polskich arcydzieł.

Rozumie się, że tak błógiego stanu rzeczy nie maluje z należytą dosadnością słownik stopni najwyższych, używany

przez przysięgłych krytyków syreniego grodu. Wyrazy: „mi-strzowski“ i „jedno z najważniejszych wydarzeń współczesnego piśmiennictwa“ zdarza się nam spotykać zarówno na łamach drobniejszych dzienników i obrazkowych *familienblat-tów* jak i na kartach poważnych miesięczników — i to coraz częściej. A skoro mądre przysłowie mówi *vox populi vox dei*, więc i w tych uniesieniach musi tkwić dużo poważnej ręką, że naprawdę zdobyliśmy wyżyny niedoścignione?

A może są te pochwały jedynie potokiem, któremu ktoś zepsuł szluzę i który toczy się nie tyle masą wód, ile pędem i jeno wydaje się wezbranym? bo niektórzy nasi krytycy robią teraz wrażenie, jakby się im zepsuła kanalizacya i wprost nie byli w stanie pohamować rozluźnionego wypływu słodyczy. Lub może to w swoim rodzaju cukrowa choroba, wynikająca z niewłaściwego przyswajania przez ustroj pokarmów i byłoby dobrze rozpocząć pewną dyetę a nawet leczenie?

Czuję już, jak chór benjaminków woła w niebogłosy: „To wy chcecie zabijać młode talenta, tratować młode lato-rośle, świeżą trawkę i t. d.“

Rzecz dziwna, jak się u nas szafuje tego rodzaju „zabijaniem“. Myśląby kto, że wszyscy krytycy, nie częstujący autorów groszowemi całuskami, są co najmniej fabrykantami aniołków. A tymczasem nie ma roku, ażeby na widownię nie występowały i w krótkim czasie nie wkraczały na domowy Kapitol całe tuziny literackich niemowląt, którym się tak dobrze dzieje na świecie i tak dzięki puklerzowi bractwa wzajemnej adoracyi bezpiecznie, że żadne groty krytyków-zbrodniarzy ich nie dosięgną. Pamiętam parę lat temu ośmiele-liem się wypowiedzieć trochę oględniej swój zachwyt dla pana Maryana — nazajutrz zaprzyjaźnione z nim pismo ni stąd ni zowąd zamieściło dlań panegiryk z wyjątków gazet wiedeńskich, padających jakoby czołem przed moją ofiarą. Innym razem kiedy zamieściłem w jednym z tygodników obszerniejszy rozbiór utworów Estei, koleżanki jej po piórze, uznając iż sąd był za surowy, czy tam za mało



bezsronny, zamierzały publicznie przeciw niemu protestować. Co nie przeszkodziło jednak, że od owej pory wydeła wielkość tej powieściopisarki wróciła do legendy, z której była wzięta i że ją określano później własnymi słowami pierwszego jej „prześladowcy“. Z pewnym znów tygodnikiem pozamiejscowym wypadało rozejść się, ponieważ nie chciał pomieścić uwag o pewnej literacie, dotyczących jej występu w sprawie wykształcenia kobiet, traktowanych jak wachlarze z kości słoniowej, jak ~~neseserki~~ lub pinczerki do zabawy starych dewotek.

Gdzie tu więc może być mowa o zabijaniu młodych talentów? Zrzućmy raz z siebie maskę, uderzmy się w piersi i wyznajmy, że dziś wypowiedzieć swój sąd otwarcie i stanowczo — potrafi jeno zrozpaczony śmiałek. My wszyscy, którzy się chełpimy niezależnością sądu, zostaliśmy przez oligarchów reklamy pobici, ujarzmieni i niejednemu już kopyto ich dało się we znaki. Dziś każdy artykuł krytyczny ulega takiemu procesowi, jak płótno — blichuje się na biało, ażeby „piękna czytelniczka“ nie została przypadkiem niemile urażoną szorstkiem porównaniem, przycinkiem lub, żeby któremu z pieszczochów opinii włoski z głowy nie spadł<sup>1)</sup>. Oszukujemy siebie samych i tumanimy ogół, który za dobrą monetę bierze to, cośmy napisali po porozumieniu się poufnem z pewnym autorem, pewną redakcją, lub pewną panią domu, otwierającego swoje drzwi dla świata literacko-artystycznego. W przypuszczeniu — kto wie, może zarozumiałem — iż to kogoś obchodzić będzie, powiem szczerze, iż lat temu osiem gdy nasze piśmiennictwo stało o wiele wyżej niż dzisiaj, łatwiej mi było zdobyć się na krytykę wyrazistą, niedwuznaczną, niż dzisiaj, kiedy ta i owa zachwalana powieść budzi we mnie wprost obrzydzenie lub wstręt.

<sup>1)</sup> W jednym z tygodników drukowałem zeszłego lata wrażenia z nad morza Bałtyckiego. Wyrzucano mi tam systematycznie wzmianki o *flądrach*, któremi kaszubi częstują gości, a do moich akcentów *żałosnych*, dodawano swoje *wesołe*, ażeby zatrzeć wrażenie melancholii...

Czy to znaczy, że krytyk X. lub inni postarzelisi i złagodnieli z mocy samego przepracowania się i przeżycia? Nie podobnego — po prostu za każdym z nich stoi zły duch koleżeńskiej uprzejmości. Często wskutek tego krytyki brzmią wprost zabawnie albo zagadkowo. Nie mówi się w nich o treści książki autora ani o jego dążeniach, ani o tem czy przyniósł z sobą coś nowego, lub czy nie walczy dawnych — tylko mniej więcej tak:

„W każdym razie podziwiać i uznać należy cywilną odwagę p. X., który zwrócił uwagę na ranę społeczną.“

Te i tym podobne artykuły nie są bynajmniej wynikiem nieznamomości rzeczy (bo któżby śmiał twierdzić, że nasza krytyka urzędowa nie zna się na rzeczy? Przecież nikt tak jak ona nie odróżnia literata bogatego od biednego), ale dyplomacyi, z pomocą której krytyk spodziewa się przepłynąć szczęśliwie między Scyllą i Charybdą, między nieprzyjemną nagą prawdą, a względami osobistej lecz „rozumie się“ bezinteresownej sympatyi. Nieraz też chciałby może wyróżnąć pochwałę, ale musi się rachować z tymi, co owego kandydata do dziennikarskiego lauru nie lubią. Jednemu n. p. z krytyków, który był o tyle nieostrożnym, że z pewnem ciepłem ocenił pewną książkę, kolega redakcyjny, człek wielkiego wpływu i znaczenia w teatrze i komedyi, rzekł: „Co u licha, czy pan już teraz wszystkich będziesz chwalił?“

Cała bieda, że kopalni tego rodzaju zdarzonek i fakciók, wydobywać na jaw nie można — no poprostu dlatego, że zostałoby się wyświeconym z towarzystwa „porządnych“ ludzi i człeka rychło zabito by milczeniem<sup>1)</sup> — inaczej o prześwietna publiczności, która czytujesz pisma, jakby ci się odmiennie przedstawił ten zaczarowany, imponujący, kierowniczy świat literatury bieżącej. Dowiedziałybyś się najpierw o jednej wielce ciekawej historii: że my piszący po-

<sup>1)</sup> W słowach tych, pisanych dwa lata temu, wywróżyłem sobie dokładnie przyszłość.

znajemy się wcale niezgorzej na nowych utworach lub sztukach i w kółku zaufanem, przy czarnej kawie, dworujemy sobie z nich okrutnie, suchej nitki nie zostawiamy — ale gdy wypada wziąć pióro do rąk, wnet anielska dobroć rozlewa się po naszym sercu i za pomocą tajemnych arteryj przechodzi aż do kałamarza.

(Większość naszych krytyków ma rodzaj swojej „giełdy Szydłowieckiej“, której pomysł wzięła prawdopodobnie od swoich nieodstępnych przyjaciół-lichwiarzy; na giełdę tę (restauracja Wiktora) przychodzi się w wigilię napisania recenzji i otrzymuje się dokładne informacye, co dany autor wart jest materialnie. Nie wszyscy jednak krytycy poniżają się aż do korzystania z usług giełdy, jeden n. p. stały i pełny swady „krytyk“ dziennikarski rządzi się sam: jeśli autor jest w szczególnym „zapachu świętości“, to pozwala mu napisać sobie *autokrytykę*, do której dodaje swój wstęp i zakończenie).

Nie jestem dotkrynerem. Nie uznaję rąbaniny żakowskiej, już choćby z pobudek estetycznych, albowiem sądzę, że daleko więcej powabu ma pisarz, który potrafi sąd rzetelny i umotywowany, choćby najbardziej nieprzychylny, wypowiedzieć zręcznie, bez jadu i żółci, bez hypokondryi i znęcania się nad każdym łowem skazańca, niż pisarz, który wali obuchem przez łeb i ogłusza z miejsca, ciesząc się ujazdowskim dziwowiskiem dla tłumu, który potem oblizuje palce: „A to go zjeździł!“ Nawet najgorszemu typowi debiutantów, o których nic dobrego powiedzieć się nie da, mianowicie grafomanom, można jeszcze osłodzić pigułkę mówiąc n. p.: Pan NN. byłby doskonałym prezesem towarzystwa \*\*\* lub też, jakby powiedział nieoceniony Kostrzewski, *byłym obywatelem*, ale w utworach jego znać pewną niezaradność i chwiejność w rzeczach pisowni. Sądzimy zresztą, że z wiekiem (p. N. N. ma lat 50) drobne te usterki miną i t. p.

Na wszelkie formy krytyki można się zgodzić, tylko nie na kłamliwe, zagadkowe i nie powołane, czyli te co to nie zajrzą nigdy do wnętrza dzieła, jeno nadchrobocą je z wier-

chu modą szecurków i nie mogąc ugryźć, obrzydzą ludziom. Pod ciepłym tehem dyletantyzmu miejscowego, ten gatunek ocen rozmnaża się przerażająco, uniwersalność krytyki zrywa wszelkie tamy i sprawia, że nikt nie jest pewnym swego jutra i swego życia. Oto — skąd grozi istotne niebezpieczeństwo, bo astronom może się znaleźć na stole operacyjnym reportera, filozof inżyniera, poeta finansisty, historyk sprawozdawczyni od balowych sukien i t. p. Takie krytyki są rzeczywiście konowalstwem, w nich nie ma ani znawstwa, ani sumienia, ani powagi, a tylko żądza zarobku, pogoń za efektem lub okłaskiem swojej rodziny lub przymus ze strony wydawcy-przedsiębiorcy<sup>1)</sup>.

Niestety jednak, nie przeciw tej zarazie piorunują u nas literackie bawidamki. One wiedzą, że im z tej strony nic złego nie grozi, że każdy zaśpiewa im jak wyuczony szpak. Jeśli bronią się, to przeciw współzawodowcom, krytykom wtajemniczonym, których farbowane lisy w błąd nie wprowadzą. A co najsmutniejsze, to, że w paru pismach poważnych spotkać można było ostatnimi czasy nawoływania do większej łagodności.

Czy to kpiny?

Nie, to po prostu dzieciństwo i niedowarżoność. Przeczytajcie parę krytyk francuskich, ot, dajmy na to z dziennika Goncourtów. Zobaczycie, że tam najlepsi kamraci z tej samej cyganeryi i tych samych salonów księżnej Matyldy, lub restauracyi Magny'ego umieją ciąć sobie prawdę, nawet drwić z siebie i zasadniczo wrogie pod względem szkoły i poglądu zajmować stanowisko i węzły przyjaźni nie na tem nie cierpią. Jak n. p. szydzono z ciężkiego Taine'a: *poctciwe Taine'isko!* Jak boleśnie parodyowano jego teorye. Znaczy to, żeśmy po prostu nie zwarli się z sobą jako podniosły cech literacki (chyba, że wspomnianą giełdę nazwiemy cechem literackim), skoro nie pojmujemy dwu szczytnych jego za-

<sup>1)</sup> I te słowa pisałem przed dwoma laty.

sad: 1) poszanowania dla literatury samej, wyższej nad prywatne usłużki; 2) wzajemnej sympatyi niby — kierowników opinii, ważniejszej nad miałkie żale i brykające samolubstwa.

Czy krytyka ostra może w ogólności zabić talent? Nigdy w życiu. Talent, to panie dobrodzieju, takie drzewko, że go **najcięższa nawet** stopa nie zdepcze; ugnie się na chwilę, ale wnet wyprostuje. Trawkę — owszem zgnieść można, ale na tem świat nie wiele traci. Talent to dębczak, który nadtrzaskać mogą gromy życia, strawić wewnętrzne ognie i niespodziane klęski. Ale z każdej burzy wychodzi on jeszcze bardziej zielony i świeży.

Bywają w rzeczy samej doby, niedorosłe do zrozumienia nowego prądu, nowej idei, nowej sztuki — ale to się już dziś nie zdarza, kiedy różnobarwne nad dawne pojęcia społeczeństwo gotowem jest do spożycia wszelkich, najdziwniejszych pomysłów. Póki rządziła jedna klasa — mogła ona przez naturalną niemożność wyjścia z własnej skóry zostać nieczułą na piękno lub prawdę przyszłości. Ale ci, na których się u nas tak troskliwie chucha, mają doprawdy tak mało wspólnego z przyszłością! Oni troszczą się tylko o terażniejszość i to w dodatku swoją, sytą, brzuszkową i zadowoloną, a jeśli karmią czemkolwiek i nas, to dalibóg, tylko ową ciepłą wodą, na którą skarżył się niegdyś Diderot, że mu nie przynosiła żadnego pożytku, „de quelle coté que je la prisse“.

## II. Mistrze a uczniowie.

Motyle i koniki polne nie myślą o jutrze, ani o dniu wczorajszym. Byłoby więc dziwnem, gdyby skrzydlaty rój, co obsiada dostępną dla wszystkich niwę naszego piśmiennictwa, zastanawiał się nad jej przeszłością i przyszłością, gdyby dbał o jej losy dalsze lub próbował wywróżyć je z porównania tego, co było, z tem, co jest. Na to nie mają czasu. Migocą tylko w świetle powszechnej życzliwości swemi jaskrawemi barwami, lub zawodząc piskliwe kuranty, uprzy-

jemniają piękny zmiersch letni. Czy są między nimi pszczoły? Niewątpliwie — krytyka ich dostarcza. Pracują sumiennie, zapisują skrętnie każdy nowy nabytek, mozolą się nad drobinkami, nie wartymi nawet zachodu prawdziwych mrówek, ale nikt tam nie wzleci o tyle wysoko, ażeby mógł okiem ogarnąć całość. W kraju, gdzie kto może, wyciera usta Taine'em i Brandesem, nie znajdzie się nikt, coby rozważał sprawę literatury ze stanowiska jej *rozwoju*, *kierunków* i *prądów* ją nurtujących, czyli ze stanowiska społecznej psychologii. Wiecznie i zawsze te same pocziwe sprawozdania, krytyki brzmiące urzędowo, jak świadectwo szczepienia ospy<sup>1)</sup>.

Jestem zresztą pewien, że nawet najbardziej uzdolnionemu do ogólnych rzutów umysłowi, praca taka nastęrczałaby trudności nie do przewyciężenia. Tyle bogów i półbogów namnożyło się, że na dobrą sprawę należałoby im dźwignąć panteon w rodzaju rzymskiego — no a jednakże wartość ich po za kultem tłumy jest daleko częściej inwentarzowa po prostu, niż... religijna. Dosyć byłoby spisać ich, opatrzyć datami urodzenia, wymienić tytuły „dzieł“, no, i sprawiedliwości jakoteż potrzebie stałoby się zadosyć; aczkolwiek możnaby nad tym rejestrem firm literackich smutnie potrząsać głową, jak nad kandydatami do bankructwa.

Bo czyście się zastanawiali nad tem, co znaczy w wieku bieżącym i dla narodu niez użytogo jeden dziesiątek lat? Przecież dzisiaj żyje się nie na dnię, lecz na godziny. W tym krótkim czasie nowe ludy, wystąpiły szeroko i butnie na arenę literackich zapasów. Poezya skandynawska odnowiła się i wydała z tuzin pierwszorzędných talentów, wyłoniła z siebie potężne ruchy indywidualizmu, walczącego z przewagą masy (Ibsen, Arne Garborg) feminizmu (Björnson),

<sup>1)</sup> Całkiem inaczej brzmiały krytyki prawdziwego, choć jednostronnego (i prawie sekciarskiego) estetyka Ant. Sygietyńskiego, ale on dobrowolnie usuwa się w przeszłość. To samo dotyczy Witkiewicza w krytyce małarskiej.

stworzyła wybitnych poetów naturalistów (Jacobsen) dramat naturalistyczny (Strindberg) i, bez przesady rzecz można, na wszystkich idealach doby i stulecia wycisnęła głęboką pieczęć swego współdziału, a niekiedy nawet inicjatywy. Zatechłe Niemcy zbudziły się do nowego życia pod wpływem sąsiadów z Północy i z Zachodu, i dzisiaj posiadają świeże pokolenie krytyki i ironii społecznej (Nietzsche, Przybyszewski, Hauptmann, Wille, Liliencron, Bahr i inni), które już do powrotu zgnuśnienia nie dopuści. Włosi z furją depcą rutynę i bezdech (weryści Cesare Tronconi, Carlo Dossi i inni). Ameryka zaczęła wchodzić w siebie, pojmovać ogrom nagromadzonych w jej duchu skarbów, stworzyła wielką poezję narodową w Whitmanie i całym pejzazowo-indywidualistycznym kierunku *out door* (uczniowie Emersona: Burrough, Thoreau i inni). A nie mówimy już o piśmieniotwach, którym sam los dał przywilej ruchliwości i feniksowego odradzania się, jak francuska i angielska, gdzie każdy niemal rok przynosi nowe szkoły, godła i grupy.

To nic nie znaczy, że niektóre z przytoczonych nazwisk są pochodzenia trochę dawniejszego, ale to jest właśnie znamienne i prawie cudowne, że ich właściciele w ciągu paru lat ostatnich zmienili się, puścili się na nowe wody, odmłodnieli. Brandes jest od lat kilku innym, niż był przedtem — zaraził się nietzscheanizmem. Ibsen w *Architektce* posuwa cześć dla niezależności moralnej i umysłowej do krańców, Tołstoj stał się prorokiem i pionierem: Słowem, epoka żyjąc pospiesznie, zniewala jednostki do tego, ażeby podążając za nią, sprzeniewierzały się dawnym godłom, i szły za młodzieżą. Tej młodzieży fanatycznie bojąc się mistrz Solness, bohater Ibsena, nie chce być przez nią wypartym ze swego stanowiska. A jest on upostaciowaniem całej starzejącej się generacji, której biada, jeśli nie włoży na nogi siedmiomilowych butów. Skończyło się dreptanie — ludzie biegną tak gorączkowo i szybko, jak rydwan postępu, jak owa lokomotywa, do której natchnioną odę pisze bard

przemysłowego panteizmu — Walt Whitman. Przyszły dziejopis będzie musiał rozłożyć wiek dziewiętnasty na wieków dwadzieścia.

A u nas co słycać? Jakie nowe idee ujrzały światło dzienne w ciągu lat ostatnich? Żadne. Przeżywamy zdobycze, których święcimy teraz właśnie jubileusze. Przewodnicy ruchu, tak zwanego pozytywistycznego, były to głowy duże, natury silne, indywidualności bogate. Wogóle ci wszyscy, bez różnicy płci, których działalność dziś mniej więcej dobiega okresu ćwierćwiekowego, stanowiły plejadę jasną i promienną, ale niektóre punkta gwiazdozbioru oddawna już zaczęły blednąć. Prus się starzeje i traci pewność pióra i wzroku; nie rozumie on czasu, i nieodmiennie trwa w zaściankowem samouctwie domorosłego filozofa — zamiast być wielkim powieściopisarzem, do czego został stworzony. Sienkiewicz stał się obłudnym nabożnisiem, wirtuozem na skrzypcach, którego można nająć, kupić, wysłać do Afryki, który będzie cudownie wygrywał cudze kompozycje, lokalizował je, jak się mówi o sztukach teatralnych, aże z „siebie“ samego wydobędzie co najwyżej połaniecką apoteozę mieroty. Świętochowski zachował genialny frazes. (Gomulicki — prawdziwy sfinks). Dwoje tylko ludzi ożywia nieustająca energia i nieprzerwany postęp — Konopnicką i Orzeszkową — reszta się cofa.

Wymieniłem jeno osobistości talentu, polotu, wiedzy i wielkich pragnień. Każda z nich wywarła pewien wpływ i wywiera go jeszcze, każdą wyczuć i wysledzić można w ogólnym zbiorniku umysłowości naszej. Ale co będzie, gdy one albo zużyją się zupełnie, albo wezmą rozbrat z literaturą na zawsze, albo jak Sienkiewicz staną się bawicielami i faworytami?

Pragnąłbym się zastrzedz przeciw jednemu domysłowi. Nie jestem zwolennikiem mody i nie uznaję, że literatura powinna codzień znosić świeże jajko. Warunku „aktualności“ nie należy uważać za cechę talentu, a piśmiennictwo, które



na wzór dzienników, stwarza manifesty i szkoły jedynie dlatego, żeby dopomóc sobie nowalią we współzawodnictwie kierunków, składa często dowód bezmyślności i pogoni za paradyzowym oklaskiem lub starczej lubieżności, siłającej się na nowe przyprawy dawnej rozkoszy. Jeśli więc należy bić u nas na trwogę, to nie dlatego, że nie wystawiamy co rano nowości w sklepowem oknie, lecz że myśl zakrzepła i stężała, że ideały poetyckie od wielu lat nie posunęły się ani o krok dalej. Wielka namiętność, posiana przez koryfeuszów, zaczyna wygasać, lub rozdrabnia się na liczmany drobnych wruszonek.

Gdzie się podział polot i zuchwałe, mozolne wspinanie się na wyżyny? Na to odpowiedzieć nie tak łatwo. Złożyły się przyczyny wielorakie, wśród których nieposłednie miejsce przypada i temu faktowi, że poproście zadanie siódmego dziesiątka lat zostało spełnione, znikła potrzeba rozpaczliwej walki z duchem dawnych czasów, ugruntował się krytycyzm, poszanowanie ludu, miłość postępu, pewna względna naukowość poglądu na świat, zmęźniał zmysł społeczny i nauczył się wdziawać szatę wyraźniejszej indywidualności jednostek.

Ale niektórymi z tych drogowskazów posługiwano się zbyt długo, gdy one na pewną krótką metę starczyły. Chodziło o stworzenie czytelnictwa na szeroką skalę o zjednanie wielkiego audytorium roztrząsaniom naukowym, społecznym i artystycznym i cel ten, jeden zresztą z wielu, został dopięty. Wzmogło się zajęcie literaturą, zrozumiano jej dziwny a tak bliski związek z życiem i jego palącymi bolączkami i rzuciły się do pism i książek takie warstwy, których potrzeby zaspakajając — jest obowiązkiem, ale których smakiem kierować się — jest błędem. Prusowie, Orzeszkowe, Sienkiewiczze, Okońscy, Konopnickie wychowali wielbiciele na razie sobie samym, ale na później: Kosiakiewiczom, Konarom, Estejom, Rodziewiczównom, Rutkowskim, Łętowskim i wielu innym jeszcze, innemi słowy, nie wyhodo-

wali pokolenia godnego ojców i tem samem złożyli dowód braku niespożytości i kwalifikacyi mistrzów. Bo ci tu, wymienieni i im podobni, zapanowali, odegrali rolę owej młodzieży, której groźne pukanie do drzwi wciąż słyszał mistrz Solness, oni zlurowali jeśli nie tytanów, to tytanidów! Ale oni są niezbędni, bo piszą dla olbrzymiej większości, bo niejako przez nią powołani zostali do służby publicznej. Nie wolno ich bynajmniej lekceważyć, pracują, pragną, mają nawet tak zwany „talent pisarski“; ale to nie są wulkany, jeno zapalki, to nie nawałnica co oświeża powietrze i zrasza pola, ale sikawka do użytku małych piędzi ziemi. Brak im wiedzy, siły, patosu, krytyki, wielkiej pasyi, nasycają duchowych biedaków, ale dla owej oderwanej *idei*, co królować winna nad każdą literaturą, dla owej muzy wymagającej i wyniosłej są tem, czem figurki na dłoni olbrzymiej Pallas Ateny, zdobiącej wnętrze Partenonu.

Na ich życie i pomysłność nie godzę bynajmniej. Uchylę nawet przed nimi czoła, jeśli kiedy wzbiją się pod niebiosami lotem orłów i zajaśnieją szeroką myślą, gwałtownem uczuciem. Tymczasem jednak niech mi wolno będzie uważać ich za taki sam pożyteczny i może niezbędny ale marny szczep, jak ród naszych dramato i komedyopisarzy, złożony z Zalewskich, Lubowskich, Przybylskich, Bałuckich i Wołowskich. Jednych i drugich zrodziła widownia i potrzeba zabicia czasu w sposób przyjemny i nie wolny od korzyści: potrzeba *zjedzenia* ostryg i homarów z jednej strony (autorzy) i potrzeba *strawienia ostryg i homarów* — z drugiej (krzesła i łoże). Jedni i drudzy umieją dobrze, nawet znakomicie przyrządzać coś w rodzaju duchowego pokarmu z motywów obcych lub starych, albo z — niczego. U tych i u tamtych spryt techniczny zastępuje dobroć materyału, którą u pisarzów samodzielnych bywa nowa myśl, albo głęboka namiętność.

Każde piśmiennictwo musi fabrykować takich pracowników, albowiem każdy naród składa się przeważnie z ludzi łaknących łatwego i niezbyt silnego podniecenia. Ale

dla czegoż u nas liczba ich jest tak stosunkowo wielka? Dlatego, że do tej samej klasy smakoszków nie wybrednych i osobników umiarkowanych należy krytyka.

Gdy n. p. we Francji z Ohneta i t. p. wyższa krytyka drwi, u nas, gdzie mogliby oni śmiało górować jako najwspanialsze luminarze — podnosi się pod niebiosą tuziny takich, co im do ramion nie dorosli. Wtedy, gdy Bourgeta zachwiała w opinii jego przedpokojowo-tapicerska usłużność dla wielkich panów i księży, pomimo że za powieściami napisał istne arcydzieło krytyki (*Essais de psychologie contemporaine*), u nas jednocześnie Sienkiewicz, który tego samego lubi dosiadać konika, poszedł w górę. Krytyka nasza zapomina, że jej nie wolno ani jeździć na karuzelu, ani bujać się na młynie dyabelskim. Powieściopisarz, poeta, artysta może być rzecznikiem parafiańskich ideałów, i nieraz nim być powinien, może zatracać ciasnotą swej sfery, ale krytyk zapisujący dochody i rozchody literatury, badający jej wewnętrzne drgnienia, jej życie i sprawność, powinien zajmować punkt widzenia o tyle wysoki, ażeby z niego całość objąć było można. W przeciwnym razie będzie zwyczajnym kancelistą, który rozumie jeno treść danego papieru, ale nie pojmuje maszyneryi biura, będzie biernym rezonansem danego dźwięku, a nie tym co reguluje przypływ i odpływ odżywczych lub zabójczych soków. Może to rola za trudna, ale gdzież stoi napisane, że ażeby być krytykiem, wystarcza mieć zdolności i wiedzę niejednego nowelisty lub wierszoklety, to jest być zaledwie piśmiennym?

### III. Pod tarczą realizmu.

W swoich zgryźliwych ale i nadzwyczaj bystrych myślach Leopardi słuszną zwraca uwagę, że w każdym narodzie piorunuje się na nieuctwo, że wszędzie lud miejscowy podawany jest za najbardziej dziki i podły, że każde plemię nazywa swoje kobiety najbardziej pustemi i t. d. Słowem, każdy kraj ma mieć swoich zrządów i choleryków, swoich

poganiaczów, którzy hałasują i walą batem leniwą w ich pojęciu gromadę. Kiedy jednak Leopardi ten nałóg dopatrywania wśród swoich największego steku błędów wyśmiewa z zasady ogólnego swego pesymizmu, który mu nie pozwala wierzyć w jakieś upośledzenia wyjątkowe i niepowszechnie, tedy u nas panująca w piśmiennictwie ogromna większość knebluje usta niezadowolonym dyabłom z racji nieuleczalnego optymizmu.

Błogi ten nastrój nie dosyć jest podkreślić i podać jako przyczynę skurczenia się miary krytycznej, ale należy zbadać, jakie zjawiska dopomogły jemu samemu do zyskania przewagi i utrwalenia się.

Niewątpliwie zwyczaj płytkiej i lekkomyślnej oceny sięga u nas czasów bardzo dawnych, tak może dawnych, jak zamiłowanie do omszałych gąsiorków. Tradycyjna czapka i sól uległa w zastosowaniu do życia literackiego szlachetnej przemianie. Mamy się wszyscy za poetów i artystów z bożej łaski, a takim przecie nie wypada lizać soli na podobieństwo cieląt, wolno jedynie dodawać sobie natchnienia winem lub koniakami. W dziejach naszej krytyki i w archiwach sądów, o książkach i artykułach najwybitniejszą szkołą jest — Stępkowski i jego sąsiedzi lub rywale. Niezmiernie skromne uposażenie mistrzów pióra na naszym gruncie w związku z olimpijską pożądlivością wesołych biesiad i ostrego nektaru sprawia, że owa szkoła zamracza nam coraz bardziej jasność wzroku i dokładność miary psuje z dniem każdym: Stępkowski nie chce kumać się z Leopardim i każe go po prostu wyrzucić za drzwi...

To pierwsza z głównych przyczyn naszego błogostanu. Drugą est, że w rzeczy samej stanowimy ciało zbiorowe niezmiernie utalentowane. Jesteśmy jak salonowy młodzian, który potrafi zagrać, zaśpiewać, zadeklamować, jeździ konno, wiośluje, nawet lubi niekiedy poczytać, ma nader pewny sąd o teatrze, zna z imion i lat wszystkie baletnice i konie wyścigowe, dobrze układa karnety, żywe obrazy i doskonale

tańczy. Literatura nasza wychowuje się pod wpływem Wiednia, gdzie każdy geniusz lub rewolucjonista, żeby nie płacić *sperrgeldu*, wsuwa się o godzinie 10 wieczór pod pieczynę. Umysłowość nasza tak wiernie naśladuje naddunajskie wzory i tak się nadzwyczaj interesuje wszystkim, co w dziedzinie sztuki i literatury zachodzi w Wiedniu, że korespondencje stamtąd sprawiają złudzenie sprawozdań naszych, miejscowych, nawet w tych wypadkach, kiedy naprawdę pisane są w Wiedniu. A przecież nędzny to ideał i marna to inteligencja, w której ster trzyma księżna Metternich popołu z gigerlami i fiakrami o lśniących pejsikach. (Ta nadzwyczajna przyjaźń wytwornych dam ze strangretami już się do nas przeniosła i są podobno panie, które swoim ukochanym rumakom własnoręcznie czyszczą zęby).

Ta sama mieszaninka łagodno-wdzięcznych żywiołów ducha, urabiając wedle swej woli naszą sztukę dramatyczną, nasze fejetony i recenzje, dała im zarazem pozór istotnego ożywienia, ruchu, postępu przez szczęśliwe zaflancowanie takiego realizmu. Żadne chyba godło nie było tak płodnym w następstwa, tak wydajnym, jak hasło odtwarzania natury. Kiedym parę lat temu ogłosił krucyatę przeciw bezmyślności, drapującej się w szaty realizmu, przedmiotowego malowania itd., nie było jeszcze tylu namacalnych dowodów mojej racji, co dzisiaj. Cóż bowiem okazało się? Że rozgrzeszyć twórczość z warunków posiadania silnych *cech podmiotowych*, jest to оголоzić zagony z parkanów i żywoplotów — tylko patrzeć, jak nieproszeni goście zajdą w szkodę, co też nastąpiło i niebawem przybrało rozmiary olbrzymie..

Bo cokolwiek by teraz wyrzec się dało o względnej wartości kierunków, które kolejno zagarniały tron i berło w poezji naszego wieku — dziś już jest jasnym jak słońce, że realizm obniżył cenzus, wymagany od literatów. Każę on biernie i możliwie wiernie odtwarzać, badać, a zatem przypuszcza do stołu pańskiego najlichszych zaściankowców, grafomanów, ignorantów, którzy upstrzywszy byle bzdurny opis

krociami „plam“ niby na wzór impresjonistów, mniemają, że coś zbadali, odtworzyli, ba, nawet odkryli, kiedy oni co najwięcej odkrywać umieją „nowe marki“ napitków. Upowszechnił on opinię, że wszystkie temata są jednakowo godne pióra, więc rzecz naturalna, że się do roboty wzięli nietylko ci, co czuli serce epoki, ale przedewszystkiem ci, co dojrzeli jedynie rosnące na niej włoski i zmarszczki na skórze, ot, zupełnie, jak słynny malarz Denner. Jest nawet możebne, że ten i ów opis pralni lub szewckiego warsztatu zbliża się do ścisłości fotograficznej, że autor policzył, ile kropel deszczu upadło lub ile źdźbeł słomy zostało na polu po żniwach, ile watówek zdarła w swem życiu prababka bohatera albo jaki introligator oprawiał książki do nabożeństwa, ale do tego nie potrzeba wcale powieściopisarza — wystarcza półgłówek.

Choćby mniej dokładny ale odczuty wizerunek namiętności, cechującej dobę, albo typu, co znamionuje przełomową chwilę w dziejach, albo skarga potężnego umysłu na doznane w życiu zawody, tysiąc razy więcej zaważy na szali życia publicznego, wpije się dosadniej w krew czytającego ogółu, zostawi trwalsze ślady na jego samowiedzy, wstrząśnie nim gwałtowniej i procesy życiowe pobudzi, niż wszystkie spisy inwentarza „wszystkich powieści“ realistycznych razem.

Wielkiego, *prawdziwego realizmu* nie rozumiano u nas nigdy. Zrobiono z niego *metodę*, kiedy on winien zasadzać się na pewnym *gruncie* w naturze autora. Zamiast powiedzieć: stań na wysokości twego wieku, pochłoń jego naukę, zrozumiej jego dążenia, — krytyka mówiła: możesz być idyotą, (a nawet powinienes nim być), krótkowidzem, samolubem lub błaznem, bylebyś odtwarzał wiernie to, co sobie upatrzysz, Zapomniano, że być realistą, to znaczy mieć duszę wykarmioną od lat najmłodszych nowoczesną wiedzą, etyką, socyologią i że kto z takimi danymi będzie pisał, ten nie poprobuje bałamucić czytelnika ani cudownem ulecze-

niem schnącego mleczka, ani nagłą poprawą zbrodniarza, ani przesłepi wpływów otoczenia, ulepiających dany charakter, ani uwierzy w błękitną krew arystokracji, ani zaręczy za czystość rąk redaktorów pism codziennych, ani będzie zapewniać, że kobiety, chłopcy i psy nie mają duszy, ani uwierzy w upiory i strzygi. Po wszystkie czasy realizm jest tem samem i tak samo żywotnie objawia się w arcydziełach, bo prawdziwa, sumienna, powołana sztuka nigdy nie ośmieli się tworzyć, nie nasiąknąwszy wprzód ideami czasu, jego wszechpoglądem, zwyczajami, ustrojem duchowym, upodobaniami. To, co estetyka nazywa erą realizmu w bieżącym stuleciu, było poprostu erą wielkich objawień w przyrodoznawstwie, psychologii i naukach społecznych. Skorzystał z nich cały obszar umiejętności ludzkiej, więc i skorzystała poezya i powieść, które jednak nie wzięły stąd pochopu do zrzeczenia się wielkich uczuć, ogromnych subiektywizmów, słowem podkładów i czynników osobistych tak olbrzymiej wagi, że osnowa lub fabuła była tylko dla nich postuszną gliną.

Ani za granicą, ani u nas wybitne talenty nie bywały realistycznymi w sensie hołdowania zupełnej beznamiętności. Co najwyżej, z powodu wadliwego rozumienia siebie samych, pozowały na chłodnych badaczów. Ideał Flauberta, a popiekał też Stendhala i Merimée'go kazał im wprowadzić maskować się i udawać nieraz okrutników, układających urzędowe raporty, ale nam za tą maską łatwo dostrzedz oblicza wyraziste, pałające ogniem, skrzywione bolem, rozczarowaniem lub niesmakiem. Można tworzyć po babsku, gadulsko i wścibsko, jak George Elliot, można jednak i należy w okresie hartu ducha i siły stoickiej tworzyć po męsku, ukrywając wzruszoną twarz. Tak też czynią Goncourtowie, Guy de Maupassant i Zola, Szlachetną dyskrecyę dobrego opowiadacza, który pragnie, ażeby wypadki same za siebie mówiły, świat ochrzcił niedorzecznem mianem realizmu. To raczej naturalizm, zachowujący kamiennie spokojną postawę wobec świeżo zbadanej niezłomności praw natury, to *nil admirari*

filozofów nowej, zrezygnowanej szkoły. Prawdziwie dobry smak zawsze i wszędzie ukrywał w sobie coś w rodzaju „neutralnego człowieka“, który nie deklamuje, nie ciska się, nie moralizuje, nie włazi na szczudła, ale mówi i działa spiszonym językiem faktów.

Tej miny **złapać nie** mogli Niemcy. Byli brutalni albo **sentymentalni**, nigdy mężcy i godnością przejęci. Stąd połowa ich pisarzów to czciciele siły pięści — a druga to mazgaje małomiasteczkowi, groszowi pocziwcy, a często jedni i drudzy razem, jak Gustaw Freytag. U nich też w braku polotu i charakteru ziściła się naprawdę wizya tak zwanego realizmu. Ebersy i Dahny to automaty do gromadzenia faktów to bezduszne motory, po których zostanie w najlepszym wypadku — dół na nowe śmiecie. Służalcza dusza Niemca zaczyna jednak strząsać z siebie jarzmo tępoty, nałóg małpowania, tchórzostwo przekonań.

Nasi pisarze, obchodzący dni jubileusze pracy ćwierćwiekowej, nie byli nigdy — przyznajmy to z chlubą — realistami. Prus mimo, że się za takiego w swej naiwnej samokrytyce uważa, drga cały ciepłem, jak ptak, którego na dłoni położymy. Sienkiewicz zapalał i rozczulał, Okoński apostołował, urągał lub wskazywał na męczeństwo wybranych nieśmiertelnych dusz, Orzeszkowa skupiła w swem sercu bezmiar miłości, poważna i opiekuńcza jak matka Gea. Towarzysze ich, których nawet zbyt uczynna wymieniać — muszą tę samą właściwość ujawniać, jeśli tylko zrodzili się na tej samej ziemi i pili z tego wielkiego źródła uczucia i zapału, który tryskał tak wspaniale dwadzieścia lat temu.

Na takich ludziach powinna się była urobić krytyka, łaknąca śmiałego pędu i bogactwa myśli, a tymczasem wyrosła ograniczona, pobłażliwa, której się zdaje, że surowe ma kryterium, gdy zażąda od poety, ażeby był sumiennym i gruntownym, jak uczony. Za pozwoleniem — jeśli on odkryje wielkie prawo ducha, albo odsłoni wielkie a powszechne zjawisko bytu zbiorowego — ot n. p. chorobę miło-



ści, która u nas toczy jak rak nawet krzepkich i skądinąd praktycznych i trzeźwych Wokulskich — to nazwa uczonego będzie odznaką, (aczkolwiek i błędem, bo bez podmiotowego werteryzmu w sercu Prusa nie byłoby wcale *Lalki*.) Lecz jeśli takim samym uczoneym spostrzegaczem nazwiemy pisarza, który dobrze podpatrzył i oddał sposób cerowania pończoch — to czynimy tamtemu, w danym wypadku Prusowi — ujmę. Takich uczonech orzeł — Słowacki z pewnością zagnałby do jednej kupy z osłami, jak to uczynił w jednym z prologów (Osły i uczeni — do środka!).

Udekorowano u nas po samą szyję paru pisarzów, którzy uprawiają pewnego rodzaju „naukową“ błagę w powieści, bo ku ucieście gawiedzi osnowę układają ze znanych skandałów. Ludziom się zdaje, że to szczyt realizmu, gdy n. p. ktoś odnajdzie w książce opis zabawnego pogrzebu, na którym znajdowali się ongi sami. Dobrze określił ten sposób tworzenia Bourget, przez usta powieściopisarza z *Cosmopolis*. Na wyrażoną przez bankiera obawę, że zużytkuje po literacku pewne zajście, odpowiada Dorsenne:

— Nie jest w moim zwyczaju malować, patrząc przez dziurkę od klucza.

Zwyczaj ten jednak u nas rozpowszechnia się, a jego objawy krytyka nazywa „mistrzostwem“. Gdyby nie cześć dla zasady *nomina sunt odiosa* — złożyłbym tutaj wnet dowody. A im skandal rzeczywisty jest świeższym i bardziej śmiesznym lub gorszącym, tem większe spotykają go pochwały, gdy zostanie przeniesiony na karty noweli. Czy wy sądzicie, że autor, taką metodą się posługujący, umie obserwować poważnie i przenikać ducha pewnych warstw lub typów? Nie, on goni jeno za efektem i ordynaryjnym poklaskiem i choćby nawet wiele szczegółów podpatrzył dobrze, to jakże psycholog, a psychologiem przedewszystkiem musi być krytyk, może zdać się na obserwatora, który pracuje beż namaszczenia, którego jedyną ambicją — jest zo-

stać takimże samym gładkim skandalem, sensacją, obnoszoną po wszystkich salonach, buduarach i cukierniach?

Taki realizm uliczny obniżył więc także i census, wymagany od krytyka. Poznać znajomy fakt lub głośną osobistość w opowiadaniu — potrafi każdy, a zatem każdy czuje się powołanym do napisania oceny. Obfitość szczegółów i masa rozmów olśniewają go. Ma odwagę sądzić o każdym utworze, kierując się mglistym domysłem, a jak spotka rzeczy nowe, to jest właściwie takie, które dobry artysta winien umieć chwycić, wtedy nie wie, co o nich trzymać, i sprawozdanie wychodzi komicznie, albo wprost głupio. Nie — zacni panowie — intuicyja nie wystarcza, potrzeba znać życie z jego odmętem zdarzeń, ażeby mózgiem oceniać powieści. Twórca może być specjalistą od malowania dzieci, albo rzemieślników, albo chłopów, ale *analityk* musi być uniwersalnym. Jeśli nie potrafi czuć głęboko, niech do ferowania wyrobów o uczuciach nie zabiera się; jeśli nie kochał, niech nie sądzi o erotyzmie poety — jeśli nie łamał się, nie chwiał, nie pogrążał w apatyę, niech nie pisze o Hamlecie, jeśli nie wierzył nigdy, nie zrozumie religijnej ekstazy; jeśli nie pragnął przebić muru głową, nie zrozumie rozpacznych wysiłków ideologa, marzyciela lub bojownika. A jeśli pomimo to, sąd wydać zechce, będzie to tyle warte, co słowa pewnego głośnego naszego krytyka, zajadłego realisty, że jego „pies — nie pamiętam jak się wabi — napisałby powieść lepszą, niż *Nad Niemnem*“.

#### IV. Tendencja — maską bezducha.

Tych, co nie chcą dreptać utartą ścieżyną, i wolą bodaj iść samotnie, niż wlec się za armią literackich Tersytów i Falstafów, spotyka stale zarzut jątżenia i ezerwoności. Na takie odosobnienie rażno przystajemy. Kto ma dobrą wolę, ten zrozumie, że dzwonek starodawnych młynów, wzywający do zasypania świeżego ziarna, spełnia robotę pożyteczną.

Kolor czerwony drażni nadęte pawie, i już choćby z tego względu powinien być sympatycznym dla tego, komu jest przypisywany. Ale tu chodzi nie o sprawy osobiste — i przeto powiadam wprost, że krytyka, pewną barwą napuszczona, jest krytyką złą... Wyjaśniając to, wyświetlę zarazem swoje, i mojem zdaniem, jedynie właściwe stanowisko.

Dusza ludzka przebywa teraz wiekopomny chrzest: staje się społeczną... Na wszystkich punktach wre zacięta walka z sobkowstwem i ciasnotą zasad i popędów. Jestto łaźnia, jeśli nie krwawa, to w każdym razie bolesna, ale upragniona. Ponieważ jednak jesteśmy niewolnikami utartych wyrażen, których bywa zawsze mniej, niż przedmiotów i zjawisk, więc ową walkę nazywamy bojem z duchem mieszczaństwa. Stosujemy zbyt swobodnie i zbyt rozlegle gorzkie epitety, powstałe w wirze zapasów z wszechwładztwem pieniądza i wyzysku. Walczący pod godłem zmiany formy produkcyi lubią je narzucać artystom i poetom, i dla ocenienia ich wytworzyli sobie odrębny żargon, pełen takich określeń ujemnych, jak: burżuazyjny, liberalny, romantyk i t. p. Pisarze, mający gotowy w kieszeni plan przetworzenia społeczeństwa, okazują wzgardę i lekceważenie tym pracownikom literatury, co obdarzeni umysłem *mniej dogmatycznym*, nie stają dość fanatycznie pod pewnym sztandarem, albo w rzeczy samej, stanąwszy pod nim swą myślą i chęćmi, nie obwieszczają tego całemu światu i niewygrzywają na swej lutni. Społecznicy radziby nawet wskazywać kierunek lotu poetom, w przekonaniu, że każde uchylenie się od niego jest błędem i dowodem małości. Nie wzierają do duszy, nie badają jej ukrytych dla powierzchownego oka tajników, sądzą, że chorągiew osłania ją całą i całą streszcza, i wskutek tego ważą się na estetyczne rozprawy i na całkowite rozbiory krytyczne.

Nie są to słowa *orationis pro domo*, bo nie jestem, krótko mówiąc, za przeszłością i chyba nigdy mię o to nie posadzą. Lecz chodzi o usunięcie szkodliwych nieporozumień.

W pewnej pracy wyczytałem niedawno, że *Samotni* Gerharda Hauptmana nie wytrzymują porównania z *Tkaczami*, albowiem pochodzą jeszcze z okresu „liberalnego mieszczaństwa“. Jestto pusty frazes, bo obie sztuki różnią się jedynie tematami i co najwyżej stopniem autorskiej dojrzałości, ale są jednakowo świeże, prawdziwe i wstrząsające. Zarzucano też mieszczaństwo Prusowi i drobnomieszczańskie ideały Orzeszkowej. Takie podciąganie ludzi i utworów pod pewne klasy wypływa z logiki Prokrustowego łoża; utożsamia ono wolną twórczość z zawodem męża stanu, posła sejmowego, lub publicysty socjologa. Z jego winy również często dzieje się krzywda naturom szerokim, potężnym lub gorącym, jak z winy krytyki pomadkowej lub rzemieślniczej wkraczają na piedestały karły lub średniaki.

Krytyka nie może i nie powinna być wyrazem stronnictwa, bo indywidualność pisarza bywa bogatszą, bywa kławiaturą o tylu oktawach, że jej żadną miarą nie wyczerpią jego pragnienia społeczne. A cóżby należało powiedzieć o tych wielkich potomkach wojny o ludzką godność, jak Wiktor Hugo, Byron, Shelley, Heine o wszystkich wielkich romantykach, którzy jasno przyświecające nam prawdy znali za ledwie z mrzonek Saint-Simona i Fouriera? A co o filantropijnie czułościowym Dickensie i naprawdę drobno-mieszczańskim *Adamie Bede* Elliota, o takimże *Hermanie i Dorciei* Goethego?

Każdy probierz estetyczny, w którym tkwi „kwestya“ dnia, musi być niezupełnym, niesłusznym i niedokładnym, już choćby dlatego, że się zmienia jak księżyc, ma swoje nowie, pełnie i kwadry. Są idee wieczne, jak gwiazdy, są przemijające, jak meteory, są przelotne, jak błędne ogniki na bagnisku. Literatura winna umieć je rozróżniać i wybierać trwalsze, bo to w jej istocie leży. Na zasadę „sztuki dla sztuki“ w sobie zapatrzonej i na resztę nieczułej, rzucono już nie jedną grudę ziemi, bo to trup na pół spruchniały. Ale zasada „sztuki dla nieśmiertelności“ płonie w sercu każdego

autora i jawnie czy skrycie płonąć powinna, bo musi, bo ktoby próbował dowodzić jej czczości — będzie obłudnym albo nie powołanym do tworzenia dzieł wielkich. Taka już jest natura talentu — kto wie, może nieszczęsna — ale niewątpliwa. Owóż, kto zechce całe swoje natchnienie włożyć w kwestyę dnia, ten, że użyję cudnych słów autora *Odludków i poety*“.

„Nie przejdzie grobu sławą i umrze przy zgonie.

Lecz jak się rzekło, dusza ludzka przechodzi wiekopomny chrzest: staje się społeczną. Czyż więc nie grozi temu jej rozwojowi mniejsza wrażliwość na palące sprawy doby lub nawet epoki? Czyż więc krytyk ma prawo pomijać zupełnie społeczną stronę utworu?

Na oba pytania znajdziemy odpowiedź w jednym fakcie. U podstawy wszelkich urządzeń i reform społecznych musi spoczywać rozkaz moralny, miłość dla idei ogólnoludzkiej. Zarówno człowiek życia powszedniego, zwyczajna komórka w ciele zbiorowem, jak i powieściopisarz lub poeta, musi z samej natury swej ten poszept etyczny w sobie posiadać, tylko że będzie to wrażliwość nie na palące sprawy doby — lecz epoki. Człowiek, który ze szkoły naszego stulecia wychodzi samolubem, skończonym leniwcem lub sybarytą, cząstki pracy i ofiary i bólu dla ogólnego zbawienia nie złoży, jest umyślowym trutniem, choćby był w swoim przekonaniu najlepszym ojcem rodziny, czułym mężem, zapracowanym jak wół bratem. Z takich jednostek, którym nawet miano zwierząt gromadzkich nie powinno przysługiwać — składa się w naszym kraju większość. No, ale opinia chętnie nazywa ich ludźmi „porządnymi“.

Krytyka jednak nie jest opinią powszechną i jej bezeceństw dziedzicznych uprawiać nie może. Ona ma do czynienia z ludźmi, których do głosu i publicznej działalności upoważniać może jedynie wyjątkowa siła rozumu i uczucia. Kto pojmuje tylko tyle, co jego otoczenie, niech lepiej śpi pod łąwą;

kto czuje nie silniej od samego tłumu, niech trzyma język za zębami; kto ma tyle nowego do powiedzenia, co telefon lub telegraf, niech zostanie aparatem... Krytyka winna być wcieloną ekonomią ducha i baczyć na to, ażeby nie zabierano czasu i sił czytelnicych na pustą zabawę, przelewanie z pustego w próżne, klepanie dawnych pacierzy, bałamucenie kłamliwą obserwacją. Nie powinna wpuszczać do literatury mydlaków i aferzystów (chyba, że ktoś jest zerem skończonym, albo „karmelkowym wychowankiem wesołych domów“, jak jednego z nich nazywają koledzy krakowscy, wtedy wszystko jest wobec niego bezsilne), znosić rzeczy banalnych, bo one zamulają piśmiennictwo i obniżają poziom umysłowy społeczeństwa. Ale przede wszystkim jednego warunku powinna się domagać, ażeby pisarz ogół swój szanował, dla niego się poświęcał, nie oblagowywał go. Ze wstrętem mówi się zwykle o plagiatach, ale one doprawdy mniej szkodzą i mniej obrażają ideę zbiorową, niż pospolitość gustu w autorze, niż małość charakteru, niż próżność zastępująca ambicyę, niż tanie efekta, niż poddawanie myśli, że kartofel jest smaczną gruszką. Autor poważny i przejęty pali rzeczy nieudane, jak Aleksander Gieryski palił pierwsze swe obrazy, jak Guy de Maupassant pozwalał niszczyć pewne swe nowele, i nie pożałuje lat dwudziestu na jedno dzieło, jak Flaubert na *Kuszenia św. Antoniego*.

Gdzie nie ma czci dla społeczeństwa, gdzie pisarz nie jest choć trochę pelikanem, tam żadne mistrzostwo stylu i rymu nie da mu nieśmiertelności. Mogą sobie francuzi stawiać Teodora Banville'a na równi z Goethem — ludzkość przejdzie nad nim do porządku dziennego, jak nad większością umysłowych Lukullusów Paryża. Zmysł społeczny choć jeszcze w zarodku, doszedł przecież do tej siły, że się zżyma na widok indyferentyzmu, jak się zżymali grecy na widok kalectwa w sztuce. A przecież większość naszych powieści i utworów scenicznych, podszywających się pod satyrę społeczną, zawiera jedynie ciekawe lub zabawne *sytuacje*.

Lecz jeśli już ów żywioł zbiorowości *zdołał przeniknąć pisarza*, to powtarzamy, *mniej* o jego wygląd ze stanowiska doktryny, *mniej* o barwę partyjną, o kombinację kolorów na sztandarze, byleby tkwił w nim charakter i siła. Liryzm filatropijny, czy arystokratyczny, czy chrześcijański, jeśli wybucha z taką mocą, jak u Krasieńskiego lub u Paludana Müllera, niczem nie ustępuje socjalistycznemu.

Wielki talent jest sam przez się nowatorstwem, siła pióra i potęga czucia zawsze stają w poprzek upodobaniom i nałogom tłumu. Rzecznik ideałów minionych staje się bezwiednie kacerzem dla własnego stronnictwa z chwilą, gdy zamiast przeciętnie i statecznie je wyobrażać, wlewa w swe przedstawicielstwo zakazaną energię i przekonania własne. Między spalonymi na stosie więcej było może *przyjaciół* kościoła, niż *wrogów*, ale tem grzeszyli, że jak Savonarola, czuli i działali na własny rachunek.

Nie ma wątpliwości, że bóstwo postępu jest orędownikiem wpływowym, i pisarz, który pod jego sztandarem staje, łącniej wypowie coś nowego, niż ten, co pragnąłby świat cofnąć, choćby w najlepszej wierze, że działa w duchu Danta. Lecz jeśli dokaże tej sztuki, że mumie dawnych olbrzymów ożywi i zgasał aureolę im przywróci, będziemy ich podziwiać. Ale z pewnością wyższym będzie nad wszelkie barwy partyjne, duch pisarza o tyle rozległy, potężny i bystrooki, że wyłoniona z niego suma czucia, filozofii, miłości, psychologicznej i społecznej prawdy zdoła przetrwać wstrząśnienia społeczne i przyspieszać bicie serca nawet po ziszczeniu się wielu, wielu nadziei, po odwróceniu wielu chorągiewek.

Jedną znam i uznaję „czerwoną“ cechę prawdziwie nowoczesnego krytyka, lub może ona będzie taką dopiero w przyszłości; jest to *intensywne*, nieprzejednane sumienie estetyczne. Sędzia literacki winien być nieubłagany, jak członek ateńskiego arcopagu. Najlżejsze odstępstwo od wysokiej miary, jakiegokolwiek pobbłażanie dla bezsily i bezcharakteru, dla pozy i bezmyslnej zrzeczności odbija się na se-

tkach tysięcy czytelników o zdaniu niewyrobonem, na całej literaturze, którą rozważnia, na samych autorach, którzy przestają się wówczas pogłębiać i jak to n. p. widać po reporterskiej manierze Kosiakiewicza albo po słabym *Tamtym człowieku* Belmonta, spadają, zamiast jechać w górę. To samo zdarzyło się i z Esteją, z dzielną ale jednostronną i nieraz trochę niegramatyczną Ostoją i Rodziewiczówną, to samo wywróżyłem swego czasu Szymańskiemu, to samo było z autorem *Leny*. Takich obrazów szybkiego upadku żadna literatura świata nie przedstawia. Sądzę, że lepiej już jak autor *Larika*, Gadomski, zamilknąć zupełnie, niż w kwiecie wieku tracić jędrność, siłę, powagę i stawać się zwyczajną paszą odcinkową dzienników.

Sumienie estetyczne to wogóle rzecz dziwna i tajemnicza. Pojmuję, że można zadać gwałt skrupułom moralnym i wejść w układy z cudzą etyką. Ale zdaje mi się, że krytyk, który może przenieść na siebie, ażeby zadać kłam wewnętrznemu głosowi czy to przez niedocenywanie, czy przez przecenienie, czy przez wzięcie do oceny rzeczy dla niego *niezupełnie jasnej i zrozumiałej*, może być wybornym uczo- nym, obywatelem, mędrcom, profesorem, ale *estetycznego* probierza nie miał, nie ma i mieć nie będzie.

No, ale to zbyt czyste. Jedną z głośniejszych pisarek naszych, bardzo pracowitą, płodną i rozumno-wodnistą za- pytano w towarzystwie:

— Jakże głowa pani może wytrzymać taką pracę?

— E, mój panie, do tego głowy nie potrzeba wcale, do- sycić mieć rękę.

Dlaczegoż większość opiekunów literatury nie miałyby się urządzać również oszczędnie i prosto...

## V. Samotność a samolubstwo.

Nie ma szkodliwszych dla sprawy rozwoju, postępu i kry- tycyzmu ludzi, nad pisarzów, którzy ukazują się ludowi w fry- gijskich czapkach na głowach, a sami są zwyczajnymi pan-



toflami istniejącego porządku; paktują oni z miernotą i tchórzostwem zdania i względami swoimi osłaniają przyjaciół ciemnoty, wstecznicstwa i szablonu.

Takich pantofli w czapkach frygijskich posiada nasza literatura i publicystyka zastęp dostateczny; oni to może najlepiej podpierają cieplarnię bezducha. To są żołnierze, którzy pod murami obleganej twierdzy zakładają kramy, jednakowo dla obu wojsk przydatne, jednakowo dla pożyteczności swej przez obie strony tolerowane.

Gdyby ich nie było, ten i ów możeby przewietrzył szarnię bezducha, ale skoro oni są, oni — wrzekome wentylatory — nikt licząc w swej naiwności na nich, już się z miejsca nie rusza i ogół myśli, że życie drga, że, jak mówił Heraklit, wszystko płynie, a tu tymczasem, jak mówi Arne Garborg, wszystko śmierdzi.

Ten zaduch okropny, którym każą oddychać płucm dziewiętnastego wieku, zmusza niejednego do ucieczki. Kto ma w piersi poczucie wolnego i potężnego lotu, ucieka jak nieprzytomny, choćby miał przy tem skrzydła połamać. Ale gdzie uciec, kiedy wszystko cuchnie? W siebie samego, w głębie własnej, spętanej ciemnictwem ogółu duszy. Tam przynajmniej można rozpamiętywać tragedye Prometejskiej męki i obnażając własne rany i bole własne, jednocześnie wskazywać niedolę bezducha powszechnego.

Stąd ów potężny wiejący po Europie prąd indywidualizmu i tęsknota za samotnością. Nawet w najskrajniejszych i na pozór cudaczych jego objawach jeszcze jest dużo racyi, wszechświatowego cierpienia i nienawiści dla pełzania historii. U nas budzą się dopiero jego echa. Tragedya autoanalizy wychodzi dopiero z powijaków. Przeszkadza jej wybujać tradycyjna małoduszność. Wolimy Bourgetów i Rodów, rejterujących z armii duchowego buntu i plwających na filozofię negacyi, która ich wykarmiła i siłę im dała, niż Garborgów, Beaudelaire'ów lub Ibsenów, którzy się tumanić nie dają kościelnym kadzidłom. Hamlet nie poszedł do księ-

dza, gdy mu otoczenie zgnilizny i podłości odebrało zapał i wiarę w życie. Ale nasi Hamleci łatwo z demonów przedzierzgają się w braciszków. Udają skruchę, udają nawrócenie, udają odzyskaną wiarę. Kiedy Orlicz p. Ignacego Dąbrowskiego czuje, że mu w głowie pod wpływem natężonej myśli i wahania rozsypują się klepki, woła ni stąd ni zowąd: „Boże, ty musisz być, bo jesteś potrzebny“, jak-gdyby pan Bóg był bednarzem.

Czy mi chodzi o przekonania filozoficzne, postępowe lub zacofane? Bynajmniej. Powiedziałem już, że nie one decydują o wartości talentu. Chodzi mi o siłę, o potęgę rozumu i uczucia, o charakter, a tych właśnie zalet nie widzę; chodzi mi o to, ażeby ci, co szperają w głębiach ducha skołatanego daremnem pragnieniem, nie suggestywowali sobie pobożności, którą trudno odzyskać, gdy się ją raz skruszyło świdrującą wszystko myślą. Inaczej będziemy mieli przed sobą kłamstwo, obłudę, a w najlepszym razie miękkość, niezdolność niesienia swego krzyża. A takie kłamstwo właśnie za Bourgetem popełnia u nas Sienkiewicz i nawet Prus, potężnie krytyczny i olbrzymio męski w „Wokulskim“ i filozoficzny w profesorze z „Emancypantek“, zawsze uczciwy — daje się porwać panice i w popłochu zapędza się tak daleko, że — trudno mi to przelknąć — *wita w p. Gawalewiczu* odnowiciela religii i religijnej pociechy („Kraj“)... To gorzej niż iść do Canossy, to pobratać się ze sługusem cieplarni duchowego smrodu. Inaczej Jerzy Jonatan ze „Znużonych dusz“; on śmiał się, jak szatan, gdy mu Gram oświadczył swą chęć powrotu do wierzeń straconych, a czytelnik nie ma wątpliwości, że to śmiech samego autora.

Ta słaba, naiwna filozofia naszych analityków ducha odbiera im grozę, polot, prawdę i szczerość. Z *tragików*, jakimi być powinni, stają się przez nią pozującymi *wirtuozami*.

Sienkiewicz więc jest za mało głębokim, ażeby móżdżek naprawdę zajrzeć w otchłań czarną i bezdenną, którą nazwał życiem „bez dogmatu“. Gdzież u niego brak dogmatu?

Czy w tej miłości świeżej, bogatej, młodzieńczej, jak sama wiosna? Czy w tej naturze krzepkiej i zasobnej we wszystko, skłonnej do zapału i wzruszeń, umiejącej pragnąć całą mocą duszy nieskażonej i nieskaleczonej, czy w tych powrotach instynktownych do religii? Płoszowski bał się małżeństwa — ot i wszystko. W takim razie każdy człowiek rozsądny, dzielący jego gusta, będzie bez dogmatu? Więc dogmat polega na pośpiechu do sypialnej komnaty, w której za dziewięć miesięcy stanie może kołyska? Sienkiewicz nie ma, zdaje się, pojęcia o tem, co wypisał w nagłówku swego arcydzieła werteryzmu. Zakrył zieloną gałęzią straszną przepaść, zlekka się nad nią pochylił, może jeszcze przytrzymywany z tyłu przez jakiego przewodnika (Le disciple) i opowiada językiem piorunowładnym pielgrzyma z „Sonetów krymskich“, że co widział, o tem opowie po śmierci, bo w języku śmiertelnych nie ma na to głosu... Bogaty panicz był trochę spieszczony i chwilami znudzony, cóż w tem oryginalnego? A jako arystokrata polski, najwięcej nudził się w swoim kraju — cóż w tem dziwnego?

Właściwie Sienkiewicz bawi się tylko powolnem konaniem swoich bohaterów. (Wszystkie jego uroczę Mignonki, począwszy od noweli „Przez stępy“ podobne są do siebie i żadna nie nadaje się do wypowiedzenia idei potężnej, twórczej. To melancholie i elegie w spódnicach.) On możeby rzucił Anielkę w ramiona Płoszowskiemu, ale przez to „splamiło“ by się jego pióro, o które dba tak samo, jak Dąbrowski o „Bez dogmatu“ truchlała o swoje „plumage“. Jest on do moralnego lub filozoficznego zamachu niezdolny i w jednym wierszu Słowackiego tkwi więcej heroizmu i zuchwalstwa, niż w dwudziestu tomach niby dwudziestu łokciach tej brabantkiej koronki, którą wyrabia Sienkiewicz. Zdoła on wypięknąć do ostatnich granic to, co jest poglądem kół wykwiwintnej „inteligencji“, jej upodobaniem, uczuciem i pragnieniem, ale na żadne szaleństwo się nie zdobędzie. Oto tytuł jego artystycznej nieśmiertelności, a zarazem *ideo-*

wej *bezsilny* i jałowości. Cała filozofia Płoszowskiego, jego hamletyzm, indywidualizm, są nową, zbyt kowną edycją dawnego weltchmerzu, unoszącego się dziś nad Europą od czasów Childe Harolda, Musseta, Constanta, Lermontowa — ale nie nowego nie przynoszą.

A skoro twórcy Płoszowskiego wydało się, iż nam stawia przed oczy wzorowy okaz wielkich sił niesprężonych w jedną moc z powodu braku wiażdła — dogmatu, gdy w rzeczy samej dał nam znudzonego przez nadmierne wyrafinowanie gustów, a potem nieszczęśliwego w miłości magnata z nad Wisły, więc nie dziwnego, że i p. Dąbrowski, zostający pod szczególnym wpływem przedostatniej powieści Sienkiewicza<sup>1)</sup> zapomniał, jakich to warunków koniecznych potrzeba, żeby groza śmierci bez dogmatu była modelową i zawierała w sobie *prawo*.

Rudnicki jest poprostu człowiekiem za mało skończonym, niedorostłym filozoficznie do roli Hamleta śmierci. Auto zrobił go tak subtelnym, wybrednym, czujnym i wrażliwym, słowem tak wyposażył w zalety najwyższego gatunku ludzi, że mielibyśmy prawo żądać, by znał coś więcej nad wyrazy: absolut, dynamizm, *Ding an sich* i czytał coś więcej nad Mossa i Cullerré. Rudnicki całą swoją wiedzę filozoficzną wziął z księgarni ś. p. Paprockiego — jestto biblioteka niewątpliwie bardzo pożyteczna, ale dla samouków, zmuszonych zadawać się felietonami nauki. Wszystko, co dotyczy filozofii, jest tutaj nadto już marne i dziecięce, choć przecież temat należy do najbardziej filozoficznych.

Cóż dziwnego, że podobny ignorant nie daje wcale modły śmierci intelektualnej? To właściwie tylko zgon nerwowy, bo jednostka z głębszem wyrobieniem myślowem nie może tak całkowicie zatonać w samolubstwie cierpienia i być tak zupełnie ogołoconą ze wszelkiej osłody idei, solidarności.

<sup>1)</sup> A także pod silnym wpływem Garborga, Knuta Hamsuna („Głód“) może Tołstoja („Śmierć Iwana Iljicza“).

Rudnicki robi wrażenie jałowej, a przynajmniej bardzo jednostronnej głowy, która sobie powiedziała: „Ha, skoro już mam umierać na suchoty, to będę je dokładnie obserwował i wszystkie swoje bole skrzętnie obnażał, bo cóż ja mogę czynić, albo czuć innego, skoro jestem niedoukiem?” Gdyby był dojrzałszym umysłowo, możeby zrozumiał, że śmierć człowieka-mózgowca jest nie tylko szamotaniem się z życiem, ale i z przedzą nici, łączących nas ze społeczeństwem, oświatą, historią i nauką. Konanie, które chce być bohaterem umysłowego dramatu, musi być boleścią nie tylko nad tem, że już nie zobaczymy choinki, albo wielkanocnej baby, lecz że odejdziemy od tej wieczerzy pańskiej, przy której zasiada ludzkość cała.

Tylko w ten sposób umierający i tak głęboki człowiek stałby na wysokości nowoczesnego typu.

Filozofia ma to do siebie, że choćby obcowanie z nią miało dać w ostatecznym wyniku bankructwo, to jest posiadać niewiarę albo nawet zupełne przeczenie, zawsze jednak budzi w człowieku i rozwija pewne szczególne gatunki energii, pewne potrzeby, uczucia i popędy, które na skraju mogły także swój głos mają i nie pozwalają się zbyć machnięciem ręki i o prawo życia krzyczą. Z jej przybytku niepodobna wyjść bez pewnego technienia ideałów ludzkości; dłuższe przebywanie z zagadnieniami świata, bytu i społeczeństwa przetwarza z gruntu istotę jednostki, choćby ona miała nawet w tej szkole zawinąć do posępnej przystani pesymizmu. Otóż bohater „Śmierci“, mógłby stracić dogmat, ale nie mógłby wyzionąć ze swych nerwów humanitarnej skali myślenia, ani wypruć z mózgu komórek dla pojęć wiekuistych i powszechnych.

Filozofia i wiedza w ogóle jeśli natrafi na grunt wrażliwy, grunt poetycki, rozpala żądze ogromne, potężne, szerokie; *ona działa wówczas na ducha, jak księżyc na powierzchnię wód morskich*, podnosi ją; duch ma wtedy swój przypływ i wzbiera gwałtownie. Dla Sienkiewicza zarówno jak

i dla p. Dąbrowskiego, ma ona co prawda znaczenie inne ale jeszcze bardziej uposledzone: jest fabrykantką wiary i niewiary w Boga. W pierwszym razie — zbyteczną, bo wiary przecież i zwyczajny katechizm uczy, w drugim — łysą kobyłą, po której wygodnie się można przejechać ku ucie-sze gawiedzi. Niema nic płytszego, jak te jazdy, bo zdobywszy sobie ich umiejętność nader tanim kosztem zrozumie-nią, co to jest dogmatyzm lub krytycyzm, obadwaj autoro-wie zapraszają czytelnikowi oczy, olśniewają go niby skrami myśli głębszej, na dnie której niema nic, prócz gromkiego słowa lub cytaty.

Ani Płoszowski ani Rudnicki nie przeszli łązni filozo-ficznej i możemy im z czystem sumieniem powiedzieć, że — blagują. Co więcej, możemy nawet zapewnić ich, że nie ro-zumieją zgoła ani jej znaczenia ani jej nieuniknionego wpływu. Niechaj więc z swych samozwańczych roszczeń ten jeden tytuł — tytuł myślicieli, ludzi zupełnych — wyrzucą.\*) Oba-dwaj są mocni tylko na punkcie dręczenia się.

\*) Pomimo to wszystko — cud się stał, że stróż cieplarni po chwalili „Śmierć“, która zawiera *tragizmu indywidualnego* nie mało. Jej bohaterem jest osobnik świeżego, współczesnego typu, wprawny w czyta-nie dramatu własnej duszy. Niema on skłonności do złudzeń, owszem raczej ma pociąg do rozpraszania ich. Posiada wyostrzone oko, przed któ-rem się nie ukryje żadne konwencyjonalne kłamstwo pociechy, czy jego autorem będzie zwykły śmiertelnik, czy lekarz. Owszem, zręcznie nawet igra z tem otoczeniem, dowcipnie bierze je na spytki, wydusza sekresa i chwytą na gorącym uczynku zająknięcia się lub zaplątania. Pod tym względem jest nieodrodnym potomkiem nowożytnej rodziny Hamletów, mistyfikujących cały świat, gdy im do głowy swawola przyjdzie. Są to napady humoru skazańca, który czuje się wyższym od bliźnich, bo już niema nic do stracenia, bo jedną nogą stoi w grobie, jest potężny swoim nieszczęściem i samowiedzą, naznaczony stygmatem męczeństwa, gdy oni skaczą koło niego z woreczkiem swoich życiowo-felczerskich środków i przeto robią wrażenie strasznie głupich i małych.

Lecz dramat jest bardziej w takich razach złożony. Nie umiera się przecież na suchoty w przekonaniu, że się dokonało wielkich rzeczy i nie spłwua płuc z uczuciem spełnienia dwunastu prac Herkulesa. Złośliwe.

Jeden woła wśród jęków i westchnień serdecznej katuszy: ja cierpię!

Drugi, witający potokami łez i straszną szarpaniną wewnętrzną kościotrupa śmierci, szepcze: ja konam.

Możemy sobie jednak łatwo wyobrazić kogoś trzeciego, który nie mówi nic, ale z sobą samym prowadzi rachunki cierpienia, bo ich ogromu wypowiedzieć niezdolałby i — po prostu życie sobie w naszych oczach odbiera.

Nic naturalniejszego nad takie stopniowanie w literaturze. Gdy ją szła wyznań i namiętność rozpamiętywać ogarną, napewno nie zatrzyma się w połowie drogi. Skoro umie rozdrapywać własne rany, potrafi też i patrzeć śmierci w oczy przez czas dłuższy i portretować ją, jak wdzięczną jaką modelkę; a kto do tego jest zdolny, to zdobędzie się i na utorowanie jej drogi przez własne serce lub skroń własną.

Bohaterzy np. i heroiny Maryi Komornickiej, wyobrażającej u nas ten trzeci stopień, najtragiczniejszy, robią takie wrażenie, jak gdyby wciąż igrali z lufą pistoletu, albo kokietowali nawzajem — magnetyzującą głębię wody. Zawsze stoją na progu śmierci i wiecznie ją mają na swe posługi, a jeśli nawet z tej samobójczej władzy swej nie robią użytku, to sobie postanawiają uczynić to później, albo też powodują się różnemi skrupułami. Na tchórzostwo jednak nie ma tam miejsca. Nieustraszenie patrzą w twarz nicości („Nirwana“

---

zakątki duszy może sobie i podrygują i udają spokój i zupełną zgodę na wszystko, co się stać może, lecz inne za to skrytki wzbierają łkaniem i łzami, Rudnicki więc miewa chwile strasznego płaczu nad sobą, a to chyba płacz najokropniejszy, bo lituje się wtedy nad ofiarą, której los rozumie lepiej, niż my rozumiemy zwykle los tego, co już spoczywa w trumnie, albo bredzi w gorączce. Płacz nad konającym *sobą* jest chyba najbardziej wyrafinowanym okrucieństwem przyrody, jest to zgroza niewysłowiona jasnowidzenia, nad którą chyba lepsze są zgony bezprzytomne. I rzeczywiście, gdyby cała ludzkość wylewała morza łez nad niedolą bliźniego, jeszczeby ono nie zrównoważyło tych kilkuset słonych kropel, które nad sobą wylewa młody, rwący się do życia, młodością i życiem otoczony człowiek.

i „Z życia nędzarza“). Panteistyczna nieskończoność przyrody otacza ich zawsze i wabi, jako swoją nieodrodną cząstkę. Ze smutkiem wszechświatowym, dziwnie przypominającym „Alastora“ Shelleyowskiego, albo „Ode do wiatru zachodniego“, jeszcze za życia rozpraszają swą istotność pomiędzy moce i twory natury. To znowu czują dokoła siebie bezmiar jakiejś posępnej burzliwej ciemni w rodzaju tej, którą roztacza niekiedy Ibsen. Bezustanny tragizm nurtuje ich; myśl, nieznająca lęku, jasnowidząca, przenika całą zawisłą nad nimi fatalność żelaznych praw świata, jest ogołocona ze złudzeń i dogmatów. Jeśli żyją, to dlatego, że jak mówi Axel, bohater Villiers de l'Isle-Adama, „raczą żyć“, że mają nieprawdopodobną odwagę zostawać sam na sam ze straszidłami własnej duszy i upiorami otoczenia, że umieją trwać w próżni, w ogromie wypełnionym—pustką. Więc przestrzeń i jej żywioły kuszą ich głosami syren: „Gdy cię myśl trzeźwa rozdwoi i niesmakiem napełni, ukryjemy się w najgłębszych otchłaniach zapomnienia i otoczymy rajem wrażeń i uczuć potężnych, nieświadomością szczęścia. Gdy cię zmoże skupienie twej istoty — rozkołyszemy cię błogością marzeń panteistycznych, zatopimy w bezmiernej fali wszechświatowej ciszy“. A śmierć mówi do każdego z nich, wprost dając im bolesne *moratorium* w umysłowej upadłości: „Leć, dumaj, smuć się, twórz i bądź szczęśliwym. Wszak ja tu jestem. Nie obawiaj się niczego, w niebezpieczeństwie, w nudzie, w rozpaczycy ostatecznej, znajdziesz u mnie schronienie, o każdej chwili i nazawsze“.

Ten wezbrany aż do tragiczności duch, po którym swobodnie pływają najlepsze jednostki naszych czasów, przeraża — bardzo naturalnie — cieplarnię bezducha, bo grozi jej zatopieniem.

Analityk to w swoim rodzaju nurek, który na dnie otchłani widzi straszne potwory, niedostrzegalne wcale na powierzchni wód, przenika, słowem, całą toń, ale wcale się jej nie boi. A jednak, nawet zawzięci wrogowie mielizn



nie dostrzegają tego. Musiało to być chyba skutkiem pośpiechu lub niedopatrzenia, że pan Krzywicki w ciekawej rozprawie p. t. „Najmłodszy“ napadł na indywidualistów. On, co tak bystro podpatruje wszystkie rozgałęzienia kapitalistycznej orgii i wszystkie objawy jej moralnych skutków, rzucił we wspólny dół pospolitych fanfaronów oryginalności, zżymających się na to, że noszą nazwiska, imiona, tytuły, profesye, zamiast być tylko „sobą“ — ze szczerymi męczennikami panowania szablonu. Nie chcąc, jak się wyraził, dokuczyć nikomu, nie podawał autorów, tylko cytaty, świadczące o tęsknocie za samotnością, i na takim materyale oparł swe oskarżenie. I oto wybitną powagą swego pióra przypieczetował krzywdę, wynikłą z takiej błędnej procedury. Bo nie w urywek trzeba wejść, żeby odgadnąć poetę, lecz w poetę samego.

Do dwu punktów sprowadza się oskarżenie owo: że indywidualiści są tylko sobą zajęci i przeto grzęzną w egoizmie i, powtóre, że ich rodzaj literacki grozi zagładą psychologii społecznej, bo zostawia odłogiem dusze cudze. Święta prawda, że to są groźby złe, ale one nic łącznego nie mają z tragedją samorozbioru. Samolub i kretyn, zostanie samolubem i kretynem nawet w romansie ultra społecznym, faryzeusz i retor nie nauczy ideału nawet stu tomami szumnych frazesów i nawoływań.

Co do takich pisarzy można być spokojnym; nie będą oni liczyli uderzeń własnego serca, nie będą go jak Słowacki rwać w kawały, ani płakać nad utratą religijnej pociechy, etycznego drogowskazu, nie będą się zapijać cykuta śmiałej filozofii. Bo dla nich deską ratunku będzie zawsze smaczny obiad lub kurьерkowa reklama. Zmęczeniu zaś i rozpaczy autoanalizy podpadają — jak słusznie mówi p. Komornicka — „właśnie bogate, wszechstronnie rozwinięte natury; zenit człowieczego ducha jest więc sprzyjającym warunkiem jego upadku, jest ostatecznym wynikiem rozwoju i rozstrzygającą przyczyną dekadencji“.

Zapewne — u podstawy takiego duchowego osamotnienia leży i egoizm. Alboż jednostka lepsza, która się czuje taką i poznaje to po zachowaniu się otoczenia, może znosić obojętnie widok rozpanoszonej miernoty lub nawet nędzy umysłowej i moralnej i nie uczuć nienawiści dla tego żelaznego prawa, które daje gorszemu, podlejszemu, zwycięstwo lub przewagę nad lepszym?

Więc i ten osławiony egoizm nie jest wcale tak zbrodniczy. Jeśli w nim brak uwielbienia dla spraw świętych, to nie brak za to nienawiści dla ludzkiego łotrostwa. Zresztą „umierający z głodu — znowu słowa autorki »Szkiców« — pozerają się między sobą. Wielka męka, jak wielkie szczęście, jest z konieczności samolubną“. Żądać od ludzi posiadających więcej ducha, subtelności, pragnień, pogardy, dla Kromickich i bystrości w rozważaniu siebie a więc zajmujących najwyższe szczyty inteligencji, ażeby nie doznawali bólu, gdy świat wlecze po nich niwelacyjny walec, albo podcina nogi, ażeby nie przerastali głową ogółu — to conajmniej dziwaczne.

Zresztą gdy się z wielkiem nieszczęściem zderzy wielkie pragnienie szczęścia, gdy człowieka chwyta paraliż właśnie w chwili, gdy się chciał wzbąć w górę, coś dziwnego, że nie znosi mimowolnego tryumfu zdrowych.<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Party suchotami nad brzeg mogiły, Rudnicki (ze „Śmierci“) się demoralizuje. Duch jego rozkłada się tak samo, jak ciało, na składowe pierwiastki swoje. Pojedyncze władze lecą samopas, jak zwierzęta domowe po spalonej zagrodzie. I jedna drugiej nie hamuje, nie kielżna, rozpadają się niby klepki kadzi po zerwaniu obręczy. Więc Rudnicki, chociaż ma całą świadomość rosnącego samolubstwa i nawet okrucieństwa, nie może ich powściągnąć. „Nerwy są do tego stopnia chore, obolałe, a więc przeczulone, żem niezdolny oprzeć się ich parciu. Staczam się tam, gdzie mię one poniosą, mimo protestów rozumu, mimo rozkazów woli“. Staje się uosobioną względem swych opiekuńczych aniołów niesprawiedliwością, najszlachetniejsze pobudki tłómaczy sobie i im wyrachowaniem i bezczuciem, rozżala do łez. „Nic nie pomaga refleksya i wchodzenie w położenie innych; ja muszę wszystko na swoją modłę przerobić i po swojemu tłóma-

Takiego „egoizmu“ dajcie nam jak najwięcej, bogowie. Kto nie ma wygodnej synekury w cieplarni bezducha, nazwie go jednak inaczej: wybujałością ducha, i pojmie łatwo, że ona jest biczem bożym na społeczną i towarzyską ohydę, choćby nawet nosiła się po lordowsku, jak Byron, i bywała na pokojach królewskich, jak Musset. Jest to — jakby powiedziała p. Komornicka — postrach na niby-lojalność obyczajową, a właściwie obskurantyzm, stan moralnej zgnilizny, w której ludzie siedzieliby do śmierci „jak w wannie z błotem“. Drogocenny dar nienawiści i wstrętu dla tego, co banalne, pospolite, kłamliwe i płytkie, jest czią dla wszystkiego, co potężne, śmiałe, niezależnie w myślach i uczuciach

czyć... ale właśnie to, że sam widzę swą winę, popycha mnie jeszcze do coraz złośliwszych wybryków. Im bardziej czuję się szatanem, tembardziej staram się na jego miano zasłużyć. Czasem i na dnie piekła roskosz leży; może szatańska, potworna, ale zawsze roskosz.“

Dziwnie się to zgadza ze słowami Heleny z „Fantazj realnych“ Komornickiej: „Mój egoizm, to siła moich indywidualnych pragnień; to krzyk mego jestestwa, bolesny i przeciągły, który nie dopuszcza zagłuszenia. Czem jest obojętność dla drugich na świecie? *Współczuciem, neutralizowaniem przez własne cierpienia*. Altruistą jest ten, co nigdy dla siebie gorąco nie pragnął... Zwykła konsekwencya takich istnień jak moje. Zadużo we mnie mego ja: zawiele w życiu mem było własnych odrębnych cierpień; cierpień nie łączących mnie z innymi. Brakło mi współniedoli, więc współczucia.“

W miłościach takich ludzi nie ma powolnie spijanej rozkoszy. Są one chmurne, bogate w wymianę myśli, ale w swoim rodzaju szczęśliwe. U p. Komornickiej o zmysłach niema mowy. A jeśli Staszka „ogarnia płomieniem“ Gustawa, jest gwałtowna, namiętna, rozżarzona, to płomień ten łączy się nierozzerwalnie ze strasznym pociągami duchowym, nienasyconym głodem psychicznego stopienia się w jedną istotność. Takie przywiązanie nazwać można idealnem: polega ono na zupełnej, wszechstronnej harmonii dwóch dusz samotnych, nieokiełznanych, dzikich swą tragicznością i głębią na tle mieszczańskiego pospółstwa. Jest niewesoła, posępna i niespokojna, ale chłonie człowieka całego, jak gorący Golfstrem okręty. Podobne stworzenia albo są do zwykłego erotyzmu niezdolne, bo żaden kochanek ani kochanka ideału ich nie ziszczą, albo jak oddadzą serce, to jak pszczoła żądło — wraz z życiem.

i niezgusniałe w „wannie z błotem“. One jak taran rozwalają mur konwenansu, obłudy, ciemniejszej opinii, bezmyślności, które są na tej ziemi żywiołem obfitszym, niż woda opływająca części świata. W kwieciu ich stylu, żalów, skarg i szyderstw, nawet tak małodusznych, jak Rudnickiego, i arystokratycznych, jak Płoszowskiego, tkwią zjadliwe dla społecznego bezducha groty, jak w mirtowym wieńcu, uwitym synowi Pizystratesa, dwaj młodzieńcy ateńscy ukryli sztylety.

Nasz ogół czytelniczy zachwyca się mundurem studentkim Rudnickiego i miłośnemi przygodami Płoszowskiego, zaś ich indywidualizmu nie pojmuje. Potrafimy nawet *tragedyę analizy* zamienić — na *komedję rautu*.

#### VI. Estetyka agentów ubezpieczeń.

Co może być przyczyną tej osobliwej desperacji, tej szczególnej przyjaźni z widmem zgonem, tego dziwnego spaceru nad brzegiem czarnej bezdni, które charakteryzują literaturę nową i nadają jej wygląd głęboko analityczny i tragiczny?

Wedle krytyki naszej cieplarni — przyczyną tą jest główny wróg asekuracyj na życie — Schopenhauer, który odarł je w filozoficznej trupiarni ze wszystkich ułud i uroków. Nie mogą oni zrozumieć, co to *nadmiar ducha*, a więc *nadmiar dobrego*, inaczej pojęliby, że przyczyną tylu rozpałtywań śmierci i dogmatów w wykluwającej się literaturze jest poprostu bujna *nad powszednie wymagania i potrzeby* żywotność, potężna nad ogólnie popłatną miarę — indywidualność. Są to pierwszorządne fakta, niedostępne dla istot o małym kącie widzenia. Owad pełzający po ziemi może wgramolić się na skałę, lub pień, zajmujący połowę jego oczyszny, ale ich nie widzi jako przedmioty. Podobnie i nasi dyagnostycy literatury łążą nieraz po olbrzymich faktach, ich powietrzem oddychają, lecz są na nie ślepi. Ci „najmłodszy“ to nie figlarze, dla swawoli brużdzący asekuracyom, lecz „głodne wyjące pod piramidą szakale“. Bywają też oni czę-

sto na podobieństwo fali morskiej podrzucani w górę aż pod samo niebo paroksyzmami marzeń i energii, ażeby potem znów upaść w dół, w przepaść niemocy, zniechęcenia, w bezwład.

Jak u ciężkich robót Kaledonii skazańcy głodowym buntom domagają się ulgi, powietrza, albo *tlumncem samobójstwem* płacą za krzywdę, tak literatura dzisiejsza obozuje na cmentarzu, blisko grobu. W ten sposób rozpaczliwy — bo innego nie ma — wyraża swój protest przeciw zaduchowi. Wiek nasz sprawia wskutek tego wrażenie agonii konającego. Jest też podobny trochę do konającego lwa z tego względu, że i na niego czyhają te mądre i odważne stworzenia, które wołają walczyć z trupami, niż z żywymi, a choćby tylko kopnąć ich...

Wiek ten broił w literaturze i sztuce nie mało. Na tych polach harcował, tutaj wyzwał siłę, które odebrał w spuściźnie po swoim poprzedniku. Żył szybko i namiętnie, nie oglądał się na leniwców i niedołęgów, nie słuchał gładzenia starych, nie zważał na przestrogi świętych. Teraz więc, gdy schodzi do grobu, wszystkie bractwa kraczą nad nim kłatwą i urąganiem, cieszą się zgonem, prześladują jego żywot, ażeby dojść do wniosku, że był chorym, suchotnikiem, tabetykiem, morfinistą, alkoholikiem, słowem studnią nałogów, pomieszanych z występkiem. Takich agentów asekuracji na życie, jak Max Nordau i jego przedrzeźniacze polscy, p. Jeske-Choiński, możnaby naliczyć setki. Stypa i używanie powszechnie!

Nagromadziło się wskutek tego kłamstw bez liku. Do sądzenia o poezji, o twórczości ludzkiej, o namiętnościach zabrali się wszyscy ci, których właściwe miejsce byłoby u wrót haremu, do rozpatrywania dzieł *ducha* — ci, co umieliby w najlepszym razie napisać dobrą... poliś. Lwy stanęły przed sądowniemi krótkami oswojonych „pożytecznych“ zwierząt, nad orłami zaczęły kiwać głowami pułardy.

Tylko, że ten cyny areopąg przesłąpił jedną drobną okoliczność. Oto wiek jako pojęcie, jako miara czasu dogorywa wprawdzie, lecz to, co jest jego treścią żyje i słucha, w dalszym ciągu niezłomnych praw rozwoju, choćby bez postępu, Ludzkość nie zamarła bynajmniej i koniec świata nie zbliża się, chyba dla tych, dla których kończy się on tam, gdzie „się skończyły“ dwie mile ich umysłowego widnokągu. A jeśli naszym krytykom zdaje się inaczej, to dlatego, że prędzej wielbłąd przejdzie przez ucho igielne, niż filister dostanie się do królestwa duszy ludzkiej.

Ale cieplarnia wali się pod orkanem szalejącego rokoshu ducha — nawet u nas. Słysząc już brzęk tłukących się szyb, które zagradzały tak długo przystęp świeżemu powietrzu. Nie radzę jednak autorom polis brać się do szklarstwa — pokrwawiaj sobie ręce...<sup>1)</sup>



<sup>1)</sup> Praca niniejsza powstała z połączenia „Zbawców literatury“, których drukowałem w „Prawdzie“ w r. 1893, oraz części „Śmierci i dogmatów“, które drukowałem w końcu roku 1894 w „Przeglądzie tygodniowym“. Wobec czynionych mi przez klikę zarzutów, iż lekceważąco odezwałem się w „Śmierciach i Dogmatach“, o „Emancypantkach“ Prusa, (czem nawet motywowano wyrok, „wykreślający mię z „liczby literatów“) objaśniam, że wszystkie prócz ostatniej wzmianki w „Cieplarni bezducha“ o Prusie, zostawiłem umyślnie bez zmiany, ażeby każdy mógł się naocześnie przekonać, że nienajgorzej pojmuję autora „Lalki“ i stawiam go zawsze na pierwszym miejscu. Chyba też przyjemniej jest autorowi — mówię słowami listu Gomulickiego do mnie — „być przezemnie zmaltretowanym, niż lizanym“ przez rozmaitych Milusińskich.

## TRZEBA MIEĆ METODĘ.

NAPISAŁ

WACŁAW NAŁKOWSKI.

„Difficile est satyram non scribere“.

Są u nas ludzie, mający niewzruszone przekonania i odwagę ich wypowiedania; są ludzie, których oburza wszelki fałsz lub niesprawiedliwość; są ludzie, którzy umiłowali wiedzę, którzy ją zdobywają, walcząc z przeciwnościami, z nędzą nawet nieraz; którzy zanim napiszą książkę, pracują sumiennie całe lata; którzy z surową samokrytyką ważą każde napisane zdanie, każdy wyraz; którzy gardzą wszelką blagą, arlekinadą, reklamą.... A jakkolwiek byłoby niesprawiedliwością chcieć to wszystko „między bajki włożyć“, to jednak nie można nie twierdzić, że ludzie tacy są *pozbawieni metody*; a nawet jestem pewien, że w oczach człowieka *normalnego* muszą oni wyglądać wprost na aspirantów do honorowego obywatelstwa Tworków lub Kulparkowa.

Bo rzeczywiście, cóż zyska u nas jakiś Tworkowski lub Kulparkiewicz na takiej metodzie, albo raczej na takiej bezmetodyczności życiowej? Oto po wielu latach ciężkiej a sumiennej pracy, gdy włos się posrebrzy, wzrok osłabnie i siły opuszczą, wyczyta, co najwyżej, w którym z *kuryerów* taką np. wiadomość: „P. Kawalkiewicz młody, a głęboki autor „Słodkiego Paluszka“ i „Różowej Pętelki“ oraz p. Tworkowski (lub jemu podobny) wyjechali w dniu dzisiejszym z Syreniego grodu; pierwszy, wysłany przez ruchliwą i zasłużoną redakcyę „Bawidelka Damskiego“, udaje się na studia estetyczne do Wenecyi, Rzymu i Neapolu;

drugi — do Nowego Miasta dla poratowania nadwątlonego zdrowia“.

Dla zyskania zaszczytów i rozgłosu, dóbr materyalnych i moralnych nie koniecznie jednak trzeba być u nas Kawalkiewiczem, to znaczy „sympatycznym“ i „głębokim“ (nade wszystko głębokim!) autorem bluetek, nowelek, noweletek, noweletek; nie koniecznie przez stosunki z wydawcami trzeba trzymać berło krytyki teatralnej, a stąd fanowania nad aktorami, a nade wszystko nad aktorkami, które wywdzięczą się między innymi i tem, że za pomocą deklamacyi na koncertach, rautach itp. rozpowszechniać będą farsy Kawalkiewiczów; niekoniecznie tak samo trzymać należy berło krytyki malarzkiej, przeczco „głębokie“ oblicze Kawalkiewicza wyglądać będzie z każdej wystawy, z za każdej szyby. Nie koniecznie trzeba palić mówki na jubileuszach, a szczególnie na pogrzebach osób znakomitych i pisać na ich cześć kantyczki, a to w celu, aby imię mówcy lub piewcy rozbrzmiewało tuż obok imienia znakomitego nieboszczyka, roztrąbione przez przyjaciół reporterów po gazetach, rozlepiane na plakatach, zapowiadających wydawnictwo dzieł pogrobowych. Nie koniecznie, pisząc w fejetonie o jakiejś banalnej kwestyi, trzeba dodawać: „właśnie mówiłem o tem z Sienkiewiczem w czasie przyjacielskiej pogawędki w Zakopanem“. Nie koniecznie trzeba mieć dar podkadzania temu lub owemu z rzeczywiscie poważnych krytyków w celu, aby płytkość nazwał „głębokością“, banalność — „mistrzostwem“. Nie koniecznie trzeba w kronikach tygodniowych podnosić „rzeczy pocziwe“, to jest takie, które ściągają jak najwięcej prenumeratorów i czynią przez to autora bożyszczem wydawców, „wytrawnym“ doradcą w każdym przedsięwzięciu propinacyjno-literackiem jako człowieka „z nosem“. Nie koniecznie przed napisaniem „Pętliki“ trzeba się „długo nosić z myślą“ (o czem donoszą *Kuryery*), a w powieści podnosić rozum i zalety tych, co najwięcej prenumerują „Bawidełka damskie“, a jako głupców i nicponiów przedstawiać tych, co są zbyt umysłowo rozwi-



nięci, aby podobne brednie czytywać. Nie koniecznie trzeba być badaczem buduarów i opiekunem sztuk pięknych (a choćby tylko ładnych), a zarazem słodko-moralnym autorem sielanek małżeńskich w biedzie i ciężkiej pracy, to znaczy — być hipokrytą lub idyotą socyologicznym. W ogóle nie koniecznie trzeba być maszynistą figur woskowych, kręcących się i mówiących automatycznie według starych szablonów. Nie koniecznie trzeba być fabrykantem i dostawcą literackiej wody słodkiej, pachnącej i różanej, która jednak w rzeczywistości jest wyciągiem ze zgniłych już trupów i zatruiwa nie dość oświecone, nie dość krytyczne umysły itd. itd. Nie koniecznie, powiadamy, tem wszystkim być i to robić trzeba, jakkolwiek to jest najlepsza metoda ze wszystkich znanych <sup>1)</sup>, aby u nas zdobyć sławę, stanowisko i zaszczyty; owszem: można to osiągnąć, któżby to przypuścił, nawet na drodze naukowej.

Trzeba jednak i tutaj pamiętać zawsze o „metodzie“; jedna z tych metod naukowych jest podobna do tej, jakiej używa nauczyciel w komedyi „Pieszczoszek“ i zasadza się na tem, że naukę wyklada się społeczeństwu w śpiewie na nutę „Pięknej Heleny“, ubrawszy się przytem samemu w trykoty i dzwonki.

Na metodę taką w nauce wpadały już dawno niektóre „głębsze umysły“. Oto np. jaki typ uczonego opisuje p. Kramsztyk (*Szkice przyrodnicze*) w osobie Jana Ernesta Eljasza, Besslera, który „jakby mu jeszcze za mało było tych imion“ przybrał piątę Orfyreusza; uczony ten wynalazł mianowicie

<sup>1)</sup> Niech mnie czytelnik nie posądzi, że „metoda“ wyżej wyłożona jest produktem mej bujnej fantazyi, iż jest wysnuta *a priori*; bynajmniej, umysł mój jest w tym kierunku tak ograniczony, że nigdyby nie wpadł samodzielnie na odkrycie tak głębokich prawd życiowych, tego niejako nowego dekalogu, tej nieomyślnej recepty na wielkość; wszystko to jest rezultatem moich długoletnich obserwacji, zbiorem, z automatyczną wiernością i pietyzmem spisywanych, objawów, z którymi się spotykałem; powstało na drodze jaknajzupełniej empirycznej.

*perpetuum mobile* (1715 r.) i ogłosił o tem światu całemu pod szumnym tytułem: „Triumphans Perpetuum mobile Orfyreanum“. Wynalazkiem tym zachwycał królów, książąt, landgrafów, a nawet urzędowych uczonych profesorów. Dopiero jakiś mało znany pisarz (naturalnie „niefachowy“, „warchoł“, „nieprzyzwoity“, lubiący tylko „waśnie osobiste“ itp.) przedsięwziął ciężki trud dowiedzenia społeczeństwu, a co najtrudniejsza — „fachowcom“, że to wszystko jest tylko blagą; a musiał na to zużyć wiele argumentów: Po pierwsze — mówi on — Orfyreus jest głupiec (ten argument jeszcze nie wystarczał), po drugie niepodobna, aby głupiec mógł wynaleść to, czego tylu mądrych ludzi napróżno poszukiwało, po trzecie nie wierzę w niemożliwości, po czwarte itd.... Wszystkie jednak argumenty nie zdołały zachwiać sławy nabytej przez dobrą „metodę“.

Ale porzućmy obczyzną oraz przeszłość i dla uilustrowania tej metody zwróćmy się znów do naszych stosunków; przypatrzmy się podobnie doskonałemu na polu naukowem typowi, jak Kawalkiewicz na polu literatury nadobnej. Oto na przykład w jaki sposób poczyna sobie taki „metodolog“. jak dajmy na to, bo „nomen est omen“, doktor *es sciences* Letkiewicz de Bлагieradzki. Przedewszystkiem, ażeby chwycić za serce rodaków (nie krzywdząc jednak bynajmniej siebie), dowiódł by on, że w jakichś górach krajowych w czasie epoki lodowej rosły gruszki na wierzbach i że jemu należy zaszczyt pierwszego odkrywcy ich śladów. Dobrze jest przytem na szczycie tych gór wypić ze wspaniałego puharu zdrowie krajowej płci pięknej, co w osobnej korespondencji powinno być zaznaczone.

Rozpocząwszy w ten sposób swą karierę, uczony nasz puszcza się na szersze przedsięwzięcia: wyjeżdża „za ocean“ i to jak wyjeżdża! trzeba bowiem umieć wyjeżdżać za ocean *metodycznie*. Dr. Bлагieradzki przedewszystkiem oznajmia to całemu narodowi w osobnym telegramie zwróconym do zjazdów naukowych; telegram ten przechodzi za pomocą takiej

rozumnej manipulacji do wszystkich sprawozdań ze zjazdów, figuruje we wszystkich gazetach. Przytem „metodolog“ niewyjeżdża nigdy jako prosty żołnierz, lecz jako „wódz wyprawy naukowej“. Nie dziw też, że w wyprawie takiej może on odkryć wielce nową prawdę antropologiczną, iż „arcyksiążę austryacki nie jest osobistością identyczną z *rodowitymi* Japończykami“. Co do miejsca „badań“, zależy to naturalnie od okoliczności, na który kraj lub część świata jest zwrócona głównie w danej chwili uwaga ogółu; *ceteris paribus* jednak dobrze jest obrać sobie wyspy Oceanii, gdzie tak wdzięczne pole dla głębokich badań otwierało się zawsze od czasów Coocka podróżnikom, zwłaszcza młodym. Stamtąd trzeba palić telegramy, i sypać korespondencye tej mniej więcej treści:

Dan w Honolulu roku pańskiego.....

Z polecenia królowej Kama Kacha Liliuokalani zwiedzałem kraj w towarzystwie ministra robót publicznych i innych dostojników państwa Sandwichskiego; w pięknie na moje przybycie przystrojonej willi spożywalimy wyborne śniadanie w dobranem i wesolem towarzystwie; perlącym się szampanem piliśmy zdrowie dwóch bratnich ludów polskiego i — sandwichskiego, oraz zdrowie pięknych cór Oceanii, które towarzyszyły nam w swych wdzięcznych narodowych strojach, składających się wyłącznie z kwiatów. W tem jakby grom z pogodnego nieba uderzył nas telegram królowej, wzywający do powrotu z powodu rewolucyi w Honolulu. Zrywamy się natychmiast, oglądamy swe rewolwery są jeszcze w dość dobrym stanie; nadobne twarzyczki ognistych cór południa żegnają nas ze smutkiem i trwogą, pędzimy jak wicher osobnym pociągiem dla nas przeznaczonym. Lotem błyskawicy przybywamy do Honolulu; na wieść o mojem przybyciu kupy warcholów umknęły, porządek został w zupełności przywrócony. Królowa dziękowała nam ze łzami w swych pięknych oczach i w nagrodę obdarzyła nas najwyższym urzędem i orderem swego państwa.

Zaprowadziwszy porządek w Honolulu, powracam za kilka dni do Europy, aby nauką i zaszczytami zdobytymi za oceanem podzielić się z moimi kochanymi rodakami <sup>1)</sup>.

Podpisano: Dr. es sciences Letkiewicz de Blagieradzki,  
wielki kanclerz królowej Kama Kacha Liliuokalani,  
kawaler orderu Wielkiego Rekina (na wstędze).

Dobrze też bywa w czasie takiej podróży spotkać gdzieś wśród puszczy zwrotnikowych jakiego kolonistę z Psiej Wólki, który dotąd pija codziennie swojską żubrówkę i co rok jeździ do spowiedzi o setki mil do księdza jak gołąb staruszka — też z Psiej Wólki.

To się nazywa u nas metoda, a nie jakieś tam ślęczenie nad zdobyciem wiedzy przez długie lata i troszczenie się w pismach o to, aby każde napisane zdanie miało sens i było prawdą.

Nadaremnie jakiś, „niefachowy“, lubiący tylko „waśnie osobiste“, chciałby dowodzić, że nasz „młody i sympatyczny“ uczony nie mógł znaleźć śladów gruszek na wierzbie w epoce lodowej, albowiem: po pierwsze uczonej nasz jest Orfyreus, po drugie gruszki nie mogą rosnąć na wierzbie, po trzecie wierzby nie mogą rosnąć na lodzie, po czwarte itd.

Nadaremnie powoływalibyśmy się na to, iż odkrycie, że Niemcy należą do innej rasy niż Japończycy, było już znane nieco dawniej.

<sup>1)</sup> I to znów nie jest bynajmniej wytworem mej fantazyi: jest to prawie dosłowne powtórzenie listu pewnej naszej wysokiej w danym kierunku powagi pisanego do „Czasu“ a powtórnego jako rzecz znakomitą przez „Kraj“ (zmieniliśmy tylko miejscowość). Wogóle cały nasz artykuł niech czytelnik uważa jako kompilatorski zbiór wskazówek „metodycznych“ poczerpniętych od najznakomitszych powag; jako pewnego rodzaju Vademecum dla chcących zostać u nas wielkimi. Że np. wyżej podana metoda wyjazdu za ocean i gruszek na wierzbie jest wyborna, to najlepszym dowodem jest karyera jej autora, który, nie będąc w stanie nawet spolszczyć podręcznika szkolnego bez popełnienia mnóstwa błędów i sprzeczności, niemniej jednak osiągnął najwyższe zaszczyty i stanowiska naukowe. „Metoda“ więc jest w praktyce zupełnie wypróbowana.

Nadaremnie ktoś chciałby wykazywać, że familiarność z ministrami honolulskimi, piękne twarzyczki honolulek, oglądanie rewolwera, poskramianie rewolucyi itd. są to wszystko marne efekty, blaga najgrubszego gatunku, przypominająca bufonadę czwartoklasistów po powrocie z wakacyi.

Nadaremnie wreszcie dowódzilibyśmy, że takie bezuścienne i wierne rżnięcie żubrówki i tym podobnych swoich napitków nie orzeka bynajmniej o żywotności etnicznej i jest na rękę tylko propinatorom rozmaitego gatunku.

Nadaremnie! — nasz Orfyreus, dzięki swej dobrej „metodzie“, pozostanie zawsze „naszym dzielnym uczonym“. Co najwyżej, jeżeli po tych wszystkich dowodach przyjaciele i kondotyeryzy zaczną przed tymi epitetami dodawać „bądź co bądź“; będzie on więc teraz „nasz bądź co bądź dzielny uczony“. To klasyczne „bądź co bądź“ usuwa za jednym zamachem wszelkie argumenty, dowodzące najniezbiciej, że uczoność „naszego dzielnego“ jest tylko błagą. Żadne dowody, żadna siła ludzka nie są w stanie zawrócić stada parnurgowego, gdy już raz zostało popchnięte w pewnym kierunku.

Ponieważ doścignięcie wielkości na polu naukowem, jako mniej wdzięcznem, jest trudniejsze niż na belletrystycznym, więc podczas gdy metoda Kawałkiewicza jest jedyną, a on sam doskonałym typem, mistrzem, do którego każdy z młodych adeptów literatury nadobnej stara się mniej lub więcej zbliżyć, to na polu naukowem jest parę metod, parę typów; przypatrzmy się jeszcze niektórym.

Oto np. taki dr. Kapłański, nie zadaje sobie bynajmniej trudu śledzenia za rozwojem wiedzy; czego się nauczył przed laty może trzydziestu, tem wciąż wojuje, a ponieważ nie zużywa sił na pracę umysłową, więc posiada duży zapas energii niewyżonej, to jest dużą swadę i butę; krzyczy głośno, tupie nogą i wymyśla na wszystkich, szczególnie na „niedojrzałych“ (tj. takich którzy, nie pojmując jego „metody“, śledzą za rozwojem wiedzy). Tym sposobem udaje

mu się ludzi zahukać; jest on członkiem wielu redakcyi, należy do różnych komisji i za te zajęcia każe się dobrze honorować. Ta metoda jest już nieco gorsza, albowiem buta może się ludziom wreszcie uprzykrzyć; a przytem „metodolog“ uniesiony nią zatracą samoocenę, zbytnio lekceważy przeciwników, zbytnio się naraża i tym sposobem, zbierając pewien czas laury, musi wreszcie kark skrócić.

Typ Kapłańskiego ma formalnie coś z zacięcia Bismarcka, tylko brak mu, niestety, odpowiedniej siły; typ ten nazwano też słusznie „kapitanem roty“.

Jeszcze jedna metoda używana szczególnie w Galicyi polega mianowicie na tem, że, będąc jeszcze na uniwersytecie, metodolog zaskarbia sobie względy jakiegoś wpływowego profesora, który zaopiekuje się za to swym pupilem. Oto taki np. dr. Biały, który dla nadania sobie cenionego w Galicyi rodowego splendoru dodaje czasem do swego nazwiska pewne przydomki niemieckie tak, iż całe jego nazwisko brzmi pięknie: Dr. Weiss von Weissenberg Biały; zajmował się przez pewien czas jakimś przedmiotem, naturalnie najbardziej w Galicyi cenionym, ale w tym kierunku wypromować go było trudno: ogólny sąd o nim brzmiał jak sąd owego pułkownika o Bartku zwycięzcy, gdy Steinmetz chciał go wypromować na podoficera; promotorzy więc naszego metodologa kazali mu się wyuczyć innego przedmiotu, który, jak sądzili, mniej wymaga rozumu. No i tym sposobem dr. Weiss von Weissenberg został c. k. przysięgłym urzędnikiem od nauki, którego obowiązkiem jest robić wypisy z książek zagranicznych oraz wykazywać różne nowe i głębokie prawdy, jak np. że kolejami się prędko jeździ, że korki wynaleziono po wynalezieniu butelek, że upał w lesie jest mniejszy, że woda pod wpływem ciepła paruje itd. itd. To też, dumny ze swego tak wysokiego stanowiska urzędowego, gromi on z wysokości mandaryńskiego fotelu i to bez dowodów (albowiem „zbyt na to ceni czas“), gdy tylko ktoś z po za granic Galicyi ośmieli się wkroczyć na pole

jego specjalności, nie posiadając c. k. marki. Istny finanswach galicyjski, konfiskujący tytoń i wódkę, nie posiadające austriackiej banderoli!

Dr. Weiss przypomina nieco typ dra Kapłańskiego, tylko, że gdy ten ostatni czerpie swą zarozumiałość w pewnej bismarkowskiej swadzie, w temperamentcie, w swoim ja, to pierwszy — jedynie w swem c. k. urzędowem stanowisku.

Wreszcie do metod zaliczyć też należy żeniactkę z bogatemi starymi pannami wysokiego rodu, praktykowaną szczególnie w Galicyi; metoda ta prowadzi też szybko do stanowisk i zaszczytów, jest jednak, że tak powiem, nieco niehygieniczna. Kto więc chce jej używać, powinien się dobrze obrachować z siłami oraz polecić opiece Matki Boskiej.

Charakterystyczną cechą wszystkich „metodystów“ jest cześć dla stanowisk nominalnych i tytułów naukowych (bo one są murem obronnym dla wszelkiej głupoty i chronią ją od zaniku, są pancierzem w walce o byt z ludźmi prawdziwej nauki), dalej wstręt do wszelkich sporów naukowych i polemik (w świetle których ich głupota mogłaby się zbyt jaskrawo przedstawić), do wszelkiej nowej myśli, walczącej ze starym porządkiem: „dopiero gdy ta myśl zwycięży, biorą jej stronę przeciwko dalszej ewolucyi“; mają instynkty, które Lapouge nazywa „trzędowemi“.

Kwintesencya „metod“ na tem polega, aby wyprowadzić w pole społeczeństwo i za pomocą minimalnego zużycia sił, nie dając społeczeństwu nic prawie, a nawet przynosząc mu fałszywymi produktami szkodę, otrzymać od niego maximum dóbr materyalnych i moralnych. Metodyści więc są to jednostki, których społeczeństwo powinno ściagać zarówno jak wszelkie pijawki społeczne. Ale że krytyczny zmysł społeczeństwa jest jeszcze bardzo mało rozwinięty, więc metodyści jeszcze długo będą zbierać laury, panować; długo jeszcze zamiast sami uleść prześladowaniu, oni tytułarną powagą i środkami materyalnymi będą prześladować pracowników

cichych i sumiennych, którzy poświęcili swe życie dla pewnej idei i są przez to solą w oku, widowym wyrzutem dla metodystów. A niechże jeszcze który z tych skromnych pracowników zajmie się jakimś przedmiotem niemiłym, nieprzyzwoitym, albo niech będzie tak niegrzeczny i źle wychowany, że potracony osłem kopytem Letkiewiczów, Weissów, Kapłańskich *et tutti quanti*, odeprze ich napaść, dowiedzie im braku nauki i etyki; wtedy naturalnie podlegnie formalnej nagance, albowiem patentowani uczeni, metodyści, filistry, drzemający na synekurach, lękają się zawsze „gdy pośród tłumu błysnie w ogniach twarz człowieka“: podrywa to ich chińską powagę, zmusza do śledzenia za postępami wiedzy, zamiast spokojnego „dojrzałego“ przeżywania rzeczy odwiecznych. Będą więc, oparci na swej nominalnej powadze, wśród wydawców rozsiewać wiadomości, że takiemu pracownikowi „brak podstaw naukowych“, będą starali się zabić go moralnie za pomocą stronnych, niesumiennych krytyk, na które nie przyjmą odpowiedzi i tym sposobem zmusić do wyniesienia się z kraju lub ugięcia karku. Stąd to tak częsty u nas *typ człowieka-ruiny*, stanowiący nieraz pośmiewisko dla ludzi przeciętnych, filistrów, którzy się ani domyślają, co się pod temi ruinami kryje, jaka jest ich przeszłość, jakie koleje. Dopiero głęboki znawca serca i duszy ludzkiej z jednego przelotnego spojrzenia, gorzkiego uśmiechu, z jednej myśli, błyskającej niekiedy z pod śmiertelnego całunu apatyi, - z rozpaczliwej chwilowej energii, zwykle nieoczekiwanej, zrozumie, czem był taki człowiek, czem mógłby być zostać. — Tak uczony podróżnik, stojąc wśród mchem lub pyłem pokrytych odwiecznych ruin, po których drapieźny syn pustyni, niewolniczy fellach lub obojętny potomek Inkasów, depcą bezmyślnie, potrafi z ułamka muru, z na w pół zatartego napisu poznać i odtworzyć tę budowę, co niegdyś wznosiła się dumnie ku obłokom, zanim zębem czasu, ręką złych ludzi lub kulami wroga została strącona w dół!...



Na szczęście wśród tej garstki pracowników, wzrosłych w ciągłej ciężkiej walce, zmuszonych do ciągłego stawiania czoła wszystkiemu, do przewycięzania wszelkich bólów i trosk z milczącą pogardą i zacisniętymi ustami, zdarzają się *natury żywiołowe*, których nie zniszczyć nie może, ani ugiąć ich żelaznego karku, choć godzi na nich z zewnątrz koalicja filisteryi, zawiści i więzów społecznych, choć wewnątrz szarpie ich hydra Vandei; hydra walk między pragnieniami wszechstronnego ducha i obowiązkami kół machines społecznej, między uczuciem i rozumem, teorią i praktyką itd.; choć wszystko, co ich otacza, co może być podporą, otuchą, rozsypuje się w gruzy. Ludzie ci mogą bez przesady mówić o sobie z poetą: „i jakąś dumą drży moja warga, że w tych płomieniach nie ginę“. Gdy się patrzy na nich, przypominają się słowa, jakie pewien wódz floty wypowiedział, donosząc swej władzy o niepokonalnym nieprzyjacielu: „nie pojmuję, co za ludzi oni mają; cała wyspa stoi w płomieniach, wszystkie ich forty zamieniłem w gruzy, a jednak nie zdołałem wyprzeć wroga z jego stanowisk“.

Jako bojownicy w literaturze ludzie ci przedstawiają trzy typy, trzy metody walki: jedni, z usposobieniem bardzo wrażliwym, intuicyjnym, z poetyckim porywem, heinowskiego typu, są w walce literackiej jak owi świetni wodzowie kawaleryi, co trawieni gorączką boju, gnani świętością sprawy, walczą pełnemi brawury, nieraz zbyt drogo kosztującemi, nieobliczonemi atakami. Drugi, rozważni, walczą powoli, spokojnie, niespostrzeżenie; nie narażając się zbyt, z dobrodusznym niemal uśmiechem podkopują się oni pod fortecę przesądów i podłości i tworzą bezdenną otchłań ironii, w którą forteca zapada się bez śladu. Trzeci nakoniec podsuwają się pod fortecę krokiem miarowym, pewnym, matematycznie obliczonym; nigdy nie zajmą pozycji takiej, z której mogliby być zepchnięci. Zbliżywszy się z pogardą nieprzyjaciela pod same jego szanice, zataczają działa najcięż-

szego kalibru na zdobyte pozycje, i nagle ze wszystkich swych redut otwierają ogień krzyżowy na jeden punkt nieprzyjacielskiej twierdzy, który musi pęknąć, choćby był ze stali. Idealem jest połączenie szybkości środków metody pierwszej z pewnością rezultatów trzeciej.

Lecz bojowników takich jest niestety drobna garstka, więc chociaż sami się nie ugną, czyż potrafią jednak pokonać całą filisterską tłuszcę, czyż głos ich nie przebrzmi niedo-słyszany wśród ryku tego stada, wśród skrzeczenia tych żab?

W każdym razie długo jeszcze nad naszym bagnem umysłowo-społecznem unosić się będą „tańcząc lekko“ zadowoleni z siebie filisterscy, z „buzią jak malina“ Kawalkiewiczze, oraz arogancko „wspaniałomyślni“ Bлагieradzczy; długo kroczyć będą poważnie w czapce c. k. finanswacha ze sztywnością mandaryńską Weiss von Weissenbergowie; długo stapać hardo z zadartymi karkami w pikelhaubach Kapłańscy. Podczas gdy prawdziwi pracownicy nauki — ludzie idei, długo jeszcze dusić się będą w tem bagnie, lub widząc daremność walk i zabiegów, wydostawać się będą na twarde brzegi okoliczne, by już nigdy do bagna nie wrócić. To też drogą takiego wybrakowania bagno staje się coraz wyłączniejszą dziedziną fauny typowej bagniskowej, zupełnie przystosowanej — wszystko, zdaje się, co przedstawia stadyum wyższe nad płazy, ginie albo uchodzi.

Zdaje się, nie pojmujemy tej prawdy, że stosunek między wielkością pogrążenia i dostrzegalności pierwszych i drugich z wyżej przeciwstawionych grup, stosunek między stopniami ich moralnego powodzenia wśród społeczeństwa, jest probierzem siły organizmu społecznego, jest miarą jego zdrowia i rozwoju lub zgangrenowania i zaniku.

1893 r.



# LIRYKA PROZĄ I WIERSZEM

MARYI KOMORNICKIEJ.

## Odrodzenie.

...Był wiatr silny i suchy; — mróz ściał śnieg i błoto; powietrze ostre, zdolne zranić słabe płuca, w jej pierś uderzało rozkosznie. W futrze, z nadstawionym kołnierzem, szła sprężysto i wolno — z głową przechyloną w tył — leżąc na wichrowej fali... z energiczną rozkoszą dając się odurzać naturze samotnej... wśród śpiącego miasta.

Trzy barwy światła płonęły w sino-błękitnej otchłani nieba: niskim pierścieniem rozżarzyły się żółte błyski gazu; w ognisku tego koła marzyło przezyste światło elektrycznej wysokiej latarni, a wyżej srebrząc smugi długich, w ponurej ciszy płynących chmur, w chłodnej próżni — zielonem, martwym światłem mroczył się wąski sierp księżyca. Wiatr chłodny, rozigrany duch pustkowie, pieśń kozaczą rzucał w kraj filistrów i wlewał w jej żyły własną młodość i siłę, ogromną moc rozkoszy — i żądzę życia wielką, na pół panteistyczną, płodną w czyn i w myśli, grającą pod biczem wrażeń.

Uczuła się niepodległą, wolną od miazmatów znużenia i niewiary; i w pierś, która знаła tylko rozpacz i piolun, nienawiść i trwogi, wstępowała siła kryształowo czysta — druga, męska młodość, samowiedza drugiego zbudzenia, daleka od niepokoju podrostków i ich trwożliwych, mglisto-zmysłowych przeczuć. Był to w niej wybuch utajonej, bez-

świadomie skupionej energii — i ruch potężny odnowionych tkanek; — była to rozkosz odzyskanego pragnienia życia, zmartwychwstałej zdolności do życia i czynu; ogromne, swobodne poczucie potęgi, wypróbowanej w zwątpieniach i w walce, w konwulsjach wstrętu, w rozkładzie pierwszych marzeń, w dzikiej torturze pierwszych rozczarowań. Teraz dopiero czuła się wolną od przeszłości i jej widm; od wampirów wspomnień, od kagańca pogardy, od piekielnych obłądów. — I w przestrzeń barwną, ponurą rzuciła słowo... przebaczenia i podzięk i litości obojętnej tym, przez których doszła do świadomości życia, jego praw nieubłaganych i niepokonanej potęgi, którą się zyskuje, mając odwagę przyjęcia go mimo wszystko — i dla wszystkiego, z powszechnem lekceważeniem, z niezłomną, dumną odwagą własnej prawdy, z bohaterską ekstazą bogów, przyjmujących, w wyroku nieśmiertelności, wyrok męczeństwa na nieskończoną dal wieków. Teraz dopiero uświadomiła sobie miłość życia ogromną — i ogrom przyjętej katuszy; teraz ostatecznie zrzucała z rozwiniętych członków zbyt ciasną szatę młodości — dojrzała.

I w jednej chwili zniknęły z jej mózgu hufce obaw i mar. Spokój potęgi nią oświadczył; z wyniosłą głową mierzyła przezrocza bezmierne, wzrokiem szeroko rozwartym wpatrzyła się w widzenia rozpoczynającej się doby. I myślała bez lęku, z gorejącą piersią, o przyszłych swych szalach, przyszłych ekstazach i burzach — o bólach przyszłości — o zażartej walce o ideę i duszę — o gorzkich porażkach, niepewnych zwycięstwach i ostatecznej rozpaczy konania. — I wiedziała, że ją czeka pełnia życia mąk i rozkoszy w imię swobody; że wstrząsną nią wszystkie orkany, spopiela wszystkie pioruny; że przyjdzie jej pożerać i być pożeraną; przyjdzie cierpieć i zębami zgrzytać, przyjdzie kochać i wstrząsać się gniewem — przebiegnąć wszystkie etapy czucia, zadrgać wszystkimi strunami życia, i w drganie potężne inne istnienia wprawiać. Rzuciła ascezę — i płomieniem życia na pastwę się oddała. — Oddawała się światu — i świat brała

w dziedzictwo. — Od dziś duszy swej skąpić nie będzie więcej! — Odda wszystko co w niej najskrytsze — w imię swego przeznaczenia i prawa swego do świata, i prawa świata do niej także!

I w dzikim uścisku wichru, pod sinem niebem, wyciągnęła ręce ku bezmiernej próżni, wołając z głębi skłębionych myśli i szalejących nerwów: „Ślubuję się tobie — o pełno wszechżycia! tobie, — myśli — potęgę, wam, niezliczonym światom mar łaknącym ciała — tobie, komunio ducha i nerwów drgających współcześnie — pulsacyo ogromna, gorączkowa, powszechna! Niechaj serce ludzkości bije na mojem sercu! Niechaj głowę kołyszą marzenia tysięcy! Niech mnie pożera żądza milionów ciał! Niechaj duch mój wybucha płomieniem wulkanów. Niech istota moja żali się i płacze, tonie w zachwytach i mrze w torturach piekła! przyjmuję wszystko! Na życie się skazuję! Nie zrezygnowana — nie z poddańczo przed musiem schyloną głową, lecz wolna, spragniona wszystkiego! Bezmiaru! Niechaj potęga moja dosięgnie szczytu rozwoju! Niech wszystko co drzemie zarodem, wystrzeli indyjską florą! Niechaj *ja* moje ogromne wygra swoją dziką symfonię, i z milczących otchłani wyrwie wszystkie dźwięki! Niechaj życie moje do maximum swego sięgnie i wspaniały dar pełni świadomego życia odda światu — i potęgę swą złączy z potęgą ludzkości w hymn swobody i męstwa — w bohaterski okrzyk życia!“

\* \* \*

Życie jest różnofalistem morzem, które nas wrażeniami bogaci. W tem morzu jest nieskończone Wszystko. Kto ma pięć zmysłów tylko — pięć fal odmiennych uderzenie tylko zrozumie. Lecz kto ma nieskończoność zmysłów dla nieskończoności fal — ten jest panem Bezmiaru — oceanu życia.

Szczyćcie się, ostrygi, że was muszla tępości pograża w muł podmorski! Szczyćcie się, ameby, że wam nieskoń-

czoność wydaje się monotonią, a wrażliwość — chorobą!  
Mądrości ostrzyg, ciesz się swą skorupą!

My z obnażonymi nerwami daliśmy nurka w morze.  
Niech o każde włókno uderzy odpowiednia mu fala! A jeżeli  
zginie, lepiej skonać z życia, niż gnąć w zateczętym mule  
ostrzygą śliską i tępą!

### Psalm przejściowych.

Ludzkości! ja wierzę w twą siłę i zdolność do rozwoju.  
Wierzę, że ze stanu bydląt wejdiesz w okres doskonalszy...  
Wierzę w twą przyszłość wielką i wspaniałą, choć dzień twój  
dzisiejszy nikczemny i marny! Wierzę, że z gnojowiska twego  
istnienia rozwiną się kwiaty zabijające wonią i drzewa zaj-  
mujące miejsca chmur... Wierzę w twą siłę i w tve jutro —  
o ludzkości dzika i nędzna! boś nas wydała, myśląc, że ro-  
bakom dałaś życie!

Konające dziś zapłodnione przez ciemne jeszcze jutro,  
ginąc dało nam życie! Rude promienie chmurnego zachodu  
zlały się z niejasnym blaskiem świtającej jutrzni, by stwo-  
rzyć dusze nasze, twory pełne konających światel, rozpalają-  
cych się iskier i cienia!

A dzieci nasze, potomstwo dusz naszych ponurych, uczu-  
wać nie będą, jak one, rozpaczy tego, co kona, i trwogi tego,  
co się rodzi, i podwójnej rozpaczy — podwójnego cienia ko-  
nania i trwogi!

Między tobą, o bydlęca ludzkości, a wnukami twymi,  
ludzkością człowieczą, umieściłaś nas, synów swoich, mają-  
cych dać życie dzieciom światła, sami zrodzeni w cieniu i  
brudzie... życie człowiekowi-bogu, sami dźwigając z niewy-  
mowną rozpaczą i nieustannym buntem ciężkie brzemie odzie-  
dzonej zwierzęcości.

Między tobą, ludzkości - płazie, a plemieniem olbrzymów  
stoimy, mieszaniny żalu i protestu, rozpaczy i nadziei, mro-  
ków i światła. I żądło gadów wysuwamy nienawistnie ku to-

bie, o nasza matko! I głowę olbrzymów kierujemy ku stronie, gdzie ty się masz ukazać, o, bohaterskie plemię dzieci naszych!

A gdy chcemy zerwać z siebie nizekzemną łuskę płazów, śmiejesz się, matko ludzkości, ludzkości - płazie! Bo zrywając ją, ciało wrywać musimy szmatami. A gdy rzucić chcemy posterunek tworów przejściowych i dumnie podnosząc głowę olbrzymów kopujemy ludzkość - płaz, śmieje się i syczy, bo deptając wzgardzoną gadzinę — deptać musimy własną naturę gadu!

A gdy w rozpacznej samopogardzie rzucamy lepsze popędy i żyć chcemy jako gady, oslepiający promień jutrzni ukrytej nas olśniewa — pełzające czoło prostuje nieznana potęga, wznosimy głowę i zwracamy oczy ku stronie wschodu... skąd ty nas witasz, ludzkości człowiecza!

Jak Tantal, zanurzeni w wodzie, wyciągamy ręce ku złotym owocom drzewa przyszłości, i im wyżej je wznosimy, tem gałęź wyżej ucieka... Jak Tantal zanurzeni w topieli życia obecnego, spragnieni jakiegokolwiek napoju, schylamy się ku niej... i im niżej się schylamy, tem niżej ucieka, opada. I zostajemy bezradni między wspaniałem drzewem przyszłości, i mętłą wodą dnia dzisiejszego...

I z przyszłości znamy tylko pragnienie nieznanego; — a z dnia minionego krzyk odziedziczonych instynktów; a przyszłość *nam* nic nie da, prócz pragnień niejasnej treści: a dzień dzisiejszy poi goryczą i wstrętem, a wieko trumny pęknie, partę przez niesmiertelny ból niezmierzonej krzywdy.

### Hymn Demona.

W mroku niepamięci, ogniem namiętności, zbudziłeś mnie do życia, zamarły mistrzu Demonie! W uspionej duszy odkryłeś wulkan, w drzemiącym mózgu ocknąłeś geniusz!

I wulkan wybuchał przed twymi oczyma, ciskał wspaniałe iskry do nóg twoich, na znak czci! Rzucał płonące popotoki lawy przed twe posępne, wszechwładne źrenice!

I geniusz o wielkich czarnych skrzydłach upiora dniem i nocą stał u głowy twojej, by pieśni ci spiewać, miłości i burz, pragnienia swobody, tęsknoty za słońcem!

Dziecko wulkan, dziecko geniusz, w oczy twe sfinksowe patrzyło upornie... Czarowały je smutkiem, hypnotyzowały głębią, kruszyły potęgą tajemną... I pytało cię, mistrzu - Demonie o palące słowo tajemnicy! Lecz tyś mu nie chciał dać odpowiedzi!

Więc pytało o nią własnej duszy, ksiąg czytanych i wichrów, i bólów, które przez ciebie poznało, i rozpaczy, którą mu w duszę wszczepiłeś, i burz, których ty byłeś żywiołem. Pytało daremnie!

Milczały oczy twoje wpatrzone w niego dziko i boleśnie; milczał świat cały urągając dziecku. I wiło się w mękach niewiedzy, wiło się w pętach twych piekielnych źróć, wchłaniało piekło twjej duszy w spojrzeniu, aż całkowitem złaniem się z tobą, aż całkowitem wcieleniem się w ciebie, odgadło twe serce, odkryło twe myśli, zagadkę odgadło!

I wtedy zniknęła twoja moc szatańska. Demon cię rzucił i zagościł we mnie. Niewolą twemu oku zabrałem ci życie — twa siła, biegnąc wzrokiem, zagościła we mnie; porwałem ci męki i rozkosze, potęgę myśli i wrzenie chaosu. Rozszerzyłem swe skrzydła.... — skrzydłami twjej duszy — i serca twego jadłem zatrąłem swe serce.

Odarty ze skrzydeł, z myśli i potęgi — nędzna istoto, smutna martwością grobów — niczem już jesteś dla pastwy swej straconej siły!

Nuąc ci pieśń żałoby, tłumiąc śmiech szyderstw — odszedłem cię — trupa!

Lecz u twojej mogiły zostawiłem wiarę — w skostniałych rękach twoich skrzepło szczęście moje. Szlachetność dziecka zabiły łkania żalu — gorący wulkan uczuć zgasł w powodzi łez... Siłę tobie wziętą spłacam śmiercią serca!

Za obojętność twoją — płacę światu chłodem. Za trwogę przed twym wzrokiem — obezwładniam grozą. Za



piekielne męczarnie — stałem się katuszą. Za szarpiącą zagadkę — szarpnię tajemnicą. Za młodości zatrucie — młodość jadłem poję! Za palącą namiętność — innych stapiam w żarze. Za pokorę niewoli — dumą depcę świat!

Błogosławieństwo tobie... zmarły mistrzu... Demonie!  
Przez zadane męczarnie... dałeś mi moc piekła! Przez zbudzenie wulkanu... obojętność trupa! Przez rząd nad moją duszą... panowanie świata! Błogosławieństwo tobie... znikły mistrzu... Demonie!

### Wszechzucie.

Znam wszystkie potęgi — i wszystkie niemoce:  
Targały mną rozpacz, nienawiść i trwoga,  
Płynęły mi z oczu łzy gorzkie, sieroce,  
Na licach mi gorzał policzek z rąk wroga —  
Ognisty kwiat życia dał zgniłe owoce —  
Piorunem zabiła mnie chmura złowroga —  
Zrodzoną w niebiosach — los wiedzie do piekła.  
Stworzoną dla życia — martwota oblekła.

Znam myśli potęgę — i twórcy rozkosze;  
Znam ducha bezsilność i nędzę tworzenia...  
W rozkwitłej swej duszy trup wyschły wciąż noszę  
I nagie w szkielecie drżą nerwy wspomnienia.  
Zdeptany w dniach mocy liść zwiędły podnoszę,  
Lecz z czaszki ogłuchłej uciekły marzenia —  
I nic mną nie wstrząsa — prócz drgawki bezsiły:  
I nic nie przeraża — prócz gadów mogiły.

Wypijam już resztę goryczy i wstretów,  
Ostatnia łza smutku dziś z oczu mi padła;  
I dosyć mam szczęścia — i myśli odmetów —  
Ostatnia się z piersi nadzieja wykradła.  
I dosyć mam trwogi — tchórzostwa wykrętów —

Śmierć staje przedemną — życzenie odgadła...  
I nie chcę już piękna — tworzenia — miłości...  
Lecz tylko... zapomnieć... w objęciu nicości.

### **Pod wpływem „Szału“ Podkowińskiego.**

Pragnął uścisków — gdzie życie kona,  
Ciało drży w febrze, włosy się jeżą!  
Pragnął w rozkoszy mąk Laokona,  
Czarów, od których trwogi nas strzeżą —  
Nad łez otchłania pragnął błogości,  
Chaosu wyznań o dzikiej nucie,  
Ponurych zadum w nerwów pokucie...  
Szału miłości.

Pragnął zniknięcia bez nędz konania,  
Ciemnego piekła pieszczot i kwiatów...  
Doskonałego dusz i ciał zlania,  
Skonu w zamęcie ginących światów;  
Pragnął zagłady w szale młodości,  
Szczęścia — z puhaem trucizny w rękę,  
Zbawienia — w skoku w przepaść — bez lęku —  
Śmierci w miłości.

### **Do autora „W przesileniu“.**

Zaprzeczasz szczęściu bieżącej chwili,  
Ale znajdujesz czar we wspomnieniu;  
Rozkoszą ma być — cośmy przeżyli  
W ogniu miłości, czy w smutków cieniu.

Kochanki oczy świetniejsze z dali,  
Godziny szału pełniejsze czaru,  
Więc w znikłych uczuć błękitnej fali  
Chłómy bezpiecznie tchnienia pożaru...

Szczęśliwy człeku! Tobie ocalał  
Z okrętu złudzeń — żagiel różowy;  
I świętość, którą los ci pokalał,  
Czystą ci zwraca marzenie głowy...

Bo dla mnie — kłamstwem rozkosz wspomnienia,  
I rzucać muszę ten szczątek wiary,  
Bo nie znam żądy ni upojenia  
Bez dreszczu wstrętu ohydnej kary.

Ty — z dni błogości wysysasz słodycz;  
Mnie — raną dumy jest dzień miniony;  
Ja... znam pamięci żółciową gorycz —  
A przed zmor hufcem nie ma ochrony...

Ty — ócz kochanki pamiętasz blaski;  
Lecz zapomniałeś, jakeś się nudził,  
Jak nawet „szczęściu“ potrzeba maski...  
I jak cię z zadum głos trwożny budził...

Ty — słodycz ust jej na wargach czujesz,  
Lecz zapomniałeś — że zbyt jej było...  
W rozkoszy tęsknot posąg jej kujesz —  
A pochowałeś — co cię drażniło.

A ja — z miłości pamiętam — nudę.  
A z chwil rozkoszy — szatańskie męki,  
Więc szczęścia wspomnień grzebię uludę,  
Biorąc ból nowy z przeznaczeń ręki.

Ty — żyj dla „wczoraj“ — kiedy wspomnienia  
Stroją ci życie w kształt i woń senną.  
Ja — szalu pragnę — by nowe drżenia  
Zakryły wstrętu przepaść bezdenną.

### Odstępcy \* \* \*

Człeku — tyś nie motylem! choć zrodzon skrzydlaty,  
I barwną, lotną łuską sięgnąć mógłbyś słońca.  
Lecz że wygodniej, pewniej w ciepłym kącie chaty —  
Jak robak kończysz życie — niegdyś prawdy gońca!

Wstydzisz się własnej, palnej potęgi młodzieńczej:  
Z czolgającą się bracią wolisz pełzać w błocie;  
Wydarcie własną dłonią skrzydeł — byt twój wieńczy —  
I nagroda z rąk bydła: w oklaskach i złocie.

A gdy ostatnie iskry zgasną pod kłamstw wiekiem,  
Gdy dochody odstępstwa liczysz okiem radem...  
Brac stonoga ci krzyczy: „stajesz się człowiekiem!...”  
Ale tyś się stał tylko na ich obraz... gadem.

### C h c e n i a .

Wśród skał podchmurnych, na jezior fali  
Chciałabym leżeć w półśmierci śnie —  
Słuchać puszczy gwarów, płynących z dali,  
I szumu skrzydeł orłów we mgle —  
Na czarnej wodzie, w łódce z korali  
Pędzić... półsenna... gdzie wicher pchnie...  
Zapomnieć nicość i żądzę życia,  
Katuszę myśli i bólów wycia.

Wśród woni kwiatów, w zamku z marmuru,  
Pod groźną głębią otchłani gwiazd,  
Wśród słońc konania, demonów chóru,  
W dziki kraj widzeń uczynić wjazd.  
Pod chłostą dźwięków mdleć w wirach tańca,  
W chmurach upojeń zapomnieć mąk,  
I paść, dysząca, u życia krańca,  
W martwocie ducha, w konwulsyi rąk.

W głuchych muzeów samotnej sali,  
Gdy na posągi kir rzuci mrok.  
Chciałabym wskrzesić tych, co skonali,  
W kamiennych oczach zapalić wzrok;  
Ściągnąć na ziemię wrzawę Walhalli,  
Niechby w niej zagrział Tytanów krok!  
Zgłuszyć bek stada szaleństwem bogów,  
Z Olimpu wzgardą zmiążdżyć rój wrogów.

Ponad ogromem mgławic — w bezmiarze,  
Gdzie zgasła iskrą — nasz błotny świat,  
Tonąć w miliardów gwiazd mknących gwarze,  
Poić się ogniem — żywiołów brat.  
Z niezmiernej dali — wzlotem nad światy  
Królowa *życia* — drwić z grozy kul,  
Duch wolny — śmiać się z więziennej kraty,  
Wszystko pamiętać — prócz... czem jest ból.

Cambridge 1895 r.



# SPOWIEDŹ ZBIRA

ułożył z dowodów piśmiennych

CEZARY JELLENTA.

Greife niemals in ein Wespennest.  
Doch wenn du greifst, dann greife fest.

Na spieszącą do mrowiska mrówkę nicpoń rzucił garść ziemi; w obawie, że się ofiara wygrzebie, dorzucił drugą i odszedł uradowany, że zmarnował biedne pożyteczne i pilne życie. Ale drobne stworzonko nie zginęło; kupka ziemi zaczęła się zlekka poruszać i rozsypywać i w końcu wypełzła z niej i mrówka, rażna jak przódy, tylko objuczona ziarnami piasku.

I mój żywot i moja praca entuzjastyczna, gorączkowa, stała się solą w oku nicponiowi. Ale literatura nie jest lasem, nicpoń ma w niej tyle głów, co legendowy smok; zabija nie piaskiem, lecz błotem potwarzy, rzuca je nie garściami, ale górami całemi. Jednak te Himalaje oszczerstw i kłamstw nie zdołały zduśić mię; błoto do mnie nie przyłgnęło, lecz tylko dobrudziło i tak już nie całkiem czyste ręce napastników.

Prawda, że nawet Herkules nie poradzi napastnikom, gdy jest ich wielu. Lecz gdy się ma za sobą prawdę i słusność, a przed sobą czytelników uczciwych, społeczeństwo dojrzałe, które nie dziennikom zawdzięcza swoje wychowanie i nie z nich czerpie swoje przekonania, hydrze wszystkie. lby uciąć — staje się dziełem możebnem.

Spółczeństwo to, jeśli zechce, dowie się z mej spowiedzi rzeczy dosyć dziwnych; ono może w zdumieniu swem

zacznie nawet po innych literaturach szukać zjawisk i zdażeń podobnych i nie znajdzie ich; ono może zakipi gniewem, że zostało wprowadzone w błąd, oszukane, w sposób barbarzyński do wyrządzenia krzywdy skłonię, użyte za narzędzie prywatnych, nie wspólnego z dobrem ogółu i literatury nie mających operacyj.

Otrząsam więc z ramion paraliż, którym je skuć pragną na zawsze, bo mniemają, że skuć mogą furye, reprezentujące wszelkie możliwe rodzaje gwałtu, podstępny i obłudy, ażeby z całym spokojem umysłu i przedmiotowością pokazać światu, jakiego widowiska kazano mu być współaktorem.

### „Noeny napad“.

Na tle zupełnego spokoju w życiu publicznem, nie zakłóconego żadną sensacją ze sfer polityki, opinia Warszawy zaalarmowana została wieścią, że pełniący obowiązki redaktora w „Kuryerze Codziennym“ padł ofiarą zbrodniczego napadu p. p. Napoleona Hirszbanda, adwokata przysięgłego i Wacława Nałkowskiego, prywatnego nauczyciela geografii.

Pomimo, iż wypadkiem tym najbliższym był zainteresowany organ firmy „Gebethner i Wolff“, w wieczornym numerze jego nie było żadnej wzmianki; milczał też „Kuryer Warszawski“, mimo iż oba pisma rozporządzają falangą reporterów i mimo, że zbrodnia popełnioną została w porze, kiedy numery gazet wchodzą dopiero na warsztat redakcyjny.

Zagadkowe milczenie, dziwne w obec obiegającego całe miasto rumoru, w obec stugębnej kolporteryi rozmaitych „członków redakcyi“, „naczelnym kierownikom pism“ i t. p. przerwał dopiero nazajutrz „Kuryer Poranny“ artykułem następującym:

Napad. Wczoraj w godzinach rannych dwaj młodzi ludzie, wyczekujący długo na ulicy Włodzimierskiej przed domem nr. 9, rzucili się na wychodzącego z bramy p. A. Mieszkowskiego, redaktora „Kuryera Codziennego“ i zranili go w skroń.

Napadnięty, lubo chory na influencę, silnie się bronił i odpędził napastników, z których jeden odniósł przy tem szwank.

Napastnikami byli Napoleon Hirszbant, adwokat przysięgły i Waclaw Nałkowski, nauczyciel prywatny geografii.

A oto przyczyna napadu.

„Kurjer Codzienny“ zamieścił przed dwoma tygodniami ocenę dziełka p. Hirszbanta p. t. „W przesileniu“. Ocena ta wywołała ze strony p. H. gwałtowne wystąpienie na szpaltach „Prawdy“ przeciw p. Mieszkowskiemu, który też upomniał się od p. Hirszbanta o tę obrazę.

Ostatecznie przyjaciele jednej i drugiej strony, porozumiawszy się, ułożyli formę artykułu, którym p. H. miał rzecz załatwić.

Aliści ukazał się w „Prawdzie“ ów artykuł, ale z wstępem zupełnie zmieniającym rzecz. Wówczas „Kurjer Codzienny“ zrobił wzmiankę, iż p. H. usiłuje obejść treść i brzmienie tego co miało być wydrukowane. Nazajutrz zaś jeszcze oświadczył w „Kuryerze Codziennym“ p. A. Dobrowolski, iż on jest autorem oceny dziełka p. H.

Gdzie w tem wszystkim był powód do gwałtownej i brutalnej napaści niegodnej ludzi inteligentnych — trudno nam dojść.

Naturalnie p. Mieszkowski wystąpił przeciw napastnikom na drogę sądową.

Tegoż samego wieczoru „Kuryer Warszawski“ wiadomość tę powtórzył za „Kuryerem Porannym“, umieściwszy ją w cudzysłowach. Tym sposobem dawał do poznania czytelnikom, że on o niczem nie wiedział i nie dowiedziałby się, gdyby nie szanowny kolega z ul. Senatorskiej, że z prawdziwą przykrością nowinkę tę zamieszcza. Mimo tę jednak świątobliwie skromną minkę, przykrość i dyplomatyczną wstrzemięźliwość, rozpoczął niebawem w „Bańkach mydlanych“ seryę częstochowskich rymów, obelżywie i przez ciąg dwu tygodni rozsnuwających w coraz to nowy deseń wia-



domy wątek. Podpisane kryptonimem „mierz“, nie usiłowały one zgoła ukryć ani intencji „Kuryera“, ani swojego „mierzwionego pochodzenia“.

Ośmielony przez dwa kuryery „Codzienny“ głównie, jak się rzekło, interesowany w tej sprawie, z prawdziwą boleścią i krwawiąc sobie serce przerwał milczenie. I on też dawał do poznania, że został po prostu zmuszony do wyplakania swojej skargi, samemu bowiem nie przyszło by nawet do głowy ogłaszać fakt, tak hańbiący nasze piśmiennictwo. No, ale skoro już mu opinia każe opowiedzieć, jak to tam było na ulicy Włodzimierskiej, więc zda relację szczegółową i z niewymownym bólem odstąpi od nader obiektywnego przedstawienia rzeczy w „Kuryerze Porannym“.

W takim mniej więcej tonie utrzymana — niech zresztą czytelnik sam go osądzi — skarga ta opiewała co następuje:

„*Kuryer codzienny*“ Nr. 73. „Z chwili“ pod pierwszym a silnem wrażeniem gwałtu, jakiego się wczoraj dopuszczono na osobie kierownika naszego pisma, nie umiściliśmy zaraz opisu oburzającego faktu, który świadczy o zdżyczeniu obyczajów w pewnych sferach naszego miasta.

Dzisiaj kiedy sprawę rozpatruje już sąd, podajemy do wiadomości publicznej opis napaści, dokonanej w sposób brutalny i z góry przez grono ludzi obmyślonej.

Na idącego do redakcyi z domu przy ulicy Włodzimierskiej Nr. 9. p. Antoniego Mieszkowskiego, p. o. redaktora „Kuryera Codz.“, napadło wczoraj o godz. 9<sup>1</sup>/<sub>2</sub> rano dwóch ludzi: p. Napoleon Hirszbant, adwokat przysięgły itp. Wacław Nałkowski, nauczyciel prywatny.

Jak następnie stwierdzono, od godz. 8. rano dwaj ci panowie, w towarzystwie dwu innych, czatowali przy domu, obsaczywszy ulicę. — Na niepodejrzewającego nic p. Mieszkowskiego napadli z tyłu pp. Hirszbant i Nałkowski, obezwładniając go i kalecząc niebezpiecznie w oko.

Wysiłkowi i mocy swojej zawdzięcza p. Mieszkowski, że mógł uwolnić rękę i odtrącić jednego z napastników,

szwank mu zadając. — Napastnicy po energicznej obronie własnej p. Mieszkowskiego poczęli szybko uciekać w kierunku ulicy Stokrzyskiej.

Jak wiadomo czytelnikom naszym p. Antoni Mieszkowski zaczepiony został przez p. Hirszbanda w „Prawdzie“, za co zażądał od p. Hirszbanda honorowego zadośćuczynienia.

Świadkowie obudwu stron, pp. Teodor Jeske-Choiński i Jan Gebethner ze strony p. Mieszkowskiego, i pp. Nałkowski i Dawid ze strony p. Hirszbanda, orzekli, iż p. Hirszband w najbliższym numerze „Prawdy“ odwoła obrażające słowa poprzedniej wycieczki przeciwko p. Mieszkowskiemu wystosowanej.

P. Hirszband w odwołaniu swem w „Prawdzie“ zamieszczonem, dowolnie zmienił tekst formy odwołania, w protokole zadyktowanej, i przez świadków stron obydwu podpisał. — Nadto zaopatrzył odwołanie to w niedozwolony w podobnych wypadkach komentarz.

Zdawałoby się, że według wszelkich w sprawach honorowych przyjętych zasad — świadkowie p. Hirszbanda sami powinni byli skarcić swojego mocodawcę za takie kompromitujące ich lekceważenie udzielonego im mandatu; tymczasem — rzecz niesłychana — p. Nałkowski, świadek honorowy, sam wspólnie z p. Hirszbandem udaje się na wyprawę z kijami, ukartowaną i uplanowaną z góry.

Fakt jest tak krzyżący, wynik honorowej sprawy, w ten sposób przez p. H. i jego świadka zakończony, jest tak niebywały, że należy mu się oprócz ścigania sądowego również napiętnowanie.

Sympatya powszechna, której dowodów wymownych doznaje p. Mieszkowski, najlepiej świadczy o ogólnem oburzeniu, jakie fakt napaści wywołał; mieszkanie jego od południa do wieczora przepełnionem było odwiedzającymi.

Opinia publiczna fakt sam oraz jego sprawców piętnuje jak na to w zupełności zasługuje.

Niektórzy czytelnicy obdarzeni pewnym zmysłem spostrzegawczym i krytycznym, zastanawiali się trochę nad niektórymi szczegółami opisów. Dziwiło ich n. p. to, że ofiara gwałtu, mimo „influenzę“ wyszła z domu, gdy wiadomo powszechnie, że nawet influenza już przebyta, jeśli nie zniknęła jeszcze doszczętnie, uważaną jest przez lekarzy za przeszkodę do opuszczania pokoju, bo grozi zapaleniem płuc.

Dziwiło ich także, że mimo tę swoją ciężką influenzę i mimo, że został *niebezpiecznie* raniony w oko, i, co najważniejsza „*obezwładniony*“, zwycięzko odparł *kilku* napastników i gonił ich i że oni przed tak poturbowanym *uciekali*.

Dziwiło niektóre osoby, że według opinii lekarza miejskiego Dra Kopcia, spisanej na prośbę pana M. ogólny stan jego zdrowia „był doskonałym“ i o *żadnej chorobie mogącej usprawiedliwić* *litość Kuryerów nie ma w akcie oględzin mowy*.

Nie mniej zaciekawiającym był punkt, że p. M. raniony był według jednych pism w skroń, według innych w nos, według innych wreszcie w oko, za każdym razem niebezpiecznie, i że zła wola napastnika, czy też napastników omijała przedziwnie część twarzy najmniej delikatną i najłatwiej znoszącą wszelkie obrażenia.

Pewien charakter cudowności i romantyzmu nadawała faktowi ta stwierdzona przez „Kuryer Codzienny“ okoliczność, że pp. Hirszbard i Nałkowski napadli na p. M. z tyłu i zranili go niebezpiecznie w oko. Świadczyła ona bowiem bądź o naszej piekielnej zręczności, która umiała na poczekaniu znaleźć oko z tyłu p. M., bądź też o jego podobieństwie do mitologicznego Argusa, który cały oczami pokryty pilnował krów. Już to samo posłużyło za jeden ze stopni, po których w krótkim czasie wyniesiono p. M. na szczyty greckiego bohaterstwa. Trochę tylko nowoczesny ten mit psuła inna znów okoliczność, że Argus jednak mimo swoje oko z tyłu „nie podejrzewał nic“.

Jeszcze więcej zdziwienia, a nawet rozczarowania doznali przyjaciele nieszczęsnej ofiary, widząc zarówno mnie jak i Nałkowskiego tego samego jeszcze i następnych dni w mieście, całych i zdrowych, bez śladu jakiegokolwiek influenzy lub innej niedogodności, która by zniewalała do siedzenia w domu. <sup>1)</sup>

Te jednak i im podobne pokusy krytyczne i niedowiarcze musiały umilknąć wobec „powagi drukowanego słowa“ i procesyj wizyt kondoleneyjnych, składanych pacjentowi z „doskonałym stanem zdrowia“. Musiały zmilknąć wobec groźb ścigania bandytów drogą sądową i zapewnień, że sprawa wytoczoną już została.

Nie rozwodzę się nad jedną jeszcze kategorią czytelników, a mianowicie nad tymi, co znając nazwiska „zбірów“, z uśmiechem pokiwali głowami na jeremiady „Kuryerów“ i przewąchali odrazu jakąś dziennikarską w nich entrepryzę. Mógłbym nawet wskazać parę imion poważnych i nauce zasłużonych, ale wolę ich nie narażać. Każdy co jest za mną, podpada tem samem klątwie i — prędzej czy później — zemście warszawskiej „Rady dziesięciu“.

To były zresztą wyjątki. Większość pochwyliła bajkę o dwugłowej hydrze w lot i przerobiła ją zgodnie z prawami

---

<sup>1)</sup> Nie dla brawury, która w tem miejscu jak najmniej byłaby stosowną *podkreślam* ten szczegół, lecz go poprostu przytaczam wraz z wianką innych jako dowód „sumiennosci“ i logiki „Kuryera“. Nie podaję też całkowitej analizy bezsensów i zabawnych sprzeczności, zachodzących tak między różnemi punktami samego artykułu „Kuryera“, jak między temiż punktami a ogłędzinami lekarskimi — ażeby nie być posądzonym o nietaktowną chęć uprzedzania na swą korzyść opinii sądu. Niech tymczasem wystarczy fakt, iż w akcie ogłędzin lekarskich mowa jest o „zadrażnieniach powierzchownych“ (powierchnostnych carapinach), z których jedno wielkości ziarnka grochu, drugie długie na centymetr, a trzecie wielkości ziarnka prosa (na lewym policzku). Co się zaś tyczy pochodzenia tych „ran“, to świadectwo lekarza (wezwanego, jak wspominałem, na żądanie p. M.) opiewa: „*być może, iż zadane zostały kijem*“.

psychologii tłumu. Niebawem urodziła się hydra o czterech głowach. Ojcem jej jest p. L. Gr., który przesłał petersburskiemu „Krajowi“ wiadomość p. t.: „Literaci zbirami“ o dokonanej przez *czterech literatów* na pana Mieszkowskiego *napaści z tyłu*.

Wkrótce też wiadomości o literatach występujących w charakterze zbirów, przedostała się do gazet niemieckich. „Neue freie Presse“ wychodząca w Wiedniu, odpowiednio zaokrągliła i ubarwiła wzięty z pism brukowych skandal. Doniosła mianowicie o „zamachu na życie“ (Attentat) redaktora, spełnionym przezemnie w odwet za nieprzychylną ocenę ostatniej książki mojej p. t. „*Kryzys rolniczy*“ („*Landwirtschaftliche Krise*“).

Numer ten dziennika austriackiego czytało wraz ze mną tysiące ludzi. Ręczyć jednak nie mogę za prawdziwość pogłoski o innej zagranicznej gazecie, która dopatrzywszy się pewnego podobieństwa między czynem moim, a tym, którego ofiarą padł Sadi-Carnot, posunęła analogię tak daleko, że nazwała p. Mieszkowskiego „prezydentem Kuryera Codziennego“.

Na szersze pole improwizacyi puścił się p. Maleszewski (Sęp) w piśmie wychodzącem za granicą wszelkiego, bodaj elementarnego rozsądku i elementarnej uczciwości. Wydrukował on w „Biesiadzie Literackiej“ artykuł, w którym prznosi całe zajście w godziny nocne i odpowiednio przyzdobiwszy je, wyraża oburzenie, że takich ludzi jak ja i Nałkowski wpuszcza się do literatury, oraz domysł, że gdyby zamiast domów były na ulicy Włodzimierskiej drzewa, nawet kieszeń p. Mieszkowskiego byłaby w niebezpieczeństwie.

Niektórzy poważni mężowie, jak właśnie p. Maleszewski a także fejetonista „Bluszczu“ zrzucili nawet na chwilę zwykłą liberyę i przywdziali oponięże Jeremiaszów biadających nad losami Izraela. Wiadomość o zniesionem przez chłopą jaju podziałała na nich jak wieść o 300-tu zniesio-

nych przezeń kulach armatnich <sup>1)</sup>, jak widok komety z ognistą miotłą, zapowiedzią wojny, końca świata, albo sądu ostatecznego. Kronikarz „Bluszczu“ woła głosem natchnionym (Nr. 13. 1895):

„Gdzie a gdzie, i kto a kto (wspaniale powiedziane) to *my* i *tutaj* właśnie powinniśmy dbać o godność osobistą i szacunek. Jeżeli się pozbędziemy i tego, za wielkimi staniami się nędzarzami.

„Czuwajcie! albowiem *godzina sądu* nadchodzi, powiedział Pan.

„Czuwajcie! powinniśmy sobie powtarzać, bo ten strach sądu — jak miecz Damoklesa nad nami wciąż wisi“...

I ażeby zailustrować czempredzej jak należy dbać o godność osobistą, pan?? poszedł podsłuchiwać rozmowy dwóch stróżów o „panach literatach co się pobili“. (Tamże).

\* \* \*

Istotną więc przyczyną zachmurzenia się widnokregu naszej przyszłości było według pism to, że ktoś zniósł jaje. Pisma zacytowane zapewniają jednogłośnie, że powodem „gwaltu i brutalnej napaści“ była nieprzychylna ocena zniezionego przezemnie jaja, mianowicie nowel p. t. *W przesileniu*. Bluszcz nawet tak głęboko uwierzył w rzeczywistość tego powodu, iż poświęcił kilkadziesiąt wierszy refleksjom na temat krytyki, polemiki, obrażonej dumy autorskiej i t. p. Ażeby uprzedzić możliwy domysł czytelnika „Bluszczu“, że chyba nie za „krytykę“ „rani się człowieka niebezpiecznie“,

1) . . . . Im się dalej wieść niosła,  
Ciagle jak na drożdżach rosła,  
A jedna stara panna, już jedna z ostatnich  
Przysięgła, że chłop zniósł trzysta kul armatnich,  
Z czego wniosła niespokojna,  
Że w tym roku będzie wojna.

Tym razem jednak nie psychologia tłumu i zwykła ewolucja plotki zrobiła z jaja 300 kul armatnich, lecz świadoma robota dzienników.

w dodatku krytykę pomieszczoną w dychawicznym kuryerku, czcigodny fejtlista rozwodzi się nad prawidłami estetyki szeroko i długo i sili się na minę, jakoby sam wierzył w swój traktat i jego na tem miejscu zasadność. I mniema też, że uspił w czytelniku niepokojącą ciekawość, dlaczego to p. *Nałkowski*, geograf i uczony, był jednym z „dwóch“, co „z kijami“ w rękę spełniali akt „samowolnej sprawiedliwości“ nad *niekrytykiem* nowel p. Cezarego Jellenty (za ich recenzenta bowiem podał się jakiś p. Adam Dobrowolski).

Ostatecznie pisma warszawskie przy wtórze alarmowej surmy zaśpiewały pieśni *O panu Nałkowskim, który należał do „napadu z tyłu“ na pana Mieszkowkiego za to, że p. Dobrowolski napisał nieprzychylną ocenę nowel p. Jellenty.*

Pieśń ta rozbrzmiewała po salonach i ulicach Warszawy przez parę miesięcy z niesłabnącą siłą pierwszego swego wybuchu. Usiłowano zrobić ją podwaliną nowej etyki, a z nią i nowej ery w naszej opinii publicznej.

Niech ta opinia zapamiętać zechce motyw owego chóralu i zestawii następujące fakta i dokumenta piśmienne.

### **Historja niedoszłego pojedynku.**

Istnieje pewna niedorzeczna i dzika zasada, którą wyznają jednak wszyscy mający pretensję do nazwy uczonych, a mianowicie, iż nie podpisany, a szarpiący lub krzywdzący kogoś artykuł jest podłością i tchórzostwem. Przyrównują go do strzelania z za płota, do anonimów, który jest zazwyczaj bronią ludzi wyciutych ze czci i wstydu.

Miałem zupełne prawo wyznawać ową zasadę, gdyż w życiu mojem nie pisałem *ani jednej niepodpisanej* recenzji, krytyki lub bodaj wzmianki sprawozdawczej. Zaszczycony przeto potrzykroć tego rodzaju anonimami, drukowanymi na szpaltach „Tygodnika ilustrowanego“ i „Kuryera codziennego“, nazwałem gatunek literatów, trudniących się podobnym procederem „marną zgrają“, (występując zresztą w tem wy-

rażeniu i przeciwko „najserdeczniejszym“ kolegom Podkowińskiego).

W przypuszczeniu zaś, że autorem dwu owych paszkwilów jest podpisujący „Kuryer Codzienny“ p. Mieszkowski, przyczepiłem następującą przejrzystą grę słów do zakończenia polemiki, prowadzonej z powodu Podkowińskiego na łamach „Prawdy“ (z p. Karpowiczem):

„Mojem zdaniem użyłem wyrażenia („marna zgraja“) nader łagodnego tak jak gdybym n. p. zamiast powiedzieć: oszust literacki lub artystyczny, powiedział „literat Oszuski“, albo zamiast „Reporter Kanalja“ powiedział „Reporter Kanalski“, albo zamiast rzezimieszek dziennikarstwa napisał „Rzezicki“ lub „Mieszkowski“.

Do dzisiejszego dnia nie zmieniłem i nie zmienię *niegdy* swego sądu o charakterze niepodpisanych paszkwilów. Ich autorów uważam za pewnego rodzaju rycerzów przemysłu, korzystających ze zgiełku i ścisłu dziennikarskiego życia, ażeby chyłkiem grabić kogoś z jego literackiego dorobku, z uznania, zasług i zajmowanego w literaturze stanowiska. Liczą oni na to, że im sprawka ujdzie w natłoku nowinek i skandałów. Powodują się zaś zawsze żądzą zysku, „sugestyą“ swoich chlebobawców, popartą miską soczewicy. Gdyby bowiem rządzili się pobudkami bezinteresownemi n. p. nienawiścią koteryjną, nie im nie przeszkadzałoby wypisać swoich nazwisk pod „artykułami“. Żyjemy przecież jak rekiny w oceanie wzajemnych nienawiści i „bezinteresowna“ chęć pożarcia kogoś uważa się w sferze Kuryerów naszych za czyn chwały. Dowodem tego są n. p. pamiętne artykuły prof. Gersona o nieszczęśliwym Podkowińskim albo „krytyki“ p. Jeske-Choińskiego o pracach różnych autorów (n. p. Dawida i przyrodniczych p. Heilperna), które wypadło potem odwoływać. A przecież ani p. Gerson, ani p. Choiński nic a nic ze swej sławy nie uronili, owszem kredyt ich autorski i moralny wzrasta wciąż...



Ergo — gdyby autor oceny moich nowel „*W przesileniu*“ i mojej broszury „*Eusapiada*“, rządził się samą tylko bezinteresowną i szlachetną nienawiścią, mógłby najspokojniej nazwisko swoje wymienić. A że stało się inaczej, i stało się *aż trzy razy*, przeto występy te miały i wszystkie cechy znamienne procederu i wszystkie cechy pasujące kogoś na rzezimieszka dziennikarskiego. <sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Powie kto może, iż obrażającej tu wzmianki o „*Eusapiadzie*“ nie ma zasady poczytywać za objaw złej woli, że broszura ta mogła najzupełniej zasługiwać na podobną odprawę? Nie wiem, na mocy jakiej etyki. Nadałem jej pewien ton szorstki, pewną, rozmyślnie czy bezwiednie *przeoczoną przez ogół intencję* wykazania, jak sprawa naukowa i poważna gmatwa się, zanieczyszcza małostkami w zetknięciu z prasą brukową. Wyzyskałem drobne poswarki między zwolennikami medyumizmu i jego przeciwnikami, pozbawione przedmiotowości, namiętne (np. antisemityzmem zaprawione) lub obelżywe albo też płytkie, żadnymi danemi nie poparte protesty przeciw badaniom spirytyzmu. *Difficile erat satyram non scribere. Ze zaś nie była to wycieczka osobista*, to widać z dwu momentów: po pierwsze po ukłóciach pod adresem niektórych kierowników sprawy medyumizmu *szły zawsze wyrazy uznania dla nich* (n. p. dla Ochorowicza, Potockiego i Br. Reichmana) a powtórę — co najważniejsza — była *podpisana*, zaś jej ocena w „*Kuryerze Codziennym*“ — *nie*.

Ja jednak nie zwróciłbym na nią żadnej uwagi i może być, iż nawet nie wiedziałbym o niej, byłem bowiem wtedy za granicą, gdyby nie późniejszy znacznie artykuł w „*Gazecie Radomskiej*“, który piętnował dorywcze i reporterskie sprawozdania, wykazywał prostemi cytatami, że jestem zwolennikiem jawnym i nawet gorącym medyumizmu, a nie, jak doniosły *Kuryerki*, które *nie zajrzały nawet do środka książki*, wrogiem.

*Zła wola* we wzmiance o nowelach jest jeszcze widoczniejszą. „*W przesileniu*“ spotkało się z różnemi ocenami, których nie wypada mi w tem miejscu przytaczać, ile że są między niemi bardzo pochlebne. Woleę odesłać czytelnika do właściwych numerów pism (n. p. „*Przegląd tygo-gniowy*“ Nr. 42 r. 1894, „*Prawda*“ Nr. 51 r. 1894. „*Kraj*“ Nr. 34 r. 1894). Po tych głosach zjawia się w „*Kuryerze Codziennym*“ w rubryce „*Kuryerek literacki*“ następujący, który przytaczam w całości:

„Cezary Jellenta: W przesileniu. Wykrawki z życia. Kraków, r. 1894, str. 281.

Aż na 65 stronicach opowiada autor dzieje dwojga ludzi, którzy niby się kochali, a nie poženili się z sobą; w ten sposób „on“ został

Tego samego dnia kiedy wyszła „Prawda“, zastałem u siebie wieczorem bilety wizytowe p. p. Rosseta i Choińskiego, a wkrótce potem doznałem zaszczytu usłyszenia od tego ostatniego po odpowiednim wstępie, objaśniającym cel wizyty:

— Obraził Pan szlachcica polskiego.

— O jakim szlachcicu Pan mówisz? — bo o ile mi wiadomo, „szlachcic polski“ podpisuje swoje artykuły — odrzekłem drwiąco na ten jakoś osobliwie w\* dzisiejszych czasach i w rozmowie ze mną brzmiący motyw i dodałem parę uzasadnień swego wystąpienia przeciw ich mocodawcy.

— Pan wiesz, że nam tego słuchać nie wolno — odparł na to p. Choiński. Poczem tonem miększym rzekł: Nie ma z tego wyjścia.

— *Po co szukać wyjścia?* — odparłem.

„Starym kawalerem“, „ona“ — jakaś, gdzieś studującą nauki, doktrynerką. W opowiadaniu tem fantazyi nie ma nic, jest trochę „wykrawków“ z życia, dużo zmysłowości zdawkowej — i na tem koniec. W „Pięciu wieczorach“ gadają z sobą na początku Jerzy i Aniela znowu niby o miłości z filozoficznemi (?) refleksjami i odsyłaczami, które nużą. Chadza sobie ta para po łące za miastem „w promieniach zachodzącego słońca“ (wcale to nie nowe oświetlenie). W rozmowie flirtują, potem Aniela wbiega do domu po marmurowych schodach (widocznie Jerzy jest człowiekiem bogatym). Oła, żona Jerzego, jest siostrą Anieli, która bałamuci się ze szwagierkiem (ładna historia!); przytem czytamy o różnych „omdlewaniach“ Anieli i pocałunkach. Ten literat Jerzy doprawdy nie wart, aby się nim aż przez pięć wieczorów zajmować. Odrazu mogła sobie p. Aniela wyjść za Pawła, zanim Jerzy zemdleje na ulicy pod oknem młodej mężatki. I tak dalej; i tak dalej — wszystko w podobnym rodzaju: „Złamany klawisz“, „Tryumf p. Walerego“, „W przesileniu“ — cały zbiorek „Wykrawków“, nie zawiera ani odrobiny talentu, ani szczypty wyobraźni. Zamyka się zaś książkę bez najmniejszej ochoty, żeby ją powtórnie otworzyć“.

Rezultat tej „krytyki“ dla tak zwanej ambicyi autorskiej nie mógł być, rzecz prosta, brany poważnie przezemnie lub przez innych, ale ton jej wyuzdany i naigrawający się odbierał jej prawo ukazania się bez *ładnego* podpisu. Takim tonem pisze się „Muchę“ albo „Kolce“ albo też mówi się o reporterach, o grafomanach, o współpracownikach kalendarzów.

Stańło na tem, że świadkowie moi, których nazwiska niebawem podałem, zjadą się nazajutrz ze świadkami p. Mieszkowskiego u p. Choińskiego.

Kiedy tam przybyli, pana Rosseta nie było — nie zjawił się wcale ku niemałemu zdziwieniu zebranych i nieobecności też żadnym nawet listem nie usprawiedliwił.

W zastępstwie jego przybył *nazajutrz*, już do mieszkania Nałkowskiego p. Jan Gebethner, współwłaściciel „Kurjera Codziennego“ i „Tygodnika illustrowanego“.

Dotychczas w sprawach podobnego rodzaju, wynikłych między piszącymi, korzystano z usłużności piszących. Tym jednak razem zabrakło snać w Warszawie dziennikarzóv i literatóv i w zatargu o charakterze czysto literackim trzeba było użyć... kupca.

Jeszcze przed ostatecznem porozumieniem się wszystkich czterech upelnomocnionych, wezwany zostałem przez p. Dawida, który namawiał mię, ażebym dał jakiegokolwiek wyjaśnienie, któreby zapobiegło spotkaniu. Odrzekłem stanowczo, że raz przecie tak lub inaczej i bodajby za cenę krwi mojej lub cudzej, musi się ta naganka skończyć, że wszelki i nawet najkorzystniejszy dla mnie układ polubowny ostatecznie rozzuchwaliłby jeszcze więcej sforę, opadającą mię od pewnego czasu, a i ja sam musiałbym się w przyszłości krępować w polemice z tą kliką literacko-dziennikarską, z którą *nie tylko w swoim imieniu*, lecz w imieniu kółka ludzi zbratanych duchowo, toczę walkę od pewnego czasu.

Ażeby nadać obrót humorystyczny uporeczywym naleganiom kolegi Dawida, zaprojektowałem w końcu wyjaśnienie, które równało się ponowieniu poprzedniej gry słów na temat nazwiska „Mieszkowski“ i bynajmniej dodatkami swemi nie osłabiało ich tendencyi. Oczywiście o zaakceptowaniu podobnej satysfakcyi niemogło być mowy. Rozumiałem, że Dawid zatrzymał moją notatkę nie jako projekt wyjaśnienia, lecz jako dowód mojego w tej sprawie usposobienia.

Zarazem potem miałem według ułożonego planu widzieć się z Nałkowskim — Dawid jednak oświadczył mi, że to jest całkiem zbyteczne — nie poszedłem więc.

Po godzinie siódmej przybył do mnie Nałkowski i oddał mi protokół. Protokół ten przebiegłem oczyma i — nieprzytomny z bólu i wściekłości — rozdarłem.

Protokół ten, choć podarty, daje się jednak wygodnie odczytać. Opiewa on:

„Działo się d. 4. marca 1895 r. w mieszkaniu p. Władysława (pomyłka) Nałkowskiego przy ul. Nowogrodzkiej nr. 32.

P. P. Teodor Jeske Choiński i Jan Gebethner działający w imieniu p. Antoniego Mieszkowskiego, stawili się przed P. P. Wacławem Nałkowskim i Władysławem Dawidem, działającymi w imieniu p. Napoleona Hirszbanda, w celu załatwienia sprawy honorowej, wynikłej pomiędzy p. Antonim Mieszkowskim i Napoleonem Hirszbandem z powodu artykułu p. Hirszbanda, pomieszczonego w Nr. 9 Prawdy 1895 r. pod tytułem: „O prawdę“<sup>1)</sup>. P. P. Wacław Nałkowski i Wład. Dawid oświadczyli w imieniu p. Hirszbanda, że tenże gotów jest dać wszelką satysfakcję honorową.

P. W. Nałkowski i Wład. Dawid zaproponowali następujące wyjaśnienie, które z podpisem p. Hirszbanda będzie wydrukowane w najbliższym N-rze „Prawdy“ w tej samej rubryce i tym samym drukiem, upoważniając zarazem p. Mieszkowskiego do powtórzenia niniejszych słów w „Kuryerze Codziennym“.

„Oświadczam niniejszem, że w artykule moim p. t. „O Prawdę“ zamieszczonego w Nrze 9. Prawdy nazwisko „Mieszkowski“ nie odnosiło się do p. Antoniego Mieszkowskiego Redaktora „Kuryera Codziennego“, nie miałem bowiem ani zasady, ani zamiaru obrażenia go osobiście“. P. P. Teodor Jeske Choiński i Jan Gebethner, powyższe oświadczenie uznali w imieniu p. Antoniego Mieszkowskiego za dostateczną saty-

<sup>1)</sup> Niedokładność, tytuł artykułu był: „O marną zgraję“.

sfakcją honorową. Warszawa d. 4. marca 1895 r. Następują podpisy wszystkich czterech świadków<sup>4</sup>.

Okazało się, że kolega Dawid biorąc asumpt z owej humorystycznej notatki, zrozumiał, iż ja *w zasadzie* zgadzam się na wyjaśnienie. Nałkowski, nie widząc mnie u siebie, usłuchał motywów Dawida tem bardziej, że napisana przezemnie i okazana mu przed samem przyjściem sekundantów notatka zaskoczyła go nieprzygotowanego. Wychodzili przytem, jak mię objaśniają, z założenia, że wypadek bywa niesprawiedliwym, że wartość przeciwników społeczna jest w tym razie bardzo nierówna, że nie chcieli przykładać ręki do hazardu. Brak zaś przebiegłości w sprawach tego rodzaju, żaden bowiem z moich świadków nie uprawiał rzemiosła jazdy do Stępkowskiego z Bielan lub Wilanowa, zrządził, że Nałkowski i Dawid przystali na spisanie protokołu nadto szkicowe, skutkiem czego niedostatecznie się w nim odbił cały przebieg i cały *ton* konferencyi. Nietylko że nie dostatecznie, ale nawet *nie zostało w nim śladu treści i nastroju* tej notatki, którą zostawiłem był w rękach Dawida, a która w innem zgoda świetle przedstawiłaby moje intencye. Notatka ta *powinna była w każdym razie figurować w protokóle* i powinno było być zaznaczonem wyraźnie, że *i dlaczego świadkowie odstąpili od niej*. Bez tego zaś narzucane mi wyjaśnienie dawało broń w rękę przeciwnikom moim, mającym na każde zawołanie drukarnię, *kiedy ja pisma swojego niemam*.

Okazało się, iż można być reformatorem geografii i autorem klasycznych dzieł w jej zakresie, autorem szerokich i bystrych pomysłów filozoficznych na temat natury i siły, albo — stosuję to znów do Dawida — autorem klasycznej nauki o rzeczach, wybitnym, psychologiem i pedagogiem, a jednak grzeszyć zbytniem zaufaniem do ludzi, występujących w roli „honorowej“ i, powtarzam, brakiem przebiegłości.

Ja osobiście zarzucając im ów optymizm i brak „handlowego“ sprytu nie mogę jednak dziwić się mu. Sam bowiem nie mógłbym zdobyć się na większy, czego dowo-

dem, że o parę tygodni wcześniej oddając podobną przysługę koleżeńską panu W. M. Kozłowskiemu pospołu z Dawidem, nie spisywałem nic. Liczyłem również na dobrą wolę świadków strony przeciwnej — no i jakoś szczęśliwie się stało, że się nie zawiodłem.

Wspomniany brak handlarskiego wyrobienia i prawdopodobnie „niedorzeczna“ hipoteza, że gdzie chodzi o tak zwany „honor“ tam nie ma miejsca na handel, sprawiły, że świadkowie moi nie przeniknęli na razie znaczenia tej okoliczności, że to nie tylko (albo nie tyle) p. M., ale i wydawnictwo „Kuryera Codziennego“ żąda odemnie satysfakcyi honorowej. Wyplęwało to najpierw stąd, że ja w owym numerze „Prawdy“ jednocześnie i „Kurier Codzienny“ zaczępiłem, a więc *przedsiębiorstwo*, które, ze względów materyalnych, zazwyczaj daleko silniejszych niż wszelkie inne, dbać musi o renomę „przyzwoitego“, i przeto za wszelką cenę dążyć powinno do ukarania śmiałka, który tę przyzwoitość już w „Przeglądzie tygodniowym“, mocno podawał w podejrzenie. A powtórę wyplęwało i stąd, że ze strony przeciwnej *działał głównie* nie należący pierwotnie do sprawy p. Gebethner, który też po fejetonowym „koleżeńskim“ tonie p. Choińskiego, wprowadził nagle ton niestychanie uroczysty.

Ludzie, uprawiający sport sekundowania z epilogiem w restauracyi, nie mogą też zrozumieć, dlaczego Nałkowski i Dawid nie wyzwali mnie na pojedynek za rozdarcie protokołu. Wytlumaczę to im w dwóch słowach.

My jesteśmy ludzie pracy, pracy ciężkiej i niewdzięcznej, jak wszelki mozół w służbie idei. Jeśli między mną a Nałkowskim istnieje przymierze, że nie użyję sentymentalnego słowa, przyjaźń, to zasada się ono na braterstwie dusz na powinowactwie z wyboru, na koleżeństwie w wojnie z duchem gnuśności, który stopniowo naszą literaturę i naukę upadła, skuwa i paraliżuje. Nasz związek, to nie wspólna groźba aktorce Teatru Małego, że w razie nieuległości naszym umizgom, wyszykanujemy ją w swem piśmie, to nie wspólne

wysługiwanie się cyrkowemu przedsiębiorcy lub nienasyconemu wydawcy, to nie braterstwo trącających się kieliszków koniaku.

Więc też nie obrazili się oni na mnie, lecz po niewielu słowach moich postanowili zobaczyć się ponownie ze świadkami strony przeciwnej i zażądali zniszczenia protokołu. Układy trwały tedy w dalszym ciągu, na wielokrotne jednak i natarczywe oświadczenie moich świadków, *iż ja pojedynku żądam, żądam na jakichkolwiek warunkach*, że uważam układ za nieważny, jako oparty na nieporozumieniu, że minęli się zupełnie z mojami intencjami, pp. Gebethner i Choiński odpierali uporczywie, że im właśnie o pojedynek nie chodzi, lecz jedynie o protokół a ten mają już w ręku.

To się nazywało w opinii publicznej, że *ja nie przyjąłem pojedynku*.

Dopiero dosadne zaakcentowanie przez moich świadków, że jeśli chodzi o cześć p. Mieszkowskiego, a nie o jakieś względy uboczne, to uważanie całej dotychczasowej konferencji za niebyłą wcale nie staje na przeszkodzie satysfakcyi w tej czy w innej formie, ułatwiło zgodę. Niemniej przyczyniło się do niej łagodzące oświadczenie p. Gebethnera: „*Po co się Hirszbänd tak upiera, kiedy to nawet nie Mieszkowski pisał*“ ową recenzję, czyli że autorem niepodpisanej krytyki w „Kuryerze Codziennym“ nie był p. Mieszkowski. Wtedy postanowiono, że sama słuszność wymaga sprostowania na korzyść p. Mieszkowskiego. Bo skoro według protokołu nie miałem zamiaru obrażać go *osobiście* (a zatem tylko jako *autora* krytyki niepodpisanej), przeto jedyny powód mojej gry słów upadł.

To zniknięcie powodu do obrażenia p. Mieszkowskiego ułatwiało więc zastosowanie się do stylizacyi podartego przezemnie protokołu pod warunkiem, rozumie się, odpowiedniego uzupełnienia, czyli odpowiedniego *skomentowania go*.

Projekt takiego komentarza został *naszkicowany* przez p. Gebethnera *własnoręcznie* i znajduje się do tej chwili w moich rękach.

Świadkowie moi kategorycznie oznajmili mi, iż *w duchu tego szkicu* powinienem zredagować swoje wyjaśnienie, które zamieszczę w „Prawdzie“.

Szkie ów własnoręczny p. Gebethnera opiewa:

Po napisaniu artykułu mojego „O prawdę“ dowiedziałem się, że autorem wzmianki w „Kur. Cod.“, przeciwko której występowałem nie był p. Mieszkowski, na skutek czego w imię słuszności oświadczam i t. d.“...

Po nim zaś miało iść dosłownie wyjaśnienie według protokołu.

Ja jednak i na taki obrót sprawy przystać nie chciałem. Z goryczą przekładałem swoim przyjaciółom, że wobec widocznych zamiarów klikii działającej za pośrednictwem „Kuryera Codziennego“ nawet taka formuła wyjaśnienia zostawia pole do uchybiających mi komentarzy. Nie dbam nigdy o opinią prasy, jak pewnie wszyscy, co mieli sposobność zetknąć się z nią bliżej, ale nie miałem zasady gardzić opinią ludzi niezarażonych prasą. A właśnie wymieniałem Dawidowi nazwiska tych panów, co zostali wydelegowani z ramienia „Kuryera Codziennego“, ażeby *już teraz, przed ukończeniem sprawy honorowej*, szerzyli potwarze po mieście i którzy misję tę spełniali z całą sumiennością. Co więcej, tak gorliwie pracowali oni nad ustaleniem opinii, że to nie Nałkowski i Dawid przekroczyli moje intencje, lecz — tu już była najgrubsza warstwa brudu, którym powleczone broń swą w walce ze mną — że to ja postąpiłem wbrew ich skwapliwości do rozprawy honorowej, iż dla ubezwładnienia tego wyrafinowanego oszczerstwa nie mogłem już zmienić świadków, celem wysłania innych do p. Mieszkowskiego i musiałem trzymać się *volens nolens* pierwotnych, a więc i zastosować się do tego, co uchwalili. Cała pociecha była w głębokiem i wielokrotnie wyrażanem mi zwłaszcza przez Dawida przekonaniu



iż patrzę na rzeczy zbyt czarno i że ponieważ p. Gebethner wielokrotnie powtarzał, iż zostawia nam tylko *projekt* komentarza, przeto mam zupełne prawo odpowiednio go sformułować, oczywiście bez jakiegokolwiek ujmy dla p. Mieszkowskiego.

Ja też zgodnie z tem umieściłem w najbliższym (10) Nrze „Prawdy“ co następuje:

„Już po napisaniu artykułu mojego p. t. „O marna zgraja“, dowiedziałem się, że autorem *niepodpisanej* wzmianki w *Kuryerze Codziennym*, która była powodem użytej przeze mnie gry słów, nie był p. Mieszkowski. W imię przeto słuszności, której obowiązek ciąży na każdym *szanującym się* człowieku, ale która widocznie nie obowiązuje ukrywającego się dotąd z chlubną wytrwałością autora rzeczzonej wzmianki — uważam za właściwe podać niniejszem następujące wyjaśnienie:

W artykule moim pt. „O prawdę“, zamieszczonym w nr. 9 *Frawdy*, nazwisko Mieszkowski nie odnosiło się do p. Antoniego Mieszkowskiego, redaktora *Kuryera Codziennego*, nie miałem bowiem ani zasady, ani zamiaru obrażania go osobiście.

*Cezary Jellenta.*

Dałem więc p. Mieszkowskiemu zadośćuczynienie zupełne i choć my wiedzieliśmy dobrze, że było mi narzucone mocą nieporozumień, uznano, że brzmiało ono szlachetnie i szczerze, że tchnęło sprawiedliwością, aczkolwiek nikt mu zarzucić nie mógł *małoduszności*, albowiem zarzut, dotyczący słotnego autora wzmianki *niepodpisanej*, został w swojej mocy utrzymany...

Przecierałem więc oczy i własną przytomność podejrzewałem, pasowałem się jak ze snem złowrogim, gdy m. najazutrz w niedzielę wyczytał w „Kuryerze Codziennym“ następującą odezwę:

W nrze 9 tygodnika „Prawda“ p. Cezary Jellenta (Napoleon Hirszbard) dopuścił się w artykule „O Prawdę“ wyrażen, któremi uczuł się dotknięty naczelny kierownik naszego pisma, p. Antoni Mieszkowski. W dniu 2 b. m., zaraz po uka-

zaniu się „Prawdy“, uproszonych dwóch przyjaciół p. Mieszkowskiego udało się do p. Napoleona Hirszbanda, żądając odeń w imieniu p. Mieszkowskiego stanowczych wyjaśnień. W dniu 4 b. m. pp. I. Wł. Dawid i Waclaw Nałkowski, w imieniu swego mocodawcy, p. Hirszbanda — oraz pp. Teodor Jeske-Choiński i Jan Gebethner, w imieniu Mieszkowskiego — podpisali następujące wyjaśnienie, które, ujęte w cudzysłów, bez żadnych zmian wydrukowane być miało z podpisem p. Cezarego Jellenty w najbliższym numerze „Prawdy“ i przedrukowane w „Kuryerze Codziennym“: !

„Oświadczam niniejszem, iż w artykule moim p. t. „O prawdę“, zamieszczonem w nrze 9 „Prawdy“, nazwisko „Mieszkowski“ nie odnosiło się do p. Antoniego Mieszkowskiego, red. „Kuryera Codziennego“, nie miałem bowiem ani „zasady, ani zamiaru obrażenia go osobiście“. — Świadcowie p. Antoniego Mieszkowskiego wyjaśnienie powyższe za wystarczające uznali.

Tymczasem w ostatnim numerze „Prawdy“, niezależnie od wyjaśnienia, udzielonego przez samą redakcyę, p. Cezary Jellenta, publikując nieściśle podany protokół, zaopatruje go w komentarz, iż dowiedział się, że autorem artykułu w „Kuryerze Codziennym“ nie był p. Mieszkowski. (O żadnym artykule „Kuryera“ *w toku sprawy* mowy nie było. P. M. zaś *jest jedyną odpowiedzialną za treść pisma osobą*). W imię przeto słuszności, p. Hirszband napaść co do p. M. odwołuje, nie zaprzestaje jednak wycieczek przeciw „niepodpisanemu autorowi“ jakiejś notatki.

Z powyższego widocznem jest, że p. Cezary Jellenta usuwa obojętą treść i brzmienie protokołu, który przyjęli i podpisali umocowani przez niego honorowi świadkowie. Wypadek ten uważamy za stosowne stwierdzić.

Pomijam użycie wyrazu „dopuszczył się“, który mniej odemnie oswojonego z gniazdem szerszeni, mógłby przyprawić o paraliż. Pomijam przeciwstawienie mojej małości powadze i majestatowi „naczelnego kierownika pisma“, które

za parę popełnionych ostatnimi czasy „błędów“ publicystycznych straciło naraz parę tysięcy abonentów. Pomijam dzieśię innych podłości, w tym niewielkim artykule ugrzęzłych, jak żółte muchy w zostawionym przez krowę śladzie. Podnoszę tylko fakt *zadania kłamu świadkom moim* i rzeczywistości, *ponowne włożenie* na p. Mieszkowskiego całej odpowiedzialności za treść pisma i za artykuł o mnie, wbrew oświadczeniu i komentarzowi pp. Gebethnera i Chońskiego, a więc *świadome przemilczenie własnoręcznego* (p. Gebethnera) szkicu do komentarza i zapewnienie, zrywające raz na zawsze ze wszelkim wstydem, że w toku sprawy nie było wcale mowy o żadnym artykule, wbrew temuż *własnoręcznemu* szkicowi. Było to słowem zarzucenie mi fałszu.

Kolegom moim prawnikom wiadomo dobrze, iż gdy kto pozwany z rewersu lub wekslu czyni w sądzie zarzut sfałszowania podpisu, sąd go uprzedza o następstwach posiadzenia kłamliwego, a gdy to nie poskutkuje — obrzuca pieniącza wzgardą. Takie „zarzuty fałszu“ świadomie oszczercze, uważane są w praktyce sądowej za ostatni wyraz geszefciarstwa pokątnych doradców, za wybieg aferzystów z pod najmniejszej gwiazdy.

Taki wybieg w sądzie krzywdzi jednak tylko samego swego autora. Lecz jak nazwać podobny zarzut fałszu *wbrew własnoręcznemu dokumentowi* uczyniony w prasie, w publicystyce, która sędziami oskarżonego czyni miliony ludzi, w której mocy jest jednym słowem nikczemnem stawić pod pręgierz publiczny najniewinniejszego człowieka? Takiego frymarku drukowaniem słowem, takiego wyzucia się ze skrupułów honoru i sumienia — inteligencya nasza chyba nie pamięta.

Ale Opatrzność dobrze zrobiła, że nie wszystkim stworzeniom dała rogi, a jeszcze lepiej, że nie wszystkim drapieźnikom — mocne szpony. Potwarz, kołująca jak jastrząb nad upatrzoną ofiarą zapomniała tym razem, że jest tylko owym zuchwałym krukiem z bajki i spuściła się na zdobycz prze-

chodzącą jej siły. Zostawiła więc tylko w jej ciele plugawę od rozmaitych padlin szpony i sama ranna uciekła...

Była w owej potwarzy jeszcze jedna „honorowa“ intencya, również spelzła na niczem — intencya poróżnienia mię z Nałkowskim i Dawidem, wyrażona w zdaniu, że „usiłowałem obejść treść i brzmienie protokołu, który przyjęli i podpisali umocowani przezemnie honorowi świadkowie“.

Próbowano więc, innemi słowy, wciągnąć do swoich spekulacyj ludzi jak Nałkowski i Dawid. Mówię: do spekulacyj, bo dotąd potroszę ukrywane, teraz wyszły one na jaw w całej pełni, w tym fakcie, że zarzucono mi fałsz *mimo najzupelniejsze z mej strony cofnięcie obelgi, wyrządzonej panu M. Nie on więc już teraz upominał się, bo nie było już o co upominać się, i nie on kłam mi zadawał, lecz wydawnictwo „Kur. Codziennego“, Z panem M. sprawa była skończona, trwał jedynie zarzut, uczyniony pismu, drukującemu niepodpisane paszkwile.*

O ile się to zaangażowanie moich świadków do interesu udało i co o manifestie „Kuryera Codziennego“ panowie ci myśleli, niechaj odpowie następująca odezwa, rozesłana tegoż dnia jeszcze do pięciu najpoczytniejszych pism.

**Sprostowanie.** „Kuryer Codzienny“ w N-rze 69. w rubryce „Z chwili“ ogłasza co następuje:

„Pan C. Jellenta publikując nieściśle podany protokół zaopatruje go w komentarz, z czego ma jakoby wynikać, że p. C. Jellenta, usiłuje obejść treść i brzmienie protokołu, który przyjęli i podpisali umocowani przez niego honorowi świadkowie“.

Wiadomość tę uważamy za niezbędne sprostować jak następuje:

1) Po spisaniu protokołu panowie Gebethner i Choński, działający w imieniu pana Mieszkowskiego, zgodzili się na nasze przedstawienie, aby p. C. Jellenta wyjaśnienie swoje w „Prawdzie“ poprzedził wstępnym komentarzem, dowo-

dem tego jest własnoręczna notatka p. Gebethnera, w której także naszkicował *projekt* tego właśnie komentarza.

2) Tekst następującego potem wyjaśnienia p. C. Jellenta przepisał *dostłownie* z protokołu, opuszczając jedynie początkowe wyrazy „oświadczam niniejszem“, które wobec pomienionego komentarza były stylowo zbyt liczne i które bynajmniej istoty rzeczy nie dotyczyły.

3) Stwierdzając wreszcie, że działając w imieniu p. C. Jellenty rozminęliśmy się z jego intencjami, powodowani zwykłymi w tych razach pobudkami społecznej natury. P. C. Jellenta od początku oświadczał gotowość *honorowego zadość uczynienia (co było zaznaczone w protokóle)*, ustąpić zaś musiał wobec spełnionego przez jego świadków faktu i to tylko pod warunkiem zamieszczenia wyżej wspomnianego wstępnego komentarza.

Warszawa d. 11. marca 1895.

*J. Wł. Dawid.*

*Wacław Natkowski.*

Wierny swojej etyce i taktyce „Kuryer Codzienny“ sprostowania tego, rozumie się, nie zamieścił. Bo przecież to równałoby się odwołaniu przezeń jego własnej potwarzy i kłamstwa. Skoro poprzednio *przemilczał* fakt istnienia komentarza do protokołu, *nie mógł teraz przyznawać się do niego*. A unicestwienie dla ogółu tego komentarza było głównym jego celem w owym oszczerczym komunikacie. *Jemu nie szło o sposób, w jaki ja sformułowałem* komentarz na zasadzie projektu, bo sami pp. Gebethner i Choiński *nie umieliby wykazać*, czy i o ilem się od niego oddalił, bo oni sami nazajutrz w liście swym projekt ten *sformułowali-inaczej*. Tym sposobem istnieją dwie *własnoręczne* (pp. Gebethnera i Choińskiego) *a niejednakowe* formy projektu; jedna przytoczona wyżej, druga zaś podana we wspomnianym tylko co liście, stanowiącym odmowę przyjęcia sprostowania moich świadków.

Po napisaniu artyk. mojego „O prawdę“ dowiedziałem się, że autorem wzmianki w Kur. Codzien. przeciwko której występowałem, nie był pan Mieszkowski, na skutek czego w imię słuszności oświadczam i t. d...

Ponieważ już po wydrukowaniu mojego artykułu w *Pravdzie* dowiedziałem się, iż autorem wzmianki, przeciwko której występowałem, nie był pan Mieszkowski, przeto oświadczam w imię słuszności i t. d...

Tak dalece więc komentarz był tylko zaprojektowany, że *nawet jako projekt, nie miał ustalonej formy*. Z tego wynika jasno, że *gdybym ani słówka nawet w projekcie nie był zmienił, to i wtedy zarzuciliby mi „obejście“, albowiem po dana w ich liście forma projektu brzmi inaczej, niż zostawiona w rękach pp. Nał. i Daw.*

Ale powtarzam, „Kur. Codziennemu“ nie chodziło o formę komentarza — chodziło mu o zupełne wyparcie się go drogą przemilczenia lub drogą kłamstwa, że o żadnym autorze mowy nie było.

Ale i wszystkie inne pisma odmówiły, a w tej liczbie jedna tylko „Gazeta Polska“ odpowiedziała poważnie, że niewypada jej zabierać głosu, skoro dotąd o całym zatargu milczała. Co prawda, i inne pisma dotąd milczały, bo zatarg był świeży i natury prywatnej, ale „Gazeta Polska“ wyrobiła sobie opinię dziennika szanownego i nie polującego na skandale, obsługiwanego nie przez reporterów, lecz przez literatów i uczonych, jej więc pobudek, choć trochę naciąganych, nie lekceważę.

Za to charakterystyczną jest odpowiedź „Kuryera Warszawskiego“, przesłana J. Wł. Dawidowi.

Szanowny Panie!

Sprostowania w sprawie p. p. M. i H. zamieścić nie mogę, tak ze względów formalnych, jak dziennikarskich, jak.... i t. d.

Przepraszam najmocniej za zwłokę w odpowiedzi, lecz zamknięty w domu z powodu influenzy<sup>1)</sup>, dziś dopiero papiery przeglądałem.

12/III. 1895.

Z poważaniem

sługa

(podp.) *F. Olszewski.*

Zagadkę tę przesłał mi J. Wł. Dawid z następującym liścikiem :

Szanowny Kolego!

Wczoraj wieczór odebrałem list z „Kuryera Warszawskiego“, który komunikuję. Ciekawym, co to tam znaczy owo „i t. d.“

12/III. 1895.

Wasz

*J. W. Dawid.*

I ja także ciekaw byłem znaczenia tej gwary tajemniczej. Ale niebawem zrozumieliśmy wszyscy, nadszedł bowiem ów list od pp. Chońskiego i Gebethnera, zastępujący odpowiedź redakcyi „Kuryera Codziennego“.

Czyli, że p. Gebethner jawnie wystąpił w roli wydawcy właściciela pisma i w interesie swoim poprosto odebrał pełniącemu obowiązki redaktora głos. Prawdopodobnie jednak „przez zapomnienie“, czy też „niedopatrznie“, albo „roztargnienie“, kazali mi adresować swoje pretensye nie do p. Mieszkowskiego, którego dzień przedtem nazwali „jedynie odpowiedzialnym“ za treść pisma, lecz do p. Dobrowolskiego, albowiem „sprawę z p. Mieszkowskim uważają za zakończoną“. *Lecz jeśli jest zakończoną, to w takim razie w czyjej obronie wydrukowany był potwarczy komunikat w „Kuryerze Codziennym?“* Przecież chyba nie w obronie pana Mieszkowskiego, któremu na nowo przypomina i od-

<sup>1)</sup> Przypuszczam, że tu mowa o influenzy rzeczywistej.

świeża obrazę, a któremu ja dałem już był wprawdzie pod naciskiem faktu, ale zupełną satysfakcję.

Proszę więc jeszcze raz zważyć „metodę“ postępowania „Kuryera Codziennego“ i jego świadków:

Jednego dnia piszą: *Nie p. Mieszkowski był autorem wzmianki niepodpisanej o nowelach i przeto w imię słuszności etc.* (patrz własnoręczny p. Gebethnera dodatek do protokółu).

Drugiego dnia: *Jedynie odpowiedzialnym jest p. Mieszkowski i o żadnym autorze mowy nie było* („Kuryer Codzienny“).

Trzeciego dnia: *Niech się p. Hirszbard zwróci z pretensją do p. Dobrowolskiego* (list pp. Gebethnera i Chońskiego).

Nawet praktyka sądowa nie zna takiej manieri piskorzowej, którą grupa „Kuryera Codziennego“ i „Tygodnika ilustrowanego“ prawdopodobnie nazywa w delikatny sposób „maskaradą“. W każdym razie maskaradę taką prasa nasza po raz pierwszy oglądała. Taka obrona mogła być wypracowaną jedynie przez pokątnych doradców, operujących w przybytku spirytusu i akwawity, czy on się nazywa szynkiem, czy restauracją na Krakowskim przedmieściu. Pierwovzór obrony tej wygłosił pewnego dnia pozwany o zwrot dzbana przed Sędzięgo Pokoju Wolf Grabander w ten sposób:

Po pierwszymu: Ja od niego żadnego dzbana nie poży-  
czałem.

Po drugiemu: Ja mu za ten dzbanek dawno zapła-  
ciłem.

Po trzeciemu: Jak ja od niego brał ten dzbanek, to un  
był całkiem potłuczony.

W naszych jednak stosunkach literackich, przed forum  
naszej opinii publicystycznej, taka obrona całkiem popłaca,  
więcej nawet: ona pasuje swego autora na męża sprawie-  
dliwego.



Dzięki takiej cudownej logice i procedurze sądowej, przekształcającej lisa na wyżła, a śmierdziela na piźmowca, Wolf Grabander ma wielu naśladowców, pragnących jego wzorem zostać mężami sprawiedliwymi. Pierwszym zwolennikiem tego kierunku jest p. Dobrowolski, który rozumuje, a raczej, za którego rozumują w ten sposób:

Jellenta zjadliwą grą słów obraził autora paszkwilu w „Kuryerze Codziennym“.

Autorem tego paszkwilu, jestem ja, Adam Dobrowolski<sup>1)</sup>.

Na mnie, Adama Dobrowolskiego, pada zniewaga, rzucana przez p. Jellentę.

*Ergo p. Jellenta powinien mię wyzwąć na pojedynek.* Jakoż logika ta nie zawiodła i p. Adama Dobrowolskiego. Z nicości został niebawem „wytrawnym“ i „sumiennym“ krytykiem. Przybyła nam w nim nowa gwiazda. *Sic itur ad astra...*

Tak się przedstawiają nagie fakta. Nic do nich, jak czytelnik sam widzi, nie dodałem, wiązałem je tak, jak się wiązały same. A związały się one w sieć potworną. Trzy pisma ją zarzuciły, a inne, świadome planu, bo uwiadomione przez moich przyjaciół, przyglądały się obojętnie. Z iskrzącymi ślepiami patrzano na widowisko duszenia mię sposobem mistrza Dytwalda, a pisemka humorystyczne, zawsze gotowe lizać gdzie tłusto, a pluć gdzie chudo, pluły na mnie zatrutą śliną. „Próbowano też wszystkiego, ażeby mię — jak niegdyś Heinego — uczynić chudym; karmiono mię padalcami, pojęno piołunem, wlewano mi piekło w serce, ażem płakał jadem i wzdychał ogniem“. Niektórzy znowu radzili przedłużyć męczarnie w nadziei, że może uderzę w pokorę. Sznury się wpijały we mnie i skórę zdzierały, aż życzliwi

<sup>1)</sup> Prezentacya tego „krytyka“ w „Kuryerze Codziennym“ brzmi dosłownie tak: Autorem notatki o książce p. Jellenty, p. t. *W przesileniu*, zamieszczonej w nrze 54 „Kuryera Codziennego“, jestem ja, niżej podpisany: Adam Dobrowolski.

mi truchleli, żebym się nie zadławił na śmierć własną zólcia, zanim jeszcze rybacy wyciągną połów na brzeg...

Ale obawy były nierozumne. Wiedziałem dobrze, iż gdybym zmarniał, sieć zostanie, jako tortura na przyszłość dla wszystkich, co by śmieli jak ja być zanedo ciekawymi gniazda szerszeni. Postanowiłem sieć rozerwać i rzuciłem się wściekle w stronę, w którą mię pchnęła fala uderzającej na mózg krwi, w stronę, która sama dobrowolnie wzięła na siebie odpowiedzialność (za potwarczy komunikat „Kuryera Codziennego“).

Stało się to tak, jak opisał W. Nałkowski swoim muskularnym stylem w odezwie, której, rozumie się, także wydrukować nie zgodzono się, a której najważniejsze ustępy przytaczam.

...W skutek takiego pogwałcenia sprawiedliwości literackiej, Cezaremu Jellencie przecięte zostały wszelkie parlamentarne drogi odparcia obelgi, pozostała mu jedynie droga obelgi czynnej względem p. Mieszkowskiego, jako takiego, który w pomienionym obelżywym artykule, *przyjął na siebie wyraźnie całą odpowiedzialność*. Cokolwiek zaś o drodze obelgi czynnej powiedziećby można, to w każdym razie pamiętać należy znaną zasadę, że nie ten jest winnym wojny, kto ją wypowiada, lecz ten co daje powód do jej wypowiedzenia. C. Jellenta chciał naturalnie mieć świadków tego „osobistego“ obrachunku i dlatego prosił mnie, abym w oznaczonej godzinie (9 rano) był na ulicy Włodzimierskiej.

W oznaczonym dniu chodziłem *po drugiej stronie ulicy*, gdy zaś czekanie zbyt długie wydało mi się bezowocnem, przeszedłem na przeciwną stronę, by skłonić C. Jellentę do odłożenia sprawy na inny czas; gdy ten jednak nie chciał się na to zgodzić, odszedłem znów od niego: w chwili starcia byłem zdaleka; C. Jellenta uderzył *ręką* pana M., ten zaś uderzył pierwszego grubą laską w głowę i tylko kapelusz uchronił C. Jellentę od ciężkiego zranienia. C. Jellenta dla udaremnienia drugiego uderzenia laską, schwycił p. M. za

ręce i zaczęto się szamotać. Wtedy ktoś z publiczności podszedł, aby ich rozdzielić, co widząc i ja się zbliżyłem, udało nam się rozłączyć nieprzyjaciół, poczem p. M. wołając „policya“, „posłaniec“ zwrócił się ku domowi.

Nieprawdą jest, jakoby udział mój w tej sprawie był skutkiem „nierozwagi“, przeciwnie: jak w kwestyach naukowych, tak i w postępowaniu życiowym zwykłem *długo rozważać* wszystkie „za“ i „przeciw“, zanim zdecyduję się na wypowiedzenie zdania, lub postawienie kroku, lecz za to później ani jednego, ani drugiego nie zwykłem już cofać. I w danym więc razie udziału mojego nietylko nie żałuję, ale i nadal w podobnym wypadku postąpiłbym tak samo; to znaczy: gdy dojdę do przekonania, że ktoś został pokrzywdzony, nie będę się wahał rzucić mego nazwiska na szalę jego sprawy, a to tembardziej, gdy jak w danym razie, przeciwstawiają się nie dwie osobistości, lecz raczej dwie zasady, dwa światy: z jednej świat ludzki, świat idei, świat nieskazitelności, świat nauki; z drugiej świat reportersko-literacki, bez idei, bez zmysłu etycznego, bez kultury umysłowej.

Tak stoi kwestya *zasadniczo*, i żadne szczegóły, żadne wymysły „napadów zbiorowych, zorganizowanych, nocnych“ i t. d. nie zdołają zmienić jej charakteru.

I czyż podobna dziwić się, że tego wydrukować nie chciano, skoro każde słowo to uosobiona siła i szlachetność?

Ale „syndykat prasy“ w obawie, że sobie rady ze mną tak łatwo nie da, zarzucił drugą sieć zapasową, mocniejszą od poprzedniej. Zarzucił ją w oka mgnieniu i pomógł sobie gradem kamieni i lawiną błota, których część spadła i na Nałkowskiego. Umówiono się, że pierwszy niby z głupia frant, da hasło „Kuryer Poranny“, a za nim pójdą i inni alianci z odpowiednimi przyczynkami na własny rachunek. Kiedy Nałkowski zaraz nazajutrz przesłał p. Fryzemu sprowstowanie, zgodne z treścią przytoczonego tylko co listu, pan redaktor odpowiedział w numerze swego „dziennika“, iż wy-

jaśnienia dawać nie może, albowiem szczegóły zajścia na ul. Włodzimierskiej zostały ustalone *przez śledztwo*.

Wstrzymajcie... śmiech, przyjaciele! Wedle obowiązującego u nas prawa i procedury karnej, *śledztwa żadnego w podobnych sprawach niema*. Skargę wnosi sama strona interesowana i *sama też gromadzi dowody i świadków* i bez takiej skargi prywatnej, sprawa wdrożoną być *nie może*. Kiedy z czasem prawda sama zaczęła wychodzić na wierzch, „Kuryer Warszawski“ ogłosił dyskretnie, że sprawa będzie sądzona bez udziału „Urzędu publicznego“, zamiast powiedzieć wprost „bez prokuratora“. Każdy pokątny doradca wie wprawdzie o tem, ale publiczność wiedzieć nie mogła, zwłaszcza wobec kabalistycznych słów „Urząd publiczny“, i przeto nie zrozumiała, o ile wobec tego charakteru prywatnego sprawy, zmniejsza się jej w sądzie doniosłość. Owo więc mniemane śledztwo było poprostu wybiegiem, uchwalonym na tajnem posiedzeniu połączonych „Kuryerów“ i p. Fryze odstępować od niej ani mógł, ani chciał.

Tym sposobem dobre duchy naszej prasy otoczyły skrzydłami opiekuńczymi — i bardzo słusznie — swego najmniej w tem wszystkim winnego parobka, i z osobistego porachunku zrobiły napad i poranienie.

Ażeby rzucić na publiczność grozę, skierowano sprawę do Sądu Okręgowego, zamiast do Sędziego pokoju.

Ażeby mię pozbawić świadka, zrobiono Nałkowskiego *współoskarżonym*.

Ponieważ nikt nie domyślał się, że miałem wszystkie drogi zadania kłamu zuchwałym potwarzom „Kuryera Codziennego“ odcięte, czyli, że nie przyjęto sprostowań moich świadków, *można było śmiało ogłosić, że ja się mściłem za nieprzychylną „ocenę“ swoich nowel. Zyskiwało się w ten sposób jeszcze jedno — ośmieszało się moją drażliwość*.

A tymczasem nie tylko sprawa tych nowel, lecz w ogóle *cała sprawa honorowa z p. Mieszkowskim*, należała już do

przeszłości, była — jak sami pisali — w swym liście pp. Gebethner i Choiński — *zakończoną*.

I oto jeszcze raz udała się strategia, tak świetnie zapoczątkowana ongi przez Wolfa Grabandera. Tym razem powodzenie jej było w wielkim stylu. Nadano mu zakrój epiczny, homeryczny, Tersytes został Hektorem. Odwrócono przytem kota ogonem: nie na mnie ktoś uorganizował na całym szeregu posiedzeń *napad* i wykonał go zbiorowemi siłami karnej gromady — lecz tak wypadło dla opinii — ja uorganizowałem na kogoś.

Tu winienem dwa wyjaśnienia niektórym z nieopłątanych przez koalicję. Po pierwsze, nieprawdą jest, jakobym przez złośliwość wybrał dla obrachunku — dzień ślubu pana Mieszkowskiego (oznaczony podobno pierwotnie) i jakobym pragnął dać *pendant* do podarunku ślubnego, który mu ofiarował p. Gawalewicz w utworze p. t. „Filemon i Baucis“. I w ogóle przypisywanie mi jakiejś specjalnej nienawiści ku p. M. jest niedorzeczne. Między nami wszystko było skończone i załatwione, a przytem nienawiść uczuwa się tylko ku ludziom równym. Nie miałem, co prawda i nie mam powodu oświadczać mu się, iż „żywię dlań szacunek od wielu lat“ — ale też i nie mam w sobie psychologicznych pobudek do szczególnej jakiejś niechęci<sup>1)</sup>. A rozdział następny najlepiej przekona czytelnika, że jeśli miałem przyczynę sponiewierać kogoś, to kogoś potężniejszego, a kryjącego się za plecy p. M. Pan M. zaś sobie musi przypisać winę przykrości, jakiej doznał — na kimże miałem sobie wymierzyć sprawiedliwość

<sup>1)</sup> Gdybym miał ochotę wymierzania sobie jakiejś dodatkowej satysfakcyi na p. M., mógłbym był przyjąć natrętnie mi narzucaną sprawę pułkownika Kuliczkowskiego, który chciał pociągnąć (a może też i pociągnął) pana Mieszkowskiego przed kratki sądowe, za to, że dla opędzenia się dokuczliwym prawdopodobnie nagabywaniom o zwrot pieniędzy, pan Mieszkowski na blankiecie *Kuryera* groził p. Kuliczkowskiemu, przyjacielowi wierzyciela owej sumy, iż obu ogłosi jako infamisów. Samo się rzumie, iż sprawy nie przyjąłem.

jeśli nie na nim, który *formalnie* przyjął na się odpowiedzialność za treść pisma w owej potwarzy, zredagowanej, być może, wcale nie przez niego? Niechaj więc to co stracił odbije sobie na tych, w czyich rękach zgodził się być pionkiem...

A powtóre, nie zgadzam się, by ulica Włodzimierska była mniej właściwą widownią dla tego rodzaju rozprawy niż Belle-Vue albo restauracya, w której wiążą swoje pętlice dziennikarscy oprawcy. No, a chyba nikt nie przypuszcza, abym mógł być cierpliwie czekać innej, właściwszej okazji, albo też spodziewał się spotkać p. Mieszkowskiego w bibliotece lub czytelnicy.

\* \* \*

Ale to nie wszystko jeszcze. Wprawdzie opinia, do której przemawiam, ma już wyjaśnienie powodu i istoty zajścia na ul. Włodzimierskiej, ale pewnie ją intrygują inne ważniejsze zagadki: a) skąd ta bezdenna otchłań nienawiści ku mnie i dlaczego uorganizowano napad akurat na mnie? b) dlaczego w tej wyprawie rolę herszta odgrywa jeszcze przed tym samowolnym wymiarem sprawiedliwości „Kuryer Codzienny“ i „Tygodnik Ilustrowany“, dlaczego w całej historii wciąż tak natrętnie powtarzają się nazwiska panów Gebethnera i Wolffa?

Dam najpierw rozwiązanie zagadki pierwszej, choć nie wątpię, że czytelnik sam jest już na właściwym tropie.

### **Zjazd lwowski i „Syndykat prasy“.**

Było to na Zjeździe literackim w lipcu r. 1894.

Ostatniego dnia obrad sekcye się połączyły. Widownią zamiast aul gimnazjalnych, jak poprzednio, była wielka sala ratusza. Na dzień ten zostawiono kilka ważnych i pod względem znaczenia ogólniejszych referatów. Ostatnim był wniosek, nawołujący do reform towarzystw piśmienniczych

i większej pieczy o pomoc wzajemną. Między innymi proponowano, ażeby zobowiązać księgarzy do ściągania pewnego dobrowolnego podatku na rzecz owych instytucyj. Ponieważ myśl ta wydawała mi się i niepraktyczną i upokarzającą, zaoponowałem, dowodząc, że stosunki wykazują między dobrem autorów i interesem księgarzów sprzeczność, która udaremniłaby żądany od tych ostatnich współdział.

Pierwsze te słowa moje znalazły dobre przyjęcie. Zachęcony niem, tem śmielej charakteryzowałem błędy i uroszczenia niektórych naszych księgarzów-wydawców, przytaczając jaskrawe dowody ich samowoli i zupełnego lekceważenia dobra i ambicyi literackiej autorów. Zwróciłem uwagę na niedorzeczne zmiany, na jakie pozwalają sobie redakcyje pism, szczególnie polujących na popularność, ilekroć w pracy im powierzonej znajdzie się zgrzyt pesymistyczny, zwrot śmielszej krytyki, albo też jakiś dobitniejszy akcent dramatyczny lub satyryczny. Ganiłem też nadmiernie długie konserwowanie nabytych artykułów lub dzieł i dla ilustracyi podałem fakt, że przed *siedmioma* laty złożone firmie Gebethner i Spółka geografia poglądowa Nałkowskiego dotąd jeszcze nie wyszła z druku.

Zainteresowanie wzrastało. Co widząc, prezydujący prof. Antoni Małecki wniósł, ażeby wobec ważności sprawy dyskusyi jeszcze nie zamykać, lecz odłożyć jej ciąg dalszy na popołudnie. Tak się też stało. Kilku jeszcze innych mówców w sprawie tej głos zabrało (pan Bartoszewicz, ks. Stojałowski i inni) a między nimi znany księgarz lwowski, pan Gubrynowicz dosyć ostro wystąpił w obronie firmy Gebethner i Wolff. Zarzucał mi on, że nie mając upoważnienia od Nałkowskiego, poruszam jego sprawy — tak, jak gdyby traktowanie dzieła naukowego na sposób ulegalek lub marynat stanowiło czyjś sekret familijny — i dziwił się, że krytykuję firmę, „na którą cała Polska spogląda ze czcią“.

Odparłem, iż Polska ma bardziej doniosłe przedmioty czci, i winszowałem p. Gubrynowiczowi niefortunnego apo-

stolstwa. Objaśniałem, że mi nie zależy bynajmniej na dyskredytowaniu firmy, która ma i swoje zasługi, i przypomniałem, że wymieniał i inne firmy, w szeregu wydawców samolubnych. Wykazywałem — tym razem nieco dosadniej — całą krzywdę jaką się wyrządza ubogiemu piśmiennictwu naszemu nadmierną chęcią zysków. Wszedłszy zaś na szerokie pole wywodów na temat monopolu wydawniczego, do którego niektóre firmy widocznie zmiierzają, puściłem wodze krytyce i goryczy.

Słuchacze przyznawali mi zupełną słuszność, skoro w dalszym ciągu nie szczędzili mi gorących objawów solidarności. Niektórzy okazali mi ją osobiście; sędziwy Jeż powiedział mi, „że na mnie wiele liczy“, prof. Małecki wyraził się, że natrafił na żyłę złota i napomknął, że dzięki opiece księgarskiej jego studia heraldyczne rozeszły się aż w jednym egzemplarzu. Nie przytaczam zdań innych, jak np. pisała Szczepanowska, ażeby nie nadać temu koniecznemu wspomnieniu charakteru samochwalstwa. (Zresztą miałem i dwóch poważnych przeciwników, którzy w prywatnej rozmowie nie okazali mi bynajmniej swego zadowolenia dr. Jan Karłowicz i Piotr Chmielowski). Młodsza jednak generacja poetów i dziennikarzy, licznie tam zebrana, pogląd mój dzieliła, dając nie dwuznacznie do zrozumienia, że o ile to dotyczy księgarzy lwowskich, „to nawet sam nie wiem, jak dalece mam słuszność“. Ale też i przepowiedziała mi, że nie długo poczuję mściwe pazury najbogatszej firmy wydawniczej.

Przepowiednia spełniła się co do joty, choć ja długo w jej zasadność nie chciałem wierzyć. Nie mogłem zresztą wierzyć, ażeby skruszenie kopii w obronie całego stanu literackiego, ażeby okrzyk szczery z piersi wydobyty, ostrzegający przed niebezpieczeństwem, mógł kogokolwiek ośmielić do rzucenia się na moją dobrą sławę i egzystencję prywatną i literacką.



Rzeczywistość sprawdziła jednak wróżby, nie, ona je raczej o cały bezmiar prześcignęła. Wzięto się do mnie powoli i ostrożnie. Próbowano najpierw zasłonić się kim innym, próbowano zaprzężyć do swej roboty ludzi zgoła celowi podobnemu nie odpowiadających. Między nimi był i p. Ignacy Matuszewski. Wyznał mi, że proszony o napisanie artykułu o „Eusapiadzie“ oddał im rzecz poważną, lecz wydawcy „Tygodnika Ilustrowanego“ żądali w nim przeróbek na moją niekorzyść i bardziej lekceważącej formy, wskutek czego widział się zmuszonym pracę swoją cofnąć. Uczynił mi to wyznanie z komentarzem „że p. p. Gebethner i Wolff mają widocznie jakąś złość na mnie“ i z prośbą o dyskrecję. Ale nie weźmie mi chyba za złe p. Matuszewski, że w tym wypadku złamię tajemnicę i nazwiska jego użyję do sprawy nienajgorszej — do wyświeatlenia prawdy.

Oczywiście, pisma humorystyczne okazały się agentami całkiem odpowiednimi do intencji szanownej firmy, zarówno jak i redaktorzy paru innych t. z. pism, które teraz gryzą się o to, że jedno ma już swą kamienicę, a reszta nie.

Po ich alarmie, można już było wystąpić śmieiej. Ukazały się dwa znane już czytelnikom niepodpisane paszkwile w „Kuryerze Codziennym“ i jedna również niepodpisana „ocena“ w „Tygodniku Ilustrowanym“, w której wyraźnie parafrazuje się słowa „Kuryera Codziennego“: „po co się p. Jellenta irytuje, kiedy to nikomu nie szkodzi?“ dosyć wyraźnie dając do poznania, że to odwet za moją „idyosynkrazję do niektórych firm“ (Tygodnik Illustr. Nr. 41 r. 1894). Po tem znów moją nieprzychylną wzmiankę o „Emancypantkach“ Prusa nazwano w „Tyg. Ilustrowanym“ „nieprzyzwoitym wybrykiem“. Naganka była już wtedy całkiem jawną i żadnemi skrupułami wstydu handlowych swych pobudek nie ukrywała.

Z czasem, kiedym swoim oświadczeniem w „Prawdzie“, dotyczącem *bezimienności*, tego podkurzył jamę, lisy zaczęły w niej jeden po drugim wyłazić. Najpierw p. Dobrowolski,

a potem w „Tygodniku Ilustrowanym“ przyznał się do autorstwa artykułu o Eusapiadzie (we wspomnianym już Nr. 41) „redaktor naszego pisma“ p. Józef Wolff. *Przyznanie to nastąpiło zatem w pięć miesięcy po fakcie*; sam zaś fakt, czyli owa krytyka „Eusapiady“ podpisana była zagadkowemi *y i*. Nie ma co mówić, p. Józef Wolff *et consortes* dobrze się ukrywali. A wiecie dlaczego? bo *ja* jestem tchórzem.

W przyszłości może się powtórzy historia z dzbankiem,

Zamiast p. Józefa Wolffa wystąpi jako autor p. Gebethner, albo p. Gawalewicz, albo p. Quis, albo kto inny, ale to rzeczy nie zmieni.

Za sprawą tych uczciwych meklerów, papiery moje zaczęły szybko na giełdzie literackiej spadać. i nawet „Kuryer Poranny“, narażając się na opuszczenie jednego pożaru, umyślnie i chyba po raz pierwszy w życiu wziął do rąk „Ateneum“ z marca 1895 r., ażeby mię zjeździć, jak się patrzy, za to, że pisząc o szkole sztuki polskiej, nie wierzyłem w szczerą religijną p. Maryana zaś Matce Boskiej Stachiewicza zarzucałem brak prostoty — za wszystko zresztą, co piszę gdziekolwiek i kiedykolwiek. Ból odczuty przez pp. Gebethnera i Wolffa odezwał się słowem aż w boku p. Fryzego i kilku innych „naczelnym kierownikom pism“ przez dziwną komunikację jakąś.

Słowem, wciągnąwszy na górę, zepchnięto mię z niej zaraz po Lwowie, i to prawie od jednego impetu. Zmiana frontu była natychmiastową. „Kiedys ty taki bratku — powiedziano — to poczekaj, my ci pokażemy, kto silniejszy“. Długi czas nie zwracałem uwagi na tę grę na zniżkę, była bowiem bardziej zabawną, niż szkodliwą, i dopiero wówczas dałem właściwą odprawę, gdy się miara czysto giełdowej spekulacji przebrała i zaczęły z niej wypadać obelgi. Uczy-niłem to w „Przeglądzie Tygodniowym“.

Przytaczam ją prawie w całości, bo rzucała już wtedy światło na syndykat prasy i jego stosunek do mnie:

Odpowiedź i wyjaśnienie. W ostatnim rozdziale „Śmierci i dogmatów“, drukowanych na łamach niniejszego pisma, wtrąciłem nawiasową uwagę, że „Emancypantki“ Prusa są „marną ramotą o tysiącu stronicach“. Pismom „niezależnym“, które urządziły na mnie z tego powodu naganek, zalegam z odpowiedzią i dług ten niniejszem uiszczam.

Jedno z nich, humorystyczne z powołania, życzy mi, ażebym doczekał kiedyś zaszczytu temperowania pióra Prusowi. Jako człowiek znany z uprzejmości, wywzajemniłbym się również wytwornem życzeniem, n. p. żeby ono mogło być samem tem piórem, a nawet wszelkim innym materyałem piśmiennym w ręku Bolesława Prusa... Cóż, kiedy sroga rzeczywistość powinszowania moje uprzedziła, bo oto drugie pismo, z liczby należących do obławy, humorystyczne już mimowoli, mianowicie wskrzeszona przez d-ra Drzewieckiego „Niwa“ przyoblekła się w sukienkę dziwnie odpowiadającą wszelkim życzeniom połączonej z higieną humanitarności. Organ uroczego homeopaty, plamiąc pieluszki swoje żółcią oburzenia, że się stała krzywda znakomitemu powieściopisarzowi, znajduje punkt szczytowy swej swady w przyrównaniu mnie do żydka i psa jednocześnie. „Myślał“ on, jak mówi na wstępie, że pan Jellenta pojmuje poważnie swoje zadanie („Niwa“ jest nieco zarozumiałą — wierzę, iż może ona robić wszystko na świecie, tylko nie „myśleć“) i dlatego „pomiął go w spisie semickich współpracowników „Przeglądu Tygodniowego“, ale teraz przestał myśleć. „Niwa“ zapomina snąć, co się stało z indykiem, który chciał myśleć — przypominam jej więc, że to samo dzieje się z każdym, do myślenia nie stworzonym. Tę życziwą przestrożę daję jej, zanim padnę jej ofiarą. Uważając bowiem pisarzów semickiego pochodzenia za psów, a siebie za przedsiębiorcę do chwytania ich, jako nie mających opłaconej w cyrkułe obroży, powabny homeopata zarzucił i na mnie pętlicę, czy to osobiście, czy też wyręczając się, ażeby nie zaszargać pięknego futerka, jednym ze swoich asystentów, z którymi zamierza zrobić na tym inte-

resie majątek. Szanownemu przedsiębiorcy szczęść Boże na tem nowem polu pracy, dosyć zdaje się dlań właściwem. Kiedy pisząc w „Przeglądzie tygodniowym“ o Witkiewiczu, w okresie największej na niego mody (która wraz z innymi modami przeszła już do historii), nazwałem jego „Na przełęczu“ omal nie arcydziełem, ale w „Sztuce i krytyce“ dopatrywałem się bądź rzeczy starych, podawanych za nowe, bądź też sekciarstwa, jeden z owych duchów niezależnych, co to chętnie służą za podnózek silniejszym, przejechał się po mnie z fantazją. Ale jak przewidzieć było można, nieszkodliwie, bo cała fantazya p. Jabliczyńskiego polegała na wysmiewaniu moich „pejsów i chałata“...

Słówko też winienem odpowiedzi redakcyi „Tygodnika ilustrowanego“, który nazwał moją wzmiankę o Prusie „nieprzyzwoitym wybrykiem“. Otóż pozwoli on, że zapytam nieśmiało (bo jestem w ogóle człkiem wielce nieśmiałym), zkaąd wziął dyplom autorytetu, lub choćby tylko sędziego w rzeczach przyzwoitości. Ja, broń Boże, nie powiadam z góry, że go nie posiada, tylko tak oto czepiają się mnie pewne wątpliwości, dla rozproszenia których może zechce „Tygodnik“ odpowiedzieć mi na następujące pytania: 1) czy denuncyowanie Jellenty przed publicznością czytającą, że nazywa się on także „Hirszband“ (w tem miejscu rumienię się) jest przyzwoitem? 2) Czy ustawiczne zachwalanie swoich literatów i zamiana dwóch pism na dwa afisze reklamy dla nich zgadza się z przyzwoitością? 3) Czy bezceremonialne do niedawna kopiowanie i „podpatrywanie“ wszelkich pomysłów „Wędrowca“, było przyzwoitem? Jeżeli mi redakcyja „Tygodnika“ na wszystkie te pytania odpowie twierdząco i zapewni mnie, że nazwisko redaktora „Tygodnika“ — „Wolff“, brzmi więcej sarmacko, niż nazwisko na *band* — wtedy ja, skruszony, uderzę się w piersi i powiem: Bolesławie Prusie! Zgrzeszyłem śmiertelnie i zbrodnię swoją wyznaję; jednakże czynię to nie tyle z obawy przed tobą, którego zmarnowali twoi najserdeczniejsi opiekunowie i zmusili do prononienia „Emancy-

pantek“ po znakomitej „Lalce“ — ile z *szacunku* dla twoich nieproszonych i zabawnie się tobie *łaszących* obrońców.

A teraz pewne wyjaśnienie dla czytelników. Zaniepokojeni alarmem, mogliby myśleć, że w rzeczy samej popełniony został zamach na bóstwo lub co najmniej, świętokradkie ubliżenie zasłudze. Nie chodzi mi jednak tyle o Bolesława Prusa, ile o pewną zasadę. Co do Prusa bowiem, to zbyt dawno i mocno ugruntował on swą sławę, ażeby mógł sądzić ktokolwiek, iż poślizgnięcie się jednego jego dzieła stanowi o upadku całej jego twórczości. Powtóre, od pewnego czasu karmi się on uwielbieniem bezgranicznym pewnego odłamu naszej inteligencji i nie sądzę, by chciał słuchać głosów odszczepieńczych, nie z tego odłamu pochodzących. Gdyby zaś nawet to uczynił, znalazłby w „nieprzyzwoitym moim wybryku“ słowa, przyzwoicie przemilczane w powyższej nagance a mianowicie, że „Emancypantki“ są smutnem świadectwem rozkładającego się talentu. Kiedym jeszcze w lecie roku przeszłego chciał umieścić w któremkolwiek z pism, najbardziej według mnie niezawisłych i krytycznych, obszerną pracę o „Emancypantkach“, zawierającą i rozbiór jej i dyagnozę smutnego w niej zjawiska strasznej niemocy — chcę ludzić się, że przejściowej — i straszniejszych jeszcze drwin z własnego dzieła — odpowiedziano mi skargą, że jeszcze wcześniej nadchodziły tam zapytania, co mają oznaczać chwalcze (właściwie panegiryczne) w niektórych pismach sprawozdania z tej powieści. Dodawano jednak, że wobec potęgi tego odłamu inteligencji, z którego one wyszły, wszelka krytyka chłodniejsza a tembardziej przyganiająca, wywołałaby burzę literacką, której lepiej unikać. Dowiedziałem się potem od p. Bartoszewicza, że podziela on zupełnie moje co do „Emancypantek“ zdanie i że sąd swój — a jest to pisarz bardzo zdolny i wytrawny — ogłosił w „Kraju“. Wreszcie skoro ci panowie (co to na podobieństwo owego subiekta, podejmującego swego pryncypała, przepraszają Prusa, że ich psy na jego widok nie kręcą ogonami z radości) powołują się na

Chmielowskiego, to wypada mi zaznaczyć, nie tykając w tem miejscu kwestyi estetycznej: nieomyślności tego zasłużonego znawcy naszej literatury, że jego ocena „Emancypantek“ w „Ateneum“ składa się z długiej litanii zarzutów pierwszorzędnej wagi, zakończonych jeno, mocą jakiegoś niepojętego *salto mortale*, okrzykiem uznania dla rozwoju talentu Prusa. Ależ gdy była zasada, to i ja tak wołałem i wyżyny, na których stanął Prus, nazywałem „książęcym tronem literatury“ (w studyum p. t. „Sekta estetyczna“) a Wokulskiego miałem za kreację genialną, tak samo, jak teraz widzę zasadę wołania, że „Emancypantki“ z ich Madzią i setką śmiesznych komparsów są plodem rozkładającego się talentu. I powtarzać to będę i udowadniać, póki sił starczy i zobaczymy, kto będzie miał rację w społeczeństwie, które nie śpi żadnym snem hipnotycznym i kartofla nie weźmie za ananas, mimo wrzaskliwe suggestye dziennikarskich szarlatanów. I jeśli znaki na niebie nie mylą, to bluźniercza krytyka takich jak ja zaczyna robić swoje.

Niejeden lalusz literacki (który się ma za „kolegę“ Prusa) zostanie z swoich błyszczących sukienek rozebrany i ukaże różowe płótno nadziane trocinami; niejedna zgniła belka, której się zdaje, że jest filarem piśmiennictwa, rozsypie się i zostaną z niej tylko próchno i mole; niejednen fetysz powróci do przyrodzonej swej roli zwyczajnego pasorzyta. Przemiana już się nawet rozpoczęła.

I gdybyż to chociaż było prawdziwe, szczerze przywiązanie do ukochanych bóstw! Wtedy miałbym pociechę: w widoku ślepego wprawdzie, ale bądź co bądź wzruszającego sentymentu, a bałwochwalcy mogliby się pod swojemi paszkwilmami podpisywać. Ale cóż, kiedy one są wszystkie bezimienne? Kiedy jedynym ich argumentem, przemawiającym za nietykalnością Prusa, są znówuż moje pejsy a jedynym dowodem miłości dla niego — spacerowanie po ulicach z pętlicą. Spokojny jestem, że z takimi czcicielami nietylko autor „Płacówki“, ale żaden w ogóle autor polski solidaryzować się nie zechce. Bo

gdyby tak miało być; to niedługo symbolem filantropii będzie wytrych, symbolem medycyny ładne futro, a symbolem literatury — miękka bibuła.

I „Tygodnika illustrowanego“ nie podejrzewam o bezinteresowną cześć dla Prusa. Duet kocięj muzyki, który niedawno z „Codziennym“ wykonał pod mojemu oknami, a który teraz bisuje, wrzekomo z powodu Prusa, ma swe pobudki całkiem inne. „Tygodnik“ już od *lata* — *sapienti sat* — szukał kogoś, coby mnie starł w proch! Na miły Bóg, dlaczego, zamiast mieszać do sprawy Prusa, nie zwrócił się z tem wprost do mnie? Tęć ja bym mu z *chęcią* wskazał takiego, coby mnie naleźycie w „Tygodniku“ lub „Codziennym“ urządził — no i byłibyśmy z siebie zadowoleni.

Tacy oto ludzie i takie pisma chcą uchodzić za obrońców pierwszorzędnego pisarza. Takie pisma wreszcie występują w obronie... idealizmu. To już szczyt mistyfikacji. Ja więc, który w nienawidzonej przez nich broszurze p. t. „Eusapiada“ przyznaję się do idealizmu niemal marzycielskiego i mówię między innymi na przekór wrogom medyumizmu: „Społeczeństwo, nie znudzone handlem, nie będzie wzdychać do psychologii bardziej idealistycznej, a znudzone *będzie i może ją znaleźć*“, ja jestem materyalistą (czyżby ten handel“ tak ich miał obrazić...) a oni — *risum teneatis amici* — obrońcami idealizmu („Niwa“)? Ha, u nas wszystko jest możliwe! Przecież, jak słusznie mówi felietonista „Ateneum“, polemizujący z innymi podobnymi rzecznikami idealizmu, „i wieprze podnoszą ryje do góry, ale to jeszcze nie idealizm“. („Przegląd tygodniowy“ 1895 Nr. 8.)

Niech czytelnik rozważy stan ducha, w którym zostaje człowiek zmuszony w ten sposób się opędać; niechaj pomysli, czy gdy obława podobna do odpartej w tym artykule ponawia się, a ponowiły ją „Kuryer Codzienny“ et consortes, można *spokojnie i łagodnie* polemizować.

Lwia część pasztetu, który przyrządziłem dla napastników, jeszcze — jak czytelnik widzi — przed zejściem z p.

Mieszkowskim — przypadła zatem w udziale wydawcom „Kuryera Codziennego“ i „Tygodnika Ilustrowanego“.

Daleki jednak byłem od pokusy charakteryzowania owej firmy faktami społecznie obojętniejszemi, choć moralista mocno kręciłby na nie nosem.

Nie mówiłem o stale praktykowanej w „Kuryerze Codziennym“ regule poprawiania i przystosowywania artykułów krytycznych najwybitniejszych nawet autorów — do stopnia sympatii lub antypatii dla krytykowanego. Nie wspominałem o losie nieszczęśliwego Stebelskiego, który w miłosnych uściskach firmy padł ofiarą kapitalistycznej przewrotności; nie tykałem znanego postępuku z Prusem (*Lalka*). Zresztą możeby kto inny odparł mi, jak pewna literatka, która słyszała na Zjeździe moją odpowiedź p. Gubrynowiczowi, że: przecież „nie powiedziałem nic takiego, o czym by wszyscy nie wiedzieli.“ Tak, pani, ja nie czyniłem odkryć, ale właśnie za to, że odślaniałem sekreta, o których wróble na dachach ćwierkały, że byłem jedynym odważnym, a przecież nie interesowanym<sup>1)</sup>, stoję pod pręgierzem. Zrozumiała to odrazu inna uczestniczka Zjazdu (działająca na polu pedagogii), gdy na widok mojego pręgierza, wykrzyknęła; „To za Lwów!“ Tak, pani, to za Lwów; na rynku stoję, i zdaje się lada szachrajowi drukowanego słowa, lada redaktorkowi świstka albo ilustrowanemu błaznowi, że mu wolno plwać na mnie, za łaskawem pozwoleniem „syndykatu prasy“. Ale knebla w ustach nie mam i do ostatniego tchu zdzierać będę z *frymarku* literaturą naszą, jedną z najnieszczęśliwszych — maskę *publicystyki* i wołać, że ta literatura za dużo dorodnej młodzieży piecze jak kasztany w brzuchu Molocha — wydawcy.

Po za obrębem spraw literackich, działalność kupców mię nie obchodzi. Jestem szermierzem pióra, i nie zrobię

<sup>1)</sup> Owszem, oddając swoje książki w komis księgarni Gebethnera i Wolffa, miałbym raczej wszelkie pobudki chwalenia ich.



im zaszczytu polemizowania z nimi. A jeśli uczynią coś dobrego, choćby także z pobudek handlowych — skwapliwie im sprawiedliwość oddam, jak to uczyniłem, pisząc o pogrzebie Podkowińskiego i o jego grabarzach, którzy po śmierci jego nagle przedzierzgnęli się w panegirystów i opiekunów. Pochwaliłem wtedy z całą bezstronnością „Tygodnik Ilustrowany“ i „Kuryer Codzienny“, że zmarłemu artyście okazywały za jego życia życzliwość („Prawda“ 1895 Nr. 4).

Wydawcy jednak „Kuryera Codziennego“ i „Tygodnika Ilustrowanego“ pomiesziali moralność kupiecką, która najczęściej jest odwróceniem etyki — z tą ostatnią. Jawnie czynią z obu pism organy swoich prywatnych spraw, i *nie powstydzili się wysłać jednego z pośród siebie na świadka p. Mieszkowskiego w zatargu ze mną, i na miejsce człowieka materyalnie w nim nieinteresowanego* (p. Rosseta). Było to dowodem wielkiej uprzejmości ze strony moich świadków, że p. Gebethnera w tej roli zaakceptowali; jak wykazałem, stali oni wciąż na stanowisku *etyki*, a nie na stanowisku formy, i nie wchodzili w kwestyę właściwości podobnego „świadka“.

Ale też zgodnie z całkiem odmienną etyką — etyką handlarską postąpili najbliżsi koledzy „Kuryera Codziennego“, „Kuryer Warszawski“ i „Kuryer poranny“ oraz cała sfera Żolek, które również w ubranku „pism“ dokoła nich się uwijają i radośnie kręcą ogonkami. Stało się to w moc bardzo dobrze znanego w ekonomii prawa. Jednym z najpospolitszych wybiegów handlu, zwłaszcza handlu tandetą, jest pozorna konkurencya. Wprowadza ona w błąd kupujących, którym się przeto zdaje, że jeden z współzawodników ma ceny niższe, lub towar lepszy. Nie zastanawiają się oni nad tem, dlaczego wszyscy handlarze żelaza sąsiadują z sobą, dlaczego sąsiadują i ugaszczą się wzajemnie cukrownicy, okowicjarze, młynarze i t. p. Syndykaty podobne istnieją zarówno na olbrzymią, jak i na drobną miarę, bo nawet wśród podwórzowych handełsów. Za nic w świecie żaden z nich

nie doda grosza do ceny, którą za stare spodnie ofiarował najpierwej z nich przywołany. Jest to całkiem naturalne. Zasadnicza podstawa handlu — gromadne, cechowe okłamywanie publiczności — jest ważniejsza, niż zasada jednostkowej konkurencyi, i świąciej strzeżona. Żadnego ważnego kroku nie uczyni jedno z bezpośrednio z sobą rywalizujących pism, bez uprzedniego porozumienia się z drugim. <sup>1)</sup>

Mają wspólnych reporterów i „członków redakcyi“, którzy pracują na przemiany to w jednej to w drugiej redakcyi (p. Mieszkowski, Czesław Jankowski) i którzy pisują do obudwu (p. Gawalewicz, Rejnstein i inni).

Rzecz prosta, iż gdy się zjawi ktoś dla ich cechowej sprawy szkodliwy lub niebezpieczny, sygnał alarmowy zwołuje wszystkich w oka mgnieniu, odkładają do szuflady swoje właśnie konkurencyjne a wyjmują na wierzch serca i przekłuwają je jedną strzałą, jak na obrazach najczulszej przyjaźni. Kiedy nieszczęśliwy Stebelski, zmarnowany w „Kuryerze Codziennym“ ofiarowywał swoje usługi „Warszawskim“, spotkało go przyjęcie, które mokre od łez bólu i śliny wstrętu i oburzenia, opublikował w „Przeglądzie Tygodniowym“. Bo Stebelski był człowiekiem istotnego talentu i czucia i nie nadawał się do spekulacyj ogłupiania tłumów pieaszemi wędrówkami do Antwerpii lub trzyszpaltowymi opisami balów panięńskich pod tytułami. „Przed“, „Podczas“ i „Po“.

<sup>1)</sup> Na tę ukrytą solidarność zwracałem uwagę już w „Eusapiadzie“ a zatem przed rokiem, mówiąc: „Przedtem np. drżałem na widok złego ducha walki między białą różą jednego wydawcy, i czerwoną drugiego, a teraz przekonywam się, że to było urojenie. Toć obie firmy — kwiaty stanowią jeden bukiet sprytu, wzajem się popierającego, my zaś wachamy go w złudzeniu, że czujemy dwie wonie.“

„Tygodnik Ilustrowany“ zrozumiał to dobrze i dobrze sobie zakarbował, kiedy „oceniając“ powyższą broszurę mówi o mojej „idyosynkrazji do niektórych pism“. Przyznaję chętnie, że tę idyosynkrazję żywię, i to jeszcze w wyższym stopniu niż np. względem „uniwersalnego sosu“ w jałdodajniach.

Wszelkie ataki dokonywają się tam łącznie, czy ich celem będzie redaktor „Przeglądu Tygodniowego“, czy kto inny<sup>1)</sup>.

Wszyscy za jednego i jeden za wszystkich — oto godło „syndykatu prasy“ naszej.

A ponieważ *concordia parvae res crescunt*, więc przy mierze to urosło w potęgę groźną już nie tylko dla pojedynczych oponentów, lecz nawet dla pism, powołanych do odegrania roli niezależnej. W społeczeństwie nie bogatem, jak nasze, trzeba się wciąż umizgać o względy pism codziennych, roznoszących po całym narodzie chwałę lub potępienie. A gdy do tego dołączył fakt, że właściciele „Kuryera Codziennego“ i „Tygodnika Ilustrowanego“ są zarazem właścicielami największej w kraju księgarni, ześrodkowują w swych rękach przedpłatę prowincjonalną na pisma tygodniowe i mogą im dobrze dać uczuć swą życzliwość lub niechęć — stanie się zrozumiałem, dlaczego żadne z nich nie ośmieli się zdradzić z prasą codzienną. Nikt nie da możliwości obrony swemu współpracownikowi, lub współszermierzowi, jeśli to ma go narazić na kwasy pisma brukowego, nikt dla dobra cudzego nie nadstawi skóry własnej. Owszem, każdy pośpieszy pozbyć się niedogodnego towarzysza pracy czem prędzej, spali ślady jego stóp w redakcyi, zniszczy jego fotografie i bilety wizytowe, wykreśli imię jego z listy żyjących, byle

<sup>1)</sup> W potrzebie wciąga się do roboty siły postronne. Np. aktorzy jakoś szczególnie dobitnie akcentowali zwroty, tłómaczone niezręcznie lub niedbale w „Walce motyli“. Rezultatem tego była niebawem manifestacyjnie szumna pochwała (pióra p. Kazimierza Zalewskiego) dla tłómaczenia innej sztuki, dokonanej przez p. Gawalewicza. I tak samo „syndykat“ działał w sprawie pewnego prywatnego obrońcy sądowego, człowieka cieszącego się wśród prawników sympatją. Zniesławiony przez jednego z reporterów, daremnie prosił o głos, wszystkie trzy „Kuryery“ odmówiły, a kiedy „Przegląd Tygodniowy“ stanął w jego obronie — rzuciły się odrazu na „Przegląd“, który nazwał to delikatnie *konwencją moralną* kuryerów. Jąbym to nazwał słowami znakomitej książki J. Wł. Dawida: *Zarazą moralną*.

nie zostać posądzonym o jakąkolwiek choćby w czasie ubiegłym solidarność z nim. Z rąk w ten sposób umytych, padają nań ostatecznie ciosy najboleśniejsze, bolesne straszną trucizną świadomości, że gromkie, niezawisłe sztandary zbudowały na próchno albo poszły na szlafroki, że ciężka walka ze społeczeństwem zmęczyła i wyczerpała chorążych, którzy je dźwigali, że łaknienie spoczynku, spokoju i wygody zakwitło chwastem na ruinach dawnej odwagi i waleczności.

Niech się więc nikt nie dziwi, że *nigdzie* świadkowie moi nie znaleźli gościnności dla swych wyjaśnień. Zamykano przed nami drzwi redakcyi i poznaczono je czerwonymi krzyżami na dowód, że tam mieszkają prawomyślni, a nas, roznosiciele zarazy krytykowania i demaskowania — szczerzo psami. Tem większe ogarnęło mię zdumienie, gdy znalazł w zeszyte kwietniowym „Ateneum“ kronikę, stanowiącą dysonans w tym chórze. Głos ten, wprawdzie ostrożny i powściągliwy, wytłómaczyć sobie mogę jedynie poziomem etycznym i umysłowym, na którym stoi kolegium redakcyjne tego miesięcznika. Potrzeba było pewnej odwagi i przejęcia się misją kierowników opinii, ażeby popłynąć pod wiatr... W tym zamęcie opinii błędzącej w obec przekłamania albo utajenia wszystkich ważniejszych faktów przez moich najserdeczniejszych, różni ludzie pokazali swoją istotną wartość, a przede wszystkim ujawnił indywidualność szlachetną i prawą, kronikarz „Ateneum“ Bolesław Lutomski.

Po pewnym czasie wystąpił też „w imię prawdy“ „Wędrowiec“ i listem na prośbę jego napisanym przez Nałkowskiego wyjaśnił, że owa „napaść zbirów“ była po prostu osobistym porachunkiem moim z p. o. redaktora „Kuryera Codziennego“, i że ponieważ rachunków tego rodzaju nie reguluje się w cztery oczy, lecz trzeba, żeby ktoś był ich świadkiem, — przeto w roli tej wystąpił na prośbę moją Nałkowski.

Sprostowanie to opatrzył ze swej strony „Wędrowiec“ oświadczeniami miłości i wieloletniego szacunku dla chle-

bodawców i kolegów p. M., ażeby, broń Boże, ktoś nie po-  
sądził redakcyi o niezgodność w zapatrywaniach, z króle-  
stwem trojga „Kuryerów“ i jego przyległościami. Bo tylko  
w tej formie w obec „syndykatu prasy“ mogło coś na wła-  
sną rękę przedsięwziąć wydawnictwo „Wędrowca“, wpra-  
wdzie energiczne i ruchliwe, zasłużone podjęciem dzieł po-  
mnikowych jak „Encyklopedia powszechna“ i „Wielki atlas  
geograficzny“, ale w samym swym tygodniku kramarskie,  
niewolnicze i tchórzliwe: To co Nałkowski wydrukował, ażeby  
nie pogardzić nawet tak łagodnym środkiem rozwiania fał-  
szów, nie umywało się wcale do tego, co wydrukować chciał  
i gdzie rzeczy nazwane są po imieniu: „oszczerstwo“ na-  
zywa się „oszczerstwem“, a nie niedokładnością, podłość po-  
dłością — nie zaś omyłką.

\* \* \*

Teraz już pewnie czytelnik rozumie, że trójca tkwiąca  
w posiadaniu dwóch pism i jednej wielkiej księgarni jest  
potężna, pojmie, co to jest syndykat prasy, pojmie dlaczego  
trójca ta może i musi trzymać pierwsze skrzypce w koncer-  
cie syndykatu, pojmie, że takiej mocarki krytykować bez-  
karnie nie można i zrozumie, dlaczego ta trójca obławą całą  
kierowała i dlaczego pierwszy p. Maryan Gawalewicz tak  
radośnie światu zwycięstwo obwieszczał.

Przechodzę według zapowiedzi do zagadki drugiej.

### Ostracyzm giełdy.

„Jestem nawet zdania, że tylko przez miłość  
dobrego pragnęliby ubezwładnić pobożnem oszu-  
kaństwem i oszczerstwem słowo złych, i że tylko  
w tym szlachetnym, wszelkie środki uświęcają-  
cym celu, starają się zasypać mi nietylko duchowe,  
lecz i materialne źródła życia“. Heine. *Italien*.

„Wpływ prasy brukowej na usposobienie mo-  
ralne ludności jest średnio około 20 razy bar-  
dziej zły, niż dobry... Za podstawę obliczenia  
przyjąłem roczniki czterech pism codziennych,  
najbardziej rozpowszechnionych“.

J. Wł. Dawid. *O zarazie moralnej*.

Pomysł napaści „Z przodu i z tyłu“ i zneutralizowania  
w ten sposób porachunku, jako rzeczy bardzo niedogodnej,

zarówno dla podstawionego, jak i dla jego chlebo- i mocodawców, oraz popleczników — uradował najwięcej komitet giełdy literackiej t. j. pana Gawalewicza i jego przyjaciół.

Rzecz to bardzo naturalna — *wszystkim im* przydać się mogło wytrącenie mi takim pomysłem pióra z ręki. Nie dobrze im było ze mną.

To też p. Gawalewicz, zamiast dać wyraz świętobliwemu, jak na autora „Legend“ przystało, oburzeniu na napad, zaczął wesoło podrygiwać, i z miejsca ruszył do Stępka, oblać radosną wieść, że już nie ma tego, co mówił („w Eusapiadzie“), że „wiarą z bogaca“, i że od p. Maryana brać religijne zbudowania, to tak, jak pożyczać pieniądze od kobiety „lekkich obyczajów“. Ja, co prawda, tej radości wcale się nie dziwię, ale czyż to się godzi, czy to po koleżeńsku skakać tak dokoła „zranionego“ przyjaciela, jak skaczą dzicy dokoła zabitego bawołu? P. Gawalewicz motywował tę uciechę przypomnieniem, że był „pod moim nożem krytycznym“ przez cały czas mej karyery literackiej, którą on (p. Gawalewicz) uważa teraz za skończoną. W szczerosc tego motywu najzupełniej wierzę, tylko jego sformułowanie uważam za niedokładne. Otóż ja oddawna nie podawałem krytyce utworów p. Gawalewicza. Czy przy mniejszej nawet wybredności, można je było brać na seryo, skoro własni p. Gawalewicza bracia po duchu mówią bądź słowami „Kuryera Warszawskiego“: „I zabręczało mu naraz pod piersią pięć czy sześć tematów powieściowych“, albo wierszami „Muchy“, że „składa na tydzień trzy albo cztery powieści“. Co wobec takich pochwał ma do roboty krytyk ze wszystkimi swemi receptami? Prawdliwość i łatwość tych funkcj pana Gawalewicza uwalnia literacką terapię od wszelkiej pracy...

P. Drzewiecki zaś zrobił artykuł, p. t. „Pan Jellenta może przestać być krytykiem“. Czyż p. Drzewiecki sądzi, że „Niwa“ drukuje się po to, żeby ją czytać i krytykować?

Radość z powodu nieprzyjemności, jaka spotkała p. M., zamanifestowana została gremialnie, przez liczniejsze

kółko literatów, rozumiejących sławę w postaci najsmaczniejszej, w postaci pieczeni — z obcego pieca. Wyprawiono sobie stypę na zaimprovizowanym moim grobie. Było w tej manifestacji nawet trochę nierozwagi, bo na jej widok mógłbym pomyśleć, że jestem w rzeczy samej dla „kliki“ niebezpiecznym. To pewna, że byłem jej na zawadzie: oto klucz do zagadki, dlaczego pomszczono p. Mieszkowskiego zadaniem mi śmierci cywilnej. Trzeba mię było uprzętać, albo uczynić nieszkodliwym za wszelką cenę.

Lecz w pośpiechu i radości zapomniano, że kiedyś oliwa na wierzech wyjdzie, że w sądzie, czy po za sądem, na jaw wyjdzie naga, choć nabrzmiała nieco prawda. Zażądano bo też liczono na pomoc faktu, iż ani ja, ani Nałkowski pisma nie mamy, i przeto środka obrony nie posiadamy. Wyzyskano zbyt hazardownie i — zgodzi się na to każdy — zbyt bezwstydnie, istniejące u nas w tym względzie warunki i przepisy. Zażądano ufano nadziei czy pewności, że ja nie zdołam już pary z ust wypuścić, (i między innymi wspomnieć o dawnych rozprawach na ulicy rzeczywiście brutalnych i nieuzasadnionych, bo nawet w cudzym imieniu dokonywanych. Lecz kronika pamięta o nich dobrze, pamięta, że używano do nich w rzeczy samej kija, nie kija skomponowanego naprędce przez koalicję kurjerów, ale faktycznego, i pamięta, że ci, co się nim posługiwali, nic a nic nie stracili w opinii).

Jeśli więc z mego „osobistego porachunku“, dokonanego z całym wstrętem do rozpraw gwałtownych i z całą świadomością roli słomianego reprezentanta, którą w sprawie tej odegrał p. M., zrobiono występki, a z rozpaczliwego lecz niezbędnego protestu zrobiono winę, to stało się tak na beneficjum i żądanie — już dla czytelnika zrozumiałe — firmy wydawniczej i syndykatu prasy, osobistych pana M. planów cywilnych, które mogłyby były ucierpieć w razie wyjścia całej prawdy na jaw, a *przedewszystkiem* w celu tak otwarcie wyłuszczo-

nym przez p. Gawalewicza w imieniu kliki, t. j. *abym przestał być krytykiem*.

Bo należy czytelnikowi wiedzieć, że ja giełdę trochę szpilkowałem. Wyróżniłem np. dosadnie dzielną powieść Sygietyńskiego „Wysadzony z siodła“ dlatego, że osnuta była w znacznej części na motywie czapelszczyzny w prasie naszej. Chwaliłem zdumiewający talent młodziutkiej Komornickiej, o której pisano, „że nie wie czego chce“, ponieważ chce ona wszystkiego prócz podłoty, frymarku i obskurantyzmu, ponieważ biada nad tem, że społeczeństwo każe wielkim żądom płynąć wązkim korytem ulicznego ścieku, podnosiłem prawdę i tragizm „Śmierci“ Dąbrowskiego, wykazując, że jego bohater swą niedolą więcej wszechludzkiego bólu wypowiada, niż znudzony bogactwem Płoszowski. Dopatrywałem w indywidualizmie obu i ich subtelności ducha — grotów niebezpiecznych dla społecznej stęchlizny, ukrytych w fałdach muzy, jak sztylety w wieńcu mirtowym ateńskich młodzieńców.

Dziwiłem się, że „Bez dogmatu“ wyszło po raz pierwszy w „Słowie“, bo wydawało mi się to zrobioną prawowiernemu organowi impertynencyą, w dodatku opłaconą przez nie. Nadstawiałem własnego karku w obronie Podkowińskiego i wołałem w niebogłosość, że to talent, który trzeba uszanować i który po okresie prób i szamotań zacznie siewarzać rzeczy znakomite. Oburzałem się na to, że prof. Gerson traktował go zawsze i stale w ten sposób, jakgdyby to był jakiś zbląkany maniak. Sztyłem z tych, co truli mu życie drwiną, a trumnę jego zarzucili kwiatami. A kiedy wystawa pośmiertna jego obrazów wykazała, że sztuka polska straciła w nim pierwszorzędną siłę, nowy powiew, nieznany żywioł, potęgę uczucia, egzaltacyi — wszyscy uznali ten jasny jak słońce fakt, ale i to, że mnie należy kopać. *Prof. Gerson odwrócił odrazu chorągiewkę* i z tonu bagatelizującego, w którym drgało lekceważenie i litość, przeszedł nagle, jednym skokiem, w ton panegiryczny. „Talent to siła, talent to kamień drogi, talent



to hojna gleba i t. d.“ Przyznaje już zmarłemu talent niezwykły („Kuryer Warszawski“ Nr. 87. 1895). Ale mnie zaczęto za to lżyć. W ogóle malarze mają ze stanowiska etyki i logiki warszawskiej zupełną słusność, gdy mi prywatnie przesyłają oświadczenia swej nienawiści. Toć ja prowadziłem stałą, (choć może zamało „fachową“) rubrykę krytyki artystycznej w „Prawdzie“, ja o nich rozpisywałem się szeroko i długo i większym dziełom poświęcałem całe artykuły, ja część tłumów pędziłem do Towarzystwa Zachęty, ja wymagałem sztuki szerokiej, sztuki, któraby nie zostawała treścią swą w tyle za uduchowiającym się geniuszem wieku. Rozbijając główne pierwiastki naszej twórczości, badałem, o ile motyw społeczny, swojski, poetycki i indywidualny mogą się złożyć na wytworzenie w niej fizyognomii odrębnej od innych obcych szkół<sup>1)</sup>. Uwzględniłem w niej wszystkich artystów naszych i z każdym rachowałem się poważnie i życzliwie, jak z współczynnikiem poważnej wypadkowej. Ja zresztą wszędzie i zawsze domagałem się od krytyki *intensywności i rozumienia dzieł* i autorów dowodziłem, że natura uboga i sucha nie jest w stanie wcielić się w utwór namiętny i indywidualny, bogaty pragnieniami i uczuciami. Napadałem na Janów i Piotrów, Pawłów i Gawłów, że uprawiają swe rzemiosło krytyczne, jak bramini klepią swoje pacierze, za pomocą młynków i automatów, stawianych na wietrze, albo na prądzie strumienia.

Gdybym malarzom pożyczał pieniądze na wysoki procent i na zastaw brał od nich obrazy w szacunku, wynoszącym dziesiątą część wartości, najpewniej oświadczyliby mi w zbiorowym adresie swoją sympatyę. Gdybym na raucie literacko-artystycznym, znęcał się szyderczo nad smutną pamięcią przedwcześnie zmarłego kolegi, któremu na mogile hołd złożono, byłbym „persona grata“. Ale ja zamiast tego wszystkiego śmiałem domagać się od sztuki i literatury pię-

<sup>1)</sup> „Ateneum“, 1895 Styczeń i Marzec, „Świeże powiewy w sztuce“.

knej nowego życia, nowych idei, nowego, szczerego i potężnego czuciem pokolenia. Zapewne i inni czynili to samo w krytyce, ale głównie na mnie skrupiła się nienawiść gnusnych i skostniałych w szablonie i rutynie — ku hasłu świeżości i siły w tworzeniu. Ostatnim nawoływaniom moim wtórowały już i głużyły je beki dziennikarskiej trzody, i ludzie udają zdziwienie, że pod ich wpływem język mój stał się dosadnym i zgryźliwym. Chciano, żebym o idee walczył poeiskami z mydła i galarety i żebym się przeciw napaściom osobistym nie bronił wcale, chował obelgi w kieszeń albo skarżył się na nie sądowi i policji. „Chciano, mówiąc słowami Leopardiego, swobody niecnego obchodzenia się ze mną, a równocześnie wymagano, abym ja pod groźbą ich nienawiści z jednej strony uprzejmie nie przeszkadzał im krzywdzić mię, z drugiej strony nie uważał ich za niecných“.

*Dlaczegoż jednak nikt z tej gromady nie wystąpił z podniesioną przyłbicą? Przecież bronić prawdy i słusności, to żaden wstyd.*

Jeśli kogo skrzywdził niezastąpienie, niesprawiedliwie swojemi krytykami, mógł się o krzywdę swą osobiscie lub przez kogoś życzliwego jawnie w jakimś piśmie upomnieć <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Ale to było niemożliwem po prostu, gdyż w ciągu lat trzech czterech ostatnich systematycznie odmawiałem pisania ocen książek nie trafiających mi do gustu.

Rozumie się, iż przeredzając w ten sposób swoje występy w piśmie, osłabiałem wpływ na literaturę, o którym marzyłem, być może nawet, że w ostatecznej sumie wpływ ten równa się zeru, i że większym nie byłby nawet przy najlepszych moich chęciach i najczęstszych usiłowaniach; chęci te jednak musiały być dobre i dla piśmiennictwa pożyteczne, skoro tylu autorów wyrażało życzenie, ażebym ja o nich pisał, lub podziękowanie, że już pisałem. Z dawniejszych czasów wspomnę tylko nazwisko Jeniego, z nowszych podam tylko związane z dobą najświeższą: p. Matuszewskiego, p. Hösicka (który specjalnie zgłaszał się do redaktora „Prawdy“ z prośbą, ażeby ocena jego książek była powierzona mnie), p. Fekłmana, który przyznawał wraz z poprzednim, iż jestem surowym, lecz że można się czegoś odemnie nauczyć, i, *last no least*, Wiktora Gomulickiego.

Ale byłoby rzeczą zgoła niewytlómaczoną, nawet przy pomocy najpewniejszego klucza — klucza antisemityzmu — nawet przy pomocy wspomnień ze Lwowa i wszystkiego, co powiedziałem wyżej, dlaczego akurat mnie i tylko mnie wzięto za cel zatrutym strzałem.

Jakoż, w rzeczy samej nie dla mnie jednego wznowiono inkwizycję. W tym czasie, kiedy ja ścierałem się — skutecznie czy bezowocnie, o tem sądzić nie mogę — z błagą i szablonem w literaturze i sztuce, analogiczną robotę prowadził w nauce starszy nieco, odemnie i bardziej zasłużony, Wacław Nałkowski. Z barykad faktów, powiązanych syntezą — ostrzeliwał on szarłataperję, rutynę i zaśniedziałość „naszych znanych i szanowanych“. Jeszcześmy się nie znali, kiedy miał on już w tece plikę ciekawych ilustracyj obowiązującej u nas etyki literackiej. Widać z nich na każdym kroku szlachetną chęć pozbycia się niebezpiecznego rywala i odślaniacza naukowych szalbierstw, widać chęć zaprawienia mu kariery piółunem, widać chęć powolnego wyrwania piór ze skrzydeł, na których wzbijał się w sfery nauki szerokiej, rozumowej, niezależnej.

Ażeby czytelnik mógł te obrazki widzieć własnymi oczyma, *a do tego nie potrzeba znać się na geografii* i sprzężonych z nią naukach, podaję niżej najładniejsze z nich <sup>1)</sup>.

Po wydaniu ostatnich swoich utworów („Złote ogniwa“ i „Jeden z nowych“) pisał do mnie ten poeta, tak dojrzałe i kunsztownie obmyślający każde słowo, z zapytaniem, czy przypadkiem nie oceniam ich dla którego z pism: „Być może, iż zostałem przez Pana zmaltretowany — mniejsza o to! Wolę, gdy mi człowiek z talentem i wiedzą mówi przykrości, niż gdy mię liżą“ — tacy i tacy.

<sup>1)</sup> Gdy wykazał, jakie błędy geograficzne popełniał w swych pismach Duchński, (O geograficznych błędach, na których się opierają historyczne poglądy prof. Duchńskiego) pomówiono go *o brak uczyć obywatelskich*, chociaż, gdy później dopiero przeciw Duchńskiemu wystąpił profesor Baudouin de Courtenay, nikt nie miał nic przeciwko temu.

Gdy oszczędziwszy jakiś marny fundusz z ciężkiej pracy naukowej, użytkował go na to, by czas wakacyjny, czas wypoczynku, poświęcić ba-

Nałkowski, jako profesor geografii, geologii lub matematyki, mógłby być rozumie się tolerowanym, ale jako umysł

daniu jeziora Lepelskiego, i rezultaty owych studyów ogłosił, (Jezioro Lepelskie w systemacie Berezynskim) klika rzuciła się na niego. za to, i czy myślicie, że na podstawie jakich zarzutów naukowych? Gdzie tam! Dlatego, „że upstrzył swą pracę rzeczami, nienależącemi do nauki“, a wiecie jakie to upstrzenie? Oto autor, będący nietylko fachowcem, ale i człowiekiem, dzielił się z czytelnikiem wrażeniami widoków przyrody i obserwacjami społecznymi z życia ubogich mieszkańców Białorusi. — W tem samem zaś piśmie, w sprawozdaniu o pracy podróżniczej Sztolcmana chwalono autorowi, iż nie poprzestaje na suchej nauce, lecz właśnie, „pstrzy swą pracę uwagami natury ogólniejszej“.

Gdy dał nam pierwszy u nas, na podstawach umiejętnej geografii oparty obraz naszego kraju: „Geograficzny rzut oka na dawną Polskę“, a musiał wykonać to umiejętnie i oryginalnie, skoro na posiedzeniu Towarzystwa geograficznego w Petersburgu, postawił Betzendorff wniosek, aby opracować geografię Litwy według wzoru, jaki stworzył dla Polski uczoney Nałkowski, (Patrz sprawozdania Cesarskiego ruskiego Towarz. Geograf., tom 30. 1894, zeszyt II. str. 265), to u nas przeważnie nie wspomniano o nim. (Natomiast pisano wiele o odczycie Rostafińskiego na podobny temat.) Jedynie p. Plebański w „Encyklopedyi wychowawczej“ rozprawiał o tem jako o rzeczy, która „do geografii nie należy i pełna jest dziwnych poglądów“. Pan Siemiradzki zaś traktował tę pracę drwiąco, a gdy autor w replice swej wykazał mu jego ignorancję, odpowiedzi nie chciano przyjąć, i tylko okolicznościowo, trochę w kronikach geograficznych „Wisły“, a częścią w artykułach w „Prawdzie“ mógł Nałkowski wykazać p. Siemiradzkiemu jego błędy.

Kiedy napisał „Geografię Rozumową“, w której wystąpił jako reformator Geografii szkolnej i dał społeczeństwu pokarm dla myśli zamiast bezdusznych podręczników Czarkowskiego i t.p. — p. Plebański rzucił się na niego, szarpiąc w „Bibliotece Warszawskiej“ „autorów niedojrzałych“, i pomieścił krytykę pióra prof. Czernego. Gdy zaś autor i te zarzuty chciał odeprzeć, znów nie umieszczono mu odpowiedzi, która dopiero później ukazała się w „Prawdzie“. („Prawda“ r. 1889, Nr. 43 i 44; — r. 1891 Nr. 25; r. 1893. Nr. 46, 47).

Ale największą i całkiem już niewytłomaczoną krzywdę wyrządziła mu kasa Mianowskiego; za pośrednictwem redakcyi „Biblioteki matematycznej“ skłoniła ona Nałkowskiego do napisania „Geografii fizycznej“ z wstępem historycznym; nad dziełem tem pracował lat 6, (począwszy od 1885 r.) odmawiając sobie najniezbędniejszych potrzeb, co też wtrąciło go w otchłań

twórczy i zarazem krytyczny, wrażliwy przytem na sprawy społeczne i ogólnoludzkie, na stronę humanitarną i etyczną umiejętności — nie mógł już mieć racyi bytu.

długów i niemal nędzy. Złożony przed 5-ma laty rękopism został zakwalifikowany do druku przez pp. Kwietniewskiego i Kramsztyka, ale do tej pory leży sobie najspokojniej i nawet nie rozpoczęto zabiegów około wydania jej. Jest to krzywda zarówno moralna jak i materyalna. Odebrano mu bowiem jeden z tytułów do sławy; powiadam „odebrano“, albowiem chcąc teraz wydać książkę, musiałby włożyć w nią co najmniej pół roku pracy dla wcielenia w książkę ostatnich zdobyczy umiejętności i wydać mnóstwo pieniędzy (które ma na księżycu) na książki i atlasy. Można jeszcze zrozumieć, dlaczego księgarz wydawca marynuje książkę — ale co może przemawiać na usprawiedliwienie instytucji, powołanej *do popierania nauki, do pomagania uczonym*? Co to za lekarz, który świadomie zabija pacyenta i w dodatku księgarza, którego dzieło niejedną może postawiłby obok dzieła Śniadeckiego?

Na ten dziwoląg etyczno-społeczny, jakim jest stosunek naszej nauki do Nałkowskiego, rzuca pewne światelko praca człowieka po akademicku powściągliwego, jakim jest uczony geograf p. Andrzej Świętochowski. Zdając obszernie sprawę z „Geografii rozumowej“ Nałkowskiego, mówi on między innymi:

„...Imię autora nie od dzisiaj znane społeczeństwu polskiemu, długie i wytrwałe studia, które sumiennie prowadził i prowadzi, poważny sposób traktowania przedmiotu, rozległy zapas wiadomości pomocniczych, dzisiejszemu geografowi niezbędnych (fizyka, matematyka wyższa, geologia) wszystko to upoważniało do apriorystycznego sądu, że oddana społeczeństwu praca musi być cennym dla ubogiej naszej literatury naukowej nabytkiem... Cała książka tak dalece odskakuje od dotychczasowego typu w układzie i treści, tyle zawiera w sobie nowych poglądów, niekiedy śmiałych i zupełnie oryginalnych, a prawie zawsze trafnych, że ktokolwiek tylko bliżej jest z literaturą geograficzną oзнакомиł, przyznać musi pracy tej samodzielność. Wobec niewątpliwej wartości książki, dziwnem dla nas było, dlaczego pojawiające się w pismach wszelakiej treści oceny krytyczne i sprawozdania tchnęły powszechnie jakimś tonem nieprzyjaznym, ograniczając się albo luźną wzmianką, albo czepiając się błędów, od których najdoskonalsza książka nie jest wolną, albo wreszcie staczając walkę z autorem na polu przekonań naukowych, które wolno mieć każdemu, jeśli tylko nie sprzeciwiają się uznanym prawdom. Gruntownego wyczerpującego rozbioru niespotkaliśmy nigdzie“.

Czy do tego potrzeba jeszcze komentarzy? („Wisła“ 1888 r. t. II.)

Więc i jego należało uczynić „nieszkodliwym“ i oto człowieka tej miary i tych zasług nazwały pisma nasze po zajściu na ul. Wł. *Prywatnym nauczycielem geografii*. Zaliczyły go więc do tych, między którymi są wprawdzie ludzie **prawi** i uczeni, ale których większość składa się z zwyczajnych rzemieślników katedry. Mnie zaś nazwano *adwokatem przysięgłym*, choć wszystkim wiadomo, że praca literacka pochłaniała mnie prawie całego.

Figurowaliśmy więc obadwaj nie swemi imionami literackimi, lecz meldunkowemi, wystarczającemi może dla rządcy domu i stróża, lecz nie dla świata i inteligencji. Nazwano nas w ten sposób dla ułatwienia innym pismom okrzyku „pseudo-literat“, albo „pseudo-uczony“, albo „i takich ludzi wpuszcza się do piśmiennictwa!“ nazwano nas tak, ażeby jednym zamachem odebrać moralny owoc kilkunastoletniej pracy i walki.

Ale pozbawić owoców moralnych, jakimi są uznanie, i ten odcień życzliwy, z którym wymawiano tu i ówdzie imiona nasze — to nie wystarczało. Należało skorzystać ze sposobności i dobić ciosem ostatnim — *pozbawić środków egzystencji*. Do tego właśnie służyły owe tytuły „adwokat przysięgły“ i „prywatny nauczyciel“. W ten sposób przedstawivszy nas wprzód całemu światu, jako bandytów, zwracano uwagę *władzy sądowej* i *władzy edukacyjnej* na nasze osoby jeszcze przed rozstrzygnięciem sprawy sądowej! Pisma zaczęły szeroko rozvodzić się nad zgorzeniem, jakie się musi podobny „nauczyciel“ i „wychowawca“ i t. d., a ci z moich kolegów prawników (jak n. p. A. K.), których łączą pewne sympaty z grupą p. p. Gebethnera i Wolffa, zaczęły agitować, ażeby wyjednać u sądu wykluczenie mnie z listy obrońców! <sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Gdyby ci panowie mieli więcej czci, zrozumieliby może, iż właśnie wtedy, gdybym płazem puścił rzuconą na mnie przez „Kurier Codzienny“ i jego satellitów potwarz, zasługiwałbym na to, aby mnie wykluczono z listy adwokatów.

Może mi kto zada kłam? Może kto powie, że ja pisząc te słowa, mam konwulsyę gniewu i oslepiiony jestem żółcią? Może kto zaciskając pięści na widok tej niewysłowionej ohydy, powie, że ja z ponurej wyobraźni dobyłem tę infamię i przez nieprzytomność rzucam ją w twarz pis-smom? Może wreszcie kto pomyśli, że pisma te podawały tylko urzędownie brzmiącą i policyjnie zredagowaną wiadomość o naszym zawodzie i stanowiskach, tak jak reporterzy czerpią z wydziału śledczego?

Nieprawda! objaśniłem już, że w sprawie tej śledztwa żadnego *być nie mogło i nie było*. Dopiero w dwa tygodnie po zajściu, kiedy syndykat prasy spoczywał już oddawna na laurach tak zaszczytnie zdobytych, wezwano nas do policyi, abyśmy poddali pobudki zajścia.

Czyż potrzeba objaśniać, że wszystkie te podstępny speszły na niczem? Władze *nie skorzystały z usług* „Kuryera Codziennego“ i jego braci po duchu. Cała ta robota poszła na marne, bo była za gruba, za ordynarna, bo zanadto licowała z tym reportersko cyrkowym stylem, jaki cechuje większość naszych „dzienników“. Mimo najszczerzą chęć nie mógłbym im zawołać z Byronem: „Ile się zmieści — kłamcie! nazwą to zręcznością; oszczerstwo wszelkie ujdzie wam za dowcip“, bo dewizą tej kampanii nie był dowcip, lecz dewiza zdradliwa: bezczelność. „Ach, doprawdy, to prawie litość budzi, gdy się widzi, jak kiepsko używają one najprzedniejszego swego jadu; we wściekłości swej bowiem rzucają nam arszenik wielkimi kawałami w głowę, zamiast wsypywać go nam miłośnie do zupy; gdy się widzi, jak nawet ojców swych wrogów wykopują z mogił, ażeby sprawdzić, czy nie byli czasem obrzezani...“ Wzorem Heinego „z jelit ośła zrobiłbym struny dla mojej liry, by wysławić godnie tych strzyżonych bałwanów“.

Oni myślą, że odebrać mi chleb, to znaczy już tyle, co uczynić mię nieszkodliwym. Zaćmiście nam światło — „będziemy walczyć w cieniu“, wołał Leonidas, *my powiemy*:

*odbierzcie nam strawę — będziemy walczyć głodni!* Nam nie wiele potrzeba, ażeby istnieć i działać. Mogą dla nas zniknąć raz na zawsze wszelkie handelki, stulgębne, wszelkie synekury i artystki. Wystarczą nam szelągi, a tembardziej wystarczy podłość wasza, tak wielka, że można ją w literaturze przebijać na dukaty.

Ale i o tem giełda literacka wiedziała. Postanowiono tedy po odebraniu mi chleba, odebrać głos. Na walnem zebraniu giełdy uradzono jednogłośnie zamknąć dla mnie raz na zawsze łamy dzienników, czyli jak się wyraził przewodniczący zebrania, pewien duszpasterz z nowoczesnego Dekameronu, „zabić mię milczeniem“. *Słowem, stało się dokładnie tak*, jak sobie przepowiedziałem dwa lata temu w „Zbawcach literatury“ mówiąc, że za napadanie na klikę można być wyświeconym z towarzystwa porządných ludzi i zostać zabitym milczeniem“. („Prawda“ 1893 r.).

Towarzyszem zaś owego prokuratora w sutannie był p. Maryan Gawalewicz. Wołał on i przekładał, że nie można przecie tolerować podobnie samowolnego wymiaru sprawiedliwości (jak na ulicy Wł.); bo ten system może się stać zaraźliwym i grozić innym. Najzupełniejsza racya! Przeciw tak słusznemu argumentowi zebrani nie powinni byli zgola oponować i też nie oponowali.

Jestem tedy wykluczony z prasy warszawskiej przez areopag, zbierający się pod przewodnictwem dwóch znanych faworytów Warszawy, z których jeden nie tylko, że ma wszystkie potrzebne do sądzenia rzeczy społecznych, a *zwłaszcza publicznych* dane, ale nadto jest wykształcony artystycznie, albowiem znakomicie umie „arrangeować“ i „inscenizować“ widowiska à la „Słowik“ Boccaccia, a w dodatku posiada odpowiednią znajomość spraw świętych i moralnych, czego składa dowody w częstem „zapędzaniu dyabła do piekła“.

Co się zaś tyczy drugiego, mianowicie p. Gawalewicza, to jego rola oskarżyciela w tej sprawie jest bardzo natural-



nym wybiegiem i płynie z bardzo naturalnej ambicji zatarcia śladów tej drogi, którą przedostał się do piśmiennictwa. Nie mogę nie uwiecznić tej metody, już poniekąd znanej czytelnikowi ze strategiki Wolfa Grabandera, tembardziej, że rzuca ona światło na dzisiejsze stosunki literackie w Warszawie i jest niezmiernie wdzięcznym tematem dla krytyka psychologa.

Jak wiadomo, każdy albo przynajmniej prawie każdy człowiek, wstawszy rano z łóżka, robi dokoła siebie porządek i pozbywa się niepotrzebnych i nieczystych produktów snu. Owóż Galicya po długim swym letargu, (zakończonym dopiero w r. 1859.), zaczęła otrząsać się z martwoty i robić dokoła siebie porządki, wietrzyć sypialnię, wypędzać ze swego społecznego organizmu wszystkie obciążające go a zbyteczne już produkty. Jednym z takich właśnie produktów snu galicyjskiego jest p. Maryan Gawalewicz i cała ta kupka dziennikarzy galicyjskich, których nabywcą i konsumentem jest wydawnictwo „Tygodnika Ilustrowanego“ i „Kuryera Codziennego“. Rzecz jasna, iż taki produkt snu jeśli chce odegrać rolę sprzeczną ze swem przeznaczeniem musi starać się o to, żeby zatrzeć swój rodowód i udawać coś wprost przeciwnego jego istocie, n. p. złoto; kupuje sobie tytuły „autora“, „prelegenta“, przerabia metrykę i stosuje skwapliwie do otoczenia wszystkie możliwe przezwiska, jakimi prawdopodobnie zostałby sam prędzej czy później obdarzony. I oto mamy cały szereg charakterystycznych tytułów powieściowych: *Filistry*, *Szubrawcy* itp.. Publiczność zostaje w ten sposób doskonale wprowadzona w błąd i zostaje na długo w mniemaniu, że ma do czynienia w rzeczy samej ze złotem. Resztę zaś podejrzliwości krytycznej usypia się poufałością z wielkimi ludźmi. Tak jak zbogacony bankier przemawia do swego prezesa w klubie lub towarzystwie wyścigów: „mój książę“, albo „mój hrabio“, tak p. Gawalewicz jest na stopie *ami cochon* z artystami (np. „Gasnące dusze“), bierze za guziki od surduta — kogo? *Benvenuta Cellini* i naj-

większego artystę świata *Leonarda da Vinci* („Perła“) rozmawia z nimi poufale, swoje tak zwane myśli i morały kładzie im w usta, grzebie im swoim palcem w sercach... Wobec tego nie dziwi mię, że klepie też po ramieniu największego na świecie wroga filisterskich dusz i literackich parweniuszów, Henryka Heinego, i staje nad jego grobem i prosi go o koleżeńską pomoc w opiewaniu — uroków Patelni i letniego salonu Warszawy, w te słowa:

Henryku Heine, powstań z grobu,

I zakończ moją pieśń („Tyg. Ilustrowany“).

Ale Heine jest dżentlmenem i nawet p. Gawalewiczowi nie odmówi tak drobnej przysługi, więc też mu odpowiada z mogiły:

Noch immer schmückt man den Schweinen bei uns,

Mit Lorbeerblättern den Rüssel...

Lecz jeszcze więcej uprzejmości, co prawda, odmiennej, zwłaszcza wobec znacznego wpływu p. Gawalewicza aż w kilku pismach, mają dlań „koledzy“ warszawscy, i oto dzięki temu rozgrasował się w literaturze naszej *gawalewizm* najgorszy ze wszystkich onanizmów, bo umysłowy i powodujący rozrzedzenie mózgu zbiorowego.

W takiej oto epoce i przez przedstawicieli *takiego kierunku* zostałem wyklęty ja. Jak sądzisz czytelniku, czy to dla mnie hańba? czy powód do strapienia?

Jestem „wykresłony“ przez nich z liczby literatów. Czy kto słyszał kiedy o podobnym wyroku? Postanowiono, że nie mam prawa myśleć i tworzyć. Biedacy! im się zdaje, że można myśleć w dobie gawalewizmu i w domach, gdzie się go uprawia: w „Kuryerach“ i u ich aliantów. Tam się można nauczyć tylko przestać myśleć i właśnie w uznaniu tego żelaznego prawa nigdy nie zawierałem z nimi stosunków z własnej inicjatywy, a raz zawarte zrywałem prędzej czy później. <sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Z „Kuryerem Warszawskim“ wszedłem w stosunki, zaproszony przez przysłanego do mnie w r. 1888. p. Mieszkowskiego i z „Codziennym“

Spotkała więc mię szczególna kara. Jestem jak oswojony jeleni — rogacz, któremu za karę, że zrobił wycieczkę do lasu, i po drodze pobódl trochę inwentarza, zamknięto przed nosem, gdy wrócił — stajnię. Dla mnie jest to stajnia Augiaszowa, w której mieszkać trudno, gdy dokoła rośnie i kwitnie bujny i wolny las twórczości. Ale tę stajnię będziemy uprzętać — jest nas więcej niż sądzicie. Przeczytajcie *Forpocztę*, a zobaczycie, jak ludzie z różnych kół pochodzący myślą pokrewnie i pokrewnie pragną. Przecież nikt nie przypuści, że książka ta powstała na poczekaniu! Nie, ona rosła, jak las, jedno drzewo nie wiedziało o drugim. Jest to ów groźny, ruchomy las Birnamu, którego zbliżanie się miało być dla Makbeta zwiastunem przedśmiernej klęski...

Dopóki stajnia choć w części wymiecioną nie będzie z gawalewizmu i sprzedajności; dopóki trwać będzie u nas choć jeden redaktor Lyngę; dopóki zakasana rewerenda tańczyć będzie w salonach naszej literatury z podkasaną muzą pod ręką i przy kieliszku dyktować prawa życia umysłowego; póki u nas jak w piosence średniowiecznej, panować będzie *in ecclesia virtus asinaria*: rogacz z pożytkiem dla zdrowia i rozkoszą dla wolnej swej natury trzymać się będzie zdala.

Pisałem na wiosnę r. 1895.



od chwili zaproponowania mi przez pp. Gebethnera i Wolffa (posłem był p. Wołowski), ażeby napisać „Historję literatury polskiej“ dla samouków, a potem znów na prośbę p. Piltza.

## Uzupełnienie.

Uważam za stosowne do szczupłej liczby pism, które w sprawie powyższej zachowały względną niezależność sądu, załączyć „Przegląd Poznański“. Zajęte przezeń stanowisko najlepiej scharakteryzuje urywek z artykułu korespondenta warszawskiego (podpisanego „Dzwon“), który też przytaczam :

„...Niech mi wolno będzie potrącić o jeden również nie zbyt świeży wypadek, ażeby sprostować błąd, czyniący krzywdę ludziom zasługującym na szacunek. Niejeden z czytelników zapewne spotkał się przed kilku tygodniami z rzucaną przez „Kuryer Codzienny“, a powtórzoną przez inne pisma potwarzą o napaści dwóch znanych literatów z kijami na jednego — i o ciężkich plagach, które miała dostać owa ofiara gorliwości krytycznej. Otóż nie wdając się w szczegóły, które niebawem wyjaśni zapewne sąd, mogą tylko powiedzieć, na podstawie słyszanego od ludzi wiarogodnych, że to, co pisze sam o sobie poszkodowany redaktor „Kuryera“, nie jest prawdą; prawda zaś tylko tyle, że dostał policzek wśród białego dnia na ulicy od kogoś, z kim pierwszy szukał zwady, a w tem szukaniu zachował się w sposób niehonorowy.

Najsmutniejszym zaś objawem, świadczącym bardzo niekorzystnie o prasie naszej, jest to, że żadne z pism, nawet to, którego karty posłużyły za pole do pierwszych wystąpień zaczepnych, nie chciało przyjąć sprostowania, ani oszczerstwa początkowo wydrukowanego w „Kuryerze“, (które było przyczyną policzka), ani kłamaną wieści o napaści z kijami, chociaż wieść ta wplątała do operacyi znanego i po-

wszechnie cenionego człowieka, czyniąc ze świadka napastnika. Czy taki sposób szukania sprawiedliwości był jedynym pozostającym w ręku obrażonego, czy nie mogli znaleźć innego, mniej brutalnego, o tem trudno mi decydować; nie mogę zatem faktu usprawiedliwiać bezwzględnie. Oburzającym jednak jest to, że gdy potwarz hasa bezkarnie i z przesadą powtarza się we wszystkich pismach, pokrzywdzony nie ma możliwości wydrukować słowa na swoje usprawiedliwienie.“

*„Przegląd Poznański“ Nr. 16. r. 1895.*





# Głos Wacława Nałkowskiego

w sprawie Cezarego Jellenty.

Ponieważ z powodu udziału mojego w sprawie, przedstawionej szczegółowo w artykule poprzednim, spotkały mnie ze strony pism naszych bądź szkalowania, bądź pożałowania, przeto dla jasnego i dobitnego scharakteryzowania mego w tej sprawie stanowiska, oświadczam co następuje:

Nieprawdą jest, jakoby udział mój w tej sprawie był skutkiem „nierozwagi“, przeciwnie: jak w kwestjach naukowych tak i w postępowaniu życiowym zwykłem *długo rozważać* wszystkie „za“ i „przeciw“ zanim zdecyduję się na wypowiedzenie zdania, lub postawienie kroku, lecz za to później ani jednego, ani drugiego nie zwykłem już cofać. I w danym więc razie udziału mojego nie tylko nie żałuję, ale i nadal w podobnym wypadku postąpiłbym tak samo, to znaczy: gdy dojdę do przekonania, że ktoś został pokrzywdzony, nie będę się wahał rzucić mego nazwiska na szalę jego sprawy, a to tem bardziej, gdy jak w danym razie, przeciwstawiają się nie dwie osobistości, lecz raczej dwie zasady, dwa światy: z jednej świat ludzki, świat idei; świat nieskazitelności, świat nauki; z drugiej świat reportersko-literacki, bez idei, bez zmysłu etycznego, bez kultury umysłowej.

Tak stoi kwestya *zasadniczo* i żadne szczegóły, żadne wymysły „napadów zbiorowych, zorganizowanych, nocnych“ i t. d. nie zdołają zmienić jej charakteru.

Stawianie czoła takiemu światu, po stronie którego są takie szanse, jak: spryt życiowy, pisma, pieniądze, brutal-

ność liczby, bezkrytyczność ogółu, tchórzostwo opinii — stawianie czoła takiemu światu, przyznając, jest „nierozważne“ w sensie filistersko-praktycznym, ale na szczęście nie wszyscy jeszcze ludzie spopleli do rzędu filistrów, lub ulegli ślepotie moralnej, są jeszcze tacy, którzy się swego przekonania są w stanie przeciwstawić nie tylko warszawskiej reporteryi, ale nawet światu całemu!...

Że za to przeciwnicy kupczący idealizmem postarają się o poderwanie im bytu materyalnego, nie ulękną się oni, przywykli bowiem odmawiać sobie wszystkiego, aby nie frymarzyć swą duszą.

Że za to w dodatku spotkają ich szkalowania, nie ulękną się również, wiedzą bowiem, że są ludzie i pisma, których szkalowania są zaszczytem, tak jak pochwały są zniewagą.

*Wacław Nałkowski.*



## SPIS RZECZY:

|                                                                                      | Strona |
|--------------------------------------------------------------------------------------|--------|
| Godło, przez Maryę Komarnicką . . . . .                                              | 3      |
| i Forpoczty ewolucyi psychicznej i troglodyci, napisał<br>Wacław Nałkowski . . . . . | 5      |
| Powrót ideałów, napisała Marya Komornicka . . . . .                                  | 51     |
| W upojeniu, fantazya przez Cezarego Jellentę . . . . .                               | 81     |
| ii Natura i siła, napisał Wacław Nałkowski . . . . .                                 | 104    |
| Przejsiowi, napisała Marya Komornicka . . . . .                                      | 127    |
| Dlaczego? napisała Marya Komornicka . . . . .                                        | 135    |
| Cieplarnia bezducha, napisał Cezary Jellenta . . . . .                               | 141    |
| iii Trzeba mieć metodę, napisał Wacław Nałkowski . . . . .                           | 181    |
| Liryka prozą i wierszem Maryi Komornickiej:                                          |        |
| 1. Odrodzenie . . . . .                                                              | 193    |
| 2. Psalm przejsiowych . . . . .                                                      | 196    |
| 3. Hymn Demona . . . . .                                                             | 197    |
| 4. Wszeczucie . . . . .                                                              | 199    |
| 5. Pod wpływem „Szału“ Podkowińskiego . . . . .                                      | 200    |
| 6. Do autora „W przesileniu“ . . . . .                                               | 200    |
| 7. Odstępcy * * * . . . . .                                                          | 202    |
| 8. Chcenia . . . . .                                                                 | 202    |
| Spowiedź zbira, ułożył z dowodów piśmiennych Cezary<br>Jellenta . . . . .            | 204    |
| Uzupełnienie . . . . .                                                               | 268    |
| Głos Wacława Nałkowskiego . . . . .                                                  | 269    |



## Omyłki druku.

|              |                |              | zamiast :                  | powinno być :                     |
|--------------|----------------|--------------|----------------------------|-----------------------------------|
| Stronica 11. | wiersz ostatni |              | Skąd                       | skąd                              |
| "            | 21.            | " 15 od góry | odebrania                  | odebranie                         |
| "            | 22.            | " 3 od dołu  | wykluc                     | wykluc                            |
| "            | 26.            | " 9 od góry  | obląkanie                  | obląkaniem                        |
| "            | 29.            | " 3 " "      | drewianości                | drewnianości                      |
| "            | 40.            | " 3 od dołu  | cnotami bezczel-<br>niejsi | cnotami; bezczel-<br>niejsi       |
| "            | 44.            | " 2 " "      | motywując                  | motywujące                        |
| "            | 62.            | " 16 od góry | kierunek!                  | kierunek                          |
| "            | 64.            | " 16 od dołu | Zreszta                    | Zresztą                           |
| "            | 70.            | " 12 od góry | wych                       | swych                             |
| "            | 79.            | " 14 " "     | zhańbicie                  | shańbicie                         |
| "            | 90.            | " 8 " "      | zaskrzepłych               | zakrzepłych                       |
| "            | 93.            | " 8 " "      | skuł tę                    | okuł                              |
| "            | 99.            | " 7 od dołu  | miłośny                    | miłosny                           |
| "            | 104.           | " 3 " "      | następny                   | następny: „Trzeba<br>mieć metodę“ |
| "            | 108.           | " 13 od góry | namiedziony                | nawiedzony                        |
| "            | 129.           | " 16 od dołu | zaspokoić nie mogą         | zaspokoić mogą                    |
| "            | 145.           | " 14 " "     | łowem                      | słowem                            |
| "            | 154.           | " 6 " "      | est                        | jest                              |
| "            | 158.           | " 19 " "     | dni                        | dziś                              |
| "            | 160.           | " 18 " "     | wyrobów                    | wyroków                           |
| "            | 170.           | " 13 " "     | Cullerré                   | Cullerre'a                        |
| "            | 177.           | " 12 od góry | niezależnie                | niezależne                        |
| "            | 178.           | " 2 od dołu  | bruźdzący                  | bruźdzący                         |
| "            | 179.           | " 19 " "     | które                      | którą                             |
| "            | 248.           | " 17 " "     | „Warszawskim“              | „Warszawskiemu“                   |
| "            | 258.           | " 16 od góry | Betzendorf                 | Betzenbenberger                   |
| "            | 271.           | " 2 " "      | Komarnicką                 | Komornicką                        |



24004



